MOC CZYTANIA W PODWÓJNYM NUMERZE:
BONIECKI | BIEŃCZYK | DZIEWIT-MELLER | HOŁOWNIA | HOROWITZ
KŁOCZOWSKI | ŁUBIEŃSKI | MASŁOWSKA | STANKIEWICZ | STASIUK

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE



Kraków 29 IV–6 V 2018 nr 18-19 (3590-3591) cena 11,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Należy się nam maj!

DOROTA MASŁOWSKA i inni...

W NUMERZE DODATKI:
WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
KATOWICE KULTURA NATURA
WIELKIE PYTANIA: PRZEŁOMY W NAUKACH O UMYŚLE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Muzeum Narodowe w Warszawie zaprasza na wystawy



Sztuka Wicekrólestwa Peru

2/03 – 20/05/2018

Nowożytna sztuka sakralna z Ameryki Południowej



Paderewski

17/02 – 20/05/2018

Wielowymiarowy portret pianisty, polityka i kolekcjonera sztuki orientalnej

Muzeum Narodowe w Warszawie

PADEREWSKI

WYSTAWA W RAMACH CYKLU 3 × NIEPODLEGŁA W MNW

3 × NIEPODLEGŁA

PATRONAT NARODOWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918 · 2018

niepodległa

PATRONAT HONOROWY

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

MECENAS WYSTAWY

PZU

WSPARCIE FINANSOWE

Fundacja Trzy Trąby

PARTNER WYSTAWY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

SZTUKA WICEKRÓLESTWA PERU

WYSTAWA DZIEŁ Z COLECCIÓN BARBOSA-STERN ZORGANIZOWANA PRZEZ MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE WE WSPÓŁPRACY Z MUZEUM NARODOWYM WE WROCŁAWIU

colección Barbosa-Stern

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

PATRONAT HONOROWY

Ambasada Peru w Polsce

Ministry of Foreign Affairs Perú

Rzeczpospolita Polska Minister Spraw Zagranicznych

WSPARCIE FINANSOWE

Fundacja XX. Czartoryskich

WYSTAWA ODBYWA SIĘ W RAMACH OBCHODÓW 95-LECIA NAWIĄZANIA STOSUNKÓW DYPLOMATYCZNYCH MIĘDZY POLSKĄ A PERU

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

PARTNER MUZEUM

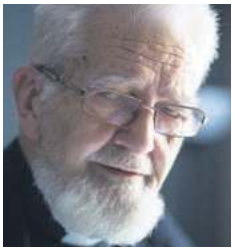
LOTTO

DORADCA PRAWNY

GT GreenbergTraurig

KS. ADAM

Boniecki: *Błogosławiona pani Chrzanowska*



Niegdyś złośliwi mówili na Klub Inteligencji Katolickiej „Klub katolików kanapowych”. Było to nie całkiem sprawiedliwe, bo w końcu klub nie musi zaraz być motocyklowy i może jako miejsce spotkań, wymiany myśli mądrych ludzi odgrywać ważną rolę. Tylko że ja nie byłem odpowiedzialny za klub. Byłem duszpasterzem akademickim i dość szybko zacząłem się zastanawiać, czy moje duszpasterstwo nie jest właśnie duszpasterstwem kanapowym. Nie dosłownie, bo nie mieliśmy kanap, były msze święte, kazania, dni skupienia, wykłady, debaty, duszpasterskie obozy letnie i zimowe. Dużo chrześcijańskich słów, gorzej z czynami.

Wtedy – w roku 1964, może 1965 – przyszła do mnie pani Chrzanowska. Wyjaśniła rzeczowo (nie patetycznie), na czym polega prowadzona przez nią opieka nad chronicznie chorymi w ich domach. Opiekę pielęgniarską zapewniały profesjonalne pielęgniarki. Potrzebni byli ludzie, którzy zatroszczą się o pomoc w życiowych problemach: załatwiania spraw w urzędach, robienia zakupów, sprzątnięcia mieszkania itp. A nade wszystko – zapewnią swoją życzliwą obecność przy ludziach samotnych. Stanęło na tym, że przyjdzie do św. Anny i przemówi do studentów. Ja miałem temu poświęcić najbliższy dzień skupienia.

Pani Hanna przyszła do św. Anny i przemówiła, odbył się dzień skupienia... bez żadnego efektu. Nikt nie był zainteresowany. „No tak – myślałem wtedy – kanapowe”. Ale po dłuższym czasie, po następnych spotkaniach z panią Chrzanowską „coś drgnęło” i to drgnieniem jak wstrząs tektoniczny. Studenci sami się zorganizowali. Kilkudziesięciu zaangażowało się na serio. Bo pani Hanna wymagała konsekwencji. Wiedziała, że dla chorego oswojenie się z opiekunem nie jest łatwe, że potem nie wolno odejść od człowieka i go zostawić.

Jej działalność opisała Marzena Florkowska w książce „Radość dawania”, opisali także inni. Najważniejsze jest, że to, co zostało zainicjowane przez panią Chrzanowską, księdza Ferdynanda Machaya i księdza Karola Wojtyłę, do czego nasze duszpasterstwo akademickie zostało doproszone, uruchomiło ukryty w ludziach potencjał miłości bliźniego. Pomogło przekroczyć granicę odgradzającą zdrowych od świata chorych, pokonać nieśmiałość albo obojętność. Było otwarciem nowych horyzontów ewangelicznych. Żeby jakaś wspólnota, np. parafialna, zakonna, była rzeczywiście wspólnotą chrześcijańską, muszą w niej być obecne trzy elementy: uświęcające sakramenty, prowadzące ją Słowo Boże i miłosierdzie. Hanna Chrzanowska nauczyła nas, że tam, gdzie pojedynczy człowiek albo się załamie, albo w poczuciu bezsilności wycofa, wspólnota jest w stanie sprostać. Nasz wolontariat tak dobrze funkcjonował właśnie dlatego, że miał zaplecze we wspólnocie Duszpasterstwa Akademickiego.

Skuteczność takiego wspólnotowego wysiłku wymaga dobrej organizacji. Pani Chrzanowska wnosiła wnikliwą znajomość ludzi i ich potrzeb, nie tylko materialnych. Dzięki temu cała ta działalność nie koncentrowała się na poprawie samopoczucia pomagających, lecz na podejmowaniu realnych potrzeb konkretnych ludzi, którymi się ci wolontariusze zajmowali.

Ci, którzy współpracowali z Hanną Chrzanowską, od niej nauczyli się szacunku dla ludzi, których niepełnosprawność skazała na życie poza głównym nurtem społeczeństwa. Szacunek u niej był fundamentem miłości, bo wolna od ckliwej czułostkowości pokazywała, co to znaczy kochać bliźniego. Gdy dziś poznajemy niektóre jej zapiski, dziennik, inne teksty, odkrywamy to, o czym nie mówiła: że żyła Ewangelią, że bezgraniczne oddanie sił i czasu chorym było jej sposobem miłości Boga, a tajemnica spokoju, którym promieniowała, mądrość i przedziwna zdolność pociągania ludzi do dobrego, to były symptomy jej świętości. Kiedy taka zwyczajna, konkretna, pogodna była z nami, nikt nie myślał, że to święta. Teraz jednak, kiedy Kościół wynosi panią Hannę Chrzanowską na ołtarze, nikt z nas nie jest ani zdziwiony, ani zaskoczony. Bo była święta. Teraz dziękujemy Bogu za to, że mieliśmy... że mamy takich świętych. ©℗

Suwerenni dzięki Wam!

Szanowni Państwo,
jeśli jeszcze zastanawiacie się, na co przeznaczyć w rozliczeniu rocznym 1 proc. należnego podatku, zachęcamy Państwa do rozważenia wsparcia Fundacji Tygodnika Powszechnego. Najważniejszym zadaniem Fundacji jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego”. Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Akcje społeczne, festiwale kulturalne, debaty i inne wydarzenia pozwalają wyjść z misją „TP” poza łamy i przyciągnąć nowych czytelników. Tym z Państwa, którzy już są z nami, i od których otrzymujemy wsparcie – serdecznie dziękujemy.

Ks. Adam Boniecki – Przewodniczący Rady Fundacji
Edyta Płachta, Aleksander Kardyś – Zarząd Fundacji Tygodnika Powszechnego

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:
0000125605
Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

MOC CZYTANIA NA MAJÓWKĘ

34 Halny uderza jakby siekierą
ROZMOWA Z APOLONIUSZEM RAJWĄ, PRZEWODNIKIEM:
Na Krupówkach pojawiała się tzw. Biała Pani. Ubierała się w białą suknię, wychodziła w niej i obchodziła latarnie. Wtedy ludzie mówili: o, będzie wiało.



66 Horyzont życia
ROZMOWA Z RYSZARDEM HOROWITZEM, FOTOGRAFEM:
Cała nasza przeszłość okazuje się fantazją... Sami nie wiemy, co się zdarzyło naprawdę. Ile jest w naszych wspomnieniach prawdy, ile snu?





80 Dwa słońca o zachodzie
GRAŻYNA MAKARA I MARCIN ŻYŁA: *Gdy powstawało największe sztuczne jezioro świata, zalano wodą tysiące hektarów lasu deszczowego. Dopiero potem doprowadzono drogi, przyszli ludzie. Dziś Wolta to serce Ghany.*



90 Bug pamięci
ANDRZEJ STASIUK:
W podtopionej łódce stało lusterko wody. I nic. Ani ruchu, ani dźwięku. Ramię rzeki ocierało się o wypłukane przed tysiącleciami wnętrze ziemi.

100 Zjazd do zajezdni
ROZMOWA Z DOROTĄ MASŁOWSKĄ, PISARKĄ:
W Warszawie łatwo o emocjonalną martwicę. Zarabiasz te pieniądze, kupujesz te przedmioty, zmieniasz te stylizacje. Przyjaciele są zjawiskiem efemerycznym. To się rzuca na mózg.





116 Murek, syreni śpiew i Marsjanie
MAREK BIEŃCZYK:
Obok Burgundii porwanej przez boginie luksusu, spekulacji i kasy istnieje wciąż Burgundia rzeczy zwykłych i win zwykłych, a pysznych.

ADRIAN GŁADECKI / REPORTER // MONIKA SZAŁEK / ANYWHERE // GRAŻYNA MAKARA // K.K. WODECKA / EAST NEWS // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // CHRISTOPHE LEPETIT / AFP / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Potrzebna rewolucja plus
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

92 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Imposybilista
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Jeśli Kaczyński teraz przegra, to już nigdy nie będzie rządził*

26 Baba niespodzianka
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: *Pelikan z Raszyna*

27 Azyl brata Antoniego
JACEK GĄDEK *o „amerykańskiej Częstochowie" w Pensylwanii*

30 Przekleństwo pięknego miasta
PIOTR KOZANECKI

34 Halny uderza jakby siekierą
ROZMOWA Z APOLONIUSZEM RAJWĄ

■ ■ WIARA

50 Pokusy Boga ROZMOWA Z O. JANEM A. KŁOCZOWSKIM OP

54 Pani Hanna
DOROTA BIDZIŃSKA: *Portret Hanny Chrzanowskiej, która zostanie beatyfikowana 28 kwietnia*

58 Protestant na mszy u katolików
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI *o ostrym sporze w niemieckim episkopacie*

60 Ratzingera dzieła nie wszystkie
CEZARY KOŚCIELNIAK

62 Rany Żyjącego
PIOTR SIKORA: *Medytacje Wielkanocne* (4)

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Co się stało z naszą pracą
MAREK RABIJ

Praca znajduje się pod ochroną Rzeczypospolitej Polskiej – głosi konstytucja. W tym przypadku reguła rozdziału Kościoła od państwa działa wprost perfekcyjnie.

16 My, zasoby ludzkie
ROZMOWA Z RAFAŁEM ŁĘTOCHĄ, BADACZEM KATOLICKIEJ NAUKI SPOŁECZNEJ:

Chrześcijaństwo mówi nam wyraźnie: żyjemy tu nie po to, żeby się bogacić, tylko żeby żyć.

■ FELIETONY ■

38 ANNA DZIEWIT-MELLER **64** SZYMON HOŁOWNIA **90** ANDRZEJ STASIUK **114** JAN KLATA **115** PAWEŁ BRAVO **120** STANISŁAW MANCEWICZ **120** BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATKI SPECJALNE ■

Wielkie Pytania: Przełomy w naukach o umyśle

Katowice Kultura Natura

Włóczykij Kulturalny

Okładka: Dorota Masłowska
Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP"

Redaktorzy prowadzący:
EWELINA BURDA i PIOTR MUCHARSKI

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Następne wydanie „TP" ukaże się

■ w WYDANIU PAPIEROWYM – w kioskach i salonach prasowych w środę 9 maja

■ w E-WYDANIACH, w wydaniu internetowym, w wydaniu na Kindle i w aplikacji – we wtorek 8 maja wieczorem.

■ ■ Z ODDECHEM

66 Horyzont życia
ROZMOWA Z RYSZARDEM HOROWITZEM, FOTOGRAFEM

■ ■ ŚWIAT

72 Krym: dramat każdego dnia
WOJCIECH PIĘCIAK: *Represje wobec Tatarów Krymskich są coraz ostrzejsze*

78 Proces nad procesem
KALINA BŁAŻEJOWSKA *o Katalonii*

80 Dwa słońca o zachodzie
GRAŻYNA MAKARA I MARCIN ŻYŁA: *Reportaż znad jeziora Wolta w Ghanie*

■ ■ HISTORIA

88 Pierwszy Maja: czyje to święto
REMIGIUSZ OKRASKA

■ ■ KULTURA

100 Zjazd do zajezdni
ROZMOWA Z DOROTĄ MASŁOWSKĄ *o komunikacji miejskiej*

105 Kto tak pięknie gra?
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Przedstawienia Anny Karasińskiej to pułapki na widzów*

108 Kłopotliwy triumf geeka
JAKUB MAJMUREK: *Miejsce kujona w kulturze masowej*

112 Pieski świat
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Wesa Andersona „Wyspa psów"*

113 Warto zobaczyć w TV

114 Pudełko
LEKTOR *o książce „Młyny boże. Zapiski o Kościele i Zagładzie"*

■ ■ ZMYSŁY

116 Murek, syreni śpiew i Marsjanie
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA



ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER

POTRZEBNA REWOLUCJA PLUS

PiS prawdopodobnie spełni postulaty protestujących w Sejmie. Ale to i tak niewiele zmieni w życiu niepełnosprawnych i ich opiekunów.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Protest rodziców i opiekunów niepełnosprawnych dzieci w Sejmie, 19 kwietnia 2018 r.

Determinacja i medialna skuteczność kilkanaściorga osób okupujących korytarze na Wiejskiej jest godna podziwu: w ciągu kilku dni niepełnosprawni i ich rodzice skłonili do wizyty i tłumaczenia się w świetle kamer premiera Morawieckiego (dostał od protestujących burę), minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbietę Rafalską (usłyszała, że nie bardzo jest o czym rozmawiać, bo „nie jest osobą decyzyjną") i prezydenta Dudę (jest jedynym politycznym wygranym, choć i on przeszedł publiczną próbę nerwów, gdy jedna z protestujących odtworzyła na telefonie jego wystąpienie kampanijne, w którym obiecywał poprawę losu niepełnosprawnych).

Choć do poniedziałkowego południa (23 kwietnia), a więc do momentu zamykania tego numeru „TP", nie było jasne, czy postulaty protestujących zostaną spełnione – chodzi głównie o podwyższenie renty socjalnej, dziś wynoszącej nieco ponad 800 zł, a także wprowadzenie dodatku rehabilitacyjnego w wysokości 500 zł – to można sądzić, że wkrótce tak się stanie. Tyle że kilkaset dodatkowych złotych nie zmieni zasadniczo życia niepełnosprawnych i ich opiekunów.

Co łączy niemal pięć milionów polskich niepełnosprawnych (z opiekunami można mówić nawet o grupie ponad dziesięciu milionów), a więc dzieci, dorosłych niesamodzielnych od dzieciństwa, ale też powiększającą się za sprawą demograficznych zmian rzeszę wymagających pielęgnacji seniorów, siłą rzeczy niereprezentowanych w podobnych protestach? Co łączy opiekunów: matkę trzyletniego dziecka z porażeniem czterokończynowym, ojca 25-letniego niepełnosprawnego po wypadku i córkę przykutej do łóżka 80-latki? W największym skrócie: osamotnienie i wykluczenie, dla których głodowe świadczenia stanowią jedynie wygodne alibi państwa.

Polski statystyczny niepełnosprawny to osoba zagrożona biedą i zawodowo bierna – tylko kilkanaście procent pracuje, większość utrzymuje się z rent. To zupełnie inna proporcja niż w statystycznym kraju UE, gdzie odsetek aktywnych sięga nawet 50 proc. Polski statystyczny opiekun niepełnosprawnego (mowa o tych, którzy nie są w stanie samodzielnie funkcjonować) to człowiek do granic znękany codziennością: także bardzo często zawodowo bierny, bo zrezygnował z pracy na rzecz sprawowania opieki.

W polskim systemie pomocy niepełnosprawnym brakuje nie tylko pieniędzy, ale również koordynacji między instytucjami; dostępu do rehabilitacji i służby zdrowia; placówek takich jak świetlice środowiskowe czy dzienne domy pobytu. Nie istnieje system tzw. wytchnieniowy, dzięki któremu opiekun niepełnosprawnego mógłby choć na kilka tygodni w roku wyjechać i odpocząć (wystarczy rozmowa z pierwszym lepszym opiekunem, by dowiedzieć się, że ostatnie wspomnienie takiego wyjazdu sięga czasem ubiegłego stulecia).

Tego podziurawionego systemu nie da się zaklajstrować kilkusetzłotowymi podwyżkami świadczeń. Nie zlikwiduje go kolejna mutacja programu ze słowem „plus" w nazwie – nawet jeśli właśnie finansowe potrzeby akcentują obecnie protestujący. Ci wkrótce opuszczą zapewne Sejm – problemy zaś pozostaną. A właściwie będą się nawarstwiały, bo w starzejącym się szybko polskim społeczeństwie liczba osób niesamodzielnych może tylko rosnąć. ©℗

W SKRÓCIE

PRZYSYŁAJ CHOĆ PUSTE KOPERTY. W TVP nie tylko „Wiadomości" bywają pustawe i spóźnione. Ofertę Jacka Kurskiego w konkursie na prezesa złożono po terminie – podaje „Rzeczpospolita", uzupełniając tę rewelację informacją, że w przyjmowanych przez Wydział Podawczy Sejmu kopertach zawierających prezentację Kurskiego... nie było jeszcze wtedy żadnych dokumentów.

IDŹ PRECZ. W chwili zamknięcia numeru nie znaliśmy stanowiska prezesa TVP w tej sprawie. Znaliśmy za to modelową ripostę Michała Karnowskiego na zarzut Bartosza Węglarczyka z Onetu, że tygodnik „Sieci" zamieszcza nieoznaczone artykuły sponsorowane. „Forma przepytywania polskiego wydawcy przez niemiecki kapitał jest niezrozumiała. Jest próbą zadeptania nas, to kolejny atak mediów z niemieckim kapitałem motywowany tym, że wykazaliśmy próbę nieudolnej manipulacji tego wydawcy" – powiedział portalowi wirtualnemedia.pl.



JACEK BEDNARCZYK / PAP

NIE PYTAJ MNIE. Inną modelową strategię przyjęła nowa prezes Sądu Okręgowego w Krakowie: pani Dagmara Pawelczyk-Woicka (na zdjęciu) wprowadziła dla mediów całkowity zakaz fotografowania i nagrywania w okolicach jej gabinetu.

HALO SZPICBRÓDKA. Tymczasem inne media z niepolskim kapitałem wciąż nie chcą dobrze pisać o naszym kraju („Spośród 50 najbrudniejszych miast w Europie aż 33 leżą w Polsce" – donosi „New York Times" w reportażu o smogu), a powołana do zmiany tej sytuacji Polska Fundacja Narodowa ma coraz to nowe kłopoty. Ostatnio z jej zarządu ustąpił pan Antoni Kolek, któremu zarzucono, że gdy kierował gabinetem prezesa ZUS, był podejrzany o wykradanie tajnych danych i został zwolniony dyscyplinarnie.

Nie zagłosujesz, co jest fake newsem



MAREK RABIJ

Ministerstwo Cyfryzacji wstrzymuje prace nad przepisami o kontrolowaniu fake newsów i blokowaniu stron w mediach społecznościowych. Resort chce najpierw sprawdzić, w którą stronę pójdą regulacje, które w tej samej sprawie przygotowuje Komisja Europejska.

Minister cyfryzacji Marek Zagórski, który niedawno wypełnił na tym stanowisku wakat po dymisji Anny Streżyńskiej, w odpowiedzi na interpelację poselską poinformował, że jego resort konsultuje z Brukselą kształt przepisów ustawy. „Z uwagi na wskazane wyżej działania decyzja o kontynuowaniu prac nad nowelizacją i opracowaniem projektu ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną nie została podjęta" – napisał Zagórski.

Niewykluczone, że odwołanie się do UE jest jednak tylko pretekstem do wycofania się z kontrowersyjnych propozycji regulacyjnych, wśród których znalazła się m.in. możliwość głosowania przez samych użytkowników serwisów, czy dana informacja jest prawdziwa, czy fałszywa. Spore obawy przedstawicieli wydawców wzbudziła również propozycja, by portale internetowe podlegały kontroli Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. ©℗

Resort przywraca rangę

MOŻNA SOBIE Z PEWNOŚCIĄ wyobrazić lepsze, a już na pewno bardziej dyplomatyczne otwarcie tej reformy. „Koniec z przymykaniem oczu na to, że kształcimy słabych nauczycieli" – oświadczył w radiu Tok FM wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Piotr Müller. Dodał, że dziś nauczycielami zostają osoby, które „ledwo zdały maturę".

Resort nauki planuje zmienić program kształcenia kandydatów do zawodu; ograniczyć liczbę uczelni uprawnionych do kształcenia nauczycieli; zwiększyć ilość zajęć praktycznych. „Zawód nauczyciela musi odzyskać należną mu rangę" – mówi wiceminister. Czy rzeczywiście odzyska, dowiemy się za wiele lat, gdy resortem nauki będzie kierowała któraś z kolejnych ekip. ©℗ PW

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KALINA BŁAŻEJOWSKA, autorka tekstu na str. 78, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM w środę 25 kwietnia o 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Kaczyński układa referendum



ANDRZEJ STANKIEWICZ

PREZES PIS UWAŻA PREZYDENCKIE REFERENDUM konstytucyjne za niewypał. I rozważa dołożenie do niego takich pytań, żeby wyborcy ruszyli się z foteli i poszli na głosowanie.

Mija rok, od kiedy – niespodziewanie dla partii – prezydent zapowiedział, że chce rozpisać referendum konsultacyjne dotyczące zmian w Konstytucji. Od tego momentu Kancelaria Prezydenta zorganizowała cykl debat, których kulminację stanowi konwencja na Stadionie Narodowym. Andrzej Duda oraz jego ludzie mówią jasno, na czym im zależy – więcej władzy dla prezydenta, kosztem osłabienia premiera. Szkopuł w tym, że jedynym prezydentem, któremu Jarosław Kaczyński chciał dodać władzy, był jego brat.

Czołówka PiS ostentacyjnie pojawiła się niedawno na prezentacji ankiety przeprowadzonej wśród konstytucjonalistów, głównie kojarzonych z PiS. Jej przesłanie było jasne: to prezydenta należy osłabić, a premierowi dodać władzy. Referendum jest z punktu widzenia Kaczyńskiego niewygodne nie tylko dlatego, że ma dotyczyć rozwiązań, które są dla niego nie do przyjęcia. Takich ryzyk jest więcej. Jeśli PiS się w referendum zaangażuje, to wyda pieniądze i pochłonie energię swych działaczy. A przecież równolegle będzie trwał ważniejszy dla PiS dwuletni maraton wyborczy, w którym pieniądze i ludzie będą na wagę złota. W dodatku efekt jest niepewny – referenda zazwyczaj kończą się frekwencyjną klapą. Taka porażka uderzyłaby wizerunkowo w PiS. Gdyby jakimś cudem udało się jednak zapędzić ponad połowę Polaków do głosowania, to śmietankę i tak spije prezydent.

Dlatego na razie PiS zwleka, prezes dopomina się: pytania w referendum powinny zainteresować społeczeństwo. Poza pytaniami w sprawie Konstytucji można byłoby zapytać Polaków o inne kwestie. Ludzie prezydenta są pragmatykami, więc wygląda na to, że Kaczyński dopisze takie pytania, które będą w jego interesie. Ale to znaczy, że w referendum konstytucyjnym Konstytucja stanie się najmniej ważna. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

W SKRÓCIE

KOBIETY W WATYKANIE. Franciszek mianował pięcioro nowych konsultorów Kongregacji Nauki Wiary i w tym gronie po raz pierwszy znalazły się kobiety: dwie Włoszki – prawniczka dr Linda Ghisonii, teolog fundamentalna Michelina Tenace z Papieskiego Uniwersytetu Gregoriana – oraz Belgijka Laetitia Calmeyn. Pozostali dwaj nowi konsultorzy to księża z Włoch i Hiszpanii.



MASSIMO PERCOSSI / EPA / PAP

ŚWIATOWE ŚWIĘCENIA. 41-letni Renato Tarantelli Baccari, były adwokat, jest najstarszym, wyświęconym przez Franciszka 22 kwietnia, księdzem diecezji rzymskiej. Razem z nim papież wyświęcił także jego kolegów z roku: 27-letni Thierry pochodzi z Madagaskaru, 37-letni Juraj z Chorwacji, jego rówieśnicy Phaolo z Wietnamu i Thein z Mjanmy. Oprócz nich księżmi zostali także 36-letni Kolumbijczyk Fabio i 28-letni Moises z Salwadoru. Czterej pozostali nowi księża diecezji rzymskiej pochodzą z Włoch.

MORDERSTWA W MEKSYKU. 33-letni ks. Juan Miguel Contreras Garcia został zamordowany przez nieznanych sprawców w zakrystii kościoła św. Ojca Pio w Tlajomulco de Zúñiga w stanie Jalisco. Dwa dni wcześniej również w Meksyku zamordowano ks. Rubéna Alcántarę Diaza. Wszystko wskazuje na to, że księża stali się ofiarami przestępców związanych z handlem narkotykami.

MEDALE DLA KSIĘŻY. Prymas Wojciech Polak oraz m.in. Tomasz Dostatni OP zostali wyróżnieni medalami honorowymi „Powstanie w Getcie Warszawskim” za „walkę z przejawami ksenofobii, nacjonalizmu i antysemityzmu”. Medal przyznaje Stowarzyszenie Żydów Kombatantów II Wojny Światowej.

Piękne życie księdza Antka

NAWET GDY ZOSTAŁ BISKUPEM, ludzie dalej nazywali go „don Tonino” (ksiądz Antek). Tak wolał. Nie zmienił swojego prostego stylu życia. Antonio Bello robił wszystko to, o czym mówi dziś papież Franciszek – tyle że 50 lat wcześniej. Jego ideałem był „Kościół w fartuchu” (niczym zapowiedź franciszkowego „szpitala polowego”), bo – powtarzał – nie sutannę, ale fartuch powinien zakładać ksiądz służąc ludziom.

Organizował pomoc dla bezdomnych, narkomanów, chorych na AIDS. Był dobrze wykształconym teologiem, ale studiował też literaturę. Miał świetne pióro – pisał zarówno dla prasy religijnej, jak i do komunistycznego dziennika „Il Manifesto”.

Dwukrotnie odmawiał przyjęcia biskupstwa. Za trzecim razem – w 1981 r. – zgodził się i objął dwie małe diecezje w Apulii, w południowych Włoszech. Biskupie mieszkanie i biuro były otwarte 24 godziny na dobę, nocami dawały schronienie bezdomnym. Gdy wizytował parafie, spędzał w każdej co najmniej tydzień, żeby lepiej poznać swoich wiernych. Chciał spotkać się ze wszystkimi: rozmawiał z ludźmi na ulicy, chodził do sklepu, do fryzjera, grał w piłkę z młodzieżą.

Był pacyfistą. Sprzeciwiał się planom budowy poligonu wojskowego na terenie jego diecezji, czym naraził się politykom. Brał udział w marszach przeciwko zbrojeniom i handlowi bronią. Domagał się „klauzuli sumienia”,



POSTULAZIONE DON TONINO

umożliwiającej odmowę obowiązkowej służby wojskowej. Nie tylko w tej kwestii nie znajdował zrozumienia w Kościele.

Gdy w 1991 r. Włochy przeżywały pierwszy po wojnie kryzys migracyjny i tysiące Albańczyków koczowały w apulijskich miastach, bronił ich prawa do osiedlenia się w jego kraju, odwiedzał w obozach, protestował przeciwko deportacjom.

W grudniu 1992 r. z grupą blisko 500 pacyfistów dotarł do oblężonego i ostrzeliwanego przez serbskie wojska Sarajewa. Był już wtedy poważnie chory. Zmarł 20 kwietnia 1993 r., mając zaledwie 58 lat. W 25. rocznicę śmierci Franciszek odwiedził grób „księdza Antka” w Alessano. ©℗ EDWARD AUGUSTYN



ETTORE FERRARI / REUTERS / FORUM

KŁOPOT GWARDII. Przewiduje się, że w najbliższych latach przyrost naturalny w Szwajcarii wyniesie około 0,29 proc. rocznie. I mimo że wszystkie prognozy specjalistów sugerują, że jeszcze nie jest tak źle, to Bernhard Messmer, odpowiedzialny za rekrutację do watykańskiej Gwardii Szwajcarskiej, narzekał ostatnio, że dla służby ochraniającej papieża nadchodzą „trudne lata". Jego zdaniem Szwajcarów urodzonych między 1995 a 2010 r. jest za mało, a poza tym „przeżywają kryzys wartości" i będzie kłopot z przyjmowaniem nowych gwardzistów. Żeby służyć w Watykanie, trzeba być nie tylko młodym szwajcarskim mężczyzną, ale także swoją militarną pasję godzić z żarliwą wiarą. ©℗ BS

Wielka Brytania: dramat Alfiego Evansa



ARTUR SPORNIAK

23-miesięczny Alfie Evans od 7. miesiąca życia chorował na niezidentyfikowaną chorobę genetyczną, która zniszczyła prawie cały mózg dziecka. Chłopczyk przestał samodzielnie oddychać, jeść i pić. Lekarze z dziecięcego szpitala w Liverpoolu doszli do przekonania, że nie ma nadziei na polepszenie jego stanu, i podjęli decyzję o odłączeniu Alfiego od aparatury podtrzymującej jego życie. Sprzeciwili się temu rodzice i podjęli desperacką walkę o życie syna. Sprawa trafiła do sądu. Sąd orzekł, że dalsze leczenie chłopca „nie leży w jego najlepszym interesie". Rodzice przegrali także w drugiej instancji. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu oddalił ich wniosek.

Ojciec chłopca został przyjęty przez papieża, który podczas środowej audiencji przypomniał, że „jedynym Panem życia od początku aż po naturalny kres jest Bóg". Ale też wzywał do modlitwy „za delikatne, bardzo bolesne i złożone sytuacje". Kanałami dyplomatycznymi Watykan zaproponował pomoc w dalszym leczeniu dziecka w szpitalu Bambino Gesù w Rzymie. Jednak brytyjski sąd najwyższy odrzucił taką możliwość.

Łatwo tu o emocjonalne tezy. „Cywilizacja śmierci w natarciu", „skandaliczna decyzja brytyjskiego sądu" – takie oceny pojawiły się w mediach związanych z ruchami *pro-life*. Tymczasem nie mamy danych, by móc samodzielnie stwierdzić, czy przypadek Evansa kwalifikował się jako uporczywa terapia, z której można, a niekiedy trzeba rezygnować. W takich sytuacjach musimy ufać lekarzom. W tej sprawie w ich obronie stanął episkopat Anglii i Walii. „Wiemy, że niedawna publiczna krytyka ich pracy jest bezpodstawna, ponieważ konsekwentnie świadczyliśmy opiekę duszpasterską nad personelem szpitala i nad rodziną" – napisali biskupi. ©℗

Najrzadziej czytamy Proroków



GRAŻYNA MAKARA

WPRAWDZIE PISMO ŚWIĘTE ma w domu 98 proc. Polaków, ale sięga po nie (przynajmniej raz w roku) 19 proc.; 3,8 proc. czyni to codziennie, a raz w tygodniu 7 proc. – wynika z badań IMAS International na reprezentatywnej próbie Polaków. Wypadamy blado na tle Amerykanów, dla których ten ostatni wskaźnik wynosi 35 proc., lepiej natomiast od Niemców (4 proc.). Wśród czytelników przeważają młodsi (18–29 lat, 20 proc.) nad starszymi (50–64 lat, 16 proc.). Chętniej czytają Pismo mieszkańcy Polski wschodniej (23,5 proc.) niż północnej (16 proc.).

Pytając o ostatnio czytany fragment Biblii autorzy raportu pokusili się o stworzenie rankingu popularności ksiąg. Peleton tworzą Ewangelie (70 proc.), bijąc drugie w kolejności Listy Apostolskie i Apokalipsę o dwie długości (37 proc.); podium zamykają Psalmy (30 proc.). Najrzadziej otwieramy Pięcioksiąg (19 proc.) i pisma prorockie (18 proc.). Jedna trzecia respondentów czyta Biblię według założonego planu, a 18 proc. zgodnie z czytaniami liturgicznymi Kościoła; prawie wszyscy korzystają z komentarzy. W ankiecie pytano też o znajomość pojęć związanych z Pismem Świętym. O ile połowa słyszała o „apokryfie", to np. *lectio divina* to termin mało znany (10 proc.).

Autorzy szacują, że przynajmniej połowa tych, którzy najczęściej czytają Pismo, czyni to za pomocą aplikacji i stron internetowych.

©℗ MAM

Rosja wrzuca „dezę”



ANNA ŁABUSZEWSKA

W czasach zimnej wojny Związek Sowiecki zagłuszał wraże radiostacje, aby obywatele nie dowiadywali się o niewygodnych wydarzeniach. Ten sposób prowadzenia wojny ideologicznej odprawiono do lamusa historii – jego miejsce zajęły bardziej wyszukane metody. Rosja od lat doskonali je na frontach wojny informacyjnej, wrzucając do przestrzeni medialnej „dezę” – tak w żargonie funkcjonariuszy służb specjalnych nazywa się wiadomości nieprawdziwe, acz trudne do szybkiej weryfikacji, wprowadzające zamęt, dezinformujące. Po aneksji Krymu i agresji na Ukrainę Moskwa zastosowała nowe zdobycze, wykorzystując media elektroniczne i społecznościowe.

Kolejny etap rozwoju techniki dezinformacyjnej obserwujemy wokół wydarzeń w Syrii (atak chemiczny sił Asada we wschodniej Ghucie) i Salisbury (otrucie rodziny Skripalów). Dzień w dzień rosyjskie media przekonują, że ataku chemicznego w Syrii nie było. Jednocześnie siły Asada blokują dostęp międzynarodowych inspektorów OPCW, którzy mieli na miejscu sprawdzić, czy doszło do użycia zabronionych środków.

Rosyjskie media i politycy prowadzą też operację-dezinformację wokół sprawy Skripalów. Stosowane są wrzuty zamydlające przekaz. Racjonalne argumenty i ustalenia strony przeciwnej toną w trzęsawisku kłamstw i teorii spiskowych. Mnożenie wersji ma spotęgować wrażenie chaosu. Ten towar sprzedaje się na arenie wewnętrznej (budując atmosferę oblężonej twierdzy), ale na zewnątrz kupowany nie jest. ©

Więcej na: labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Hiszpania: ETA się rozwiązuje

BASKIJSKIE PODZIEMIE ZBROJNE ETA kończy działalność: na 5 maja zapowiedziano samorozwiązanie organizacji. Powstała w 1959 r., ETA (Euskadi ta Askatasuna – Kraj Basków i Wolność) walczyła o niezależność regionu od Hiszpanii. W jej zamachach zginęło ponad 800 osób, głównie policjanci i politycy (hiszpańscy i baskijscy). W minionym tygodniu ETA, która określa się jako „socjalistyczna organizacja rewolucyjna na rzecz wyzwolenia Kraju Basków”, opublikowała też przeprosiny (w formie ogłoszeń prasowych) skierowane do rodzin tych ofiar, które nie miały nic wspólnego z konfliktem, pozostałym ofiarom okazując – jak to ujęto – „szacunek”. Rozróżnienie to skrytykował premier baskijskiej autonomii Iñigo Urkullu. W minioną sobotę 10 tys. Basków demonstrowało w stolicy regionu Bilbao, żądając złagodzenia warunków odbywania kary przez ponad 200 skazanych członków ETA. Szacuje się, że dziś organizacja liczy już tylko ok. 40 członków.

©℗ WP / ARD, NZZ, FAZ



FAISAL NASSER / REUTERS/ FORUM

PIERWSZY SEANS KINOWY od 35 lat odbył się w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej: 250 mężczyzn i kobiet obejrzało film akcji „Czarna Pantera”. Bilety rozeszły się błyskawicznie, choć Saudyjczycy narzekali na ich wysoką cenę: równowartość 16 euro (na zdjęciu: w kinowym hallu). Amerykańska firma AMC Entertainment, która dostała licencję, otworzy sieć 40 kin i liczy na duże zyski w kraju, gdzie ponad połowa z 31 mln mieszkańców nie ukończyła 25. roku życia. Kina zamknięto w latach 80. XX w., na fali konserwatywnego zwrotu w duchu wahabizmu (radykalnej interpretacji islamu). Ich otwarcie to część programu gospodarczo-społecznej modernizacji, który forsuje dziś następca tronu książę Mohamed bin Salman. ©℗ WP / AFP, DPA

Potępione za dżihadystów

„CZASAMI ZADAJĘ SOBIE PYTANIE: dlaczego po prostu nie umarłam w ataku lotniczym? Próbowałam popełnić samobójstwo (...), oblałam się naftą, ale zanim ją zapaliłam, pomyślałam o moim synu”. „Czuję, że jestem u mego końca. Jestem w więzieniu. Całkowicie sama – bez mojego męża, mojego ojca” – opowiada Maha.

20-letnia Dana przeżyła kilka prób gwałtu. Spotykała się z nieustanną presją, by uprawiać seks z członkiem irackich sił bezpieczeństwa w swoim obozie. „Ponieważ uważają mnie za kogoś takiego samego jak wojownik ISIS [tzw. Państwa Islamskiego – red.], zgwałcą i zwrócą mnie z powrotem. Chcą pokazać wszystkim, co mogą mi zrobić: odebrać honor. (...) Każdej nocy mówię sobie: dziś jest noc, w której umrę”.

Historie tych kobiet (ich imiona zmieniono) publikuje Amnesty International w raporcie o sytuacji irackich kobiet i dzieci, które są lub mogą być spokrewnione z ekstremistami z Państwa Islamskiego. Są więzione w obozach dla tzw. przesiedleńców wewnętrznych. Władze irackie mają blokować wydawanie im dokumentów potrzebnych do powrotu do domu czy pracy. W każdym z ośmiu obozów, które odwiedziła Amnesty (w prowincjach Niniwa i Salah al-Din), kobiety wykorzystywano seksualnie. Amnesty twierdzi, że w wielu przypadkach jedyną „zbrodnią” mężczyzny było posiadanie nazwiska podobnego do jednego z listy poszukiwanych lub praca dla ekstremistów w roli niezwiązanej z walką (np. jako kucharz lub kierowca).

©℗ EWELINA BURDA / AMNESTY.ORG

LICZBA TYGODNIA

55

– przez tyle godzin w ubiegłym tygodniu w Wielkiej Brytanii nie użyto ani grama węgla do produkcji energii elektrycznej. Zastąpiły go głównie turbiny wiatrowe.

Minister Gliński może, ale nie chce



MAREK RABIJ

Pomiędzy przekonaniem ministra kultury, że w tzw. skandalu z Fundacją Czartoryskich nie doszło do złamania prawa, a pewnością opozycji, że to największa afera ostatnich lat, nadal brakuje jednego: rutynowych działań kontrolnych państwa.

Tamara Czartoryska, córka fundatora Fundacji Czartoryskich, mówi w wywiadzie „Tygodnikowi" (czytaj na powszech.net/czartoryscy), że jej podpisy pod uchwałami rady fundacji były fałszowane, a przy sprzedaży kolekcji mogło dojść do korupcji.

Marian Wolski, były prezes zarządu fundacji, dodaje, że sposób, w jaki Adam Czartoryski prowadził rozmowy z wicepremierem Piotrem Glińskim (z pominięciem zarządu fundacji), oraz ich okoliczności (naciski ministra, by spotkać się poza ministerstwem) były, delikatnie mówiąc, niestandardowe. I przypomina, że odchodząc z zarządu fundacji, przestrzegał ministerstwo przed wyprowadzeniem jej pieniędzy za granicę.

To oczywiście tylko słowa. Podobnie jak powtarzane zapewnienia ministra kultury, że w tej sprawie państwo nie ma nic do roboty. Wicepremier Gliński utrzymuje, że instrumentarium prawne nie daje mu możliwości kontrolowania poczynań władz Fundacji Czartoryskich, jakby nie chciał pamiętać, że w myśl art. 13 ustawy o fundacjach może on (a właściwie musi) wystąpić do sądu o uchylenie uchwały zarządu fundacji pozostającej w rażącej sprzeczności z jej celem statutowym lub polskim prawem.

Widać coraz wyraźniej, że wicepremier Gliński nie chce nawet tknąć wątku legalności transferu pieniędzy Fundacji Czartoryskich do Liechtensteinu. Kurczowo trzyma się natomiast linii obrony, która kręci się wokół zasadności odkupienia kolekcji Czartoryskich i samej ceny zakupu – czyli wątków, które może łatwo obronić. W sprawie nadal milczy również prokuratura. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

CO MINUTĘ SPRZEDAJE SIĘ MILION PLASTIKOWYCH BUTELEK. W oceanach w 2050 r., według World Economic Forum, ma być więcej ton plastiku niż ryb. Na ratunek mogą przyjść... bakterie. Odkryte dwa lata temu *Ideonella sakaiensis* jedzą plastik. Folię rozkładają w 6 tygodni, ale naukowcy właśnie usprawnili proces. Na razie o 20 proc., lecz wierzą, że reakcję można przyspieszyć nawet tysiąckrotnie. Chcą zmodyfikować już teraz stosowane w przemyśle bakterie *E. Coli* tak, by rozkładały plastik PET na jego wyjściowe składniki. Na zdjęciu: składowisko odpadów plastikowych w stolicy Ghany, Akrze. © WB

Przepraszam, to pomyłka

ZACHOWANIA HOMOSEKSUALNE – spotykane u wielu gatunków – stanowią ewolucyjną zagadkę: wiążą się z kosztami (czas i energię poświęconą na homoseksualne zaloty można lepiej inwestować), które zdają się nie być równoważone przez żadne oczywiste zyski (sukces reprodukcyjny). Wyjaśnienia tego zjawiska idą zwykle w dwóch kierunkach: albo uważa się, że zachowania homoseksualne jednak podnoszą dostosowanie (angażujące się w nie samce zmniejszają szanse na



ERIC DAY / WIKIPEDIA

sukces reprodukcyjny innych samców albo zwiększają swoje – np. łagodząc napięcia w grupie), albo że wynikają one z... niewłaściwej identyfikacji płci partnera. Międzynarodowy zespół badaczy (K. Sales i in., publikacja w „Animal Behaviour") sprawdził w ewolucyjnym eksperymencie, które z tych wyjaśnień jest poprawne w przypadku pewnego chrząszcza (*Tribolium castaneum*).

Badacze hodowali dwie populacje chrząszczy przez sto pokoleń w dwóch reżimach: ze stałą, znaczą przewagą samców lub samic (w stosunku 9:1) – tak, aby w pierwszej populacji niewielka liczba samic spowodowała wysoką konkurencję u samców i wytworzenie silnej presji selekcyjnej na właściwą identyfikację partnerek. Następnie sprawdzono, jak często pochodzące z obu populacji samce wybierać będą partnera tej samej płci. Te z pierwszej populacji robiły to znacznie rzadziej – czyli presja faktycznie wywołała u nich lepsze rozpoznawanie partnerek. Sugeruje to, że w zrównoważonej płciowo populacji zachowania homoseksualne wynikają nie z korzyści, tylko z pomyłki, której koszty są niższe niż koszty utrzymania zdolności właściwej identyfikacji płci partnera w „normalnych" warunkach. ©℗ŁK

TEMAT TYGODNIKA



CO SIĘ STAŁO Z NASZĄ PRACĄ

MAREK RABIJ

Praca znajduje się pod ochroną Rzeczypospolitej Polskiej – głosi konstytucja. W tym przypadku reguła rozdziału Kościoła od państwa działa wprost perfekcyjnie.



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Kasztany jeszcze nie zakwitły, ale blisko 260 tys. młodych Polaków myślami jest już przy tegorocznej maturze. Po egzaminie, nadal uchodzącym za symboliczny próg dojrzałości, abiturienci ruszą na studia i do pracy, w której każdy z nich spędzi następnie przeciętnie 66 tys. godzin, zanim – przynajmniej w teorii – będzie mógł przejść na zasłużoną emeryturę.

Statystyczny Polak z 78 lat swego życia aż siedem i pół przeznacza zatem wyłącznie na pracę. Równie wiele czasu i uwagi nie poświęcamy ani obowiązkom obywatelskim, ani nawet wychowaniu dzieci. Rzecz jasna mniej czasochłonna jest również konsumpcja mediów i kultury, zakupy, nie wspominając o seksie, na który – jak wynika z badań seksuologa Zbigniewa Izdebskiego – wystarcza nam średnio 13 minut raz w tygodniu.

Tymczasem magisterium polskiego Kościoła nadal z lubością, czasem wręcz natarczywie, towarzyszy Polakom w drodze do urny wyborczej, przed telewizorem czy podczas lektury, na zakupach oraz naturalnie w sypialni, podpowiadając, co i jak powinni robić. Milknie dopiero z chwilą, gdy katolik przekracza próg zakładu pracy.

Dziwne? Bynajmniej.

Cena i wartość

Odpowiedź na pytanie, dlaczego na temat polskiej pracy księża i hierarchowie od lat nie mają do powiedzenia nic prócz garści cytatów z encyklik Leona XIII i Jana Pawła II, sprowadza się niestety do konstatacji, że ten sam temat przez lata nie interesował również polskich polityków. Samą pracę i jej wpływ na życie jednostek, społeczeństwa i kraju zgodnie z dogmatem neoliberalizmu miała regulować w naturalny sposób niewidzialna ręka rynku. Wszystkie towarzyszące temu wynaturzenia, włącznie z bezpłatnymi stażami trwającymi po pół roku czy sprzątaczkami zatrudnionymi na umowę o dzieło, również miał ostatecznie wyrugować ten sam rynek dążący do równowagi.

Politycy, którym zawsze w naturalny sposób bliżej do bogatych pracodawców niż mniej zamożnych pracobiorców, zyskali w ten sposób wygodne ideologiczne uzasadnienie dla własnej bezczynności. Polski Kościół – wytrenowany w bojach politycznych przez 45 lat socjalizmu, ale kompletnie nieprzygotowany do konfrontacji z ciemną stroną kapitalizmu – przyjął błędne przekonanie, że problemy polskiego rynku pracy sprowadzają się do wysokiego bezrobocia, a na nie najskuteczniejszym lekarstwem jest właśnie wolny rynek. Wprawdzie 1 maja 1991 r. – w setną rocznicę publikacji „*Rerum novarum*" Leona XIII, która stała się fundamentem nauki społecznej Kościoła – Jan Paweł II podpisał encyklikę „*Centesimus annus*" poświęconą w dużej mierze chrześcijańskiej refleksji nad konsekwencjami zwycięstwa wolnego rynku nad marksizmem, ale w przeciętnej polskiej parafii kazania kręciły się po staremu wokół tematów ważniejszych z punktu widzenia proboszcza.

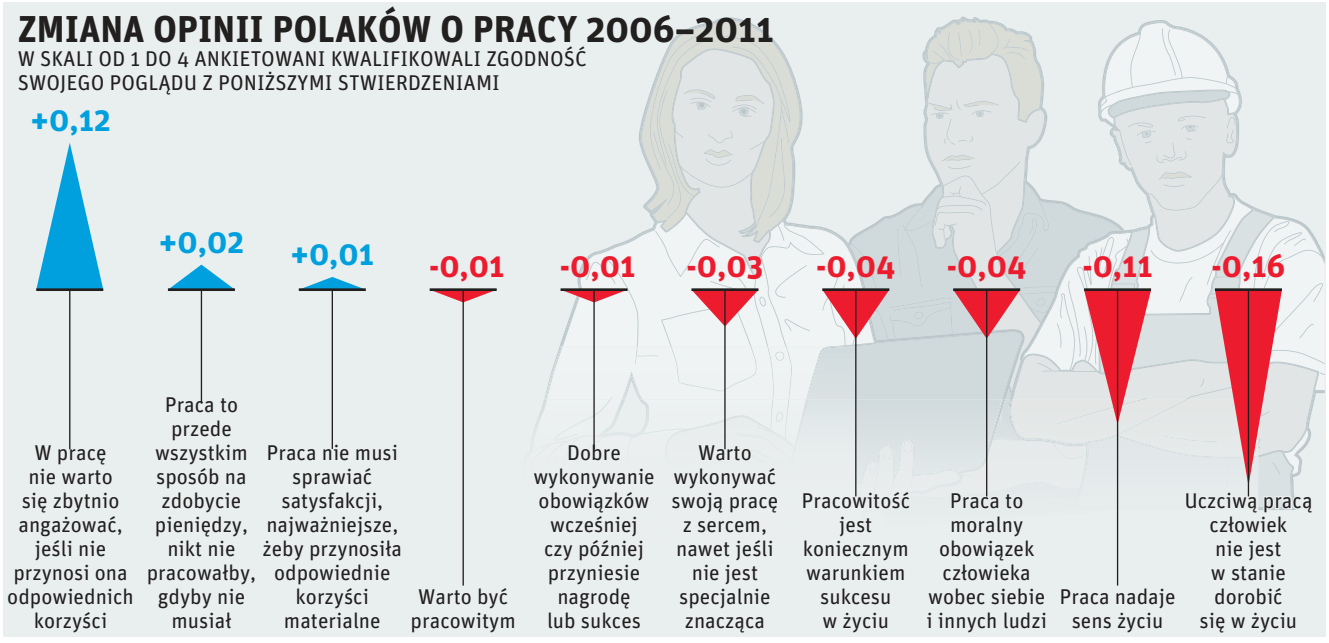
Trzeba uczciwie zaznaczyć, że ten wolnorynkowy egzamin Kościół oblał w zacnym towarzystwie. Przedstawicieli nauk społecznych przez niemal całe lata 90. bardziej interesowała ewolucja *homo sovieticus* niż los pracowników likwidowanych pegeerów czy wpływ wykluczenia ekonomicznego na postawy obywatelskie. Nawet związki zawodowe w Polsce w pewnym momencie uwierzyły Francisowi Fukuyamie, że w kwestiach pracowniczych nie mają już nic do zrobienia, i zajęły się polityką. W efekcie pracę w Polsce oddano do urządzenia tym, którzy się nią jeszcze interesowali. Pracodawcom.

Dziś – dwie dekady później – w narracji o gospodarce niewidzialna ręka rynku nie uchodzi już za panaceum, coraz częściej mówi się o niej wręcz jak o truciźnie z definicji Paracelsusa, która zabija nie swoją substancją, lecz dawką. Bezrobocie – które kilkanaście lat temu dotykało w niektórych miejscowościach co trzeciego mieszkańca w wieku produkcyjnym – również nie stanowi już problemu: wiele wskazuje na to, że do wakacji spadnie nawet poniżej 6 proc., czyli do poziomu nieodnotowanego nigdy w wolnorynkowej Polsce. Specjaliści od zatrudnienia podkreślają, że mamy nad Wisłą „rynek pracownika", co na płaszczyźnie gry podaży i popytu na pracę z pewnością ma sens, bo wraz ze spadkiem bezrobocia rosną też pensje, nie tylko grupki najlepiej wykwalifikowanych specjalistów.

Problem w tym, że oglądając pracę tylko z takiej perspektywy, możemy najwyżej oszacować jej cenę. A cena to przecież nie wartość.

Etat z blachy falistej

Dla większości pracodawców rzecz jest nadal bardzo prosta. Praca to jeden z elementów, które składają się im na koszty, a ostatecznie – na rentowność. A ponieważ w logice biznesu cięcie kosztów należy do cnót kardynalnych, wszystko, co nie sprzyja ich kontroli, jawi się jako balast. Za mało elastyczny jest więc Kodeks pracy. Poprawie rentowności szkodzi także Państwowa Inspekcja Pracy, która marnotrawi co roku ponad 300 mln zł z budżetu na utrzymywanie 16 okręgowych inspektoratów i ponad 2,5 tys. pracowników na etacie (dane na koniec 2016 r.). Poza tym państwo narzuca jeszcze pracodawcom pensję minimalną, przepisy BHP i bezwzględnie ściąga z nich składki na ubezpieczenie społeczne. Słowem – wywiera nieustanną presję kosztową na rynek pracy. ↦



↦ Warto na chwilę zatrzymać się nad tym ostatnim określeniem. „Rynek pracy" na tyle głęboko wgryzł się w tkankę polszczyzny, że nie budzi już refleksji nad własnym sensem, choć nikt o zdrowych zmysłach nie mówi przecież o „rynku wymiaru sprawiedliwości" czy „rynku praw człowieka". Praca, traktowana jako towar, podlega tymczasem tej samej rynkowej grze podaży i popytu, co inne produkty i usługi: tanieje, kiedy jest łatwo dostępna; drożeje, gdy rośnie na nią zapotrzebowanie.

Tak działa zglobalizowana gospodarka – tłumaczą pracodawcy. I mówią prawdę. Jeśli firma nie będzie reagować na zmiany cyklu koniunktury, prędzej czy później zbankrutuje, a wszyscy pracownicy i tak wylądują na bruku. Problem w tym, że w logice kontraktu pracownik przestaje być *de facto* częścią firmy, tak jak są nią jej akcjonariusze, zarząd, *know-how* czy nawet maszyny. Przedsiębiorstwo, zobowiązane do pracy na rzecz swych właścicieli, nie poczuwa się do żadnych powinności, a nawet uczciwości wobec pracowników, których pracę kupuje przecież tak jak prąd lub blachę falistą. Pensja minimalna? Jak to wpłynie na konkurencyjność cenową gospodarki uzależnionej od eksportu? Ograniczenie umów śmieciowych? To samo. Niedziele bez handlu? Dla utrzymania rentowności pracodawcy będą musieli zwolnić nawet 30 proc. personelu!

– Pracodawcy uważają się za właścicieli pewnej przestrzeni publicznej – mówił niedawno w Tok FM prof. Arkadiusz Sobczyk z UJ, znawca polskiego prawa pracy, komentując opór polskiego biznesu przed wprowadzeniem nowego Kodeksu pracy, przygotowywanego przez komisję kodyfikacyjną, w której zresztą zasiadał.

Najważniejszą zmianą zaproponowaną w tamtym projekcie, ostatecznie odrzuconym niedawno przez PiS, było wprowadzenie domniemania etatu: w przypadku wątpliwości, czy mamy do czynienia z typowym pracownikiem, czy np. z samozatrudnionym, sąd miałby je rozstrzygać na korzyść umowy etatowej. Zaciekły opór, na jaki natrafiła ta propozycja zarówno wśród pracodawców („nowy kodeks pozbawi polską gospodarkę elastyczności i konkurencyjności cenowej"), jak i pracowników („państwo znowu chce decydować za mnie"), zdaniem profesora może świadczyć o tym, że część polskiego społeczeństwa uwierzyła w istnienie prostego związku między wysokim poziomem rozwoju gospodarczego a elastycznością rynku pracy. Z tak ważną sprawą, jak praca i zasobność portfela, część Polaków woli nie eksperymentować i wybiera znane zło. W tym sensie pracodawcom i wspomagającym ich ekonomistom udał się majstersztyk: przekonali poszkodowanych, że ich strata jest tak naprawdę zyskiem.

Tymczasem – jak pokazują choćby dane Banku Światowego – większość zamożnych krajów Europy jakimś cudem godzi od dawna wysoką konkurencyjność z większą stabilnością zatrudnienia. Udział umów tzw. śmieciowych i na czas określony w ogólnej liczbie zatrudnionych jeszcze w 2015 r. sięgał w Polsce aż 28 proc., co dało nam niechlubne pierwsze miejsce wśród wszystkich państw Unii Europejskiej. W Niemczech ten sam odsetek wyniósł tymczasem 13 proc. Ale przecież porównywanie kraju na dorobku z jedną z pięciu największych gospodarek globu nie ma większego sensu. To może Węgry? 11 proc. Czechy? 10 proc. Bułgaria – 4 proc. Rumunia – 2 proc.

Rynek lub wspólnota

Nie stać nas, za wcześnie, gospodarka padnie – ostrzegali przedsiębiorcy, gdy rok później, w 2016 r. PiS po raz pierwszy ograniczał im dostęp do tzw. umów śmieciowych. Nic takiego nie nastąpiło, co było zresztą do przewidzenia, bo udział pracy w kosztach polskich przedsiębiorstw bez względu na wielkość firmy oscyluje na poziomie ok. 20 proc. i wbrew słowom samych przedsiębiorców nie jest to najważniejsza pozycja na tej liście. Więcej kosztują choćby usługi zewnętrzne i zakup towarów. Szkopuł w tym, że w obliczu trudności przeciętna firma nie może zmniejszyć zamówień na surowce, nie wymienić zepsutej maszyny czy zrezygnować z firmy ochroniarskiej, bo takie oszczędności szybko odbiłyby się na jej wydajności – a stąd już krok do jeszcze większych kłopotów. Logika kontraktu podpowiada jednak, by szybko zaoszczędzić zwalnia-

jąc pracowników i obciążając pozostałych większą porcją obowiązków.

Polskie firmy śpią dziś na pieniądzach – i nie jest to tylko figura stylistyczna. Na koniec 2016 r. (dane za rok 2017 nie są jeszcze dostępne) łączna wartość depozytów zgromadzonych na rachunkach firmowych sięgnęła 275 mld zł. Głównie dlatego, że przedsiębiorcy długo wstrzymywali się z inwestycjami – z braku pewności, w którą stronę pchnie gospodarkę gabinet PiS. Od nowego roku – jak twierdzi NBP – inwestycje znów rosną, ale w starym stylu, czyli głównie w infrastrukturę i maszyny. Doskonalenie zawodowe pracowników wciąż uchodzi w przeciętnej firmie za coś, o co powinien zadbać sam pracownik, zgodnie z paradygmatem zarządzania, który podpowiada przeciętnemu prezesowi, że sięgnięcie po lokaty bankowe w takiej sytuacji jest grubym błędem w sztuce. Zgodnie z logiką kontraktu kapitał firmy jest przecież jej integralnym składnikiem, w przeciwieństwie do pracowników. Gdy przyjdzie dekoniunktura, ten sam tok rozumowania nakaże wielu firmom zacząć od zwolnień.

Z chrześcijańskim miłosierdziem nie ma to oczywiście nic wspólnego. Biegunowo dalekie jest nawet od bardziej wyrozumiałej dla biznesu społecznej nauki Kościoła, która próbuje znaleźć trzecią drogą między ekstremizmem komunizmu i radykalizmem neoliberalizmu. Kościół nie ma wątpliwości, że praca jest jedną z płaszczyzn, poprzez które wyraża się godność człowieka, zatem sugerowanie pracownikowi, by sprzedał swoją pracę, sprowadza się do kupczenia jego godnością. Optymalną formułą współpracy pracodawców i pracobiorców jest według społecznej nauki Kościoła uznanie firmy za wspólną przestrzeń, do której pracodawca wnosi kapitał i *know-how*, a pracownicy własny czas i umiejętności. Efekty pracy dzieli się następnie sprawiedliwie, czyli proporcjonalnie do zasług, i po równo, czyli po tyle samo każdemu, kto włożył w powstanie efektu finalnego równie dużo czasu, wysiłku i umiejętności.

Tyle teoria, którą przyjmie każdy papier. W praktyce trzeba ją potem zderzyć z firmami, które zamiast bawić się w społeczne eksperymenty z solidaryzmem, brutalnie walczą o zyski i udział w rynku. Pracownicy też chętnie mówią o równości, kiedy zapewnia im ona równanie w górę, a nie w dół. Części podwładnych nawet symboliczna wspólnota z pracodawcami trąci wręcz sekciarstwem, w najlepszym razie – skojarzeniami z „komuną", słowem, które tylko umysłom pokroju ks. Józefa Tischnera przypomina brzmieniem o swym pokrewieństwie z łacińskim przymiotnikiem *communis*, czyli „wspólny".

„Rynek pracy" na tyle głęboko wgryzł się w tkankę polszczyzny, że nie budzi już refleksji nad własnym sensem, choć nikt o zdrowych zmysłach nie mówi przecież o „rynku wymiaru sprawiedliwości" czy „rynku praw człowieka".

Last but not least, katolicyzm, zwłaszcza w polskim wydaniu, nie narzuca się wiernym z etosem pracowitości i solidności, które tak ważne są dla protestantyzmu. Ksiądz na niedzielnym kazaniu raczej nie powie, że spóźnianie się do roboty lub odwalanie jej po łebkach w zasadzie można podciągnąć pod siódme przykazanie, nie wspominając o ostatnim z grzechów głównych. W rezultacie pracodawcy czują, że poszukiwanie ideologicznego kośćca dla swego biznesu w społecznej nauce Kościoła katolickiego nie przysporzy im sojuszników nawet wewnątrz firmy, co tylko utwierdza ich w przekonaniu, iż w pracy nie ma miejsca na religijne sentymenty. Badania wpływu kultury pracy na wydajność również nie traktują katolickiej nauki społecznej jako poważnej alternatywy dla wolnego rynku.

Półtora roku temu właściciel pewnej dużej firmy produkującej materiały do wykończenia wnętrz opowiadał mi w kuluarach konferencji o etyce biznesu, że eksperymentalnie spróbował w jednej fabryce poluzować regulamin, licząc na odpowiedzialność pracowników. Sztywny czas pracy od 8 do 16.30 zamienił na system, w którym personel poszczególnych działów sam decydował, w jakich godzinach zmieści swoją zmianę. Głównym wyzwaniem było takie skoordynowanie czasu pracy poszczególnych departamentów, żeby fabryka nie stanęła. „Po dwóch dniach wróciliśmy do starego modelu, bo pracownicy nie potrafili się ze sobą dogadać" – wzdychał przedsiębiorca.

Teraz, wraz z poprawą sytuacji na rynku pracy, pracownicy coraz częściej nie chcą ustąpić także pracodawcom.

Bunt czeladników

Warto być pracowitym – pod tym komunałem nadal podpisuje się większość Polaków, dając w ten sposób wyraz jeśli nie osobistemu przekonaniu o wysokiej wartości pracy w życiu człowieka, to przynajmniej poczuciu, że pracowitości jakoś nie wypada negować wprost, ocierając się o podejrzany hedonizm. Ekonomiści również powtarzają, że jesteśmy „społeczeństwem na dorobku", i skwapliwie podpierają się w tych rozważaniach wynikami badań, w których pracowitość lokuje się wysoko wśród rzekomych polskich cnót narodowych. Drugim obowiązkowym komponentem takich rozważań jest zazwyczaj przypomnienie, że w rankingach czasu pracy Polacy wyprzedzają już nawet Koreańczyków, którzy swego czasu zasłynęli tym, że prawie mieszkali w biurach. We wszystkich tych zestawieniach i badaniach pomija się jednak niezwykle ważny element: pytanie o to, czy Polacy w ogóle lubią pracować.

Wiele wskazuje na to, że jest to przemilczenie popełniane z premedytacją. Jeśli bowiem wczytać się w badania opinii publicznej, okazuje się, że polską pracowitość napędzał przez lata strach głównie przed bezrobociem, a nie głęboki etos przedsiębiorczości ani specyficzny zawodowy perfekcjonizm. Jak pokazują badania CBOS, większość Polaków wciąż deklaruje przekonanie o dużym znaczeniu pracy w ich życiu, ale w porównaniu z rokiem 2006 wyraźnie wzrosła grupa respondentów przyznających, że traktuje ją czysto utylitarnie. Przybyło w tym czasie np. ankietowanych, zdaniem których „w pracę nie warto się zbytnio angażować, jeśli nie przynosi ona odpowiednich korzyści", oraz zwolenników tezy, że pracuje się tylko dla pieniędzy, zatem nikt nie chodziłby do pracy, gdyby nie musiał. Na drugim krańcu skali tego samego badania mamy zauważalny spadek odsetka Polaków uważających, że pracowitość to moralny obowiązek człowieka, bo sama praca nadaje życiu sens. Nawet czysto utylitarny sens pracy budzi coraz częściej wątpliwości, bo więcej badanych uważa, że ↦

↦ pracowitość wcale nie jest warunkiem koniecznym do osiągnięcia sukcesu.

To nie przypadek, że kryzys polskich uczuć dla pracy przypadł na czasy, kiedy jest o nią bardzo łatwo. Czar po prostu prysł. Pucybut nie tylko zrozumiał, że nigdy nie przeobrazi się w milionera. Dotarło do niego także to, że dał się wykorzystać. Najdobitniej wyrażają dziś tę postawę tzw. millenialsi, pokolenie cyfrowych tubylców, którzy muszą być stale *online*, podobno również wiecznie roztargnionych, niekompetentnych, roszczeniowych i niezdolnych do pogłębionej analizy. Jak każde uogólnienie, i to miesza prawdę z fałszem, nie ulega jednak wątpliwości, że generacja obecnych dwudziestolatków stała się doskonale zaimpregnowana na sztuczki motywacyjne, które działały na poprzedników. Ciężka praca w biurze dla kogoś, kto z czasem odwdzięczy się za nią zasłużonym awansem i adekwatną pensją, częściej bywa w tej grupie wiekowej przedmiotem drwin niż obiektem westchnień. Kariera? Raczej życie osobiste. Pieniądze? Tylko wtedy, jeśli stają się środkiem do realizacji innych celów, zamiast stanowić cel sam w sobie.

Może więc i są to niecierpliwi aroganci, którzy bez Wikipedii tracą punkt odniesienia. Tak się jednak składa, że na polskim rynku pracy to oni stali się pierwszym pokoleniem, które pracę nasyciło własnym systemem wartości, zamiast brać go w pakiecie od pracodawcy razem z kolejną umową na czas określony. Dla właścicieli firm ten bunt czeladników, którzy zamiast grzecznie terminować na wolnym rynku stawiają mu wymagania, może się wydawać katastrofą, lecz dla gospodarki paradoksalnie może okazać się zbawienny, bo może w końcu zmusi polskie firmy do wzbogacenia perspektywy operacyjnej rynek-kapitał-prawo także o nowe spojrzenie na rolę pracy.

Aż 89 proc. polskich firm nadal ma przychody poniżej 5 mln zł rocznie. Większość z tych, którym do kasy wpada powyżej 50 mln, powstała jeszcze w latach 90. Udział sektora usługowego w produkcie krajowym, miara dojrzałości gospodarki, przekracza 60 proc., lecz dominują w nim nadal branże, które nie wymagają wysokiego wkładu wiedzy i technologii. Zdaniem przedsiębiorców barierą w rozwoju jest zmienne prawo i brak kapitału.

Nie, nie ludzkiego. ©℗ MAREK RABIJ

My, zasoby ludzkie

RAFAŁ ŁĘTOCHA, BADACZ KATOLICKIEJ NAUKI SPOŁECZNEJ:

Chrześcijaństwo mówi nam wyraźnie: żyjemy tu nie po to, żeby się bogacić, tylko żeby żyć.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Jeździ Pan busem z Myślenic do Krakowa?

PROF. RAFAŁ ŁĘTOCHA, UJ: Zdarza się. Mieszkam w Myślenicach, dojeżdżam na Uniwersytet do Krakowa.

Kto jeździ tymi busami?

Zależy chyba, o której godzinie. Ale większość to z pewnością ludzie, podobnie jak ja, dojeżdżający do pracy.

Jechałem niedawno wieczornym busem z Warszawy do Kozienic. To miasteczko pod Radomiem.

Busy kursujące między dużymi a mniejszymi miastami to jeden z symboli klasizmu. W Warszawie pasażerów tych busów nazywa się często „słoikami".

Rozmawiałem z jedną z pasażerek. Od poniedziałku do soboty dojeżdża tym busem do pracy z Góry Kalwarii do Warszawy, do banku.

O której wstaje?

Mówi, że chwilę po piątej rano. Przed siódmą dojeżdża do pierwszej w Warszawie stacji metra, bo bus nie wjeżdża w godzinach szczytu do centrum. Przesiada się więc do metra i około ósmej jest już w pracy.

A o której wraca?

O dwudziestej.

Zakładając więc, że pracuje osiem godzin i wstaje trzy godziny przed rozpoczęciem pracy, żeby do niej zdążyć, do tego – załóżmy wersję optymistyczną – wraca z pracy dwie godziny, jej czas na „pracę" w ciągu dnia to 13 godzin. Publicyści ekonomiczni posługują się takim określeniem: „czasobieda".

Co ono oznacza?

Przede wszystkim to, że jeśli pana rozmówczyni ma rodzinę, to raczej nie spędza z nią zbyt wiele czasu. To niemal tak samo jak w XIX wieku, kiedy dzień pracy trwał nawet do 16 godzin. Dzień pracownika dzielił się na dwie części: w pierwszej pracował, a w drugiej – trzeba raczej powiedzieć „regenerował siły do pracy na drugi dzień", niż „odpoczywał". W takim systemie nie ma miejsca na dbanie o rodzinne więzi, o przyjacielskich nawet nie wspominając. A hobby, samorozwój i dbanie o zdrowie w ogóle nie wchodzą w grę.

W 2015 r. statystyczny Polak pracował 1963 godziny rocznie. Wyłączając święta i urlopy wychodzi trochę ponad 40 godzin tygodniowo. Czyli uczciwe osiem godzin w dni robocze.

Ale te wyliczenia nie biorą pod uwagę godzin dojazdu do pracy, pracy wykonywanej z domu itd.

Już bez przesady, może ta kobieta z Góry Kalwarii akurat chce pracować tam, gdzie pracuje, i dojeżdżać tym busem?

To argument podobny do racjonalnego niby pytania, które się pojawia, gdy ktoś namawia do bojkotu firm odzieżowych, wykorzystujących niewolniczą pracę dzieci w Azji. Brzmi ono mniej więcej tak: „No dobrze, może i te dzieci są niewolniczo wykorzystywane do pracy, ale przecież jednak mają pracę! Zarabiają tego dolara dziennie, więc w czym problem?".

To chyba jednak różnica.

Niewielka. Bo czy ta pani z Góry Kalwarii ma możliwości pracy w swoim mieście? Czy rzeczywiście może wybrać między wstawaniem o piątej rano a wstawaniem trochę później, żeby spokojnie dbać o rodzinę, czy jednak jej wybór jest ograniczony? W XIX wieku we Francji przedsiębiorcy przekonywali, że wielu pracowników chce pracować po 16 godzin i dodatkowo część wynagro-



ARCHIWUM PRYWATNE

RAFAŁ ŁĘTOCHA (ur. 1973) jest politologiem i religioznawcą, zajmuje się przede wszystkim katolicką nauką społeczną. Kierownik Zakładu Historii Chrześcijaństwa w Instytucie Religioznawstwa UJ. Profesor w Instytucie Politologii PWSZ w Oświęcimiu. Autor m.in. „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego".

dzenia dostawać w naturze, czyli w wyprodukowanych przez siebie dobrach. Problem polegał na tym, że wybór mieli prosty: albo pracować tyle, ile sobie pracodawca życzy, i dostawać pensję taką, jaką sobie pracodawca życzy – albo głodować.

Z pracą w Polsce jest dziś chyba lepiej niż w XIX wieku we Francji.

To prawda. Jednym z ważniejszych osiągnięć jest m.in. to, że zgodziliśmy się na ośmiogodzinny dzień pracy i z pewnymi wyjątkami jest to egzekwowane. Czyli dzień składa się już jakby z trzech części. Człowiek ma szansę na osiem godzin pracy, później na odpoczynek i samorozwój, wreszcie na sen.

Po co człowiek pracuje?

Najprościej można odpowiedzieć, że po to, aby zapewnić byt sobie i rodzinie.

Czytam encykliki papieskie na temat pracy. W katolickiej nauce społecznej słowo „praca" niemal jednym tchem wypowiadane jest ze słowem „godność". „Praca uświęca" – pisał Jan Paweł II. Pius XI z kolei, że ważne jest, żeby „przywrócić pracy jej społeczne znaczenie".

Rzeczywiście, niemal wszystkie encykliki papieskie traktujące o pracy podkreślają kwestie społeczne i szukają w pracy sensu człowieczeństwa. Najprościej rzecz ujmując, „człowiek dzięki pracy bardziej staje się człowiekiem". Więcej nawet: w dokumentach papieskich mówi się, że praca jest czymś, co upodabnia człowieka do Boga i jest uczestnictwem w kreatywnym dziele Stwórcy.

Praca w call center uświęca?

I tu właśnie mamy zasadniczy problem, bo są takie zawody, które nie uświęcają, tylko raczej uwłaczają.

Bo?

Trudno, wykonując obowiązki pracownika call center, rozwijać się i samodoskonalić.

A to nie kolejny klasistowski stereotyp?

Mam nadzieję, że pan rozumie, iż mówiąc o „jałowości" pracy w call center, nie obrażamy pracowników, a zwłaszcza z nich nie szydzimy. Do hasła „prekariat", które parę lat temu cieszyło się popularnością, można mieć wiele zastrzeżeń, ale raczej nie to, że zwróciło ono uwagę, jak bardzo wielu współczesnych pracowników jest sfrustrowanych, przerażonych przyszłością, niepewnych i rozgniewanych.

A jakie ma Pan zastrzeżenia do hasła „prekariat"?

Trudno uchwycić, kogo tak naprawdę to słowo opisuje. Z jednej strony będą to właśnie pracownicy call center, ale z drugiej strony cała sfera budżetowa, a nawet tzw. białe kołnierzyki.

Ci ostatni raczej się nie awanturują ani nie strajkują.

Pracownicy korporacji, wykonujący niejednokrotnie jałową pracę, bardzo często mamieni są perspektywą awansu, ale również żyją w poczuciu podniesionych standardów.

A może rozumieją, że nic nie przychodzi za darmo i trzeba pracować, żeby coś osiągnąć?

Tylko że w pewnym momencie człowiek musi się zorientować, iż nie należy osiągać wszystkiego za wszelką cenę. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy powinni teraz „rzucić pracę i wyjechać w Bieszczady".

To do czego Pan namawia?

Przede wszystkim do tego, żebyśmy nie ulegali tak łatwo dyktaturze rynku pracodawcy, który staje się panem decydującym o wszystkim. Żebyśmy poddawali refleksji wszystko, co robimy. Rynek pracy się zmienia: kiedy Jan Paweł II pisał o „uświęcającej pracy", miał z pewnością na myśli własne doświadczenie – pracy, której sam doświadczył, także fizycznej. Dziś, kiedy mówimy o „klasie robotniczej", mamy raczej na myśli właśnie „białe kołnierzyki" – pracowników korporacji, którzy bardzo często nie wykonują pracy twórczej.

Bo może nie ma takiej pracy? Nie wszyscy musimy być twórczy.

Byłoby dużym nadużyciem tworzenie miejsc pracy tylko dla samej pracy. Z jednej więc strony możemy podjąć próbę odnajdywania sensu pracy, o czym pisali papieże, a z drugiej możemy kazać ludziom kopać doły, a później je zasypywać, i tak w kółko, w myśl zasady, że „żadna praca nie hańbi".

Czyli hańbi?

Problem wielu zawodów polega na tym, że nie rozwijają one twórczego pierwiastka, który jest w człowieku. W XIX wieku nie chodziło oczywiście o call center, ale na przykład o pracę w fabryce. „Praca taśmowa" przez swoją monotonię ma dehumanizujący charakter. Ciekawie ujął to Jan Paweł II w „*Laborem exercens*", czyli najważniejszej encyklice podejmującej temat pracy. Papież pisał o błędzie ekonomizmu i materializmu, z którym mamy do czynienia w różnych ustrojach gospodarczych, zarówno w kapitalizmie, jak i w innych, kolektywistycznych. Problem polega na tym – twierdził Jan Paweł II – że człowieka sprowadza się do poziomu środków wytwórczości. Pracownik w tym ujęciu to raczej nie człowiek, tylko „kwantum energii", które ma określoną cenę. Praca staje się towarem. Takim jak zboże czy inne produkty.

To się dziś ładnie nazywa „zasoby ludzkie".

Otóż to. Ludzie jako zasoby. Ale podobnie mamy z określeniem „przedsiębiorstwo" – ono nie jest zrzeszeniem osób, czyli wspólnotą, lecz zrzeszeniem kapitału, ↦

↦ czyli – bo ja wiem? – „współistnieniem produktów”. To ewidentne odczłowieczenie. W takim sensie praca ludzi traktowana jest jako koszty produkcji. Pan wie, co się robi z kosztami produkcji?

Tnie się.

Nie! Koszty produkcji w neoliberalnej narracji trzeba „minimalizować”. Jeśli więc nasza praca staje się kosztem produkcji, który to koszt trzeba „minimalizować”, to nie możemy się dziwić, że wszystko to pachnie niewolnictwem.

Niewolnictwo? Już widzę komentarze: „co za lewackie brednie”.

Wiem, że to brzmi bardzo ostro, ale naprawdę ideał, który mamy wobec realiów rynku pracy – także w katolickiej nauce społecznej – w praktyce wypada dość blado.

Papież Franciszek: „Kiedy bogactwo osiąga się na drodze wyzysku ludzi, to owi bogacze wyzyskują pracę ludzi, którzy stają się niewolnikami. Ale pomyślmy o dniu dzisiejszym, tutaj – na całym świecie jest tak samo. »Chcę pracować« – »Dobrze: sporządzają umowę. Od września do czerwca«. Bez możliwości przejścia na emeryturę, bez ubezpieczenia zdrowotnego... w czerwcu zawieszają kontrakt, a w lipcu i sierpniu masz jeść powietrze. Od września praca na nowo. Ci, którzy tak robią, to prawdziwi krwiopijcy, żyjący z upuszczania krwi ludzi, których czynią niewolnikami pracy”.

W Polsce widać to bardzo wyraźnie. Tak naprawdę za każdym razem, gdy mówi się o pracy, chodzi przede wszystkim o udogodnienia dla pracodawców. Żyjemy w przekonaniu, że to oni są najważniejsi, są „solą tej ziemi”, która wypracowuje dochód narodowy. Jednocześnie na pracowników najemnych – czyli większość z nas – patrzy się jak na ludzi nie do końca radzących sobie w życiu, którzy nie umieją na przykład założyć własnej działalności gospodarczej. Nie potrafią prowadzić własnego biznesu, więc nie są w pełni wartościowi. Najlepszym rozwiązaniem będzie więc dostrzeganie obu tych światów. Dbanie o przedsiębiorców jest ważne, ale nie możemy lekceważyć pracowników. To w gruncie rzeczy pracownik najemny jest głównym wytwórcą kapitału.

Według Jana Pawła II problem polega na tym, że człowieka sprowadza się do poziomu środków wytwórczości. Pracownik to nie człowiek, tylko „kwantum energii”. Praca staje się towarem.

Opowiem Panu anegdotę. Podobno jej autorem jest Heinrich Böll. Rybak wrócił z połowu, oddał złowione ryby na targ i położył się na brzegu, żeby odpocząć. Podchodzi do niego turysta i mówi: – Dlaczego nie jest pan na morzu? – Złowiłem już tyle, ile trzeba – odpowiada rybak. Na co turysta: – Jakby pan zaczął łowić więcej, to kupiłby pan jacht, zwiększył zyski, zatrudnił pomocników, otworzył przedsiębiorstwo i zdominował rynek. – Ale po co? – dziwi się rybak. – Gdyby pan to osiągnął, to już nic by pan nie musiał robić, tylko siedzieć tu i patrzeć w morze. – Ależ ja to właśnie robię! – odpowiada rybak.

Tak, znam, to anegdota o naszym podejściu do pracy i niepisanej umowie społecznej, która mówi wprost: wartościowy jesteś tylko wtedy, kiedy się bogacisz. Katolicka nauka społeczna, o której chciał pan rozmawiać, wyraźnie podkreśla, że godność w pracy jest rzeczą fundamentalną, ale przecież podstawowe zasady chrześcijańskie mówią nam wyraźnie: żyjemy tu nie po to, żeby się bogacić, tylko po to, żeby – przepraszam bardzo – żyć.

Jeszcze Zygmunt Bauman, który mówi: „nakaz brzmi następująco: musisz iść do pracy, nawet jeśli nie pojmujesz, co takiego może ci ona dać, czego byś już nie miał”.

To znowu mówi jasno: masz się bogacić za wszelką cenę. Więcej nawet – gdzieś podświadomie mamy wdrukowane przekonanie, które da się streścić w tym okrutnym zdaniu: „odpoczywał to ja będę w grobie”.

„Pracować jest rzeczą dobrą, a nie pracować rzeczą złą”.

Mam znajomego, który mówi, że pracuje, by na starość mieć przyzwoitą emeryturę i dorobić się, żeby już niczym się nie martwić. Zawsze trochę się denerwuje, gdy pytają go: „No stary, a co będzie, jak nie dożyjesz do emerytury?”.

To co, mam teraz wszystko roztrwonić? Może chociaż zapewnię byt swoim dzieciom, tak jak moi rodzice zapewnili komfort mnie.

A ma pan dzieci?

Nie mam.

No właśnie. Może właśnie dlatego, że dał pan sobie wmówić, iż „najpierw trzeba się dorobić”. Tymczasem czas ucieka. Nie chcę pana straszyć, ale wszystko, co robimy w życiu, ma swój czas. Jeśli więc chce pan „zapewnić byt swoim dzieciom”, to niech pan jednak nie zapomni mieć te dzieci. W tym sensie nie rozumiem, dlaczego katolicka nauka społeczna jest w Kościele tak niepopularna. Nie ma pan wrażenia, że to, o czym rozmawiamy, powinno iść w parze z ową „troską Kościoła o rodzinę”?

Powinno, a nie idzie?

Rzadko słychać kazania na temat praw pracowniczych, wyzysku, cichego niewolnictwa, umów śmieciowych, chwilówek, które biorą przecież ci, których widujemy co niedzielę w kościele. To są chyba jednak żywotne problemy polskich katolików: jak nie być wykorzystywanym w pracy, jak związać koniec z końcem i spłacić kredyt. Jeśli tę kwestię będziemy pomijać, to katolicy będą mieli prawo się czuć jednak osieroceni.

©℗ Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

REKLAMA

MANTA
Polska firma rodzinna

Telewizory z fabryki w Polsce
w specjalnych cenach na 20-lecie Manty

20 lat
Manta 1998–2018



Szukajcie Państwo
w najlepszych sklepach

PAWEŁ

Śpiewak: *Prorok Królestwa Izraela*



W IX wieku p.n.e. pojawił się w królestwie Izraela potężny prorok o imieniu Eliasz. Jego dzieje zostały spisane 300 lat później. Zapewne zachowały się w pieśniach i legendach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Po śmierci Mojżesza było kilku ważnych proroków, jak Samuel czy Natan. 60 lat przed Eliaszem pojawił się nieznany z imienia mąż Boży, który wystąpił przeciw królowi Jeroboamowi i ołtarzowi, który ten pobudował w Betel. Na nic zdały się opór i wrzask króla. Ręka mu uschła, kiedy tylko chciał owego męża zatrzymać, a ołtarz poświęcony Baalowi się rozpadł i zamienił w popiół. Był jeszcze Jehu, który prorokował przeciw królowi Baaszy. Zabił go jego hetman Zimri i sam zabrał tron królewski.

Biblijna opowieść o Eliaszu jest dość rozbudowana, a po jego śmierci, w czasach już nam bliższych, legendy o jego cudach krążyły przez stulecia. Nie było takiego mistrza mistyki, takiego wielkiego rabina wizjonera, który by z nim nie obcował. Eliasz wprowadzał w tajniki wiedzy ezoterycznej i tłumaczył co bardziej zawiłe fragmenty Tory oraz całej Tanach. A my do dzisiaj witamy go i czekamy jego przyjścia na Pesach w każdy wieczór sederowy. Szykujemy mu kielich wina. Czcimy jego obecność przy każdej uroczystości *brit mila* – obrzezania. Fotel proroka, choć pusty, jest w trakcie tej uroczystości złożonym mu hołdem. Eliasz żyje i opowieści o jego śmierci (np. ta podana przez wielkiego rabina Lurię z Safedu w XVIII w.) wydają się nam zdecydowanie przedwczesne czy wręcz niepotrzebne.

Eliasz słynął z gwałtowności i bezwzględności wobec wrogów (zabił 450 proroków Baala), był na tyle bezczelny, żeby od JHWH domagać się tego, czego akurat potrzebował. Osobiście stukał w bramy nieba i nie spoczął, póki nie dostał swojego. Był postacią duchową i cielesną. Tylko on z taką gorliwością, oddaniem, krzycząc całym sobą, modląc się, własnym ciałem ratował zmarłe dziecko i potrafił osobiście udać się w niebiosa. W Księgach Królewskich poznajemy jego bogate życie. Wspominają o nim Eklezjastes oraz prorok Malachiasz.

Jego obecność w Biblii jest tak wyrazista, tak mocna i intensywna, bo Eliasz swoim życiem ukazuje, jak Bóg z pomocą swoich sług i wysłanników wpływa na losy ludzi, królestw i tego, co bezradnie nazywamy historią. Bóg przez proroków manifestuje swoją obecność i wpisuje się w losy ludzi, w losy narodu wybranego. Spogląda na ziemię i ta poczyna drżeć, dotyka gór, a te okrywają się dymem. Nic, żadna siła nie przeważy JHWH. On jest stwórcą i energią tego świata. Prorocy nam o tym przypominają. Eliasza imię oznacza: „JHWH jest moim Bogiem". O tym imieniu należy zawsze pamiętać. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Też jestem człowiekiem*



W Cezarei mieszkał pewien człowiek imieniem Korneliusz, dowódca oddziału zwanego italskim – mówi autor Dziejów Apostolskich. On to z polecenia Bożego zaprosił Piotra do siebie. I „kiedy Piotr wchodził, Korneliusz wyszedł mu na spotkanie. Upadł mu do nóg i oddał pokłon. Piotr podniósł go, mówiąc: »Wstań! Ja też jestem człowiekiem«. Korneliusz wita Piotra zgodnie z zasadami świeckiego, ale i religijnego *savoir-vivre*'u, lecz apostoł wykorzystuje tę okazję do zaprezentowania innego, nowego podejścia do ludzi i Boga. Podnosi Korneliusza z ziemi, z klęczek, i stawia przed sobą twarzą w twarz. Po wiekach kamieniarz wykonujący kapitel kolumny dla bazyliki Świętej Marii Magdaleny w Vézelay w podobnej roli pokaże Jezusa. Z jednej strony głowicy kolumny umieści scenę obrazującą samobójstwo apostoła, a z drugiej Jezusa, który niesie na swoich barkach – niby zagubioną i śmiertelnie poranioną owcę – ciało Judy. Czy tylko ciało? Raczej całego ucznia Nauczyciel przenosi ze śmierci do życia, bo przecież nie do piekła. Inaczej być nie może, skoro Jezus mówi: „Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Wytrwajcie w miłości mojej! (...) Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich". Jezus uczynił nieskończenie więcej, oddał swoje życie również, jeśli nie przede wszystkim, za nieprzyjaciół, gdyż wszyscy jesteśmy grzesznikami. Piotr, podnosząc z ziemi Korneliusza, nie Żyda przecież i nie chrześcijanina, dobrze zapamiętał tę wypowiedź. O prawdziwości tych słów przekonał się osobiście na dziedzińcu pałacu arcykapłana Kajfasza.

„Błądzić jest rzeczą ludzką, trwać w błędzie – głupotą" – mówi Seneka Maior. Wszyscy więc błądzimy, również błądzi papież, co niejednemu nie chce pomieścić się w głowie. List ojca świętego Franciszka do biskupów w Chile w sprawie molestowania nieletnich przez duchownych: „Jeśli chodzi o moją własną odpowiedzialność, przyznaję, i chcę, abyście wiernie przekazywali to w ten sposób, że popełniłem poważne błędy w ocenie i postrzeganiu sytuacji, szczególnie z powodu braku prawdziwych i wyważonych informacji. Teraz proszę o przebaczenie wszystkich tych, których obraziłem, i mam nadzieję, że będę mógł to zrobić osobiście, w najbliższych tygodniach, na spotkaniach, które będę miał z przedstawicielami osób, które złożyły swoje świadectwa. W związku z tym pragnę podziękować różnym organizacjom i mediom za ich profesjonalizm w podejściu do tak delikatnej sprawy z poszanowaniem prawa obywateli do informacji i do dobrej reputacji zgłaszających".

Jak widać, Franciszek, następca Piotra, dobrze pamięta, że też jest człowiekiem słabym i grzesznym, i byłoby dobrze, gdyby o tym pamiętali również ci, którzy widzą w nim jedynie pozbawionego Bożego Ducha heretyka, który niszczy Kościół. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Radykalna opcja ewangelizacyjna

Sam słońcem muszę być
i wkoło promieniować,
by całą Bóstwa toń
bezbarwną wymalować.

ANIOŁ ŚLĄZAK



Kto osiągnął spełnienie,
ten widzi wielość
w Jednym. (...) Kto zna
siebie w ten sposób, zna
Boga – bo On jest samą
jego tożsamością
i rzeczywistością.

IBN AL' ARABI



Wybrał PIOTR SIKORA



W okresie wielkanocnym mszalną Liturgię Słowa stanowi – gdy chodzi o pierwsze czytanie – *Lectio continua* Dziejów Apostolskich. W ubiegłym tygodniu czytaliśmy m.in. ósmy rozdział tej nowotestamentowej księgi. Opisuje on moment, w którym Ewangelia opuszcza wreszcie Jerozolimę. Decyzja, by wyjść z Dobrą Nowiną poza Jerozolimę, przyszła dopiero z... prześladowaniem: kiedy zginął Szczepan i kiedy Szaweł zainicjował serię aresztowań, uczniowie „się rozproszyli" – nie po to wszakże, aby się schować i przeczekać, lecz po to, aby w drodze „głosić Słowo".

Pierwszym, który wynosi Ewangelię poza Jerozolimę, jest Filip – a więc nie jeden z Dwunastu, ale jeden z Siedmiu: diakon – człowiek, który ma w Kościele zlecone nie tyle przepowiadanie, co działalność charytatywną. To nie przypadek. Raczej reguła. Zawsze – w każdym czasie, ale już szczególnie w ewentualnych momentach prześladowania, zakwestionowania czy odrzucenia Kościoła – tym, co otwiera drogę Ewangelii, jest posługa miłości: czytelne i prawdziwe miłosierdzie. Dobro świadczone w sytuacji wrogości – wedle Pawłowej zasady „zło dobrem zwyciężaj" – to musi zastanawiać i otwierać.

Pierwsze kroki kieruje Filip do Samarii. To duże wyzwanie. Pamiętamy: „Żydzi nie utrzymują kontaktów z Samarytanami" (por. J 4, 9). Jeszcze większe przychodzi jednak potem. Anioł mówi do niego: „Wstań i idź około południa na drogę, która prowadzi z Jerozolimy do Gazy: jest ona pusta" (Dz 8, 26).

Byliście kiedyś w Ziemi Świętej? Południe to czas sjesty... Anioł każe mu podejmować pracę w porze, w której wszyscy odpoczywają? Czemu każe mu wychodzić na pustą drogę? Kogo i czego ma szukać na pustej drodze?

Filip usłuchał. Nie dyskutował. Nie tłumaczył Panu, że to bez sensu: po co siadać do konfesjonału, skoro od dawna nikt się nie spowiada i wiadomo, że nikt nie przyjdzie? Po co ogłaszać nabór do jakiejś wspólnoty, skoro – w najlepszym wypadku – zgłosi się jedna osoba? Po co z uporem przedstawiać nowe propozycje pastoralne, skoro i tak każdy woli pracować tak, jak „było zawsze"?

Filip nie dyskutował. Poszedł. I zaraz Pan dał mu (zadał mu) człowieka. Ostatniego, jakiego chciałby spotkać. Eunucha, Etiopa wracającego z Jerozolimy do domu.

„Podejdź i przyłącz się do tego wozu!" – usłyszał polecenie anioła Filip (Dz 8, 29).

„Przyłącz się" – dosłownie można by wręcz przetłumaczyć: „przyklej się" – do człowieka, który sam nie miałby prawa przyłączyć się do kogokolwiek. Prawo nie pozwalało eunuchowi wejść do zgromadzenia Ludu Bożego. W zgromadzeniu Pana wyglądałby jak wyschłe drzewo w samym środku zielonej winnicy. Jaki z niego pożytek dla Boga i dla ludzi?

Filip znowu nie dyskutował. A chwilę potem chrzcił tego człowieka. Oby to była historia o nas. O Kościele otwartym na ewangelizację – na Pańskich zasadach. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 – 13 V)

5. Niedziela Wielkanocna: Dz 9, 26-31; Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8;
Poniedziałek: Dz 14, 5-18; Ps 115; J 14, 21-26;
Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a;
Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8;
Czwartek, NMP Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a. 10; Jdt 13, 18-20; Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;
Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;
Sobota: Dz 16, 1-10; Ps 100; J 15, 18-21;
6. Niedziela Wielkanocna: Dz 10, 25-26. 34-35. 44-48; Ps 98; 1 J 4, 7-10; J 15, 9-17;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek, św. Stanisława: Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Dz 18, 9-18; Ps 47; J 16, 20-23a;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Niedziela Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mk 16, 15-20.

IMPOSYBILISTA

Rozpoczyna się najważniejsza rozgrywka w politycznym życiu Jarosława Kaczyńskiego – wojna o utrzymanie władzy. Jeśli przegra, to już nigdy nie będzie rządził.

ANDRZEJ STANKIEWICZ



Po przekroczeniu połowy kadencji PiS Jarosław Kaczyński zachowuje się tak, jakby zdawał sobie sprawę, że jego rewolucja nie do końca wypaliła. Państwo w wielu obszarach jak kulało, tak kuleje, mimo że PiS obsadziło je od dołu do góry swoimi ludźmi. Niespodziewanie okazało się, że to nie wystarczy do sanacji. Szybkie przejęcie sądów oraz symboliczne rozliczenie z PRL zablokował prezydent, co – i to dodatkowy hamulec dla rewolucyjnego zrywu – na trwałe wykopało rów między Andrzejem Dudą a Kaczyńskim. Nie udało się nawet na czas postawić pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego, o zamknięciu sprawy Smoleńska nie wspominając. W dodatku sam PiS nie okazał się wcale partią odporną na doczesne pokusy. Widowiskowym przykładem są liczone w setkach tysięcy premie dla ministrów, które wywołały pierwszy drastyczny spadek notowań partii władzy.

Choć przez dwa i pół roku Kaczyński rękami swoich ludzi znacząco zmienił Polskę wedle wyśnionego przepisu, to widać wyraźnie, że jest pod wieloma względami rozczarowany.

Jako krytyk imposybilizmu poprzednich ekip dziś sam padł ofiarą imposybilizmu swego i swych ludzi.

Trzeba się dzielić z Brukselą

Przede wszystkim nie udała mu się wojna z Brukselą i w kwestiach polityki europejskiej Kaczyński musi się dziś spektakularnie wycofywać rakiem. Od początku kadencji lider PiS i jego wyznawcy wylewali na Komisję Europejską kubły pomyj. Komisarze byli oskarżani o antypolskość, lewackość i sprzyjanie opozycji. Wszystko dlatego, że krytykowali działania Kaczyńskiego wobec Trybunału Konstytucyjnego i sądów, wszczynając procedurę kontroli praworządności w Polsce wedle art 7. traktatu o Unii Europejskiej.

Dziś PiS szybciutko przeprowadza przez Sejm ustawy, o których jeszcze pół roku temu nie chciał słyszeć – realizują one wytyczne Brukseli, choćby w sprawie wydrukowania zaległych orzeczeń TK z czasów prezesury Andrzeja Rzeplińskiego. A Kaczyński mówi na spotkaniach z wyborcami: „Ciężko pracujemy nad tym, żeby się wycofano z tego art. 7. Żeby nam przestano tym dziurę w brzuchu wiercić".

Ba, na tychże spotkaniach – na które przychodzi głównie elektorat PiS – oznajmił, że rząd nie wypowie konwencji Rady Europy przeciw przemocy wobec kobiet, przyjętej za czasów Platformy. W kręgach konserwatywnych dokument ten uważany jest za forpocztę ideologii *gender*. Nieoficjalnie wiadomo, że za rządów Beaty Szydło rozważano wypowiedzenie konwencji.

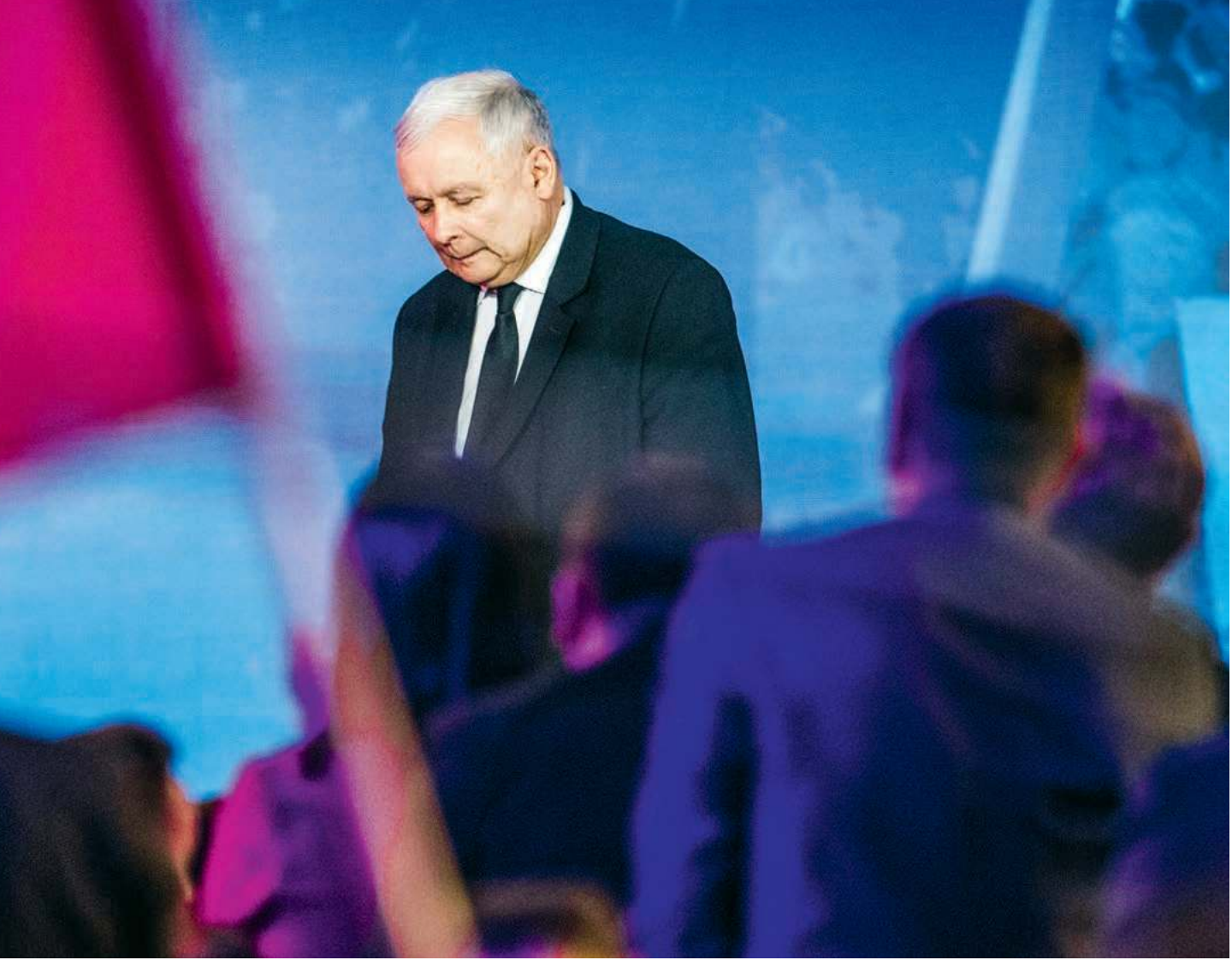
Teraz widać, że Kaczyński nie chce kolejnej wojny. Woli bagatelizować. „Wycofanie się z konwencji antyprzemocowej wywołałoby kolejny atak na Polskę – mówi. – A praktycznych skutków tej konwencji w Polsce nie ma, więc po co w gruncie rzeczy robić sobie kolejną awanturę?".

Fiasko Międzymorza

Ponad dwa lata rządów pokazały Kaczyńskiemu, że nie jest w stanie całkowicie odrzucić ograniczeń wymaganych przez członkostwo w UE i w innych organizacjach międzynarodowych. Okazało się, że nie może robić wszystkiego, na co ma ochotę.

Lider PiS już wie, że nie zbuduje antybrukselskiej koalicji w regionie. W ostatnim wywiadzie dla „Gazety Polskiej" przyznał niemal wprost, że marzenia o Międzymorzu – dużej koalicji państw Europy Środkowo-Wschodniej, która miała stanowić przeciwwagę dla Berlina i Paryża – nie ziściły się. To oznacza upadek jednego z największych projektów politycznych PiS w polityce zagranicznej.

A to ma wymierny skutek polityczny: nie mogąc zmienić zasad europejskiej gry, Kaczyński musi się im podporządkować. Z punktu widzenia jego myśli politycznej



ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Jarosław Kaczyński na kongresie PiS, Warszawa, 14 kwietnia 2018 r.

– nasyconej godnościowym eurosceptycyzmem – jest to lekcja dotkliwa. Tym bardziej że w istocie rzeczy wszystkie spory z Komisją Europejską dotyczyły jednego: zakresu władzy Kaczyńskiego nad Polską. Dziś, przymuszony, prezes musi się Polską z Brukselą podzielić.

Sędziowie stanęli okoniem

Nawet gdyby Kaczyński nie cofnął się pod presją Unii, to i tak bilans tzw. reformy sądownictwa w wersji PiS jest marny. A przecież zainicjowane wiosną minionego roku zmiany miały pójść gładko i dać szybkie efekty. Skończyło się na potężnych antyrządowych protestach ulicznych, po których przyszły sensacyjne weta prezydenta Dudy.

W finale udało się Kaczyńskiemu dogadać z prezydentem i wspólnie wprowadzić ustawy spokrewnione z rozwiązaniami lansowanymi wcześniej przez PiS. Czasem to pokrewieństwo bliskie – jak w przypadku przepisów o Krajowej Radzie Sądownictwa, która po wejściu w życie prezydenckich projektów i tak znalazła się pod kontrolą nominatów PiS. A czasem odległe – jak w przypadku przepisów dotyczących sędziów Sądu Najwyższego. Początkowo PiS chciało ich wszystkich po prostu wyrzucić, pod pretekstem reorganizacji SN. Takiemu rozwiązaniu lansowanemu przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę kibicował Kaczyński. Powoływał się nawet na Konstytucję, która w art. 180. mówi: „W razie zmiany ustroju sądów (...) wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku".

Zwyciężył wariant prezydencki – pozbywanie się sędziów będzie stopniowe, poprzez obniżenie wieku emerytalnego. Ale w ten sposób rewolucja zamieniła się w ewolucję – a wszak nie o to chodziło. No i to prezydent zarezerwował sobie pakiet kontrolny w sądach.

Z punktu widzenia Kaczyńskiego zmiany w sądach idą jak po grudzie. Środowisko sędziowskie, ostrzeliwane przez PiS i media mu sprzyjające, okazało się nad wyraz solidarne. Dość powiedzieć, że choć sędziów jest w Polsce ok. 10 tysięcy, to na 15 miejsc w KRS zgłosiło się tylko 18 kandydatów. Najczęściej mieli oni powiązania z politykami PiS lub byli sędziowskimi oryginałami, skonfliktowanymi ze swym środowiskiem, a może i z całym światem. W dodatku Ziobrze nie udało się wymienić większości prezesów i wiceprezesów w sądach terenowych, choć przyznał sobie takie prawo.

Dziś PiS przeprowadza kolejne, niezliczone nowelizacje ustaw sądowych, nie tylko w ramach ustępstw wobec Brukseli, ale także usuwając swe liczne niedociągnięcia i błędy. W tej sytuacji sądowy *Blitzkrieg* jest już niemożliwy, a i znaczących korzyści politycznych ze zmian w wymiarze sprawiedliwości nie widać.

Złamany bat na samorządy

Rejtan Andrzeja Dudy zaszkodził planom Kaczyńskiego wobec sądów, choć ich nie zastopował. Odmiennie było w innych ważnych dla PiS obszarach – weta do ustawy degradacyjnej oraz do ustawy ↦

↦ o Regionalnych Izbach Obrachunkowych były zabójcze.

Pierwsze, dotyczące Regionalnych Izb Obrachunkowych, pozbawiło PiS możliwości usuwania ze stanowisk samorządowców pod pretekstem „braku skuteczności" w wykonywaniu zadań publicznych. Biorąc pod uwagę, że w samorządach wciąż dominuje opozycja, byłoby to dla rządu narzędzie nieocenione.

Z kolei ustawa degradacyjna – wypracowana jeszcze za czasów Antoniego Macierewicza, a uchwalona przez parlament już po jego dymisji – umożliwiała pozbawienie stopni komunistycznych generałów z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która firmowała stan wojenny w 1981 r. To weto prezydenta było dla Kaczyńskiego szokiem porównywalnym z zablokowaniem ustaw sądowych. W dodatku Duda – w odróżnieniu od wet sądowych – tym razem nie zapowiedział, że wystąpi z własnym projektem. Efekt? Wszyscy czołowi politycy PiS przyznają, że takie symboliczne rozliczenie się z Jaruzelskim, Kiszczakiem, Siwickim i ich pomagierami jest już niemożliwe. Dla partii takiej jak PiS, ufundowanej na antykomunizmie – czasem tylko retorycznym, ale jednak – to porażka wyjątkowo dotkliwa.

Trzeba to powiedzieć wprost. Bez względu na oficjalnie okazywaną kurtuazję, bez względu na wciąż silną więź polityczną, bez względu na w dużej mierze podobne poglądy i wspólną nienawiść do Donalda Tuska oraz Platformy – między Kaczyńskim a Dudą powstał rów, który jest już nie do zasypania. Chodzi nie tylko o weta, one są jedynie ilustracją szerszego zjawiska, czyli emancypacji prezydenta. Jest dla Kaczyńskiego groźne, bo oznacza, że w legislacyjnym taśmociągu traci ważne, ostatnie ogniwo. W twardym jądrze PiS – wśród ludzi takich jak Macierewicz i sprzyjające mu media – niemal otwarcie zarzuca się Dudzie, że znalazł się pod wpływem wojskowych specsłużb, pogrobowców WSI. Stąd weto dla degradacji komunistycznych generałów, stąd w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego grupa wojskowych zakorzenionych w PRL, stąd wreszcie twarda obrona gen. Jarosława Kraszewskiego, głównego doradcy wojskowego prezydenta, którego Macierewicz chciał oskarżyć o szemrane kontakty z Rosją.

Ta spiskowa teoria nie ma większego znaczenia dla wyborczych szans Dudy. Ale buduje napięcie wokół niego w PiS, gdzie mit WSI jest żywy, mimo że od dekady ta formacja nie istnieje, a Macierewicz zdążył już pozostających w służbie agentów wielokrotnie zweryfikować wedle swoich kryteriów.

Przewodnim motywem kampanii wyborczej będzie pokazywanie PiS jako partii wszechmocnej, która jest w stanie przebudować państwo. Kaczyński wie, że cenzurka za skuteczność jest mocno na wyrost.

Finansowe eldorado dla ludzi PiS

Duda jest dowodem na to, że jeśli coś najbardziej Kaczyńskiego rozczarowało, to jego właśni ludzie. Czasem, jak w przypadku prezydenta, ich emancypacja i ambicje. Ale częściej ich chciwość – tu lista jest długa.

Kaczyński zawsze lubił podkreślać moralną wyższość własną i swego obozu. W jego politycznej myśli PiS nie jest zwyczajną partią, a głosowanie na PiS nie jest zwyczajnym wyborem. To wybór głęboko tożsamościowy, w którym PiS to sanacja, a jego przeciwnicy są targowicą.

Zderzenie takich mesjanistycznych ugrupowań z prozą – i pokusami – rządzenia zawsze kończy się tak samo: pochłanianiem państwa bez umiaru ze szczytnymi hasłami na ustach.

W PiS bardzo szybko puściły hamulce. Nominaci tej partii brali co popadnie, od stadnin przez ekspresowe awanse oficerskie w mundurówce, po atrakcyjne stanowiska w dyplomacji.

Brutalna wojna objęła zwłaszcza spółki skarbu państwa, wydzierane sobie wzajemnie przez różne partyjne, udzielne księstwa. Doszło do tego, że ledwie po roku ze względu na nieprawidłowości w spółkach dokonane przez ludzi PiS Kaczyński wyrzucił z rządu ówczesnego ministra skarbu Dawida Jackiewicza. Mówił mi wtedy: „W spółkach skarbu zdarzyło się wiele złego. Problemem były kompetencje i uczciwość".

Nadal jednak państwowe molochy to finansowe eldorado dla ludzi PiS, a karuzela po odejściu Jackiewicza nawet przyspieszyła. Miliony w spółkach zarobili lub zarabiają prominentni politycy PiS: Wojciech Jasiński, Andrzej Jaworski, Małgorzata Sadurska czy Maks Kraczkowski. Do rady nadzorczej nacjonalizowanego giganta bankowego Pekao SA poprzednia premier Beata Szydło wstawiła swą wieloletnią koleżankę, dyrektorkę szpitala powiatowego w Oświęcimiu. A doradcą prezesa został brat Zbigniewa Ziobry.

Dziś widać wyraźnie, że PiS nie ucywilizował zasad rekrutacji do spółek. Jedyny pomysł, jaki ma Kaczyński, to dymisje i przycinanie zarobków. „Człowiek jest z natury grzeszny, ale musimy starać się robić wszystko, by nic nam nie można było zarzucić. By zwyciężyć, by kontynuować nasze dzieło, by przebudowywać Polskę, musimy być partią czystych rąk. Nie będzie żadnej tolerancji, nie będzie żadnego zmiłowania dla tych, którzy te ręce będą sobie brudzić" – oświadczył na niedawnej konwencji PiS.

Partia bryka

To, że Kaczyński nie panuje nad swymi nominatami w spółkach, to nie wszystko. W kilku kwestiach prezes starł się w Sejmie z własnymi posłami. Okazało się bowiem, że nie wszyscy uznają dogmat o jego absolutnej nieomylności. Najwyraźniej było to widać przy okazji prawdziwej wewnątrzpisowskiej wojny o prawa zwierząt. Kaczyński – w odróżnieniu od sporej części przedstawicieli obozu konserwatywnego – jest czuły na punkcie traktowania zwierząt. Dlatego też domagał się wprowadzenia ograniczeń w polowaniach, choćby zakazu udziału dzieci. Patronował także wprowadzeniu całkowitego zakazu hodowli zwierząt futerkowych. „Chodzi o to, aby cierpienia zwierząt było mniej na świecie, a cierpienie zwierząt futerkowych to jedno z tych najgorszych, które mają miejsce" – mówił.

Szkopuł w tym, że spora część posłów PiS oraz prorządowych mediów, w tym Radio Maryja, ma na ten temat inne zdanie. W Sejmie zaczęły się więc dziwne kontredanse wokół obu projektów. Doszło nawet do tego, że posłowie PiS nie zgodzili się na zakaz udziału w polowaniach dzieci. Z kolei poprawka o zakazie używania żywych zwierząt do szkolenia psów myśliwskich popierana przez prezesa PiS przeszła tylko dlatego, że poparła ją opozycja. Kaczyński się wściekł i postawił na swoim: ustawa z zakazem dla dzieci

została uchwalona na początku marca. Ale nie było to odwołanie do autorytetu, tylko do pięści.

Konflikty Kaczyńskiego z własną armią nie dotyczyły tylko praw zwierząt. Prezes nie panuje nad własnym klubem także w znacznie poważniejszych kwestiach – choćby w sprawie aborcji. Kilka głosowań nad różnymi projektami ograniczającymi przerywanie ciąży pokazało, że Kaczyński nie jest właścicielem sumień swych ludzi, że wielu posłów nie ma ochoty traktować takich głosowań politycznie w zależności od aktualnych potrzeb prezesa.

Dziś Kaczyński w kwestii ograniczenia aborcji jest w kropce. Z jednej strony spora część partii popiera zaostrzenie przepisów, a z drugiej Kaczyński obawia się, że PiS zapłaci za to polityczną cenę. Unika więc tej kwestii, jak może.

Policzek od senatorów

Partia wręcz upokorzyła prezesa w innym głosowaniu, dotyczącym zgody na aresztowanie senatora PiS Stanisława Koguta. Ziobrowa prokuratura zarzuca mu milionową korupcję, a areszt dla Koguta miał uwiarygodnić podobne działania wobec polityków opozycji, takich jak sekretarz generalny PO Stanisław Gawłowski. Gdy jednak przyszło do głosowania nad zgodą na areszt, to wniosek prokuratury upadł. Okazało się, że senatorowie PiS za nic mają oczekiwania Kaczyńskiego, wtedy gdy prezes nie może ich rozliczyć – a głosowanie było tajne.

Wszystkie te wydarzenia skłoniły prezesa do tego, by ściągnąć swej partii cugle. Najpierw zapowiedział zmianę przepisów, by zlikwidować anonimowe głosowania w takich sytuacjach. Wtedy pierwszy raz pogroził buntownikom, że wyrzuci ich z list wyborczych.

Tyle że wkrótce znów musiał w ten sposób dyscyplinować partię. Gdy ogłosił zwrot ministerialnych nagród i 20-procentowe cięcia pensji parlamentarzystów, dodał też prewencyjnie: „Jeżeli ktoś by nie chciał głosować za tego rodzaju decyzjami, to traci szansę na dalszy udział w polityce. Będziemy egzekwować z całą stanowczością dyscyplinę".

Cięcia mają być politycznym antidotum na oburzenie wyborców za wypłacone ministrom nagrody. Ten pomysł – wzięli ministrowie, a ukarani będą posłowie – wywołał duże niezadowolenie w partii. Dla niektórych posłów to osobiste pożegnanie z bezkrytyczną akceptacją dla wszystkich pomysłów Kaczyńskiego. Najodważniejszy był Tadeusz Cymański. „To szaleństwo. Jestem wściekły, mi się to nie podoba i nie tylko mnie" – oznajmił.

Inni kryją się za anonimowością, bo wciąż boją się karzącej ręki prezesa. Jeden z ministrów mówi mi: – Przecież do tej pory Kaczyński chwalił działania rządu. Mnie też chwalił, to dlaczego mam oddać pieniądze? Gwiazda rządu Ela Rafalska też ma oddać nagrodę, mimo że przeprowadziła 500 plus? To szkodliwy populizm.

Widać wyraźnie, że armia – wciąż uznając prymat wodza – coraz częściej ma własne zdanie.

Propaganda wszechmocy

Przewodnim motywem ruszającej – długiej, bo dwuletniej – kampanii wyborczej będzie pokazywanie PiS jako partii wszechmocnej, która jest w stanie przebudować państwo, usuwając jego bolączki. W odróżnieniu od nicniechcącej i niczegoniemogącej Platformy.

Sam Kaczyński wie jednak, że partia wystawia sobie tę cenzurkę za skuteczność mocno na wyrost. W kluczowych obszarach PiS musiał skapitulować. Okazało się, że fundamenty, na których posadowione jest państwo i jego międzynarodowe zobowiązania, są trudne do wzruszenia. W dodatku burzyciele mają coraz częściej sami ze sobą problemy. W tej sytuacji lider PiS chce się skupić na utrzymaniu władzy – porozumieć z Brukselą, wyrzucić do kosza kontrowersyjne ustawy i ująć wyborców nową falą socjalnych wypłat.

Może rewolucję uda się dokończyć w kolejnej kadencji? A po niej jeszcze w kolejnej? Prezes powiedział mi kiedyś, że Mateusz Morawiecki jest defetystą, przepowiadając, że PiS będzie rządzić do 2031 r. Śmiał się przy tym radośnie.

Prawda jest jednak taka, że jeśli Kaczyński tym razem przegra, to już nigdy nie będzie rządził. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

REKLAMA



pah
Polska Akcja Humanitarna

Pomóż im razem z Polską Akcją Humanitarną!

WPŁAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
dopisek UKRAINA
Przekaż 1% podatku KRS 0000136833



PIOTR TOMASZEWSKI

Raszyn, 7 kwietnia 2018 r.

Baba niespodzianka

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Jezuita Grzegorz Knapski, zwany z łacińska Cnapiusem, w pelikana w ogóle nie wierzył. Pisał, że to „ptak zmyślony malarzów i niektórych pisarzów". Pelikana nazywał po swojemu bąkiem cudzoziemskim.

Pani Małgorzata, działaczka Koła Podmiejskich Gospodyń Wiejskich w Starej Wsi, od zawsze kochała ptaki. Wciągnęło ją głębiej, kiedy w jej ogrodzie wylądował dzięcioł zielony. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to właśnie on. Po prostu anonimowy ptak, tylko że uderzająco piękny. Zapamiętała, że był kolorowy jak papuga, miał czerwoną czapeczkę, zieloną marynarkę i szarą pierś. Chciała go nazwać, więc szukała, aż znalazła. W atlasie. Dzięcioł zielony, po łacinie, a jakże, *Picus viridis*. Amator mrówek o chichotliwym głosie. Satysfakcja z samodzielnego nazwania – czy, jak mówią ornitolodzy: oznaczenia – jest wielka, bo raptem okazuje się, że wcale nie trzeba „się znać". Skoro już raz się udało, czemu ta przyjemna emocja odkrywania nie miałaby się powtórzyć? Tak często wygląda ptasiarska inicjacja.

Tego dnia, a był to raczej pochmurny, wietrzny poranek na początku kwietnia, pani Małgorzata odprowadziła dzieci do gimbusa i razem z koleżanką poszła na Stawy w Raszynie. Planowały „małe ptaki", czyli kilkugodzinny spacer po okolicy, nie żaden całodzienny rajd po krzakach z termosem i kanapkami. Panie spacerują razem, we dwójkę jednak raźniej, przecież nigdy nie wiadomo, czy na takim odludziu nie siedzi w krzakach jakiś zboczeniec.

Stawy w Raszynie, zaledwie kilka kilometrów od granic Warszawy, to jedno z ulubionych miejsc stołecznych ptasiarzy, nic dziwnego, że obok zakochanych par i koneserów alkoholu w plenerze łatwo spotkać tu człowieka z lornetką. Tak było i tym razem, gdzieś na grobli panie minęły faceta ubranego w moro. Na plecach dźwigał lunetę, wyglądał profesjonalnie. „My miałyśmy raczej różowe kamizelki i żarówiaste buty, bo moim zdaniem ptakom te maskujące ubrania nie za dobrze się kojarzą" – twierdzi pani Małgorzata. Facet z lunetą odpowiedział na dzień dobry, ale nie podzielił się żadnymi sensacjami.

GOSPODYNIE NIE USZŁY DALEKO, kiedy ich uwagę przykuł dziwny ptak pod trzcinami. Duży, biały, ale na skrzydłach jakby przybrudzony. Zupełnie inny niż szare, młode łabędzie. Czapla? Może bocian? Nieeee, ten ptak był przysadzisty, nisko zawieszony. Odpoczywał i dopiero po dłuższej chwili podniósł głowę. Oczom obserwatorek ukazał się długi siny dziób i wisząca na żuchwie żółta, skórzasta torba. Komiczne oblicze pelikana. „Zaraz, zaraz, to już było" – pomyślała pani Małgorzata i przypomniała sobie, jak dokładnie 28 grudnia 2015 r. widziała takiego ptaka w basenie przeciwpożarowym przy autostradzie, gdzieś w drodze ze Szczecina. Samochody pędziły, nie było jak się zatrzymać, obraz pelikana z pobocza pozostał wyraźny tylko w jej pamięci. Najgorsze, że nikt pani Małgorzacie nie uwierzył. „Pelikan?! W Polsce?!" albo „i ty takie rzeczy jeszcze przed sylwestrem widziałaś?". Śmiechom nie było końca. Teraz sytuacja była inna, pani Małgorzata miała aparat i dużo czasu. Na jej zdjęciach widać wyraźnie wielki dziób i nawet różową łysinę koło oka, od której bierze się nazwa gatunkowa – pelikan różowy.

NAJBLIŻEJ MOŻNA GO SPOTKAĆ W DELCIE DUNAJU, ptak z Raszyna jest tutaj przypadkiem, po prostu sprzyjający wiatr zaniósł go dalej na północ, kiedy wracał w rodzinne strony z afrykańskich zimowisk. Wiosną zdarzają się takie cuda. Czy można zignorować pelikana różowego dwadzieścia minut od domu? Wsiadam w samochód, choć nie ma to wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. W mieszkaniu piętrzą się kartony po przeprowadzce, nazajutrz tygodniowy wyjazd, a o 14 ma przyjść gazownik. Na miejscu jestem przed południem, parę godzin po pani Małgorzacie. Są już inni obserwatorzy. Ptak siedzi w trzcinach i drzemie. Jest wyraźnie zmęczony, może osłabiony długą wędrówką. Przez lornetkę widzę tylko ten olbrzymi korpus, biel grzbietu i brązowe skrzydła. To młody ptak, dorosły byłby cały biały. Dziób pozostaje schowany pod skrzydłem. Tylko raz, na chwilę ptak podnosi głowę i wszyscy czekający w napięciu obserwatorzy wlepiają

spojrzenie w różową łysinkę. Pelikan zaliczony.

PELIKAN RÓŻOWY ALBO PELIKAN BABA, jak podają starsze klucze. Dlaczego baba? Językoznawca Janusz Strutyński, badacz etymologii ptasich nazw, twierdzi, że to zapożyczenie z ukraińskiego, gdzie babą nazywano po prostu pelikana. *Baba-babura, baba-ptica* – mówił też rosyjski lud. Olbrzym, o rozpiętości skrzydeł sięgającej niemal trzech metrów, musiał stać się bohaterem wielu legend. Arystoteles twierdził, że pelikany łowią małże, gotują w swoim przepastnym dziobie, potem wypluwają i wyjadają zawartość otwartych muszli.

W KRĘGU CHRZEŚCIJAŃSKIM powtarzano, że pelikan karmi młode krwią z własnej piersi, że ma zdolność wskrzeszania z martwych. Może dlatego wiązano go z eucharystią i pasją Chrystusa. Wszystko to sprawiało, że pelikan wydawał się ludziom racjonalnym trochę nierealny. W 1621 r. leksykograf, jezuita Grzegorz Knapski, zwany z łacińska Cnapiusem, w pelikana w ogóle nie wierzył. Pisał, że to „ptak zmyślony malarzów i niektórych pisarzów". Pelikana nazywał po swojemu bąkiem cudzoziemskim.

Baba siedzi na stawach już prawie dwa tygodnie. Obchodzę cały staw, ale wygląda na to, że pelikana najlepiej podziwiać z miejsca, z którego grupa feldmarszałka Schaurotha ostrzeliwała polskie pozycje w bitwie pod Raszynem. Nie słyszałem wcześniej o Schaurocie, przebieg bitwy nigdy mnie przesadnie nie interesował, po prostu to doniosłe wydarzenie upamiętnia niski marmurowy słupek. Dzień jest wietrzny, drobny deszczyk osiada na lornetce i aparacie. Pelikan siedzi ukryty w niewielkiej zatoczce i zajmuje się swoimi sprawami. Za jego plecami biegnie dawna wylotówka na Kraków. Widzę w lornetce żerującego ptaka, pas trzcin i plandeki przejeżdżających tirów. Spedpolex. Napisy zlewają się w jeden. Już drugą godzinę obserwuję, jak raz po raz zanurza dziób w wodzie, unosi go i połyka zawartość. Czasem widać, jak w skórzanym worku pelikana miotają się ryby. Jest powolny, flegmatyczny, cóż, życie olbrzyma toczy się w innym tempie. ©

Azyl brata Antoniego

JACEK GĄDEK

Jest miejsce, gdzie były szef MON czuje się jak u siebie. To „amerykańska Częstochowa" w Pensylwanii.

Antoni Macierewicz już w pierwszych słowach trącił mesjanistyczną strunę. Zwierzył się, że gdy Jarosław Kaczyński powierzył mu wyjaśnianie katastrofy smoleńskiej, pomyślał: „może rzeczywiście jest tak, że tak mnie Pan Bóg prowadził w moim życiu", by mógł teraz „spojrzeć za tę ciemną kurtynę, która jest między nami a tym straszliwym wydarzeniem z 10 kwietnia 2010 r.".

Był listopad 2013 r. Zgromadzeni w Narodowym Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w stanie Pensylwania ludzie chłonęli jego słowa.

Po prawej miał kadr z animacji eksplodującego Tu-154M. Po lewej zdjęcie sugerujące, że Donald Tusk z Władimirem Putinem radują się śmiercią prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ze ściany patrzył na to z obrazu zafrasowany Jan Paweł II.

Przeor wyraża zgodę

Macierewicz był wówczas szefem zespołu parlamentarnego, który kreował kolejne wersje „zamachu". Latał do „amerykańskiej Częstochowy", gdzie coraz lepiej poznawał swoich ekspertów, przyszłych członków podkomisji smoleńskiej. Towarzyszyli mu dr Kazimierz Nowaczyk, prof. Wiesław Binienda, a także dr Wacław Berczyński, którego namaścił w 2016 r. na szefa ministerialnej podkomisji.

Polski polityk chwalił gościnność zakonników. Sympatia jest obopólna. Poprzedni przeor, o. Rafał Walczyk, w 2015 r. wymieniał Macierewicza wśród „wybitnych osobistości z Polski". W 8. rocznicę paulini witali „wspaniałego gościa".

Na koniec spotkania obraz wybuchającego tupolewa zastąpił portret ks. Jerzego Popiełuszki. Na tle błogosławionego wszyscy odśpiewali hymn. Do rodzinnego zdjęcia stanęli uśmiechnięci paulini – ramię w ramię z rozpromienionym Macierewiczem i jego ekspertami.

Z relacji Komitetu Smoleńsko-Katyńskiego, który co rok organizuje w Doylestown obchody obu rocznic: „Po bardzo udanym spotkaniu ministra z Polonią odbyło się jeszcze jedno spotkanie w węższym gronie. Ówczesny przeor klasztoru zaprosił na nie ministra Macierewicza i prof. Nowaczyka (bliskiego współpracownika Macierewicza, dziś wiceszefa podkomisji). W spotkaniu tym brał także udział przedstawiciel Klubu »GP« z Filadelfii. Padła propozycja zorganizowania uroczystości z okazji rocznicy katastrofy smoleńskiej. Inicjatywa ta spodobała się wszystkim obecnym, a ojciec przeor wyraził na nią zgodę".

– Poznałem paulinów z Doylestown ponad 10 lat temu. Byli dość otwarci. Mam wrażenie, że w ostatnich kilku latach zdryfowali pod wpływem religii smoleńskiej – mówi „TP" Ryszard Schnepf, ambasador RP w Waszyngtonie w latach 2012-16, a wcześniej minister i doradca w pierwszych rządach PiS.

Obecny przeor Doylestown o. Krzysztof Drybka na pytania o upolitycznienie sanktuarium odpisał krótko: „Bardzo serdecznie dziękuję za tak wielkie zainteresowanie. Kościół ma drzwi otwarte dla wszystkich. Wielu ludzi chce naśladować Jezusa Chrystusa i wspólnie się modlić".

U stóp „Mściciela"

Nad „amerykańską Częstochową" czuwają z cokołów dwie postaci. Pierwszy ramiona rozpościera Jan Paweł II. „Otwórzcie szeroko drzwi Chrystusowi" – głosi cytat u jego stóp. Drugi patron to „Mściciel" – 10-metrowy zbrojny husarz ze strzelistym skrzydłem na plecach klęczy, wspierając się na mieczu, pośród 6 tysięcy cmentarnych mogił. U stóp ma dwie tablice: katyńską i smoleńską.

Doylestown leży 100 km od Nowego Jorku i jeszcze bliżej Filadelfii. Sanktuarium założył zmarły w 2003 r. paulin o. Michał Zembrzuski, zasłużony dla Kościoła, wybitny działacz polonijny. Przyjechał do USA w 1951 r. Budowa miała być dziełem jego życia – spełnieniem amerykańskiego snu o wielkiej świątyni dla ↦

↦ Polaków za Oceanem. I taką się stała: Doylestown z kopią obrazu z Jasnej Góry jest największym polskim kościołem w USA. Zakonnik kupił ok. 100 ha terenu otoczonego polami uprawnymi i drzewami, z domem i zabudowaniami gospodarczymi, na wzgórzu i uboczu miasteczka. Stodołę przemienił na kaplicę – przez 11 lat służyła za świątynię. Potem zaczął lać beton pod dzisiejszy gmach ze strzelistą dzwonnicą.

Na poświęcenie sanktuarium w 1966 r. komunistyczne władze nie pozwoliły lecieć kard. Stefanowi Wyszyńskiemu, więc Polonia zostawiła pusty fotel z kwiatami w narodowych barwach. Uroczystość uświetnił za to prezydent Lyndon Johnson – witało go 140 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia. W latach 1969 i 1976 Doylestowun odwiedzał Karol Wojtyła.

Budowę finansowano także z pożyczek (długi spłacono dopiero w 1980 r.) i z opłat za kwatery na cmentarzu. To „polskie Arlington", bo spoczywają na nim prochy weteranów I i II wojny światowej. Leżą tu znamienite postacie Polonii – od wojskowych po artystów. Rocznie przybywa tu około 300-400 tys. wiernych.

Ryszard Schnepf: – Zaraz po zakończeniu II wojny światowej Polonia wiele znaczyła. Była potrzebna w amerykańskiej polityce, bo była konserwatywna, a przede wszystkim antykomunistyczna. Uznawano ją za zdrowy trzon Ameryki. Doylestown to wspomnienie wielkości Polonii w USA.

Także dr Grzegorz Kostrzewa-Zorbas mówi, że znaczenie Doylestown jest coraz mniejsze. A co więcej: jeśli w sanktuarium hołubiony jest Macierewicz, a z honorami przyjmowana jest znana z głoszenia antysemickich teorii dr Ewa Kurek, to marginalizacja jeszcze postępuje.

– Wokół sanktuarium skupia się „stara Polonia", bardzo konserwatywna i sentymentalna – podkreśla. – Młodsze pokolenia i „nowa Polonia", jeśli chcą odbyć pielgrzymkę do Częstochowy, wolą jechać do tej w Polsce – dodaje. Zwłaszcza że „bardzo się wzbogaciła w ostatnich latach. Nieprzypadkowo na zdjęciach z debat na forach polonijnych dominują starsi ludzie.

Pielgrzymki „dobrej zmiany"

Pierwszym polskim premierem, który zawitał do sanktuarium, była Beata Szydło. Pierwszym prezydentem – Andrzej Duda, który przy tej okazji odsłonił pomnik żołnierzy wyklętych. Wybierał się tam Kazimierz Marcinkiewicz, ale ubiegła go własna dymisja. – Do wizyty miało dojść jesienią 2006 r., a zakonnicy byli na nią otwarci. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło. Dopiero pod koniec swojej misji ambasadora byłem w Doylestown razem z premier Szydło – wspomina Schnepf.

Za rządów PO polskie władze uznawały Doylestown za katolicko-narodową, pisowską enklawę, do której nie warto się zapuszczać, bo jeszcze ktoś ich nazwie zdrajcą albo obrzuci jajkami. Sanktuarium odwiedzali za to prezydent Ronald Reagan (1984) i wiceprezydent George H. Bush.

Andrzej Duda mówił zakonnikom, że to miejsce „jednoczy i zespala". Wręczył polską flagę. Pięć tysięcy zgromadzonych wylewnie mu dziękowało. Ani prezydent, ani premier Szydło nie mówili o wybuchach, ale o pamięci i wsparciu dla Polonii, z uśmiechem namawiali też do powrotów. Duda odznaczył przy tej okazji ówczesnego przeora o. Rafała Walczyka.

Były ambasador podkreśla, że gdy pełnił funkcję, nie doszło do państwowej wizyty prezydenta czy premiera w USA, ale przyjeżdżali oni przy okazji szczytów ONZ. – W 2013 i 2014 r. brałem udział w przygotowywaniu wizyt prezydenta Komorowskiego. Regularnie wprowadzałem Doylestown jako możliwy punkt wizyty, ale potem Kancelaria Prezydenta wybierała inne miejsca. Nacisk kładziono na kwestie wojskowe, stąd odwiedziny akademii West Point, lotniskowca USS „Theodore Roosevelt" w Norfolk albo ośrodka szkolenia wojsk specjalnych w Tampie.

Poprzednie, nie tylko platformerskie władze w Warszawie, jadąc do USA dbały zatem o tanki, ale nie o dusze Polonii spod znaku Doylestown. Obóz Platformy nawet nie podjął walki. – Gdy prezydent Komorowski był w Nowym Jorku, pod konsulatem protestowało pięć osób. Gdy był Duda, pikietowało z kolei 20 osób z KOD. Na pewno w Doylestown przyjęliby Komorowskiego z sympatią – ocenia Schnepf.

Po katastrofie smoleńskiej atmosfera się jednak zmieniła. Stan ducha Polonii bliskiej Doylestown obrazuje scena opisana przez „GP Codziennie": gościa kwietniowego Forum Polonijnego, bp. Stanisława Stefanka część publiczności zaatakowała zarzutami o współpracę z komunistyczną SB. Hierarcha od lat temu zaprzecza.

Na oddanym walkowerem przez niepisowskie opcje polityczne gruncie wykiełkowało i wzrosło smoleńskie ziarno. W 2013 r. po wspomnianym już spotkaniu z Macierewiczem klub „GP" stworzył Komitet Smoleńsko-Katyński. Wszedł do niego przeor, kilka osób z klubów „GP", przedstawiciele Kongresu Polonii Amerykańskiej i Koła Przyjaciół Radia Maryja. Zrodził się też pomysł organizowania Forum Polonijnego „Budujmy wspólny front patriotyczny" – w tym roku odbyła się już piąta edycja. Tak Doylestown sprzęgło się ze środowiskiem „GP" na kolejne lata.

Raport w darze

W piątą rocznicę katastrofy odsłonięto tablicę smoleńską u stóp „Mściciela", a potem głaz ze wspomnieniem ofiar. W 2015 r. stojący przy nim Macierewicz mówił o „zbrodni smoleńskiej". W celach Komitetu pojawiła się „realizacja polityki historycznej, którą zapowiedziała w swoim *exposé* w 2015 r. premier Beata Szydło". Ze składu komitetu organizacyjnego (ale nie honorowego) zniknął przedstawiciel sanktuarium, jednak sympatia pozostała.

Tadeusz Antoniak, szef Klubu „GP" w Filadelfii, mówi: – Przy poprzednich wizytach Macierewicza organizatorem był Komitet, ale zawsze zwracamy się z prośba do ojca przeora o pozwolenie na zorganizowanie spotkania.

Do Komitetu należy Maria Szonert-Binienda, zawieszona konsul honorowa w Akron, która rozpowszechniała na Facebooku grafikę Donalda Tuska w mundurze SS, a Radosława Sikorskiego na szubienicy – żona wiceszefa podkomisji smoleńskiej prof. Biniendy. Jest też reprezentant Reduty Dobrego Imienia, forsującej nowelizację ustawy o IPN, co wywołało kryzys w relacjach Polski z USA i Izraelem.

Sanktuarium korzysta na współpracy. Antoniak zapewnia: – Przy okazji głównych spotkań w ramach uroczystości smoleńsko-katyńskich prowadzimy rozliczenia finansowe, które obejmują: wynajem pokoi w Domu Pielgrzyma, wyżywienie oraz opłatę za salę konferencyjną i inne. Za wszystkie usługi płaci Komitet.

Jak sprawnie działa Komitet, opisuje Schnepf. Wspomina, że gdy był ambasadorem, bez jego wiedzy wpisano go raz do komitetu honorowego uroczystości w Doylestown. – Wyjaśniłem telefonicznie tę sprawę: ani mnie nie będzie na uroczystościach, ani nie zgadzam się na zasiadanie w komitecie honorowym, ani zapraszanie kontrowersyjnych postaci nie jest dobrym pomysłem. Później i tak dostałem od komitetu organizacyjnego list z podziękowaniem za udział. Uśmiałem się – mówi.





CHRIS GARDNER / AP / EAST NEWS

Schnepf podkreśla, że przeor „bardzo się tłumaczył z listy zaproszonych". – Mówił, że nie miał wpływu na dobór gości i że to jakiś błąd. Wedle byłego ambasadora początkowo wśród gości miał być nawet owiany złą sławą działacz polonijny i milioner Jan Kobylański z Urugwaju.

Dobór zapraszanych postaci się nie zmienił. Sanktuarium odwiedzali też inni eksperci Macierewicza: dr Bogdan Gajewski (był w podkomisji, ale później zrezygnował), dr Glenn Jorgensen i prof. Chris Cieszewski. Dla samego Macierewicza Doylestown jest jak azyl.

Tadeusz Antoniak: – Kryterium przy wyborze prelegentów Forum jest zawsze prawda i duch chrześcijański.

Paulini promowali przyjazd Macierewicza, jego ekspertów, dr Ewy Kurek, Tomasza Sakiewicza i innych prelegentów na swojej stronie internetowej. Obecny ambasador RP w USA prof. Piotr Wilczek nie miał takich obiekcji jak Schnepf i znalazł się na liście gości Forum.

Na 8. rocznicę katastrofy smoleńskiej Macierewicz przyleciał ze świtą z podkomisji. Przywiózł 56 stron „raportu technicznego" z tezą, że to eksplozje zniszczyły Tu-154M. Na ręce lokalnego kongresmana, Briana Fitzpatricka raport w wersji angielskojęzycznej złożył prof. Binienda. Misjonarze teorii wybuchów chcą, aby ten były funkcjonariusz FBI, a dziś polityk Republikanów szukał pomocy w rządzie USA w badaniu rzekomych eksplozji. Fitzpatrick obiecał, że się zajmie sprawą. Kiedy? Tego już nie precyzował.

Zostało Doylestown

Mesjańską rolę i profetyczne zdolności Macierewicza zweryfikował czas. Na stronach Komitetu Smoleńsko-Katyńskiego widnieje jego list z 2015 r.: „Dziś 40 proc. przyjmuje, że Smoleńsk to mógł być zamach, a agresja rządzących, ich kłamstwa w zestawieniu z umiędzynarodowieniem sprawy smoleńskiej zapewne rychło powiększy ten odsetek".

Dziś takie przekonanie żywi ok. 20 proc. badanych, a sam Macierewicz nie dość że wyleciał z rządu, to jest na marginesie partii. Mimo że okazał się fałszywym prorokiem, to w Doylestown jest przyjmowany z honorami. W radiu Głos z Amerykańskiej Częstochowy zakonnik nazywa go „domownikiem". Brat Antoni wciąż pozostaje bliski sanktuarium.

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl, stale współpracuje z „TP".

Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown, USA



M. LASYK / REPORTER

Na Rynku Głównym w Krakowie

Przekleństwo pięknego miasta

PIOTR KOZANECKI

Turyści tak zmieniają zakres usług, ceny w sklepach i rynek nieruchomości, że mieszkańcom coraz trudniej prowadzić zwykłe, codzienne życie.

W 2017 r. Kraków odwiedziło blisko 13 mln turystów. Imponujące ich liczby odnotowują także Tatry, Muzeum Auschwitz oraz królewskie pałace w Warszawie: Wilanów i Łazienki. Czy to nam zacznie sprawiać kiedyś kłopot?

– Jeśli zadamy sobie pytanie, czy Kraków czeka los Barcelony lub Wenecji, to odpowiedź nie będzie jednoznaczna – uważa dr Robert Pawlusiński z Instytutu Geografii i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Te przykłady nie najlepiej się mają do Polski, bo w obu tych miastach szczególnie uciążliwy jest ruch jednodniowy związany z uczestnikami rejsów wycieczkowych oraz osobami wypoczywającymi na Costa Brava i na adriatyckiej Riwierze. Tacy goście bardzo „zagęszczają" miasto, a zostawiają stosunkowo mało pieniędzy – dodaje Pawlusiński.

Co nie znaczy, że nie czekają nas pewne zagrożenia: – Największym jest to, że centrum miasta zamienia się pod wpływem nadmiaru przyjezdnych w park tematyczny – mówi dr hab. Paweł Kubicki, socjolog miast z UJ. – Ważna część miasta staje się wtedy makietą dla turystów, typową przestrzenią rozrywki.

A to ma swoje konsekwencje w postaci wyprowadzki mieszkańców, którzy nie wytrzymują hałasu imprez i podwyżek czynszów. W takim przypadku mamy już zagrożenie realnymi konsekwencjami dla całego miasta, o czym opowiada Paweł Cywiński, autor strony internetowej „Post-turysta": – W Barcelonie w ciągu kilku lat obniżył się poziom szkolnictwa wyższego, bo studentów przestało być stać na wynajem mieszkań w dzielnicy uniwersyteckiej. Została skolonizowana przez kwatery wynajmowane na Airbnb. Studenci zaczęli wybierać inne miasta – opisuje.

Przykład Barcelony pokazuje, że problem nie sprowadza się tylko do liczby przyjezdnych. Bo w liczbach długo jeszcze nie będziemy grali w tej samej lidze, co Francja, Włochy i Hiszpania. – Wprawdzie z punktu widzenia turysty z Azji Kraków leży w Europie Zachodniej i dla niego Praga, Kraków i Bolonia to z grubsza to samo miejsce, ale jednak w kategorii *must-see* razem z Paryżem czy Wenecją się nie znajduje – zaznacza Kubicki.

Kolonizacja Airbnb

Kłopoty mogą zacząć się wtedy, kiedy turyści tak zmienią strukturę miasta – zakres usług, ceny w sklepach i restauracjach, a przede wszystkim rynek nieruchomości – że mieszkańcom coraz trudniej będzie prowadzić codzienne życie. Tłum na ulicy będzie tutaj najmniejszym złem: – Jeśli na sto mieszkań trzy są wynajmowane w Airbnb, to wszystko jest w porządku. Jeśli 60, to mamy już duży problem. A 90? To już jest kolonizacja turystyczna – wskazuje Cywiński.

To właśnie serwis Airbnb, do spółki z Ryanairem, który coraz gorzej wpływa na życie mieszkańców popularnych turystycznych miast. W założeniu, analogicz-

nie jak działający na podobnej zasadzie Uber, Airbnb miało być serwisem, który umożliwi milionom ludzi na świecie dorobienie do pensji dzięki wynajmowaniu pokoi we własnym domu. Wystarczy otworzyć konto, zrobić kilka zdjęć, dodać zachęcający opis i zyskujemy dostęp do użytkowników z całego świata. A oni zyskują dostęp do nas, czyli mogą umówić się na nocleg w naszym mieszkaniu za odpowiednią kwotę.

W teorii brzmi to nieźle i wydaje się świetną okazją do uzupełniania comiesięcznego budżetu, być może nawet dopłacania do kredytu hipotecznego. W praktyce w ciągu kilku lat okazało się, że ludzie zaczęli kupować mieszkania specjalnie pod wynajem krótkoterminowy. Gdyby ten wykup prowadzili jeszcze tylko pojedynczy obywatele albo wynajem ograniczał się tylko do pokoju w mieszkaniu, które zajmują jednocześnie stali lokatorzy, skala nie byłaby może tak destrukcyjna. Ale świetny model biznesowy zwietrzyły także firmy, które mają możliwość wykupienia całej kamienicy albo kilkunastu mieszkań w nowo powstającym apartamentowcu. A to już mocno wpływa na podaż mieszkań i na wzrost ich cen. Mieszkańcy zaczynają tracić podwójnie: nie stać ich na zakup własnego lokum w atrakcyjnej lokalizacji, a zyski z noclegów trafiają do międzynarodowej firmy, nie zostają na lokalnym rynku. Miasto się rozrasta, a wtedy rosną koszty transportu i zanieczyszczenie powietrza.

Są już miasta, które postanowiły walczyć z tą bańką spekulacyjną: – Jednym z pierwszych był Amsterdam, który ograniczył liczbę dni w roku, podczas których można wynająć mieszkanie na Airbnb, do 60 – mówi Kubicki. Od 2019 r. limit ma zostać zmniejszony do 30 dni. – Takie działanie może skutecznie zahamować kupowanie mieszkań specjalnie pod ten krótkoterminowy wynajem – komentuje socjolog.

Za Amsterdamem idą kolejne miasta. Berlin wprowadził zakaz wynajmu krótkoterminowego całych mieszkań. Można wynajmować jedynie pokój w kwaterze, w której są stali lokatorzy. Paryż chciał, aby każda oferta na Airbnb była oficjalnie zarejestrowana w magistracie, za czym poszłoby płacenie odpowiednich podatków i być może spełnianie innych wymogów, do których muszą się dostosowywać właściciele pensjonatów i hoteli. Ponieważ właściciele zlekceważyli nowe prawo, Paryż zdecydował się na pozew sądowy przeciwko serwisowi. Pierwsza rozprawa 12 czerwca.

Albo lokalsi, albo przyroda

Drożejące mieszkania i drenowane z mieszkańców atrakcyjne centra to nie jedyny problem związany z działalnością platform wynajmu opierających się na ekonomii współdzielenia. – Kłopot stanowi też turystyka alkoholowa, wszyscy chcą to najbardziej ograniczać. Jeśli możesz wynająć całe mieszkanie, właściciela nigdy nie widzieć na oczy, bo mieszka on w innym kraju, a mieszkanie przychodzi po tobie posprzątać firma, to zachęca do przyjazdu ludzi, którzy są, delikatnie rzecz ujmując, uciążliwi – tłumaczy Kubicki.

Jednak czy miasta rzeczywiście powinny się zajmować ograniczaniem wolnego rynku? W końcu wszystkie powyższe rozwiązania z Berlina, Amsterdamu czy Paryża godzą w neoliberalne wyobrażenie wolności do dysponowania własnością. Zdaniem Pawła Cywińskiego regulacja rynku turystycznego jest jednak niezbędna dla jego zdrowego funkcjonowania: – Turystyka zrównoważona jest wtedy, gdy mamy kompromis pomiędzy biznesem, mieszkańcami a turystami. Nie da się go osiągnąć pozostawiając wszystko wolnemu rynkowi – przekonuje.

W coraz większej liczbie miejsc w Europie ten kompromis runął. Ale nie tylko Europa Zachodnia ma ten kłopot. Na czele firmowanego przez Mastercard rankingu najczęściej odwiedzanych miast świata jest Bangkok w Tajlandii. Dalekowschodnia Azja mierzy się jednak z innymi problemami. Turyści, którzy chcą zwiedzić Tajlandię, Laos czy Wietnam i jednocześnie pozostać *fair* wobec lokalnej społeczności, stają przed dylematem.

– Załóżmy, że jedziemy do Laosu i wybieramy nocleg pomiędzy dużym sieciowym hotelem a prywatnym małym hostelikiem. Jeżeli zależy nam na ekonomicznym wsparciu tamtejszych mieszkańców, to lepszym wyborem będzie mały obiekt. Prawdopodobieństwo, że nasze pieniądze zostaną na miejscu, a nie wyciekną na globalny rynek (w Tajlandii szacuje się, że ucieka nawet 70 proc. pieniędzy od turystów), jest większe. Ale jeżeli przyjmiemy perspektywę ekologiczną, to przewagę ma duży nowoczesny obiekt, zwłaszcza wybudowany po 2000 r. W takim miejscu są często stacje uzdatniania wody i przemyślana gospodarka odpadami. Z małego lokalnego pensjonatu nieoczyszczone ścieki spłyną najprawdopodobniej do najbliższej rzeczki – analizuje Cywiński. – Pomagając w jednej części możemy w drugiej zaszkodzić – podsumowuje.

Korporacje meblują wyobraźnię

Globalne trendy demograficzne i ekonomiczne są jednoznaczne: na świecie będzie podróżować coraz więcej ludzi. Chińska i indyjska klasa średnia rosną w gwałtownym tempie i nawet jeśli przyjmiemy, że jedynie 5 proc. mieszkańców obu tych krajów stać na podróż na inny kontynent, oznacza to prawie 150 mln osób. Część z nich trafi także do nas, choć, jak zapewniają moi rozmówcy, będzie to niewielki ułamek. W polskim kontekście na drugiej szali mamy natomiast starzejące się i kurczące się społeczeństwo, a to oznacza, że w perspektywie 20-30 lat może nam ubyć kilka milionów mieszkańców.

Jak to wpłynie na turystykę w Krakowie, Tatrach czy nad morzem? Ubytek zostanie zrekompensowany osiadłymi w Polsce imigrantami z Ukrainy i innych biedniejszych krajów? A może będzie nas mniej, ale będziemy za to bogatsi i dłużej zdrowsi, więc przeciętny Polak wykona w swoim życiu więcej podróży, niż to się dzieje obecnie? A jak nałożymy na to jeszcze nowe technologie? Może za 30 lat będziemy podróżować głównie w wirtualnych okularach?

– Podróżowanie będzie tanieć i powszechnieć. Będzie też coraz łatwiejsze nie tyle dzięki wirtualnej rzeczywistości, co bardziej rzeczywistości poszerzonej. Turysta założy zaawansowane technologicznie okulary i przeczyta informacje o zabytku, zamówi taksówkę, oceni hotel, znajdzie drogę – uważa autor „Post-turysty". I od razu wskazuje na nowe zagrożenia: – Turystyka to również pewien sposób patrzenia na świat. Istnieje coś takiego ↦

REKLAMA
ANTYKWARIAT KWADRYGA
KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY.
TEL. 22 622 11 54

↦ jak turystyczna wyobraźnia produkowana przez magazyny, blogi, przewodniki, programy. W świecie z wirtualną i poszerzoną rzeczywistością ta narracja zostanie zmonopolizowana przez wielkie korporacje. W tej chwili mamy wciąż tysiące źródeł, z których zdobywamy wiedzę. Proces monopolizacji już się jednak zaczął, co pokazują dostępne na całym świecie przewodniki Lonely Planet czy Rough Guide oraz serwis do oceny atrakcji turystycznych TripAdvisor. A gdy wejdą w to nowe technologie, to istnieje zagrożenie jeszcze większej monopolizacji wyobraźni, która za wszystko odpowiada: za oczekiwania, popyt, podaż, zachowanie, interpretowanie rzeczywistości, innych ludzi i kultur – prognozuje Cywiński.

Przy okazji prognoz wróćmy na chwilę do liczb. W Krakowie na Airbnb możemy wybierać spośród przeszło 5,5 tys. ofert. Mniej więcej tyle było w Amsterdamie w 2013 r. Dziś w tym mieście są już 22 tys. lokali i z obecną dynamiką Kraków, a za nim np. Warszawa i Gdańsk również mogą się spodziewać znaczącego wzrostu liczby mieszkań przeznaczonych na taki wynajem. Dobrze, gdyby samorządy zastanowiły się, czy nie warto wprowadzić odpowiednich regulacji wcześniej, zanim rynek nieruchomości stanie się dla mieszkańców jeszcze trudniejszy.

Tatrzańskie dzbanki miodu

Kontekst europejski jest więc taki, że ze względu na bogactwo wspaniałych miast stłoczonych na niewielkim obszarze oraz na coraz niższe koszty transportu, Airbnb trafiło na podatny grunt. I jeszcze bardziej podkręciło koniunkturę na tzw. *city breaks*, czyli krótki, parodniowy odpoczynek w innym mieście. – Warto zaznaczyć, że *city breaks* narodziły się dużo wcześniej, gdy jeszcze tradycyjni przewoźnicy lotniczy stworzyli pakiet pobytów weekendowych w miastach – opowiada Pawlusiński. Wypoczynek, który kiedyś był typowy dla pobytów poza miastem, teraz odbywa się także w mieście.

Jeden człowiek, który zboczy w Tatrach ze szlaku i spłoszy orła z jego lęgowiska, wyrządza przyrodzie znacznie więcej zła niż 10 tysięcy spacerujących asfaltem do Morskiego Oka.

Najczęściej odwiedzaną atrakcją w Polsce nie jest Wawel, Wieliczka czy Wilanów. Jest nią, zgodnie z raportem Polskiej Organizacji Turystycznej, Tatrzański Park Narodowy. W ostatnich latach odwiedza go ok. 3,5 mln ludzi rocznie. Zważywszy na jego niewielką powierzchnię, jest to ogromna liczba. Najchętniej odwiedzany park narodowy w Europie to brytyjski Lake District, który notuje ponad 10 mln wizyt w ciągu roku. Tyle że od TPN-u jest dziesięciokrotnie większy. Takiego współczynnika turysty na kilometr kwadratowy jak polskie Tatry nie osiąga także żaden park alpejski. Ale, jak przekonuje Szymon Ziobrowski, dyrektor TPN-u, kwestia jest bardziej problematyczna dla ludzi niż dla przyrody: – Dopóki turyści poruszają się po wyznaczonych szlakach, tak bardzo nie szkodzą. Jeden człowiek, który z tego szlaku zboczy i np. spłoszy orła z jego lęgowiska, wyrządza przyrodzie znacznie więcej zła niż 10 tys. spacerujących asfaltem do Morskiego Oka – uważa. – Ludzie w Dolinie Rybiego Potoku albo pod Giewontem stanowią raczej problem sami dla siebie – dodaje.

Zdaniem Ziobrowskiego limitowanie dzienne wejść do TPN-u to trudne zadanie, bo nie wiadomo, na jakiej podstawie można te limity ustalić. Sami naukowcy nie są też zgodni, czy ta forma ograniczania ruchu jest najlepsza. Na tak radykalny krok zdecydowali się zresztą do tej pory nieliczni. Najbardziej znany przykład to wierzchołek Teide na Teneryfie, czyli najwyższa góra Hiszpanii. Ostatnie 200 metrów na szczyt jest dostępne tylko dla tych, którzy z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem zarezerwowali sobie zezwolenie na stronie internetowej parku narodowego. Trzeba jednak przyznać, że Teide to jeden wybitny wulkaniczny wierzchołek, a Tatry to całe pasmo. I choćbyśmy nie wiem jak się krzywili na tłumy w Chochołowskiej na wiosennych krokusach, to z punktu widzenia środowiska nie jest to taka apokalipsa, na jaką wygląda.

– Stan Tatr możemy dość precyzyjnie ocenić mierząc liczebność populacji dzikich zwierząt. Jak na razie kozic czy świstaków mamy coraz więcej – przekonuje Ziobrowski. – Musimy jednak cały czas sprawę monitorować – dodaje.

– W ochronie przyrody można kierować się tzw. zasadą dzbanka miodu – uzupełnia dr Pawlusiński. – Oddajemy turystom pewne przestrzenie do dyspozycji, natomiast pozostałe obszary zdecydowanie chronimy. Morskie Oko, Giewont, Kasprowy czy doliny Tatr Zachodnich są takimi właśnie dzbankami – przekonuje.

A Ziobrowski podsumowuje: – Kiedy przyjeżdżają do nas delegacje z parków narodowych ze świata, są oczywiście pod wrażeniem popularności Tatr wśród Polaków, a na drodze do Morskiego są już w szoku. Ale z drugiej strony, kiedyś pewni Amerykanie powiedzieli nam: „Wow! Ci ludzie naprawdę idą! U nas to nie do pomyślenia!”. © PIOTR KOZANECKI

TP *Kluby „TP” zapraszają*

BERLIN – czwartek, 3 maja, godz. 19.00
Spotkanie „Między polityką polonijną a polityką integracyjną. Sytuacja najnowszych migrantów zarobkowych z Polski w Niemczech po 2011 roku”. Gościem będzie dr Kamila Schöll-

-Mazurek. Miejsce: klasztor oo. dominikanów (Oldenburger Str. 46).

BYDGOSZCZ – czwartek, 26 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „Etyka dziennikarska oraz edukacja”. Gościem będzie Jan Wróbel. Miejsce: Sala Pamięci Bydgoszczan Biblioteki UKW (ul. K. Szymanowskiego 3).

KRAKÓW – piątek, 27 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „Tischner czyta katechizm – Dialog”. Miejsce: Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14).

SŁUPSK – środa, 25 kwietnia, godz. 17.00
Spotkanie „Franciszek: Ojcze Nasz”. Miejsce: Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).

REKLAMA

ODNAWIALNA ENERGIA W POLSCE.

Wyzwanie technologiczne czy społeczne?

KONSTANCJA ZIÓŁKOWSKA

NIEMIECKA ENERGIEWENDE – odchodzenie od korzystania z paliw kopalnych na rzecz odnawialnych źródeł energii – jest bez wątpienia dla naszych zachodnich sąsiadów ogromnym wyzwaniem gospodarczym i technologicznym. Jednak dopiero uwzględnienie „ludzkiego" pierwiastka zachodzących przemian pozwala dotrzeć do istoty rozpoczętego procesu.

To właśnie obywatelski nacisk oddolny doprowadził w Niemczech do szerokiego politycznego konsensusu i decyzji o wejściu na drogę Energiewende. Społeczeństwo wspiera ten projekt i aktywnie w nim uczestniczy – energetyka obywatelska jest jego głównym napędem. O ile jednak zaplanowany cel – oparcie gospodarki na „czystej energii" – jest bez wątpienia atrakcyjny dla większości niemieckiego społeczeństwa, o tyle okres przejściowy wiąże się z koniecznością przeznaczania ogromnych środków na inwestycje w infrastrukturę czy rozwój technologiczny. Koszty tych dostosowań ponoszą głównie indywidualni podatnicy w postaci rosnących opłat za energię.

Wybrane grupy społeczne i regiony bardziej dotkliwie niż pozostałe doświadczają obciążeń związanych z restrukturyzacją zachodzącą w energetyce. Zamykanie dawnych kopalń i elektrowni węglowych, w szczególności w regionie Nadrenii Północnej – Westfalii, wiąże się ze znaczącą redukcją zatrudnienia w niegdyś dochodowych sektorach.

Czynników, również historycznych, które stoją za społecznym poparciem dla Energiewende, jest niewątpliwie wiele. Warto jednak w szczególności zwrócić uwagę na rolę konsekwentnego budowania pozytywnej autoidentyfikacji obywateli z ideą „czystej energii" oraz wysiłek na rzecz włączania różnych grup obywateli w proces przemian.

Dobrym przykładem takich działań jest kierunek, który obrała niewielka gmina Saerbeck. Bliska współpraca mieszkańców z burmistrzem doprowadziła do założenia spółdzielni energetycznej. Spółdzielcy, ze wsparciem gminy i lokalnych przedsiębiorstw, zainwestowali w instalacje fotowoltaiczne i elektrownie wiatrowe. Zyski z wytworzonej energii płyną do mieszkańców, a miejscowość zyskała tytuł „gminy klimatycznej" i z odnawialnych źródeł energii (OZE) uczyniła swoją wizytówkę przyciągającą licznych odwiedzających.

Wzrost cen energii uderza w szczególności w ubogie gospodarstwa domowe, dla których wydatki na ogrzewanie i elektryczność stanowią istotną część domowego budżetu. Wyzwanie polega nie tylko na tym, żeby redukować koszty energii ponoszone przez słabsze ekonomicznie gospodarstwa domowe, ale również na zapobieganiu sytuacji, w której określona grupa obywateli będzie się czuła jedynie przeszkodą na drodze do realizacji ogólnonarodowego projektu. Prowadzony na dużą skalę przez niemiecki Caritas program doradztwa energetycznego Stromspar-Check jest interesującą próbą odpowiedzi na ten problem, gdyż przyczynia się do włączania w Energiewende osób wykluczonych społecznie. Z jednej strony jako doradcy zatrudniane są osoby wychodzące z bezrobocia, z drugiej zaś program skierowany jest do osób ubogich, którym oferuje się nie tylko porady, ale również realne wsparcie, m.in. w formie dofinansowania do wymiany starych, energochłonnych lodówek.

Czy opisane wyżej niemieckie doświadczenia mogą być punktem odniesienia dla sytuacji w naszym kraju? O ile budowanie daleko idących analogii pomiędzy Polską a Niemcami, jeśli chodzi o gospodarcze czy geopolityczne aspekty przejścia na odnawialne źródła energii, nie miałoby szczególnego sensu, tak w kwestii budowania świadomości społecznej możemy się od naszych zachodnich sąsiadów wiele nauczyć.

Jednocześnie warto wskazać na specyficznie polskie zasoby, które warto wykorzystać w dążeniu do społecznej przemiany. Istotną siłą wiążącą społeczeństwo z ideą zielonej energetyki mógłby stać się w Polsce Kościół katolicki. W encyklice *„Laudato si'"* papież Franciszek przypomniał, że dbałość o naszą planetę powinna być bliska każdemu, kto chce żyć zgodnie z Ewangelią.

Ludzie Kościoła w Polsce, zarówno świeccy, jak i hierarchowie, powinni więc słowem i przykładem przypominać, że wybór pomiędzy samochodem a komunikacją publiczną, pomiędzy lotem na drugi koniec świata a lokalnymi wakacjami, czy w końcu pomiędzy paleniem „byle czym" w starym piecu a zmianą ogrzewania na bardziej ekologiczne, to wszystko wybory moralne. Jednocześnie nauczanie to powinno wzywać do chrześcijańskiej solidarności na poziomie całej wspólnoty. Jeśli mamy ograniczać palenie w piecach węglem, to zadbajmy o to, by osoby gorzej sytuowane nie wpadły w ubóstwo ze względu na wyższe koszty ekologicznego ogrzewania. Jeśli chcemy dążyć do ograniczenia górnictwa, to tylko pod warunkiem, że tracący pracę górnicy nie będą pozostawieni sami sobie.

Od samego przekonywania Polaków, że warto przestawić się na odnawialną energię, nie przybędzie ani rozwiązań technicznych, ani odpowiedzi na dylematy związane z bezpieczeństwem energetycznym czy wysokimi kosztami ekonomicznymi tego procesu. Przykład niemiecki pokazuje nam jednak, że uznanie przez społeczeństwo przejścia na energię odnawialną za wartościowy cel jest koniecznym warunkiem powstania woli politycznej, która pozwala krok po kroku wypracowywać odpowiednie rozwiązania i konsekwentnie, chociaż czasem bardzo powoli, wdrażać koncepcję zielonej energii w życie.

Artykuł powstał dzięki wsparciu Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie, w ramach podróży studyjnej do Nadrenii Północnej – Westfalii w październiku 2017 r. pt. „Modernizacja energetyczna i przemiany strukturalne".
Więcej na: **www.pl.boell.org**

Wiosną 2018 r. ukaże się publikacja podsumowująca projekt, będąca refleksją nad obecną debatą społeczną w Polsce na temat kompleksowego podejścia do zrównoważonej polityki energetycznej i próbą zastanowienia się, jak wzbogacić tę dyskusję o kontekst społeczno-kulturowy oraz wartości i etyczne uzasadnienie.

Zawarte w tekście poglądy i konkluzje wyrażają opinie autorki i nie muszą odzwierciedlać oficjalnego stanowiska Fundacji im. Heinricha Bölla.

HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA

Halny uderza jakby siekierą



APOLONIUSZ RAJWA, PRZEWODNIK TATRZAŃSKI, BYŁY METEOROLOG NA KASPROWYM WIERCHU:

Na Krupówkach pojawiała się tzw. Biała Pani. Ubierała się w białą suknię, wychodziła w niej i obchodziła latarnie. Wtedy ludzie mówili: o, będzie wiało.

BARTEK DOBROCH: Pamiętasz tamten dzień, 50 lat temu na dyżurze meteorologicznym na Kasprowym Wierchu?

APOLONIUSZ RAJWA: Trwał wówczas remont, wiosenny przegląd urządzeń kolejki. 6 maja z rana halny już zaczynał wprawdzie wiać, ale to były jeszcze delikatne podmuchy. Było za to tak ciepło, że od Myślenickich Turni rozebrałem się i podchodziłem do obserwatorium w samych kąpielówkach. Koło dziewiątej, jak doszedłem do góry, wiało już w porywach do 30 m/s i wiatr stopniowo się wzmagał.

Zmierzyłeś wtedy najsilniejszy halny w historii pomiarów.

Dziesięć minut przed godziną obserwacji wyszedłem na taras, przywiązałem się liną do kaloryfera i trzymałem poręczy. Najsilniejszy poryw osiągnął 80 m/s, czyli 288 km/h. Pomiędzy obserwacjami mogło wiać jednak silniej, nawet do 300 km/h.

Najsilniejszy podmuch w Polsce zarejestrowano na Śnieżce w 1990 r. i było to 345 km/h.

Natomiast Kalamita, wiatr, który 19 listopada 2004 r., wygolił las na długości 40 km i szerokości 4-5 km po słowackiej stronie Tatr, był według pomiarów słabszy. Ale był to wiatr typu bora, przechodził z północy na południe przez Tatry i spadając uderzał najmocniej dopiero poniżej górnej granicy lasu, łamiąc go na wysokościach pomiędzy 1200 do 800 metrów. Z kolei wiatr, który w Boże Narodzenie 2013 r. poczynił w Tatrach Zachodnich duże spustoszenia, był typowym wiatrem halnym typu spadającego, bez takich nagłych podmuchów. Dlatego wywracał drzewa razem z korzeniami. A jak przychodzi taki wiatr jak ten „mój", to uderza jakby siekierą, łamie drzewa jak zapałki. Na Kalatówkach to były nawet drzewa o średnicy ponad 50 cm.

Podobno przelatywały też kamienie.

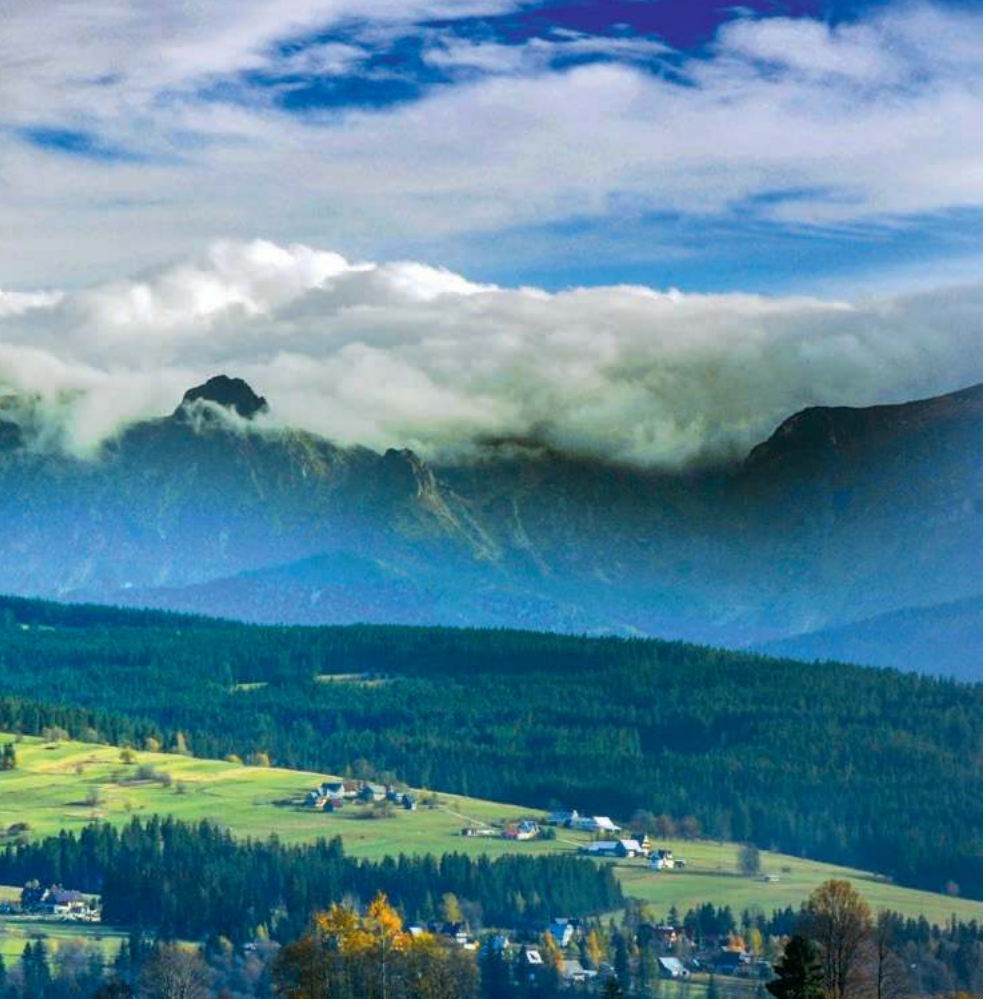
Wielkości pięści. I deski przesuwało, bo tam był wtedy zgromadzony materiał na budowę wyciągu krzesełkowego z Hali Goryczkowej – dość grube deski, o długości około 6 metrów. Kilka z nich przerzuciło przez szczyt. Na drugi dzień okazało się, że wiatr wyrywał nawet kosodrzewinę, co się nie zdarza, bo ona na wysokości 2000 metrów jest dostosowana do trudnych warunków. Sfotografowałem krzak do połowy wyrwany z korzeniami. A jak było jeszcze widno, widziałem, że nad Dwoistym Stawem uformowała się trąba wodna, którą wiatr przeniósł i rozprysnął na zachodniej ścianie Kościelca.

Poległ m.in. górnoreglowy las w legendarnych Wantulach. Straty były wielkie?

Nie równały się z Kalamitą ani pewnie nawet z wiatrem z 2013 r. W Zakopanem wiatr zrywał dachy, ale głównie płaskie, kładzione już w latach 50. czy 60. Na Bystrem porwało kiosk ruchu i przeniosło kilka metrów wraz ze sprzedawcą i z „Trybuną Ludu". Ale nikt nie zginął. U albertynek kaplica i pustelnia brata Alberta były nienaruszone, tylko drzewa połamane dokoła. Siostry się całą noc modliły. A z nimi facet, który jechał z Kalatówek i przy klasztorze wywróciło mu drzewa przed autem i za nim. Auto przetrwało.

Rzadko się zdarzało, żeby halny był bezpośrednią przyczyną czyichś obrażeń lub śmierci, ale w pośredni sposób porwał z tego świata wielu ludzi.

Działa na osoby chore lub wrażliwe psychicznie. Kiedyś, gdy się zbliżał halny, pojawiała się na Krupówkach tzw. Biała Pani. Ubierała się w białą suknię, wychodziła w niej i obchodziła latarnie. Wtedy ludzie mówili: o, będzie wiało. Pijacy piją, gdy zaczyna wiać i potem przez cały



ADRIAN GŁADECKI / REPORTER

Wiatr halny nad Tatrami

halny, co akurat jest łatwe do wyjaśnienia. Halny jest ciepły, ogrzewa i wysusza. Pić się chce. Na chorych psychicznie, nawet lekko, to działa tragicznie. Tylko wśród moich znajomych było ze 20 wypadków samobójczych. Z reguły się wieszali. Wielu najprościej – idąc na strych, niektórzy wybierają sobie jednak miejsca w górach. W Dolinie Olczyskiej były przypadki powieszeń na drzewie. Typowym miejscem samobójstw jest Nosal, bo to najbliżej z Zakopanego, chwilę się idzie, a pierwsza lepsza skałka ma już 20 metrów. Na Giewont, żeby dojść, trzeba się zmęczyć, a jak się człowiek zmęczy, myśli inaczej. Tam, gdy się ktoś idzie zabić, to nie pod wpływem halnego, raczej planuje to sobie wiele miesięcy wcześniej. Miejscowi na Giewont skakać nie chodzą, idą w regle. Ponadto jeszcze wiadomo, że halny oddziałuje na ludzi z niewydolnością serca, z chorobami układu krążenia, bo przynosi spadek ciśnienia, bywało nieraz tak, że bardzo gwałtowny.

Obserwujesz i zapisujesz te wiatry, i w ogóle pogodę, od dziesięcioleci.

Już jako dziecko miałem pociąg do pisania. Gdy miałem 11 lat, napisałem w notesie o moim braciszku, którego pochowaliśmy, jak się wojna skończyła i miał dwa lata: „Urodził się za czasów niemieckich, umarł za czasów ruskich". Na pomysł dziennika wpadłem dopiero na studiach, gdzieś pod koniec lat 50. Mam całe zeszyciki.

Geografia to był świadomy wybór?

A skąd! Poszedłem, bo rzuciłem kostką. Miałem tak rozbieżne zainteresowania jak polonistyka i budowa okrętów, na liście były też geologia, astronomia, większość nauk przyrodniczych, ale też historia sztuki. Rzuciłem – wyszła geografia. Na uczelni byłem podpadnięty, nosiłem się trochę po zakopiańsku, z apaszką pod szyją, więc mnie nazywali bikiniarz. W Krakowie nie było to mile widziane przez partyjnych, ale na dwa lata zostałem przewodniczącym koła geografów. Profesor Klimaszewski mnie doceniał za wiedzę.

Jak skończyłem te studia, nie było pracy poza województwami olsztyńskim i wrocławskim. Trafiłem do szkoły w Kowarach. Uczyłem poza geografią fizyki, chemii, no i jeszcze do wuefu mnie brali. Po roku miałem dość. Wróciłem stamtąd i zacząłem szukać znów pracy w Krakowie. Poszedłem do krakowskiego oddziału Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego. Jak się dowiedzieli, że jestem z Zakopanego, dali mi skierowanie na praktykę do obserwatorium na Kasprowy. To był 1957 rok. Michał Orlicz był wtedy kierownikiem obserwatorium. Przepracowałem tam 12 lat.

Jak wtedy wyglądała ta praca?

Bardzo często wiały wiatry, teraz takich nie ma. Na osiem dyżurów pięć wychodziłem pieszo, a tylko trzy wyjeżdżałem. 233 razy wchodziłem pieszo na Kasprowy. Walczyliśmy, żeby dotrzeć tam nawet w najtrudniejszych warunkach. 4 marca 1962 r. przez Halę Gąsienicową podchodziła Jadwiga Brydówna. Była też przewodnikiem tatrzańskim i pracownicą obserwatorium, wyszła po południu. Kolejka z racji wiatru nie kursowała, zaczynało się robić ciemno. Była w dodatku krótkowidzem, nie zauważyła więc zapewne podpór wyciągu, pruła prosto do góry i jak wyszła pod grań, nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest. Następnego dnia, gdy poszedłem jej szukać, zauważyłem wgłębienie wykopane w nawisie śnieżnym – chciała się położyć, chroniąc przed wiatrem. Jej tam jednak nie było, obok leżały tylko narty. Wiedziałem już, że rozegrała się tragedia. Zacząłem się rozglądać w wietrze, podszedłem prawie pod sam szczyt Beskidu i na kamieniach widzę, że leży postać. Chustka zwiana, gołe dłonie, kijek w jednej ręce... zmarła z wychłodzenia.

Sam byłeś w drodze na jeden z dyżurów tego bliski.

To był jeden z tych przypadków, gdy mnie Opatrzność Boża uratowała. Na nartach się nie dało iść, bo była lodoszreń. Łamała się i narty wpadały pod spód, gdzie było pół metra śniegu, zsiadłego puchu. Na Myślenickich Turniach zaproponowali, że mi dadzą biegówki. Dałem się na to namówić. W Kotle Goryczkowym było istne piekło. Od czasu do czasu, jak się chmury przewaliły, to tylko widziałem kierunek do obserwatorium. Przychodziły porywy, które mnie wywracały na tych biegóweczkach, i wpadałem pod lodoszreń, wygrzebywałem się, szedłem jakieś 5 metrów, znów mnie wywracało. Po kilku razach wykończyłem się fizycznie. Stwierdziłem, że nie mam szans na nich wyjść, postanowiłem się czołgać. Walczyłem tak przez dwie godziny ↦



ARCHIWUM APOLONIUSZA RAJWY

Powalony las na Dolnych Kalatówkach, 6 maja 1968 r.

↦ i myślałem, że już nie dojdę. Dłonie robiły mi się białe, nogi w tych bucikach przemarzały, wszystko mi przemokło, spociłem się jednocześnie z wysiłku i cały zacząłem zamarzać. Gdyby była mgła, nie trafiłbym do obserwatorium i skończyłbym rzeczywiście jak Brydówna. Stanąłem wreszcie przed drzwiami, zadzwoniłem, otworzono mi i padłem dosłownie z wyczerpania. Wciągnęli mnie na schody, przez trzy godziny dochodziłem do siebie. To było moje najbardziej makabryczne wyjście, a miałem wtedy świetną kondycję, zaraz po Mont Blanc, gdzie na 4000 metrów czułem się jak w Tatrach i ciągnąłem za sobą krakusów na sznurku. Gdybym wtedy mógł pojechać w Himalaje, wszedłbym na ośmiotysięcznik jak nic.

Miałeś w górach jeszcze inne cudowne przypadki?

Sporo w jaskiniach. W Wielkiej Śnieżnej byłem jako kierownik grupy grotołazów z Ukrainy, którzy chcieli ustanowić rekord Związku Radzieckiego, schodząc na ponad pół kilometra w głąb. Byli tam dwaj bokserzy. Miron wagi ciężkiej, który ze sto kilo ważył, a Walek wagi muszej. Wszystko szło bardzo dobrze. Nagle dochodzimy nad 40-metrową Studnię Wiatrów i coś się ze mną dzieje, gorączka, nie gorączka, słaby jestem, wykończony tak, że nie dam rady nic zrobić. Jako kierownikowi wstyd było się przyznać. Mówię do nich: „Słuchajcie, ja już byłem wcześniej przy syfonie, zostanę tu przy asekuracji i na was poczekam". Mieliśmy jeszcze ostatnią linę do zjazdu. Miron powiedział, że też nie idzie. Zanim reszta tam dotarła, ze dwie godziny trwało. Wtem słychać, że coś się dzieje na dole, lecą po rosyjsku przekleństwa. Po jakimś czasie wyłania się Walek, potem zlany, i mówi: „Jak wychodziłem do góry i byłem w połowie studni, to lina, po której wychodziłem, trzymała się tylko na włoskach". Gdyby któryś z nas pojechał, nieważne, czy ja, czy Miron, ta lina by się zerwała. A nikt na powierzchni za bardzo nie wiedział, żeśmy poszli do dziury.

Jakie wnioski na podstawie Twoich obserwacji i notatek można wysnuć o pogodzie i tatrzańskim klimacie w przeciągu ostatnich 70 lat?

Jest ciągły wzrost średnich temperatur powietrza, w ciągu tego okresu do dwóch stopni, ale prawdopodobnie związane jest to z ogólnym ociepleniem klimatu. Nie ma już takich zim jak choćby wtedy, kiedy pracowałem, czyli w latach 50. Okres zamarzania stawów tatrzańskich był dłuższy, ilość wody w Tatrach – w stawach i podejrzewam, że w źródłach też – się zmniejszyła. Myślę, że gdyby teraz ktoś poszedł do tych wszystkich małych stawów, które kiedyś pomierzyłem, to może połowa by tylko istniała. Kiedy w 1962 r. robiłem badania, gdy spadło dwa metry śniegu w czerwcu, okazało się, że nie ma zagrożeń powodzi roztopowych na Podhalu spowodowanych topnieniem pokrywy śnieżnej. Szły tylko takie kulminacje, najpierw z regli, potem z kotłów i one się nie pokrywały. Są za to zagrożenia powodzi czerwcowych czy lipcowych, wynikające z ulewnych deszczów. W 1934 r. podczas takiej powodzi nawet chałupy płynęły.

Czemu nie kontynuowałeś kariery naukowej?

Pracując na Kasprowym zostałem mianowany starszym asystentem naukowo-badawczym, czyli przede mną była kariera naukowa. Robiłem mnóstwo badań terenowych. Skoro sprowadzono specjalistyczną aparaturę do badań falloutu, to pomyślałem, że będę robić badania radioaktywności pokrywy śnieżnej.

Zimą 1961/62 r. z metra kwadratowego zbierałem centymetrową warstwę świeżego śniegu do pojemnika. Na początku była mała radioaktywność świeżego śniegu. Ale jednego dnia mi wyskoczyła ogromna. Tam na górze czasem w nocy słuchaliśmy Wolnej Europy albo Głosu Ameryki i w listopadzie 1961 r. słyszę, że w Kazachstanie nastąpił wybuch 50-megatonowej bomby atomowej – to była wówczas najmocniejsza rosyjska eksplozja nuklearna. Już wiedziałem, skąd się wzięło skażenie, które było u nas w trzy dni po wybuchu. A tu na ten temat była cisza. Rozkład tej próbki następował przez cały rok powolutku, na końcu w lipcu poszedłem pod Świnicę, wziąłem próbkę i się okazało, że tam w kotle radioaktywność była dziesięciokrotnie większa od tej po wybuchu, bo tam się to wszystko skumulowało. Nawet nie opowiadałem o tym, bo zaraz by ktoś doniósł i byłyby nieprzyjemności. Tam trenowali jednak w lecie na płatach śniegu narciarze. I po paru latach dwóch czy trzech z nich zmarło na raka. Później chciałem pisać o śniegu pracę doktorską, ale mi odrzucili.

Politycznie niebezpieczny temat?

Inne też mi utrącali. Możliwe, że z powodu żony kierownika, która miała otwarty i dość zaawansowany przewód doktorski. W końcu się wkurzyłem. Akurat w „Dzienniku Polskim" był artykuł „Wypocone doktoraty". Wziąłem jej mate-

RDC POLSKIE RADIO

BEATA CHOMĄTOWSKA, autorka tekstu na str. 40, będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 25 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

teriały, zawinąłem w ten artykuł i przekazałem jej. Gdy potem poszedłem do pracy na dyżur na początku maja 1969 r., to na moim miejscu siedziała i mówi: „Pan już tu nie pracuje". Popłakałem się wtedy.

Ale może tak musiało być. Bo gdybym był meteorologiem, tobym całe życie robił tylko badania naukowe, a tak poszedłem do pracy z młodzieżą niepełnosprawną w Kuźnicach, gdzie przepracowałem do 2001 r. Opiekowałem się dziećmi po skoliozie i wózkowymi, robiłem im wycieczki.

To było liceum w Kuźnicach?

Tak, liceum specjalne dla dzieci, wcześniej był to Dom Ozdrowieńców, w którym w 1951 r. utworzono liceum ogólnokształcące. Kilkadziesiąt wycieczek im tam zrobiłem, od Bieszczadów po Beskid Śląski. Niektórych woziło się na wózkach inwalidzkich, o kulach też chodzili, a ze sprawniejszymi chodziłem nawet do Pięciu Stawów i na Giewont. Cieszę się, bo coś tym dzieciom dałem, a tak to co by mi teraz z tego doktoratu przyszło? I tak do mnie młodzież mówiła w szkole „panie profesorze".

Ciągle starasz się być aktywny. Jeszcze do niedawna wymyślałeś różne projekty. Np. Koronę Tatr Reglowych.

Połowę szczytów zrobiłem i byłbym w stanie zrobić resztę, tylko czasu nie ma, bo się wziąłem za skanowanie przeźroczy. Zrobiłem dwa tysiące, mam jeszcze drugie dwa do zeskanowania. Na osiemdziesiątkę wszedłem na Mnicha. Na razie jestem najstarszym, który tego dokonał. Myślę jeszcze o Zadnim Mnichu. Wspinaczkowo dałbym radę. Tylko przewodnictwo już zarzuciłem od dwóch lat. Teraz nie wytrzymałbym chyba już w tym tłumie.

APOLONIUSZ RAJWA:

Typowym miejscem samobójstw jest Nosal, chwilę się idzie, a pierwsza lepsza skałka ma już 20 metrów. Na Giewont, żeby dojść, trzeba się zmęczyć, a jak się człowiek zmęczy, myśli inaczej.

Kiedyś nie było takich tłocznych majówek w Tatrach.

Nie było najazdu na Zakopane, każdy w swoim mieście był zmuszony chodzić w pochodzie z transparentem. Mam takie zdjęcie ratowników z 1974 r. – pumpki granatowe, czerwone swetry z pasem, lina przewieszona, czekan do ręki – jak już iść na te pochody, to jako człowiek gór. Mam zdjęcie, jak idą pod skocznię ulicą Piłsudskiego – Jerzy Hajdukiewicz, Staszek Janik, Michał Jagiełło – z pierwszego rzędu nie ma już nikogo. No i nie było wtedy 3 Maja, więc nie było długiego weekendu. Ta turystyka świąteczno-weekendowa to się niedawno zrobiła modna, długo w tygodniu nikogo nie ma, a potem nagle weekend krokusowy, weekend majowy, czerwcowy, sierpniowy, jakieś najazdy, z których ileś tysięcy idzie w góry.

Jak tu znaleźć miejsce na wyprawę czterech pokoleń na Giewont, którą planujesz?

Wcześniej w trzy pokolenia wyszliśmy na Rysy, mieliśmy w sumie 130 lat. A teraz czekam jeszcze na najmłodszego Wojtusia, mojego prawnuka, bo on ma w tej chwili cztery lata – jak przyjedzie ze swoim ojcem, moim wnukiem, który jest pilotem w Poznaniu – żeby sobie jakąś część trasy przeszedł, bo przecież nie o to chodzi, żeby go wnieść na szczyt na plecach. Ja się tymczasem na wiosnę rozchodzę.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

APOLONIUSZ RAJWA *(ur. 1934) jest geografem; były pracownik naukowy w Wysokogórskim Obserwatorium Meteorologicznym na Kasprowym Wierchu, przewodnik tatrzański, ratownik TOPR, taternik i speleolog, uczestnik wypraw jaskiniowych m.in. do najgłębszej wówczas (1966 r.) jaskini świata Gouffre Berger i wypraw odkrywczych do jaskiń tatrzańskich (m.in. Wielkiej Śnieżnej, Ptasiej Studni), były nauczyciel w liceum w Kuźnicach, dziennikarz prowadzący od lat rubrykę „Góry" w „Tygodniku Podhalańskim".*

REKLAMA



ANNA

Dziewit-Meller: *Majówka*



Takich miejsc nie ma wiele. Tych, do których tęsknisz, ale boisz się wrócić, bo nie masz pewności, czy po latach ten wielki las, który był dla ciebie jak prastara puszcza, nie okaże się wątłym zagajnikiem, a wezbrana Amazonka, która przepływała gdzieś w pobliżu, to zwykły strumyk, który łatwo przekroczysz jednym większym susem.

Czasem jednak – np. w okolicach majówki – zew przeszłości cię przyzywa i pakujesz do auta dzieci, bo nagle koniecznie pragniesz pokazać im te okolice, które kształtowały cię kiedyś, w których kolekcjonowałaś swoje dziecięce odznaczenia – blizny na nogach, przecięte wargi, z których długo płynęła krew, obcięte przez siebie samą krzywo włosy, poparzone pieczonymi w ognisku ziemniakami palce, odmrożone ręce po zbyt długiej zabawie na mrozie.

W końcu więc i ja przyjechałam po raz pierwszy po wielu latach do Porąbki, gdzie – jako cherlawe dziecko z aglomeracji śląskiej – byłam uparcie wywożona przez dziadków i rodziców, by oddychać czystym beskidzkim powietrzem. Góra Żar, pod której zboczem stał nasz dom, była jak zwykle otoczona maleńkimi kolorowymi punkcikami – paralotnie latały dziś częściej niż wtedy, gdy byłam dzieckiem i gdy wchodziliśmy na jej płaski szczyt, na którym wybudowano zbiornik elektrowni szczytowej. Miliony litrów wody zawieszone nad naszą głową budziły lęki i uruchamiały wyobraźnię – a jeśli kiedyś pęknie?

Zostawiłam samochód i ruszyłam spacerem w stronę Soły. Płynęła od nas prosto w kierunku Kęt, a potem Oświęcimia. To ta sama rzeka, która 70 lat temu stanowiła dla uciekających z obozu Auschwitz barierę nie do pokonania.

Soła jest oszałamiająco piękna, choć może tylko ja kocham ją tą bezwarunkową miłością dziecka, które po raz pierwszy właśnie w jej łagodnym nurcie płynęło samo, bez pomocy ramion ojca czy dziadka, zachłystując się szczęściem, wołając zaskoczone do siedzących na wielkim głazie, z którego skakano na główkę: „Patrzcie na mnie. Ja płynę!”.

Idąc w górę nurtu, dotarłam do kolejnej starej elektrowni wodnej, tyle ich tu było, jakby nasza droga Porąbka była światową stolicą elektryczności. Istnienie tej budowli zawsze budziło mój nieracjonalny lęk. Przejście przez zaporę stanowiło wyzwanie, jakby prąd, wytwarzany z pędzącej wody, przechodził również przez nas, idących w dziecięcych bucikach, stawiających małe kroki za rodzicami. Jeśli ktoś nas podniósł na odpowiednią wysokość i przytrzymał mocno za nogi, mogliśmy zwiesić się z betonowych barier zapory i patrzeć w dół – z jednej strony na zdechłe ryby i śmieci, które przypływały pod nią, tworząc brązowo-srebrne plamy na Jeziorze Międzybrodzkim, z drugiej na spektakularne elementy zapory, które wyglądały jak wielkie zjeżdżalnie, po których zawsze płynęła woda. Tamta wizyta w krainie mojego dzieciństwa przyniosła wiele wspomnień i wzruszeń, obudziła stare tęsknoty, przypomniała nigdy niezrealizowane plany, złamane po wielokroć serce, moje i chłopców spędzających tu wakacje, wywołała wizje dawnych przyjaźni, zwierząt, które żyły tu z nami, ludzi, którzy już dawno odeszli.

Przywiodła do mnie jednak również zaskakujące dla mnie samej wyraźne widmo czającej się za rogiem dziecięcej śmierci. Mojej. Tej przez utopienie, potrącenie, upadek z wysokości, wilcze jagody, kruchy lód na jeziorze. Czy to nie cud, że jednak żyję? Przecież przez całe lato wieczorami, mając nie więcej niż osiem lat, chodziłam z chłopcami z pobliskich domów nad Sołę, do której codziennie o dwudziestej spuszczano wodę z jeziora. Gdy była jeszcze płytka, przechodziliśmy wpław, trzymając się za ręce, na małą wyspę z kamieni, czekając w podnieceniu na ostrzegawcze wycie syren. Widzieliśmy czasem, jak na ich dźwięk wędkarze posłusznie wychodzili z rzeki. My jednak zostawaliśmy – pięcioro dzieciaków wierzących w swoją nieśmiertelność. Wyspa tonęła, zalewana powoli, a my wspinaliśmy się na jej szczyt, zastanawiając się, czy zaleje nas do kolan, czy może uda się wrócić do domu z suchymi nogawkami.

Od tamtej pory – czasów, gdy byłam wyłącznie żywa – minęło wiele lat i jak wszyscy zaraziłam się strachem przed śmiercią. Zobaczyłam ją więc teraz wyraźnie w tych wszystkich malowniczych miejscach, które stanowiły dla mnie kiedyś esencję życia. I zrozumiałam, że ja już też zarażam strachem przed śmiercią, nie słuchając słów Korczaka, że aby dać dziecku prawo do życia, należy dać mu prawo do śmierci. Bo przecież moje blizny na kolanach, mokre ubranie, gdy Soła zalewała wyspę, moje krzyki strachu, gdy chłopcy zostawili mnie samą w ciemnym lesie i nie znałam drogi do domu, wymioty po piwie, które wypiłam dziadkowi ukradkiem – wszystko to było świadectwem życia, przyznanym mi przez prawo do śmierci. Mnie dziś na to prawo nie stać. ©

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy we Wrześni, I Wydział Cywilny, pod sygn. I Ns 153/16, prowadzi postępowanie z wniosku VISSET sp. z o.o. w Poznaniu, o stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Dąbkowskim, zm. 18 kwietnia 2015 r. we Wrześni, ostatnio stale zamieszkałym w Kołaczkowie.

Sąd wzywa spadkobierców wyżej wymienionego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

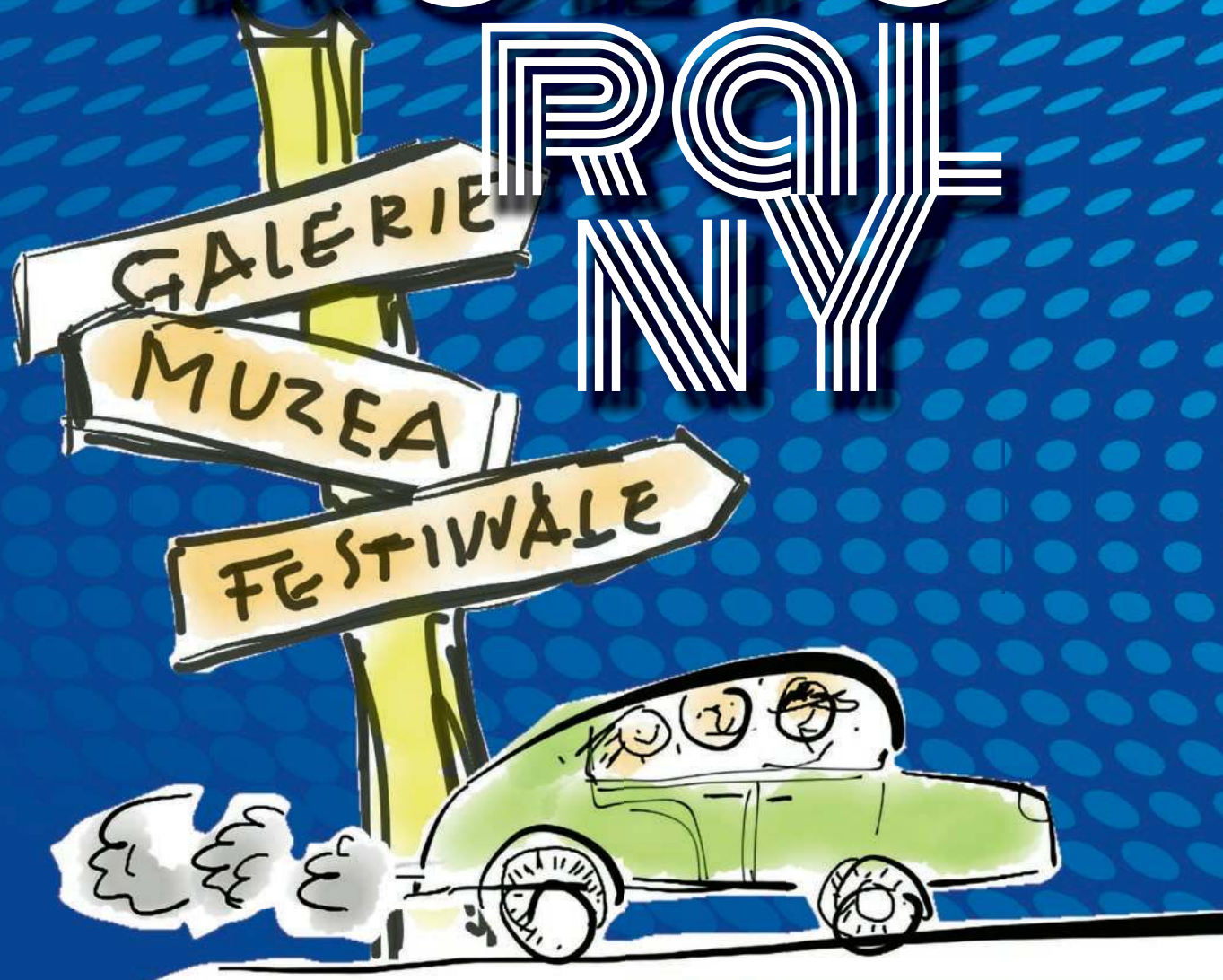
Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 1188/17, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Apolonii Reginie Czyżkowskiej, zm. 27 lipca 2005 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej we wsi Krzywica, gm. Siennica.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIELOCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
WŁÓCZYKIJ
KULTURALNY
„TP” 18-19/2018



MAREK ZALEJSKI / VECTEEZY

W krainie niespodzianek

BEATA CHOMĄTOWSKA

Mikroprzygody, krótkie i skromne wędrówki w poszukiwaniu kulturalnych atrakcji to rozrywka dostępna dla każdego. Zaspokajają coraz mocniejszy głód doświadczenia.

To był udany kwietniowy dzień, choć w gruncie rzeczy całkiem zwyczajny. Wyjazd w sobotę wieczorem z Warszawy do Jędrzejowa, jednego z wielu miasteczek przy często pokonywanej trasie, oglądanych zwykle z okien samochodu. Tak pewnie by już zostało, gdyby nie wizyta znajomego, który na co dzień żyje i pracuje w londyńskim City, ale raz na kilka miesięcy wpada odwiedzić rodzinne strony. Wybraliśmy się więc razem.

W niedzielę koło południa wędrówka po wnętrzach kamienicy na jędrzejowskim rynku, w której miejscowy lekarz, kolekcjoner i pasjonat astronomii Feliks Przypkowski zgromadził imponującą kolekcję astronomiczno-gnomoniczną, sporą bibliotekę i mnóstwo osobliwości przyrodniczych. Zbieracką pasję odziedziczył po nim syn Tadeusz, jeden z kilku na świecie znawców zegarów słonecznych i ich konstruktor. W budynku zachowało się oryginalne wyposażenie, nawet sprzęty kuchenne, więc po części domowej spaceruje się bez poczucia wizyty w muzeum, bardziej jakby wpadło się pozaglądać w zakamarki mieszkania sąsiadów. Trochę zresztą w tym prawdy, bo znajomy jędrzejowianin chodził kiedyś do klasy z przedstawicielem kolejnego pokolenia Przypkowskich.

Jeszcze spacer po ogrodzie czasu, zaprojektowanym we współpracy ze znawcą tematu, Gerardem Ciołkiem, gdzie starannie dobierane rośliny towarzyszą zegarom słonecznym i przyrządom astronomicznym.

Tyle razy przemykaliśmy przez Jędrzejów, nie znajdując czasu, żeby zatrzymać się tutaj na chwilę. Obudzona ciekawość odkrywców bierze więc górę i w drodze powrotnej robimy popasy jeszcze w dwóch miejscach. Jedno to Muzeum Wsi Kieleckiej, w którym trwa akurat piknik wyrobów regionalnych, więc przy okazji kupujemy prowiant na dalszą drogę. Drugie – dawna rezydencja Józefa Brandta, Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, gdzie odpoczywamy na trawie, przeczekując największe korki na trasie, oglądamy aktualne wystawy, a przy okazji jednej z nich udaje się nam zajrzeć do najstarszego i najbardziej tajemniczego obiektu w parku – XIX-wiecznej kaplicy.

Po powrocie planujemy kolejną kulturalną mikrowycieczkę.

> **Nie mieliśmy pojęcia, że wpisujemy się w jakiś trend. Szczerze mówiąc, w ogóle nie przyszło nam do głowy, że taki istnieje.**

A jednak coś, co do tej pory mogłoby doczekać się co najwyżej pogardliwego wzruszenia ramion ze strony osób uważających się za podróżników z prawdziwego zdarzenia, znajduje się już na radarze rozmaitych organizacji zajmujących się turystyką.

Association of British Travel Agents, czyli zrzeszenie brytyjskich agentów turystycznych, oraz portal podróżniczy Skift uznały je za jedną z najpopularniejszych tendencji podróżniczych, na którą apetyt wciąż rośnie i na pewno nie skończy się na kilku ostatnich sezonach. Chodzi właśnie o mikrowycieczki lub też mikroprzygody („*microadventures*"), jedno-, najwyżej parodniowe wędrówki po własnym kraju, w tym często nieodległej okolicy, a także niewielkich, często zapomnianych mieścinach, od których masowy turysta trzyma się z daleka. Określenie miał ukuć autor i podróżnik Alastair Humphreys, który mówi o takich wyprawach, że są „skromne i łatwo dostępne, dla zwykłych ludzi wiodących zwykłe życie". Tak musiało się stać.

Po zainteresowaniu minimalizmem, ruchem *slow*, lokalnością, przesycone mieszczuchy z największych ośrodków kręcą nosem na kolejne spektakularne wyjazdy przez pół świata albo odhaczanie kolejnych punktów z listy europejskich miast do zobaczenia w dwa dni dzięki promocji w tanich liniach.

Zanim jednak zaczniemy wyśmiewać głód jako nową formę ucieczki od codzienności, której jeszcze niedawno nie przypisywalibyśmy żadnych specjalnych nazw – ot, leniwy dzień spędzony poza domem, lecz na tyle blisko, by udało się do niego wrócić bez większych niespodzianek – zauważmy, że ma ona również jak najbardziej realistyczne uzasadnienie. Pracujemy coraz więcej, żyjemy intensywnie, próbując zmieścić, ile się da, w przeładowanych harmonogramach.

> **Mikroprzygoda nie wymaga szczególnych przygotowań, a pozwala na chwilę znaleźć się w innym świecie.**

Ten dostępny jest niemal na wyciągnięcie ręki, czasem nawet na sąsiedniej ulicy. Pozwala też oderwać się od codziennych obowiązków, rozwinąć uważność, skupiając się na tym, co niepozorne, łatwe do przeoczenia w biegu. Co istotne, zwykle towarzyszy jej motyw odkryć kulturalnych.

– W takiej turystyce liczy się przygoda, to jest jak podróż w poszukiwaniu skarbów z dość niewyraźną mapą – opowiada Patryk, w życiu zawo-

dowym specjalista od marketingu. – Wiesz, czego unikać, ale nie masz pojęcia, na co trafisz, docierając na miejsce.

Wystrzegać się należy: tysięcy polubień w mediach społecznościowych, nadmiernie dopracowanej komunikacji wizualnej danego wydarzenia, zbyt doskonałej strony internetowej, dużych ośrodków miejskich, bo zapowiadają stres związany z poszukiwaniem miejsc do parkowania, przeciskaniem się wśród tłumów, oblężonymi enklawami pensjonatów, w których brak wolnych łóżek. Turystyka kulturalna w tym wydaniu ma w sobie coś z amatorskiej etnografii, ale nie tej zakochanej w wyimaginowanych „klasycznych strojach ludowych", cepelii czy wiejskich naturalistach.

– Szuka się tego, co rodzi się z pasji, za czym kryje się potrzeba organizatora lub organizatorki, by podzielić się z innymi swoją fascynacją – mówi Patryk. Nawet jeśli środków jest niewiele, a umiejętności organizacyjnych nabywa się metodą prób i błędów. Bo nie ma zresztą co kryć: choćby z tych powodów drobne wydarzenia kulturalne na polskiej prowincji pozostawiają często wiele do życzenia pod względem artystycznym. Tyle, że mikroodkrywcom to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie.

Patryk mówi, że to jak z zakupami. W uchodzącej za prestiżową sieci delikatesów będą lśniące podłogi, bezszelestnie pracująca klimatyzacja, a jedzenie wyeksponowane ze znawstwem w błyszczących witrynach, ale raczej nie usłyszy się tam spontanicznych okrzyków zachwyconych klientów, wymiany plotek, bezceremonialnych pogaduszek ze sprzedającymi, jak na zwykłym, może nawet nieco prząśnym targu, odbywającym się w danym miejscu od lat, bez etykietek w rodzaju „bazar śniadaniowy".

– Trzeba mieć naprawdę fioła na punkcie grzybów, by zrobić festiwal rydza, trzeba rzeczywiście cenić opowiadania szerzej nieznanego, zapomnianego pisarza, by nazwać jego nazwiskiem festiwal literacki organizowany w bibliotecznej sali powiatowego miasta, jak w przypadku Moniki Sznajderman i festiwalu Zygmunta Haupta w Gorlicach. Trzeba mieć energię i siłę ducha, by latami, niemal bez wsparcia, sprowadzać do tychże Gorlic sławy europejskiego ambientu, jak robi to Tadeusz Łuczejko, czy cenione grupy teatralne z Polski, Ukrainy i Białorusi, które cyklicznie przyjeżdżają do niewielkiej wsi Nowica w Małopolsce – wylicza Patryk.

Jeździ się więc do miejsc, które nie mają potrzeby, by podobać się bardzo i wszystkim, nie mają ambicji, by wszystko udawało się idealnie.

↦

REKLAMA





↦ Takich, które po zakończeniu wydarzenia nie będą rozsyłać do uczestników powiadomień o kolejnym rekordzie frekwencji. Choć paradoksalnie, często organizują je ludzie z dużych miast, wśród których trafiają się nawet i doświadczeni animatorzy, kiedyś zawodowo zajmujący się realizacją wielkich imprez.

Zmęczeni metropolią, wyprowadzają się na prowincję i nabrawszy sił, odkrywają jej potencjał. Zaczynają rozkręcać miejscowe życie kulturalne, korzystając z dotychczasowego doświadczenia. Tym razem jednak na luzie, we własnym tempie, bez presji, że jeśli coś pójdzie nie tak, korporacja zadrży w posadach i rozwścieczony szef wezwie ich na dywanik, pytając, czemu założone wskaźniki się nie zgadzają. Urok takich przedsięwzięć, jak mówi Patryk, polega właśnie na tym, że gdy nie działasz w świetle reflektorów, częściej mają szansę się zdarzyć rzeczy nieoczekiwane, szalone, ryzykowne, a na pewno bardziej szczere, bo na widowni nie siedzi śmietanka intelektualno-towarzyska Krakowa lub stolicy, tylko 30 osób, które trudno zaklasyfikować: ktoś wygląda jak rolnik, inny jak członkini kółka różańcowego, a obok nich młodzi, może zbyt znudzeni podpieraniem ścian domów przy ryneczku, którzy przyszli zobaczyć, co się dzieje.

No i czasem człowiek, który sprawia wrażenie lokalnego oprycha, przez półtorej godziny słucha o poezji Bronki Nowickiej. Przy takiej widowni chyba łatwiej poczuć, że mówi się do ludzi, a swoboda służy świeżości rozmowy.

Świadomi mikroodkrywcy wywodzą się jednak z tego samego świata, co organizatorzy. Często też napędzają ich własne artystyczne zainteresowania, jak w przypadku Magdy, dyrektorki marketingu w dużej firmie nieruchomościowej, która jeździ po Polsce i świecie śladem wystaw i fotograficznych festiwali. Na co dzień zaangażowana w niezliczone projekty, często przemieszczająca się służbowo, podczas swoich mikroprzygód z fotografią odrywa się od pracy, przenosi w inną przestrzeń, gdzie spotyka często ludzi niedowierzających, że ktoś taki po powrocie może chcieć spędzać czas za szklanymi drzwiami biurowców.

– Zawsze dużo podróżowałam i robiłam dużo zdjęć – mówi Magda. – Podczas krakowskiego Miesiąca Fotografii, w podziemiach Muzeum Etnograficznego, zahipnotyzowały mnie prace Sally Mann. Pamiętam do dziś, jak wracałam do Warszawy i nie mogłam przestać myśleć o fotografiach jej dzieci obok rozkładających się ciał z cyklu „What Remains". Afirmacja życia i śmierci. Na fali pojechałam do Arles, na jeden z najbardziej znanych festiwali fotograficznych na świecie, gdzie od zdjęć wybitnych i mniej znanych twórców nie można było uciec. Wisiały wszędzie, w muzeach, ratuszu, galeriach, halach, wyklejone na ulicach i pokazywane w formie slajdów pod gołym niebem w ruinach rzymskiego teatru. Głowa aż pulsowała od inspiracji. Wsiadłam w rozpędzony pociąg, który odtąd zatrzymuje się tylko na kolejnych stacjach, tych większych, jak Łódź, Wrocław czy Opole, ale też w niewielkich miastach. Przeglądanie portfolio, niespodziewane odkrycia, zbieranie opinii o własnych pracach, nowe znajomości. Jestem dumna, że tyle się w Polsce pod tym względem dzieje.

– W moim przypadku mikrowycieczki zaspokajają potrzebę podróżowania w przerwach między większymi wyprawami – opowiada Łukasz, na co dzień organizujący wydarzenia kulturalne w warszawskiej organizacji pozarządowej.

Wyjazdy, nawet te jednodniowe, pozwalają złapać dystans i przyjrzeć się, jak funkcjonuje kultura w mniejszych miejscowościach.

Jak mówi, to najlepszy sposób na rozprawienie się z mitem, że tylko w miastach można natrafić na wartościowe wydarzenia, ↦

REKLAMA

wszystko jest
filozofią edycja II
rozmowy nie kontro lowane

WSTĘP WOLNY

Zapraszamy na spotkanie z prof. Markiem A. Cichockim oraz dr Dariuszem Karłowiczem

Zagadka Polskiej Tożsamości

Prof. Marek A. Cichocki
– filozof, germanista, politolog, znawca stosunków polsko-niemieckich. Współtwórca i redaktor „Teologii Politycznej", dyrektor programowy w Centrum Europejskim w Natolinie. Razem z Dariuszem Karłowiczem i Dariuszem Gawinem prowadzi w TVP Kultura program „Trzeci Punkt Widzenia".

dr Dariusz Karłowicz
– filozof, wykładowca, publicysta, wydawca książek. Współzałożyciel i redaktor naczelny rocznika filozoficznego Teologia Polityczna. Prezes Fundacji Świętego Mikołaja. Współautor cotygodniowego programu telewizyjnego Trzeci Punkt Widzenia (TVP Kultura).

20.06.2018 godz: 18:00
Muzeum Miasta Gdyni
ul. Zawiszy Czarnego 1

http:/vademecumgdynia.org/
https://www.facebook.com/cafevademecum/

GDYNIA moje miasto

KONTRREWOLUCJA U BRAM

europejskie centrum solidarności

to nowy motyw Gdańskich Wykładów Solidarności. Z jego pomocą diagnozujemy radykalne przemiany kultury politycznej w Polsce i nowe mobilizacje społeczne, które dzieją się na naszych oczach. Do refleksji zapraszamy wiodące postaci życia akademickiego. Wykłady transmitowane są na żywo, a ich nagrania udostępniane na stronie **ecs.gda.pl/wyklady** | **youtube.com/ECSgdaPL**

Gościem najbliższego spotkania będzie dr hab. Rafał Matyja z wykładem

Jaka historia toczy się dziś w Polsce?

10/05/2018 | godz. 18:00 | biblioteka ECS

Zapraszamy!

Europejskie Centrum Solidarności
Gdańsk, pl. Solidarności 1

Dostępne wykłady, m.in.:



Michał Buchowski
Kreowanie Innych w postsocjalizmie: od „moherowych beretów" do „fantomowych uchodźców"



Ewa Graczyk
Co znaczy i jak działa Czarny protest?



Maciej Gdula
Neoautorytaryzm i granice solidarności

ecs.gda.pl

REKLAMA

↦ a prowincją rządzi kicz uosabiany przez disco polo. Jednym z miejsc, do których lubi wracać, jest Brochów – miejsce chrzcin Fryderyka Chopina, gdzie można obejrzeć jeden z nielicznych kościołów obronnych na Mazowszu, powłóczyć się po urokliwych łąkach nad Bzurą, a potem podjechać jeszcze do Żelazowej Woli na koncert.

Patryk i jego żona Anna, pracująca w pokrewnej branży i z równym entuzjazmem wyszukująca pomysły mikrowycieczek, zabierają na nie dzieci: czteroletnią Kalinę i sześciolatka Anatola.

Wbrew opiniom, że trzeba poczekać, aż potomstwo będzie bardziej samodzielne i więcej zapamięta z podróży, uważają, że takie eskapady mają więcej plusów: uczą młodych radzenia sobie w zmiennych sytuacjach i budzą w nich ciekawość świata, która raczej nie zaniknie w dorosłym wieku. Być może dla tego pokolenia, podobnie jak dla urodzonych w latach 90. milenialsów, inny trend, czyli prymat doświadczenia nad konsumpcjonizmem, który dodatkowo wpływa na popularność kulturalnych włóczęg po małych ojczyznach, stanie się oczywistością, o której za parę dziesięcioleci nikt nie będzie się rozpisywał na łamach podróżniczych czasopism.

– Regularnie jeździmy na przykład do Nowicy na spotkania teatralne Innowica, obfitujące w doznania, które potem trudno zapomnieć. Gdy siedzi się w dużej stodole przerobionej na scenę, jest już prawie noc, wiatr naprawdę gwiżdże przez szpary w ścianach, a aktorzy snują opowieść ni to teatru lalkowego, ni to wielkiej machiny imaginacyjnej o psie Pana Jezusa. Albo dziedziniec starego browaru królewskiego w Zwierzyńcu, gdy znów jest ciemno, a ze sceny słychać śpiew alikwotowy.

Gdy podróżuje się z dziećmi, szczególnie sprawdzają się spontaniczne wyprawy po Polsce. Jest bliżej, taniej i bardziej przewidywalnie, choćby na wypadek nagłej choroby.

Najczęstsze cele podróży Patryka i Anny to Beskid Niski, Roztocze, Jura Krakowsko-Częstochowska oraz Warmia i Mazury. Polska B, jak lubią określać ją z wyższością politycy.

Amatorzy mikroprzygód powiedzieliby im, że jest zupełnie nieuzasadniona. Trzeba tylko otworzyć się na doświadczenie, które polega również na tym, aby przez chwilę pożyć cudzym życiem. Wejść do świata miejscowych. Wypróbować restauracje, w których jadają, i zajrzeć w inne odwiedzane przez nich na co dzień miejsca. Spędzić czas z pochodzącą z danej miejscowości rodziną, nauczyć się gotować parę dań, poznać jej znajomych, najchętniej lokalnych artystów lub inne ciekawe persony, zajrzeć do ich mieszkań.

Wydarzenia trafiają na rodzinny radar najczęściej z polecenia przyjaciół zajmujących się kulturą. Anna też prowadzi bloga, dzieląc się częścią wspólnych doświadczeń podróżniczych. To też cecha charakterystyczna: wędrowcy poszukujący nieoczywistych kulturalnych atrakcji sami stali się ekspertami. Zamiast wcielać się w role chodzących encyklopedii, wykorzystując technologie opowiadają o własnym życiu, filmują wyprawy, dzielą się odkryciami. Muszą tylko dbać, by nie zyskać zbyt dużej popularności w mediach społecznościowych. Inaczej niewielki folkowy festiwal we wsi, o której grono wtajemniczonych przekazywało sobie dotąd informacje pocztą pantoflową, szybko stanie się celem pielgrzymek dla mas.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

REKLAMA

V MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRU UKRAIŃSKIEGO

WSCHÓD – ZACHÓD

PRZEKRACZAJĄC GRANICE

22–30 KWIETNIA 2018r.

WWW.WSCHOD-ZACHOD.COM.PL



PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI

PL - 81-720 SOPOT, PLAC ZDROJOWY 2, tel.: (+48 58) 551 06 21, fax: 551 32 62, NIP 585-122-00-52, REGON 000277167

Jeszcze do 17 czerwca: 75 x 75 DWURNIK

W tym roku obchodzimy 75. urodziny Edwarda Dwurnika, jednego z najpopularniejszych współczesnych polskich artystów. Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie postanowiła uhonorować go organizując jubileuszową wystawę, na której zaprezentowanych zostało 75 obrazów jego autorstwa.

Twórczość Dwurnika do pewnego momentu była rozpięta między niemalże wykluczającymi się malarskimi tradycjami Jana Matejki i Nikifora Krynickiego. To może najbardziej dziwaczne połączenie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Zarazem w przypadku Dwurnika dobrze działające i dające świetne efekty artystyczne. Wielkie formaty i wielkie tematy to dziedzictwo Krakowskiego Mistrza. Malarska technika, zaczerpnięta od krynickiego naturszczyka, świetnie się spisała w pracy nad niekończącym się cyklem „Podróży autostopem", realizowanym już od połowy lat 60. XX w. i kontynuowanym do dziś. Z jednej strony owe miejskie widoki, z drugiej znane cykle „Sportowcy" czy „Robotnicy" zapewniły artyście sławę, popularność i wysoką pozycję w świecie polskiej sztuki.



EDWARD DWURNIK, 2017 (FOT. JOANNA MIESZKO-NITA)

Z początkiem lat 90. rozpoczął poszukiwania nowych artystycznych obszarów, które mógłby zaanektować. Wtedy powstał cykl „Błękitne", z widokami morskich fal; a wkrótce potem rozpoczął przygodę z obrazami abstrakcyjnymi, które obecnie stanowią znaczącą część jego twórczości.

Wciąż poszukujący i otwarty na nowe pomysły i zjawiska, Edward Dwurnik pozostaje jednym z najbardziej niepokornych i nieprzewidywalnych polskich twórców.

BOGUSŁAW DEPTUŁA, KURATOR WYSTAWY

Na wystawie prace ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, Zachęty-Narodowej Galerii Sztuki, dra Piotra Ziajki, Bogusława Deptuły, Elżbiety Łebkowskiej, Piotra Gruszczyńskiego, Jarosława Topolewskiego i Marcina Brzezińskiego, Marii i Marka Pileckich, Joanny Opawskiej oraz od Artysty i kolekcjonerów prywatnych.

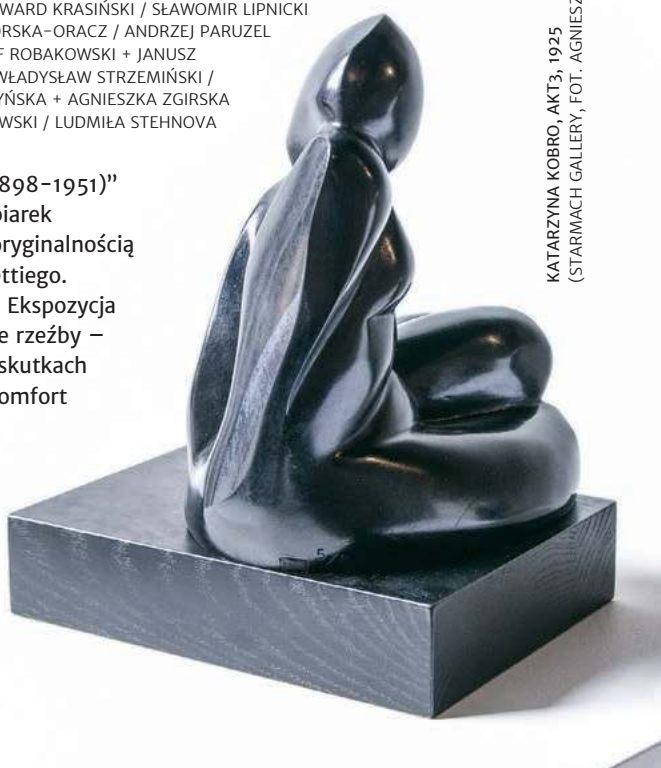
27 KWIETNIA – 15 SIERPNIA 2018

MEDYTACJE FIBONACCIEGO + sztruksowy zając | wobec Katarzyny Kobro (1898-1951)

KRZYSZTOF M. BEDNARSKI / JAN BERDYSZAK / JOSEPH BEUYS / GERHARD BLUM-KWIATKOWSKI / HANNA BRZUSZKIEWICZ / TATIANA CZEKALSKA + LESZEK GOLEC / WANDA CZEŁKOWSKA / WITOSŁAW CZERWONKA + LESZEK BROGOWSKI / NICOLAS GROSPIERRE / IZABELLA GUSTOWSKA / EMILIA GRUBBA / JERZY GRZEGORSKI / MARIA JAREMA / SYLWIA JAKUBOWSKA / ANNA + KRYSTIAN + KATARZYNA + KRYSTIAN JARNUSZKIEWICZ / KATARZYNA KOBRO / JAROSŁAW KOZAKIEWICZ / MONIKA KRYGIER / AURELIA MANDZIUK-ZAJĄCZKOWSKA + ALICJA KUJAWSKA / EDWARD KRASIŃSKI / SŁAWOMIR LIPNICKI + ANNA ZELMAŃSKA-LIPNICKA / ANDRZEJ MITAN / JERZY MIZERA + MAREK SAREŁŁO / ANITA OBORSKA-ORACZ / ANDRZEJ PARUZEL + MAŁGORZATA PARUZEL + PIOTR WEYCHERT / ROMAN PNIEWSKI / KATARZYNA PODPORA / JÓZEF ROBAKOWSKI + JANUSZ ZAGRODZKI / ROBERT RUMAS + ZBIGNIEW LIBERA / HENRYK STAŻEWSKI / MACIEJ SZAŃKOWSKI / WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI / STEFAN WEGNER / HENRYK WICIŃSKI / ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI / IWONA TEODORCZUK-MOŻDŻYŃSKA + AGNIESZKA ZGIRSKA + MATEUSZ SENKIEWICZ / DOBROCHNA SURAJEWSKA + ANDRZEJ KAROLEWICZ / WACŁAW SZPAKOWSKI / LUDMIŁA STEHNOVA / AGATA ZIELIŃSKA-GŁOWACKA / BOLESŁAW UTKIN

„MEDYTACJE FIBONACCIEGO + sztruksowy zając | wobec Katarzyny Kobro (1898-1951)" jest kontekstową wystawą przypominającą o jednej z najwybitniejszych rzeźbiarek współczesnych – Katarzynie Kobro, w 120. rocznicę jej urodzin. Rangą oraz oryginalnością dokonań jest porównywana do Constantina Brancusiego czy Alberta Giacomettiego. Jej twórczość to fenomen i punkt odniesienia dla innych wybitnych artystów. Ekspozycja przybliża filozofię społecznie zaangażowanej sztuki i myśli Kobro, szczególnie rzeźby – w czasoprzestrzenności najzupełniej pokojowej, delikatnej, o dobroczynnych skutkach w świecie, wprowadzających aspekt wyciszenia konfliktów międzyludzkich, komfort wizualny przestrzeni.

DR DOROTA GRUBBA-THIEDE – KURATORKA WYSTAWY



KATARZYNA KOBRO, AKT3, 1925 (STARMACH GALLERY, FOT. AGNIESZKA ZGIRSKA)

Prace ze zbiorów: Muzeum Narodowego w Krakowie, Starmach Gallery w Krakowie, Królikarni – Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego Oddziału Muzeum Narodowego w Warszawie, Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, Kolekcji Artystów, Rodzin Artystów, Kolekcji Antoniego Michalaka, Kolekcji Dariusza Bieńkowskiego, Kolekcji Krzysztofa Musiała, Kolekcji Prywatnych, Galerii Pola Magnetyczne + Fundacji Archeologii Fotografii w Warszawie, Centrum Sztuki Galerii EL w Elblągu + Fundacji Arton z Warszawy, Muzeum Okręgowego w Toruniu, Muzeum Sopotu.

REKLAMA

REKLAMA

FESTIWAL FILMOWY

15th Millennium DOCS against GRAVITY



fot. film "Księżyc dybuk. Polska/Niemcy 2017"

docsag.pl
FB/docsagainstgravity

11 — 26 MAJA 2018

WARSZAWA
WROCŁAW GDYNIA
LUBLIN BYDGOSZCZ

mecenas festiwalu: Millennium bank

organizator: Against Gravity

współfinansowanie

projekt współfinansowany przez Unię Europejską: Kreatywna Europa MEDIA

dofinansowano ze środków Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

współfinansowanie: FINA

projekt współfinansuje m.st. Warszawa

REKLAMA

Muzeum Narodowe w Gdańsku

ODDZIAŁ ZIELONA BRAMA
UL. DŁUGI TARG 24
80–828 GDAŃSK

PORTRET W GDAŃSKU

W XVI I XVII WIEKU

Kurator: dr Aleksandra Jaśniewicz

29.04 – 30.07.2018



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PARTNER MEDIALNY: TVP3 GDAŃSK

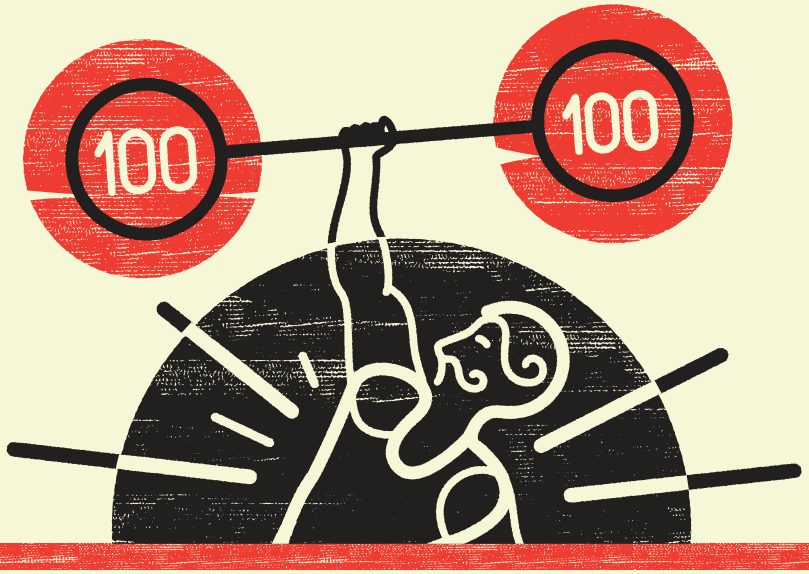
PATRONAT MEDIALNY: Pomorskie pomorskie.eu, trojmiasto.pl, inyour pocket, o.pl

GDAŃSK LECH WAŁĘSA AIRPORT

MECENAS PROGRAMU UPOWSZECHNIANIA I PROMOCJI SĄDU OSTATECZNEGO HANSA MEMLINGA

KULTURA DOSTĘPNA

metropolitalna Karta do Kultury



JACEK KRUPA, MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO, ZAPRASZA NA

XX MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

WOLNOŚĆ KRZEPI

19–20 maja 2018

TRASA KRAKOWSKA I

- Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie
- Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach

TRASA ZACHODNIA

- Kościół pw. Narodzenia NMP w Racławicach k. Olkusza
- Piec kręgowy w Płazie

WSTĘP WOLNY

dnidziedzictwa.pl

26–27 maja 2018

TRASA KRAKOWSKA II

- Kamienica Bujwidów w Krakowie
- Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej im. S. Staszica w Krakowie

TRASA WSCHODNIA

- Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze
- Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach
- Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach

Organizator:

małopolski instytut kultury MIK
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA MOJA WOLNOŚĆ

Patronat:

2018 EUROPEJSKI ROK DZIEDZICTWA KULTUROWEGO #EuropeForCulture

MŁYN
Jazz Festival Wadowice 5-7 Lipca 2018

Ósma edycja Młyn Jazz Festivalu, która odbędzie się w dniach 5-7 lipca, zadowoli chyba wszystkich fanów tej imprezy, a do Wadowic ponownie zjadą się miłośnicy jazzu, by zobaczyć i wysłuchać na żywo artystów reprezentujących różne oblicza tej muzyki.

Pierwszego dnia festiwalu wystąpi Marcus Miller, fenomenalny amerykański basista, kompozytor i aranżer, a także Eliane Elias, brazylijska pianistka jazzowa, aranżerka i wokalistka. Drugiego dnia usłyszymy Patti Austin i kilkunastoletniego pianistę - Joeya Alexandra. Gwiazdą wieczoru będzie wokalistka jazzowa, pianistka i gitarzystka – Melody Gardot. Ostatnie, sobotnie koncerty otworzy występ amerykańskiej wokalistki i pianistki uważanej za jeden z najciekawszych współczesnych głosów – Kandace Springs. Po niej na scenie Młyn Jazz Festivalu zagości Katie Melua, a na finał zagra fantastyczny pianista, kompozytor i wokalista Jamie Cullum. Poprzednie edycje swoją obecnością zaszczycili między innymi: Herbie Hancock, Chris Botti, John Scofield, Michał Urbaniak, Włodek Pawlik, Basia Trzetrzelewska i wielu innych znakomitych Artystów. Do zobaczenia w Wadowicach!

Szczegółowy program oraz sprzedaż biletów na www.mlynjazzfestival.eu


Melody Gardot

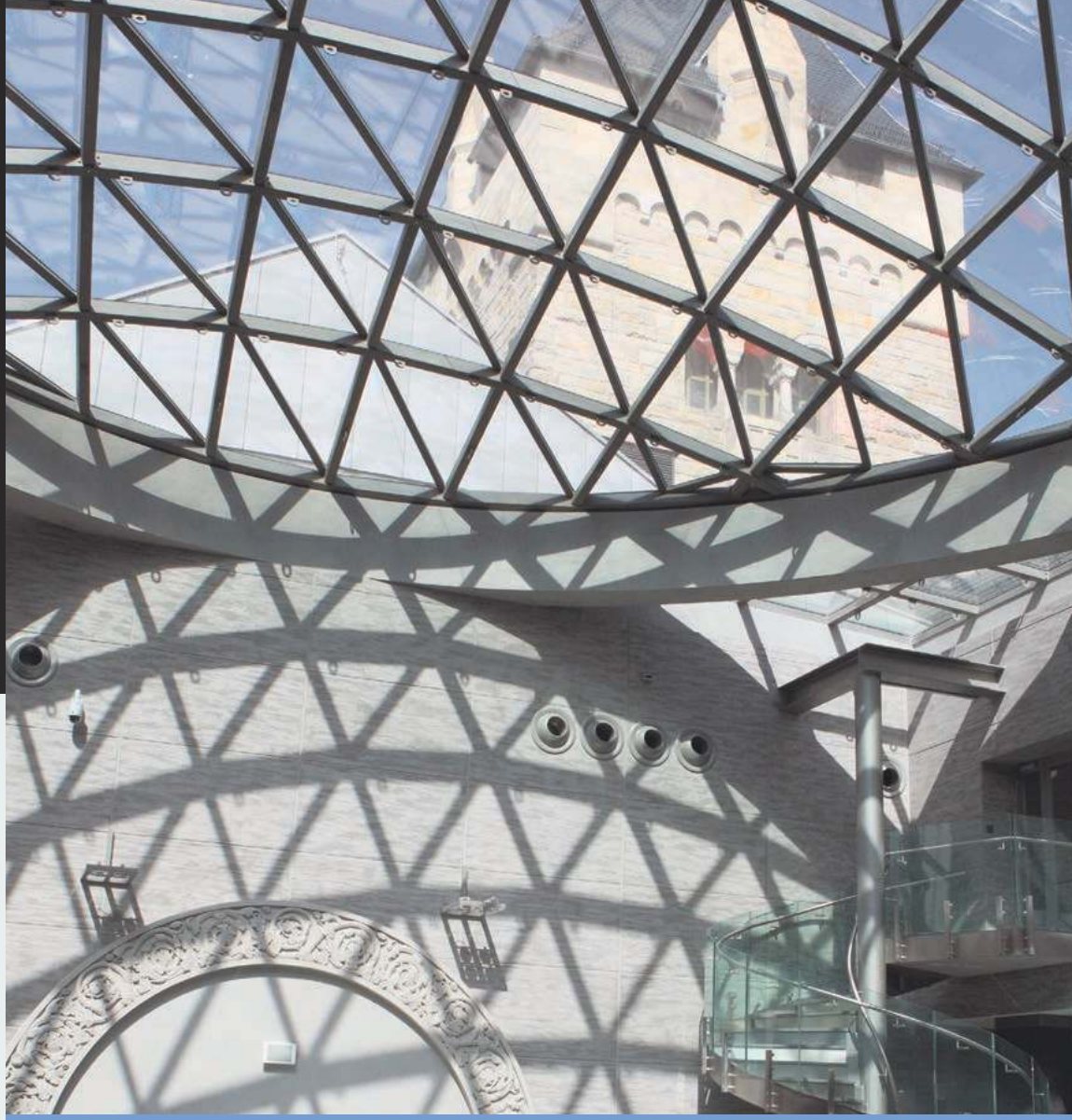

Katie Melua


Jamie Cullum


Marcus Miller

REKLAMA

CENTRUM
KULTURY
ZAMEK
POZNAŃ



CELEBRUJEMY KULTURĘ CODZIENNIE

Kilka razy do roku
wyprawiamy
jej prawdziwe święto!

TEATR POWSZECHNY
Program performatywny
8.05.2018 „touch_me”
kolektyw tanzbar_bremen
14.05.2018 „Wesele”
reż. Janusz Stolarski

WSPÓLNA
NIEDZIELA NA ZAMKU
13.05.2018

FESTIWAL FABUŁY
21—26.05.2018

FESTIWAL ETHNO PORT
7—10.06.2018

www.ckzamek.pl

POZnań

REKLAMA

POKUSY BOGA

O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI OP, TEOLOG:

Wiara nie jest podpisaniem umowy, w której wszystkie warunki są określone. Czasami jest zgodą na dramat, który – jeśli go zaakceptujemy – może okazać się oczyszczający.



ARTUR SPORNIAK: Czy Bóg wodzi nas na pokuszenie?

O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI: Co to znaczy „pokuszenie"? Łacińskie *tentatio* jest odpowiednikiem greckiego *peirasmon*, które w dosłownym tłumaczeniu znaczy „doświadczenie". Chodzi więc o sytuację próby, która oczywiście może też być pokusą. Jezus był kuszony przez szatana, który przedstawiał Mu pewne propozycje. Ale Biblia mówi także o tym, że lud wybrany kusił Boga na pustyni żądając jedzenia. „Niech nie twardnieją wasze serca jak w Meriba, jak na pustyni w dniu Massa, gdzie Mnie kusili wasi ojcowie, doświadczali Mnie, choć widzieli moje dzieła" – woła Bóg słowami Psalmu 95.

Czy pokusa nie jest próbą polegającą na nakłanianiu do zła?

To jedno ze znaczeń. We wstępie do Księgi Hioba mamy obrazowo przedstawioną debatę teologiczną – oto do tronu Bożego podchodzi także szatan, który w ówczesnej wyobraźni należał do istot mogących obserwować ludzi. Oskarża Hioba, że oddaje cześć Jahwe tylko dlatego, że dobrze mu się powodzi. I nakłania Boga, by wypróbował swojego wiernego sługę.

Kusi Boga?

Można tak powiedzieć. Bóg staje po stronie Hioba i odpowiada szatanowi: „Ja mu wierzę, on da radę. Masz – próbuj go!". I tu mamy właśnie próbę.

Dość straszną...

...która jednak dotyczy sprawy fundamentalnej dla każdego wierzącego. U Mistrza Eckharta znalazłem ciekawą uwagę, że bardzo wielu ludzi traktuje Pana Boga jak świeczkę, przy pomocy której szuka czegoś, co jest im potrzebne. I gdy to znajdą, świeczkę odstawiają na półkę. XIV-wieczny mistyk dzięki tej metaforze wskazuje na kryterium wiary prawdziwej, to znaczy takiej, w której Bóg jest Bogiem, a nie narzędziem, którym człowiek się posługuje.

Dla mnie przykładem próby jest wstrząsająca scena modlitwy Jezusa w Ogrójcu: „Ojcze, oddal ode mnie ten kielich, ale nie moja, lecz Twoja niech się dzieje wola". Kielich symbolizuje to niesłychanie trudne Jezusowe powołanie. Pojawia się trwoga – przecież bardzo ludzka! Jest to jakaś odpowiedź na Hioba.

„Nie takiego bowiem mamy Arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu" – mówi autor Listu do Hebrajczyków.

Doświadczenie, które dotknęło Jezusa, jest bogatsze niż tylko pokusa. Jeżeli papieżowi nie podoba się tłumaczenie Modlitwy Pańskiej „i nie wódź nas na pokuszenie" i proponuje jego zmianę, chodzi mu właśnie o to szersze rozumienie greckiego *peirasmon* jako doświadczenia czy próby.

Ciekawe, że nasz Jakub Wujek w swoim tłumaczeniu Biblii w scenie ofiarowania Izaaka mówi, że Bóg kusi Abrahama.

Udaje, że namawia do zła?

Nie. Pamiętajmy, że na owych ziemiach składano pierworodnych w ofierze, by zapewnić sobie przychylność bogów. Opowieść o ofiarowaniu Izaaka miała ewidentnie służyć zakazaniu tych ofiar. Oczywiście Wujek, mówiąc o kuszeniu Abrahama, ma na myśli wystawianie go na próbę. Jakie rzeczywiste miejsce w moim życiu zajmuje Bóg? Próba to pokaże. Czasem Bóg zdmuchnie tę świeczkę Eckharta.

Nie jest to jednak próba, jaka zdarza się w życiu. Nakaz zabicia dziecka jest czymś strasznym!

Na dodatek dotyczy ona obietnicy, którą Bóg sam złożył Abrahamowi, że jego potomstwo będzie liczne jak gwiazdy na niebie i że stanie się ojcem narodu wybranego. Ta próba dotyczy nie tylko ojcostwa Abrahama. Samo ojcostwo zostało mu podarowane jako znak nadziei dla narodu, który miał z tego ojcostwa powstać. Zatem Bóg zaprzecza sam sobie!

Chce mu odebrać to, co obiecał.

A może właśnie jest to ostateczny sprawdzian? Powołanie wyróżnia człowieka. Czy idziesz za powołaniem dlatego, że cię powołuje Bóg, czy dlatego, że jesteś wyróżniony? W żydowskiej tradycji dyskusji nad ofiarą Izaaka jest mowa o tym, że Bóg również Abrahamowi udowodnił, iż dzieci nie są „nasze". Dziecko nie jest niczyją własnością.

Gdyby próbować bronić Boga w tej biblijnej historii, to można by powiedzieć, że On przecież jest panem życia i śmierci – nie można Mu zatem czynić wyrzutu, że chciał śmierci Izaaka. Mamy tu do czynienia z paradoksem, który wynika z tego, że próbujemy Boga oceniać z ludzkiej perspektywy.

Religia nie jest bajeczką dla dzieci, głoszącą, że jak będziesz grzeczny, to wszystko będzie dobrze. Religia to opowieść o tym, że w świecie, w którym jest zło i dobro, człowiek został powołany do życia z Bogiem. Według pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju zerwanie pierwotnego przymierza z Bogiem w raju przez pierwszy grzech powoduje, że żyjemy na wygnaniu – w wyobcowaniu. Przymierze ma być odbudowywane, ale już we współpracy ze zranionym człowiekiem. Poza tym niebezpieczne jest przekładanie politycznych kategorii władzy i przemocy na Boga.

Raczej etycznych kategorii – czy przykazanie „nie zabijaj" nie jest absolutne? Bóg może nakazać zabić?

Bóg nie pozwolił zabić Izaaka. Wystawił na próbę Abrahama, sprawdzając, czy był gotów oddać to, co było dla niego najcenniejsze, czyli długo wyczekiwanego syna. Bóg dość brutalnie zapytał: Ja czy twój syn?

Jeden ze starożytnych komentarzy do tej biblijnej sceny mówi, że Abraham dał się do końca prowadzić Bogu, bo wiedział, że znajdzie On jakieś rozwiązanie. I się nie pomylił: zamiast Izaaka ofiarował baranka zaplątanego rogami „przypadkowo" w pobliskich zaroślach. Okazało się, że Bóg nie może sobie zaprzeczyć.

Ciekawie to komentuje współczesny filozof Jacques Derrida w eseju „Darować śmierć". Zwraca on uwagę, że to głos Jahwe ukształtował tożsamość Abrahama. Zatem usłuchanie Jego głosu było jedyną szansą dla Abrahama, aby mógł pozostać sobą.

Zgadzam się z tym. Trudno wyobrazić sobie większą próbę.

Myślę, że dlatego nas tak frapuje ta opowieść, bo coś mówi o Bogu. Ale gdy spojrzymy z perspektywy Izaaka, to mógł on zobaczyć w ojcu fanatyka religijnego.

Pod warunkiem, że przykładamy nasze postmodernistyczne miary. ↦

Caravaggio „Ofiarowanie Izaaka" (1596), kolekcja prywatna

DOMENA PUBLICZNA

↦ **Tak patrzył już Kierkegaard.**

Pamiętajmy, że duński filozof-romantyk zmagał się z surowym Bogiem protestanckim. Protestantyzm ma to do siebie, że relację między człowiekiem a Bogiem przedstawia bardziej dramatycznie. My, katolicy, chowamy się w spowiedź, sakramenty, Matkę Bożą i próbujemy rozładowywać napięcie spowodowane niewspółmiernością Boga i człowieka.

Spowiadam już wiele lat i mam świadomość, jak wielki jest to sakrament, ale spotykam też ludzi, którzy traktują spowiedź jako proste załatwienie nieumiejętności radzenia sobie z samym sobą.

Zresztą Kierkegaard tekst o ofiarowaniu Izaaka w „Bojaźni i drżeniu" traktował też jako polemikę z własnym Kościołem. Pastor powie kazanie o ofierze Abrahama, po czym wraca spokojnie do domu i je obiad, który mu żona ugotowała. Tymczasem stajemy tutaj wobec jakiejś wielkiej tajemnicy – wręcz grozy! Gdy Bóg wkracza w rzeczywistość ludzką, nie jest mitologicznym tworem przychodzącym, by wszystko zagłaskać.

Współcześnie mamy tendencję do łagodzenia rzeczywistości – także religijnej. Nie opowiadamy dzieciom bajek braci Grimm, bo są zbyt straszne. Straszna też się nam wydaje opowieść o ofiarowaniu Izaaka. A ona pokazuje, że w relacji z Bogiem może nadejść czas próby. Zresztą – jak już wspomniałem – obustronnej. Izraelici trafili do niewoli babilońskiej, bo wystawiali cierpliwość Boga na próbę.

Jak mówi prorok Ozeasz: „On to nas pobił, On ranę przewiąże".

Ozeasz mówi w imieniu Boga: miłości chcę, nie ofiary, a wyście chcieli się wykręcić taką intensywną kultyczną religijnością – nie o to mi chodzi, chcę głębokiej relacji! W dojrzewaniu do głębokiej wiary mogą zdarzyć się „pobicia" dla otrząśnięcia się. Apostołowie też byli pobici śmiercią Jezusa.

Trzeba wyrosnąć z obrazu Boga jako kochającego ojca?

Zastanówmy się, czy nie mamy zbyt sentymentalnego rozumienia miłości.

Takie rozumienie jest ponętne...

Bo jesteśmy ludzikami, którzy zamiast Boga chcą mieć świeczki. A życie jest ciemne. Często stawia nas przed koniecznością wyboru, za który musimy brać odpowiedzialność. Abraham mógł powiedzieć „nie" – był wolny. Ale czy wtedy stałby się ojcem naszej wiary?

Świecki biblista Michał Wilk idzie jeszcze dalej: „Żądaniem ofiary z Izaaka Bóg kwestionuje całe religijne doświadczenie patriarchy, a tym samym kwestionuje... samego siebie. W swej duchowej wędrówce patriarcha wkracza w etap zwany ciemną nocą wiary".

W ciemności zawierza Bogu. Jego ciemność polega na tym, że dla niego Bóg obietnicy przedstawia się jako Bóg kłamstwa. Próba na miarę wielkości wiary Abrahama. My z tego rozumieć możemy tyle, że wiara polega na zaufaniu, które się sprawdza w trudnych momentach. Albo możemy uciec w pobożność: „Kiedy Ojciec zagniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze". U Kierkegaarda tego nie ma.

Św. Paweł mówi o Abrahamie, że poszedł nie wiedząc, dokąd zmierza. W wierze jest moment zawierzenia, kiedy nie wiemy, dokąd wiara zmierza. Wiara nie jest podpisaniem umowy, w której wszystkie warunki są określone. Czasami jest zgodą właśnie na dramat, który – jeśli go zaakceptujemy – może okazać się oczyszczający.

W porządku, jeśli ów dramat odbywa się na forum wewnętrznym między człowiekiem i Bogiem. Zwykle jednak dotyka on także innych ludzi – np. Izaaka.

Komentatorzy dopowiadają, że gdy Izaak zapytał: „Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie?" i Abraham mu odpowiedział: „Bóg upatrzy sobie jagnię na całopalenie", chciał powiedzieć: „ufaj Bogu, tak jak i ja ufam".

Przerażenie Izaaka, tak wstrząsająco odmalowane przez Caravaggia w scenie ofiarowania, wskazuje, że na niewiele się to zdało.

Jednak wolę postrzegać tę opowieść w poetyce greckiej tragedii niż psychologicznych rozważań.

Wracając do „wodzenia na pokuszenie" przez Boga, mamy w Piśmie Świętym stwierdzenia, które mu zaprzeczają. Np.: „Kto doznaje pokusy, niech nie mówi, że Bóg go kusi. Bóg bowiem ani nie podlega pokusie ku złemu, ani też nikogo nie kusi. To własna pożądliwość wystawia każdego na pokusę i nęci" (Jk 1, 13). Papież prawie dokładnie powtórzył te słowa.

Przepraszam, gdy jednak Jezus zapowiadał swoją śmierć, niejaki Piotr poszedł do niego i powiedział: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie". Za co został nazwany szatanem, czyli kusicielem. Jezus był kuszony nie tylko na pustyni przez szatana, ale także przez ludzi.

No ale: „Wierny jest Bóg i nie pozwoli kusić was ponad to, co potraficie znieść, lecz zsyłając pokusę, równocześnie wskaże sposób jej pokonania, abyście mogli przetrwać" (1 Kor 10, 13).

I tu jest cały sens wezwania z Modlitwy Pańskiej: Panie, proszę, nie wystawiaj mnie na próbę, bo nie wiem, czy dam radę!

Jeśli Bóg nie pozwala kusić nas ponad to, co potrafimy znieść, skąd nasze ciągłe upadki?

W opowieści o ofiarowaniu Izaaka stajemy wobec Bożej grozy. Gdy Bóg wkracza w rzeczywistość ludzką, nie jest mitologicznym tworem przychodzącym, by wszystko zagłaskać.

Według Mistrza Eckharta wielu ludzi traktuje Boga jak świeczkę, przy pomocy której szuka czegoś, co jest im potrzebne, a gdy to znajdzie, odstawia ją na półkę. Czasem Bóg sam gasi tę świeczkę.



GRAŻYNA MAKARA

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI jest dominikaninem, filozofem religii, historykiem sztuki. Kiedyś – opiekun legendarnego duszpasterstwa akademickiego „Beczka" i nieformalny duszpasterz Studenckiego Komitetu „Solidarności"; dziś – wychowawca kilku pokoleń „dwunastkowiczów" (uczestników mszy sprawowanej co niedzielę w południe w krakowskim kościele dominikanów).

Bo nie potrafimy skorzystać z ręki, którą do nas wyciąga. Po prośbie „i nie wódź nas na pokuszenie" następuje prośba: „ale nas zbaw od złego". Obie należy czytać razem – nie wolno rozdzielać: jeśli spotykają nas próby, Bóg wybawia nas od nich. Jeżeli tylko zechcemy skorzystać z Jego pomocy.

Jezus sam nas uczy, by zwracać się do Boga „Ojcze", jak do kogoś bliskiego – grozy tu nie ma.

Ale to nie znaczy, że nie będziemy poddawani próbom. Powiem banalnie: życie jest nieustanną próbą. Jest oczywistością, że prędzej czy później przyjdzie jakaś choroba, człowiekowi załamią się plany życiowe, itd. Nie chodzi tylko o grzech.

A jak czytać kuszenie Jezusa na pustyni?

To tekst, w którym odrzucony jest pewien – chciałoby się powiedzieć: szatański – obraz mesjanizmu. Mesjasz to władca zdecydowany i silny, ale jednocześnie człowiek pokoju – wszędzie wprowadza ład, porządek, trójpodział władz i pokój zaczyna panować nad całym światem. Wszyscy są szczęśliwi.

Gdy próbujemy poukładać: Boga, świat, grzech, cierpienie, zło – to musimy wyjść poza naszą perspektywę i wprowadzić tego tajemniczego trzeciego. Niezbędnym do układanki okazuje się szatan. Pokazuje to właśnie Księga Rodzaju.

Skąd się wziął wąż w raju? A ostatecznie skąd zło? Starożytna interpretacja jest taka, że to odpowiedź pychy, która nie chciała uznać Boga. „Będziecie jako bogowie znający dobro i zło" – mówi wąż do Ewy. Z tym, że termin „znać" nie mówi o stanie wiedzy, tylko o decyzji, czyli: będziecie decydujący o tym, co dobro, a co zło. Myślę, że najlepszym traktatem demonologicznym są „Listy starego diabła do młodego" C.S. Lewisa.

Dlaczego?

Bo Lewis pokazuje działanie diabła we współczesności i dobrze uchwytuje intuicję pychy: jak Nieprzyjaciel może tak kochać te dziwne, śmieszne, głupie stworzenia zwane ludźmi? I stąd bunt: to, co myśmy mieli dziedziczyć, przekazał tym nieowłosionym małpom!

Inna interpretacja – przedstawiona przez św. Bonawenturę – jest taka, że Bóg szatanowi pokazał jako najwyższe stworzenie kobietę – Maryję – i to go tak wściekło.

Innymi słowy nasza mała historia zanurzona jest w jakichś Bożych zmaganiach z siłami, których nie rozumiemy. Naszym zadaniem jest ufać pomimo wszystko.

Na tym polega religijne spojrzenie na świat i życie. Wchodzisz w zastany świat i masz zmierzyć się z próbą swojego życia. Ale nie zostajesz sam – to jest bardzo ważne. Modlitwa „Ojcze nasz" jest odmawiana przez tego, który jest przekonany, że Bóg jest potężniejszy niż pokusa i zło.

Ale zdaje się, że polscy biskupi nie chcą zmieniać „i nie wódź nas na pokuszenie"?

Tłumaczą, że ponieważ Watykan tego nie żąda, nie będą się w to angażować. W Polsce mamy ciekawą sytuację – mszał posługuje się tłumaczeniem „i nie wódź nas na pokuszenie", natomiast Liturgia Słowa za Biblią Tysiąclecia używa „i nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie". Możemy zatem oba tłumaczenia usłyszeć podczas tej samej mszy.

Jaki byłby z tego wniosek? Mnie nie przeszkadza pierwsza wersja, pod warunkiem, że „pokuszenie" będziemy rozumieć szerzej, jako sytuację próby. Czyli stanięcia przed wyborem, który spowoduje rozmaite trudności.

Po to, żebym dojrzał...

...i potwierdził wyborem wiarę nie tylko jako zadeklarowaną, ale taką, z której wynikają decyzje życiowe.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



ARCHIWUM KSPIPP KRAKÓW

Hanna Chrzanowska w Krakowskiej Szkole Pielęgniarek, lata 50. XX wieku

Pani Hanna

DOROTA BIDZIŃSKA

Opieka w domu czy wolontariat: to, co w czasach wynoszonej właśnie na ołtarze Hanny Chrzanowskiej było nowatorskie, dziś jest standardem. Standardem wciąż nie jest dostrzeganie w chorym człowieka.

Zobaczyłam go na Grodzkiej. Bardzo szczupły i wynędzniały. Miał na sobie garnitur, ale bez koszuli, samą marynarkę. Buty bez skarpetek. Te buty tak strasznie człapały! Zatrzymałam się i zaczęłam go obserwować, a potem poszłam za nim – opowiada Jadwiga Kracik. – Myślę, że to pani Hanna Chrzanowska mnie tego nauczyła: zauważać i w miarę możliwości reagować.

Nie jestem hrabiną

Kraków, lata 50. Hanna Chrzanowska razem ze swoimi współpracownicami i uczennicami z kursu pielęgniarstwa domowego w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarsko-Położniczej przemierza miasto w poszukiwaniu chorych, którzy potrzebują pomocy. Znajduje ich w ciemnych oficynach, brudnych pokojach pozbawionych wygód, często samotnych i zaniedbanych. Każdego opisuje krótko w swoim dzienniku: „Psychicznie chora w ciemnej norze bez okna, dziury w podłodze, rozwalone kraty, kopcący piecyk, barłóg zasłany łachami. Wchodzimy – nic nie widać przez dym, tylko rzuca się na nas pies. Po chwili dostrzegamy na barłogu stwora z włosami na jeża, z twarzą dosłownie czarną od brudu. Cała w strupach. Jedyne ogrzewanie zimą – to pies na barłogu. Chora co jakiś czas żywiona »przez ludzi«, rodziny nie ma, tylko brata poza Krakowem, który o siostrę nie dba. Tak całymi miesiącami. Pielęgniarka znalazła ją przypadkiem. Przenosimy do zakładu. Umiera w krótkim czasie”.

Chrzanowska dobiega wówczas pięćdziesiątki. Pierwsze doświadczenia w pielęgniarstwie zdobywa jako niespełna dwudziestolatka, opatrując rannych w czasie wojny polsko-bolszewickiej. „Jaki był powód, że zostałam pielęgniarką? – pisze. – Różni mędrcy z »dzisiejszej rzeczywistości« mówią tak: dawne pielęgniarki – dawne to znaczy przedwojenne, burżuazyjne – to były albo hrabiny, albo... zawiedzione w miłości. Że nie jestem hrabiną, powszechnie wiadomo, a co do tej miłości – to wierzcie mi na słowo, że nie”.

Wzorem jest dla niej ciotka, Zofia Szlenkierówna, pielęgniarka, która ze spadku po rodzicach ufundowała w Warszawie szpital dziecięcy. Chrzanowska pochodzi bowiem z zamożnej, inteligenckiej rodziny. Ojciec, Ignacy Chrzanowski, był profesorem filologii polskiej na UJ, przodkowie matki – przemysłowcami, zaangażowanymi w działalność filantropijną. Wybór mało prestiżowego zawodu budził nieraz krytyczne opinie otoczenia, ale ze strony rodziców Hanna otrzymuje wyłącznie wsparcie.

W dwudziestoleciu międzywojennym Chrzanowska redaguje „Pielęgniarkę Polską” – pierwsze w Polsce zawodowe pismo dla pielęgniarek – i bierze udział w przygotowaniu ustawy o pielęgniarstwie. Podczas okupacji angażuje się w działalność Rady Głównej Opiekuńczej. Po wojnie wyjeżdża na stypendium do USA, gdzie poznaje pielęgniarstwo domowe. Wiedzę i doświadczenie z Ameryki przekazuje później kursantkom Uniwersytec-

kiej Szkoły Pielęgniarsko-Położniczej. To w ramach jej praktyk razem z uczennicami odwiedza w domach najbardziej potrzebujących.

„Odkryłam kiedyś chorą tak brudną i zapchloną, że można było te pchły, nawet mało ruchliwe, zbierać garściami – zapisuje we wspomnieniach jedna z najbliższych współpracownic Chrzanowskiej, Alina Rumun. – Przygotowałam najpierw świeżą bieliznę dla chorej, a z Cioteczką [tak nazywali Chrzanowską ludzie z jej otoczenia] umówiłam się, o której godzinie zjawię się u niej. Miała przygotować dla mnie kąpiel, czystą bieliznę i sukienkę. Po doprowadzeniu chorej mniej więcej do porządku i zgarnięciu warstwy pcheł ze swoich nóg, pomykając przez ulice dotarłam wreszcie na ul. Łobzowską i zadzwoniłam. Cioteczka otworzyła drzwi, potem łazienkę i tak jak stałam, weszłam od razu do wanny, żeby te pchły zatopić. Byłyśmy bardzo przejęte tą nieszczęsną chorą. Ale i śmiechu było co niemiara”.

– Ten mężczyzna z Grodzkiej... Okazało się, że on też był kiedyś podopiecznym pani Chrzanowskiej i Aliny Rumun – mówi Jadwiga Kracik. – Kiedy jego stan się polepszył, uznał, że nie potrzebuje już dalszej pomocy.

Przyjaźń na lata

Chorych przybywa. Brakuje rąk do pracy. Hanna Chrzanowska zostaje dyrektorką nowo powstałej Szkoły Pielęgniarstwa Psychiatrycznego w Kobierzynie, a rok później, po niespodziewanej likwidacji placówki, przechodzi na wcześniejszą emeryturę. Nowe okoliczności traktuje jako szansę, by jeszcze bardziej zaangażować się w pomoc chorym w domach.

Szuka wsparcia u ks. Karola Wojtyły, a ten kieruje ją do ks. Ferdynanda Machaya, proboszcza parafii mariackiej. Na spotkanie zabiera swoją najskuteczniejszą broń – dramatyczne historie swoich podopiecznych.

„Niechby odmówił! Niechby nie pojął! – notuje. – Przygotowałam w sobie na ten wypadek mnóstwo strzał – zamieniłam się cała w kołczan. Przedstawiłam mu krótko i węzłowato sytuację chorych. Brak istnienia pielęgniarstwa domowego w ramach służby zdrowia. Okaleczałą placówkę szkoleniową. Konieczność zaangażowania przez proboszcza stałej, płatnej opiekunki chorych. Wielki, siwy, patrzył na mnie spokojnymi oczyma, które potem były tak biedne, a wtedy jeszcze zdrowe. Tak! Zagadnienie chorych jest mu znane jeszcze z parafii Najświętszego Salwatora. Rozumie. Potem rzeczowo: »1000 zł miesięcznie wystarczy?«. – Wystarczy – potaknęłam olśniona”.

Idea pielęgniarstwa parafialnego rozlewa się na krakowskie i podkrakowskie parafie. W pierwszym roku, 1957, opieką objętych jest 25 chorych, w 1958 – 69, w 1960 – 177, w 1969 – już 485.

– Obecnie w naszej parafii stałą opieką w domach objęte jest 30 osób – opowiada s. Milena ze Zgromadzenia Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego de Saxia, która zajmuje się chorymi w parafii mariackiej. – Niektóre wymagają pielęgnacji, innym przynosimy zakupy, robimy drobne porządki, dostarczamy obiady, zapewniamy opiekę duszpasterską: spowiedź, msze w domach, komunię, wyjazdy na rekolekcje. Przede wszystkim służymy czasem, towarzyszymy, rozmawiamy. Ogromnym problemem tych osób jest samotność. Często robią wszystko, wymyślają różne preteksty, żeby tego, kto do nich przyszedł, zatrzymać jak najdłużej.

Dla Chrzanowskiej opieka nad chorymi to nie tylko zmiana opatrunków, toaleta i pielęgnacja. Zawsze stara się dbać o samopoczucie podopiecznych.

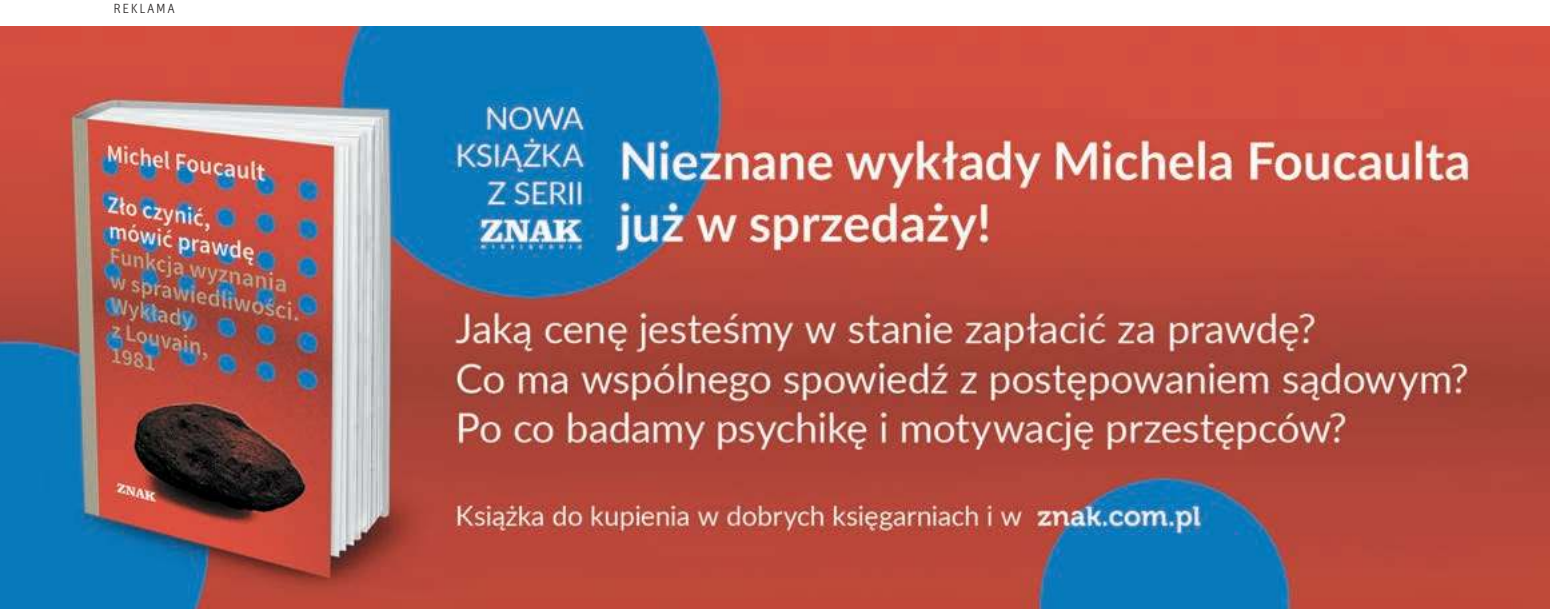
– Na wiosnę przynosiła mi pęk polnych kwiatów, zerwanych przez nią na niedzielnej wycieczce – wspominała jedna z pacjentek, pisarka Janina Hertz. – Mało tego, cieszyła się, gdy miałam nową sukienkę, tak po kobiecemu oglądała ją.

Do zespołu Chrzanowskiej szybko dołączają studenci z prowadzonego przez ks. Adama Bonieckiego duszpasterstwa akademickiego przy kościele św. Anny. Brakuje im umiejętności wykwalifikowanej pielęgniarki, ale mogą dać chorym coś innego: młodszym pomóc w nauce, starszym poczytać gazetę, wprowadzić w świat chorego trochę radości i entuzjazmu.

– Pamiętam, jak przyszła do nas na spotkanie. Skromna i elegancka, w brązowym płaszczu i kapeluszu – wspomina Krystyna Kluz, wówczas studentka socjologii. – Mówiła w sposób bardzo konkretny i rzeczowy. Przestrzegała, że nie możemy kierować się tanimi emocjami. Jeśli zdecydujemy się na pomoc, musimy wziąć na siebie odpowiedzialność, nie możemy potem tych chorych pod byle pretekstem zostawić.

– Zawsze kiedy pojawiały się jakieś trudności, mogliśmy się zwrócić do pani Chrzanowskiej – opowiada ks. Łukasz Kamykowski. – Przyszedłem do niej kiedyś, nabuzowany, w sprawie jakiegoś konfliktu, o którym miałem relację tylko jednej ze stron. Wysłuchała mnie i zapytała łagodnie, czy wiem, jak wygląda ↦

REKLAMA





ARCHIWUM KSPIPP KRAKÓW x 2



Powyżej : w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek. Pierwsza z lewej Hanna Chrzanowska. W środku siedzi (w czarnym stroju) Maria Epstein. Kraków, lata 1926-1929.

Pielęgniarka parafialna w domu chorego. Kraków, lata 60. XX w.

↦ perspektywa drugiej strony. Nigdy tego nie formalizowała, ale jej postawie przyświecało przekonanie, że Pan Bóg ma już rozwiązanie danego problemu, a naszym zadaniem jest tylko przyjrzeć się sprawie i go poszukać. W takiej atmosferze łatwiej było ugasić emocje i dojść do dobrej rady.

– Odwiedzałam dwie siostry, które mieszkały po sąsiedzku przy ul. Kordeckiego – opowiada Krystyna Kluz. – Zawsze strasznie narzekały na siebie, choć bez wątpienia kochały się bardzo. Najpierw opiekowałam się jedną: myłam jej naczynia, co wcale nie było takie łatwe, bo w mieszkaniu nie było bieżącej wody, przynosiłam zakupy, chodziłam z nią na spacery. Dość szybko zmarła. Wtedy zaczęłam odwiedzać jej siostrę. Była niezwykle egzaltowana, czasem opowiadała niestworzone historie, ale nie sposób jej było nie lubić. Zaprzyjaźniłyśmy się na wiele lat. Później, kiedy wyszłam za mąż i urodziłam dziecko, uszyła na chrzest małą kołderkę.

Także dziś w wielu parafiach pomoc chorym opiera się na wolontariacie.

– Jest u nas grupa młodzieżowa PanAMA – opowiada s. Milena. – Licealiści i studenci chętnie odwiedzają chorych. Początkowo mieli chyba sporo obaw. Kiedy pierwszy raz to zaproponowałam, odpowiedziała mi głucha cisza. Ale tak się złożyło, że akurat były święta i pomogli mi roznosić paczki do chorych. To przełamało lody. Zrobili listę z dyżurami. Zaangażowali się.

– Na terenie naszej parafii mieszka dużo osób starszych. Budowali Nową Hutę i przeprowadzili się tu do pracy – opowiada o. Augustyn Piotr Spasowicz, proboszcz prowadzonej przez cystersów parafii Matki Bożej Częstochowskiej na os. Szklane Domy. – Każdy z ojców ma jedno osiedle, na którym odwiedza chorych. Ja chodzę do 47 osób. Jest też niewielka grupa wolontariuszy, dorosłych. To nowa inicjatywa. Jednak wielu staruszków odmówiło odwiedzin. Trudno im komuś zaufać. W naszej parafii dużo było oszustw „na wnuczka". Boją się, są pozamykani.

– Czasem przypominają nam się czasy Hanny Chrzanowskiej – śmieje się s. Milena. – Nasi parafianie mieszkają głównie w kamienicach, bez wind. Ostatnio, przy okazji obchodów Dnia Chorego, znosiliśmy niektóre osoby na wózkach na mszę i poczęstunek w parafii. Trochę się namęczyliśmy, ale ile było radości! Jedna z pań była początkowo niechętna, nie chciała wokół siebie zamieszania. „Siostro, to już niepotrzebne" – mówiła. Nasza młodzież zabrała ją przy okazji na przejażdżkę wokół Rynku. Była taka szczęśliwa. Równocześnie przekonała się, że dla naszych wolontariuszy to także radość. Ostatnio, gdy byłam u niej, uśmiechnęła się: „Siostro, to nie było moje ostatnie wyjście". Już się umówili, że zabiorą ją do muzeum.

Odrobina szaleństwa

W 1964 r. Hanna Chrzanowska organizuje pierwsze wczaso-rekolekcje dla chorych. W Trzebini, w piętrowym domu księży salwatorianów – bez windy, za to z dużym ogrodem. Do organizacji angażuje nielicznych wówczas właścicieli samochodów, którzy wożą chorych, nieraz wielokrotnie w ciągu jednego dnia pokonując trasę Kraków–Trzebinia.

– W jej dziennikach zachował się m.in. taki zapis: „Pan prof. Boczar kupił nowy samochód. Czterodrzwiowy!!!" – opowiada Helena Matoga, pielęgniarka, wicepostulator w procesie beatyfikacyjnym Chrzanowskiej. – Te trzy wykrzykniki pokazują, jakie to było dla niej ważne.

W pomoc angażują się też studenci.

– Na rekolekcjach potrzebni byli młodzi ludzie, którzy by tych chorych myli, karmili, wozili na spacery, po prostu z nimi byli – opowiada Jadwiga Kracik. – Ja tych ludzi znajdowałam, prosiłam, a czasem nawet przymuszałam, jeśli prośby nie działały. Wiedziałam, że to jest ważne i że bez tego cała inicjatywa nie będzie mogła się odbyć.

– Któregoś roku zdecydowałem się pojechać na te rekolekcje – wspomina ks. Łukasz Kamykowski. – To chyba tam odkryłem, na czym polega bogactwo różnorodności Kościoła. Były tam i siostry zakonne, i osoby świeckie, młodzi i starzy, zdrowi i chorzy. Wszyscy żyli w jedności. Miałem poczucie, że uczestniczę w czymś wyjątkowym. Kiedyś wracałem z Trzebini pociągiem z o. Leonem Knabitem. Zagadnął, że to chyba musi być dla mnie trudne doświadczenie. Zaprzeczyłem: „Nie, to jest piękne!".

– Owszem, było tam dużo cierpienia, ale też dużo radości. Wygłupialiśmy się, robiliśmy wycieczki, wyścigi na wózkach – tłumaczy Stanisław Kracik, dziś dyrektor Szpitala im. Babińskiego, kiedyś jeden z wolontariuszy. – Pewnego dnia, kiedy chorzy siedzieli na krzesłach przed domem w Trzebini, odwiedził nas pewien ksiądz. Przywiózł buteleczki z wodą z Lourdes. Wśród siedzących na krzesełkach był pan Tadziu, po chorobie Heinego-Medina, który jak się dobrze rozbujał, to był w stanie kawałek przejść i nawet wspiąć się po schodach. Ksiądz rozdaje te buteleczki, a Tadeusz nagle poczuł potrzebę, żeby wstać, i biegnie przez podwórko. Wszystkie staruszki w krzyk: „Cud! Cud! On chodzi!". Strasznie się śmialiśmy, a najgłośniej sam Tadeusz.

Innym razem, zimą, zabrali jedną z przyjaciółek, chorą na zanik mięśni, sankami, owiniętą w kożuch, na Markowe Szczawiny.

– Trzeba było widzieć jej radość! I cóż z tego, że się tak strasznie zgrzaliśmy. Oni potrzebowali tej odrobiny szaleństwa – mówi Stanisław Kracik.

Dr Julia Klinowska, która woziła chorych do Trzebini, zapamiętała mężczyznę, który nagle się rozpłakał. Kiedy zapytała, co się stało, odpowiedział: „Pani doktor, ja przez 10 lat nie widziałem deszczu".

– Sytuacja osób niepełnosprawnych w porównaniu z tamtymi czasami bardzo się zmieniła – mówi Grzegorz Sotoła, prezes Kliki, czyli Katolickiego Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych i Ich Przyjaciół. – Ale wciąż pojawiają się nowe marzenia, które dzięki pomocy pełnosprawnych kolegów stają się możliwe do spełnienia. Jest w naszym stowarzyszeniu sparaliżowany chłopak, który komunikuje się ze światem za pomocą specjalnej tablicy: wskazuje na niej litery mrugnięciem powiek. Jego wielkim marzeniem była wspinaczka górska. Nasi wolontariusze zrobili specjalne nosidło, na którym wnieśli go na Sławkowski Szczyt, na wysokość 2452 m n.p.m.

Potrzeby osób z niepełnosprawnością i bariery, które się przed nimi pojawiają, są mocno zróżnicowane. W Stowarzyszeniu jest mężczyzna, który, jak się okazało – przez zaniedbania przychodzących do niego nauczycieli – nigdy nie nauczył się czytać ani pisać. Ale jest też młoda dziewczyna, która rozpoczęła studia i dzięki wsparciu wolontariuszek może spokojnie dojeżdżać na weekendowe zjazdy.

– Na każdego patrzymy indywidualnie. Coraz rzadziej problemem są bariery architektoniczne, zmienia się też świadomość społeczna. Nadal jednak największym problemem jest samotność, poczucie bezsilności, potrzeba bliskości i przyjaźni – mówi Sotoła. Dziś jej brak najbardziej doskwiera mieszkańcom DPS-ów: – Kiedy wyjeżdżamy na wakacje, rozpaczliwie chwytają się każdego dnia, nie chcą wracać.

Właśnie dla takich osób Stowarzyszenie buduje Dom Klikowicza: miejsce, gdzie osoby niezdolne do samodzielnego życia będą mogły mieszkać wraz z opiekującymi się nimi wolontariuszami. Trwa zbiórka funduszy na ten cel.

Jeśli nie świętość

– Dzień był paskudny – opowiada ks. Łukasz Kamykowski. – Staliśmy wielką grupą na trawniku przed kościołem karmelitanek na ul. Łobzowskiej, czekaliśmy na kard. Wojtyłę. Za chwilę mieliśmy pożegnać panią Hannę Chrzanowską. Nagle niebo wypogodziło się, jakby Bóg dawał nam znak. Pomyślałem wtedy, że jeśli ona nie jest święta, to ja już zupełnie nie wiem, co to znaczy być świętym. Potem przyszedł kardynał i wygłosił długie kazanie, z którego już dziś nic nie pamiętam, oprócz tego, że znalazłem w nim potwierdzenie tej nagłej myśli.

– Pani Hanna nigdy nie epatowała religijnością – mówi Stanisław Kracik – nie obwieszała się krzyżykami. Myślę, że te wszystkie uroczystości wokół beatyfikacji – znając jej poczucie humoru – ogromnie by ją bawiły.

Powtarzała, że pielęgniarka nie może robić sobie z chorego „drabinki do nieba". Wielokrotnie przestrzegała też, by pobożnym językiem nie trywializować cierpienia chorych, by uszanować ich bunt wobec choroby, lęk przed śmiercią. „Dziwna rzecz, że ludzie, nawet bardzo wierzący w życie przyszłe, wcale się do niego nie wyrywają – pisała. – Dziwna rzecz? Może nie, bo życie jest tak wspaniałym darem, że się go wyrzec nie chcemy, przecież do życia, nie do śmierci stworzył Pan Bóg pierwszego człowieka".

© DOROTA BIDZIŃSKA

Specjalny serwis o Hannie Chrzanowskiej dostępny na **powszech.net/chrzanowska**

REKLAMA



Protestant na mszy u katolików

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Czy ostry spór w niemieckim episkopacie o komunię dla niekatolików w małżeństwach mieszanych będzie miał wpływ na reformy Franciszka?

Kilkanaście lat temu pomagałem w pracy duszpasterskiej w jednej z monachijskich parafii. Wśród wiernych uczęszczających na mszę była rodzina z trójką dzieci, gorliwie przystępująca do komunii. Któregoś dnia ojciec rodziny zagadnął mnie i wyznał, że jest protestantem, ożenionym z katoliczką, od dawna jednak przychodzi na niedzielną liturgię do katolickiego kościoła. Zorientowałem się, że miał świadomość czynienia czegoś może nie wbrew, ale z pewnością obok „dyscypliny sakramentalnej". Oczekiwał przyzwolenia ze strony Kościoła.

Takie kazusy są rzadkie w polskim Kościele. Jednak w Niemczech katolicy i protestanci stanowią odpowiednio 29 proc. i 27 proc. Pamiętajmy też, że jedynie co dziesiąty katolik niemiecki regularnie chodzi do kościoła...

Od ekskomuniki do dyspensy

Od czasów reformacji podejście do małżeństw mieszanych w Niemczech ewoluowało: od absolutnego zakazu i zagrożenia ekskomuniką, przez możliwość papieskiej dyspensy (rzadko udzielanej), aż po obowiązujący do dzisiaj „zakaz z możliwością" dyspensy biskupiej. Kanony obowiązującego od 1983 r. Kodeksu Prawa Kanonicznego (1124–1129) regulują procedury gwarantujące *stricte* katolicki charakter zawieranego małżeństwa i zakładanej rodziny. Kanon 1128 nakłada na ordynariusza i duszpasterzy obowiązek troski o katolicki charakter rodzin mieszanych oraz wspierania małżonków „w utrwalaniu jedności życia małżeńskiego i rodzinnego".

Poszukiwanie duszpasterskich rozwiązań, odpowiadających na pytanie o sposób wspólnego przeżywania niedzieli w „małżeństwie mieszanym" (i „rodzinie mieszanej") – mimo kilku ekumenicznych dokumentów na ten temat – skazane jest na niepowodzenie. Pojawiają się tu dwie kwestie, wymagające rozwiązania. Pierwsza to uznanie tzw. liturgicznej gościnności, czyli stwierdzenie, że katolicy, którzy biorą udział w liturgii protestanckiej, czynią zadość niedzielnemu obowiązkowi świętowania dnia Pańskiego. Warto postawić pytanie, czy uczestnictwo całej rodziny „wyznaniowo mieszanej" w jednej liturgii (protestanckiej lub katolickiej) nie służy wierze lepiej niż osobne praktykowanie każdego z małżonków (i przypadkowe praktykowanie dzieci). Często z takich praktyk w ogóle nic nie wychodzi. Druga kwestia to komunia święta dla małżonków (a może i dzieci) małżeństwa mieszanego.

Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 r. jednoznacznie zakazywał uczestnictwa katolików w „niekatolickich obrzędach" (kan. 1258) i udzielania sakramentów „heretykom i schizmatykom" (kan. 731). Możliwość udzielenia komunii niekatolickiemu chrześcijaninowi otworzył dopiero nowy Kodeks, stwierdzając, że jeśli „przynagla inna poważna konieczność, uznana przez biskupa diecezjalnego lub Konferencję Episkopatu, szafarze katoliccy mogą godziwie udzielać wymienionych sakramentów [chodzi o pokutę, eucharystię i namaszczenie chorych – EP] także pozostałym chrześcijanom, niemającym pełnej wspólnoty z Kościołem katolickim, którzy nie mogą się udać do szafarza swojej wspólnoty i sami o nie proszą, jeśli odnośnie do tych sakramentów wyrażają wiarę katolicką i do ich przyjęcia są odpowiednio przygotowani" (kan. 844). Wydane w 1993 r. „Dyrektorium ekumeniczne" potwierdza tę zasadę, doceniając nieco mocniej wskazania lokalnej konferencji episkopatu. Mamy więc do czynienia z sytuacją, której zaradzić powinni miejscowi biskupi, pamiętając o tym, by osoba aspirująca „prosiła o dany sakrament w pełni dobrowolnie, by przejawiała katolicką wiarę w ten sakrament i by była należycie dysponowana" (nr 131).

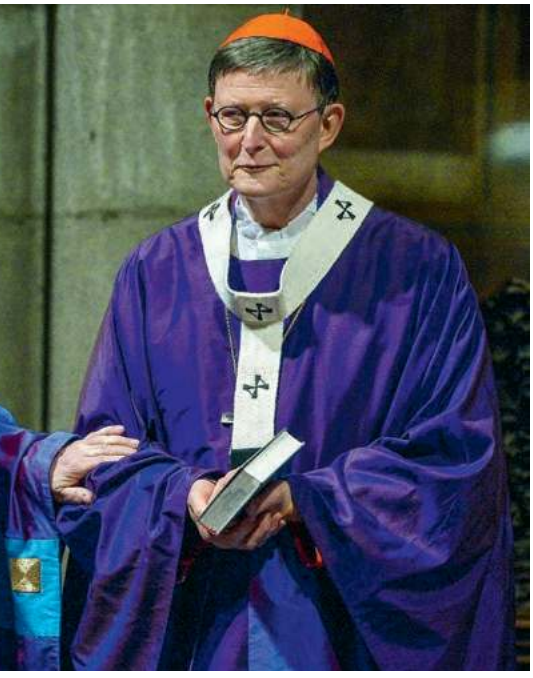
Niemcy idą krok naprzód

W roku jubileuszu 500-lecia reformacji katolicki Episkopat Niemiec podczas



ekumenicznego nabożeństwa pokutnego, które odbyło się 11 marca 2017 r. w Hildesheim, zapowiedział konkretne działania w tej sprawie. Nie bez znaczenia, jak sądzę, były pod tym względem impulsy płynące z adhortacji „*Amoris laetitia*". Niedawno Niemiecka Konferencja Episkopatu (DBK) podjęła decyzję o przyjęciu i ostatecznym dopracowaniu „Pomocy duszpasterskiej" na temat zasad przystępowania do komunii świętej niekatolickich współmałżonków. W czasie zebrania plenarnego w Ingolstadt (20 lutego 2018 r.), w której uczestniczyło 60 biskupów, 13 hierarchów zagłosowało przeciwko temu dokumentowi, co oznacza, że przyjęto go wymaganą większością dwóch trzecich głosów.

Rezultaty przedstawił opinii publicznej przewodniczący niemieckiego episkopatu kard. Reinhard Marx, który stwierdził, że przyjęty tekst (wciąż pozostający w fazie redagowania) nie zmierza do doktrynalnych i prawnokanonicznych rozstrzygnięć, lecz ma być rodzajem wskazań dla duszpasterzy. Jego zdaniem „główną ideą dokumentu jest to, iż wszyscy, którzy – żyjąc w małżeństwie mieszanym, po dojrzałym rozpoznaniu w rozmowach z proboszczem czy osobą odpowiedzialną za duszpasterstwo – dojdą do przekonania, że afirmują wiarę Kościoła katolickiego [odnośnie do Eucharystii], chcą wyjść »z trudnej sytuacji duchowej« i pragną zaspokoić głód eucharystyczny, mogą przystąpić do stołu Pańskiego, aby przyjąć komunię świętą. To, co ważne: mówimy o jednostkowych rozstrzygnięciach, które zakładają staranne duchowe rozeznanie".



SASCHA STEINBACH / EPA / PAP

Kardynałowie Reinhard Marx i Rainer Woelki, katedra w Kolonii, marzec 2017 r.

Protest „Siedmiu”

Nie wszystkim biskupom takie rozwiązanie przypadło do gustu. Postanowili działać – i to w sposób, który musi budzić zdziwienie. Wśród głosujących na „nie” było siedmiu biskupów diecezjalnych: kard. Rainer Maria Woelki (Kolonia), bp Wolfgang Ipolt (Görlitz) abp Ludwig Schick (Bamberg), bp Gregor Maria Hanke (Eichstätt), bp Rudolf Voderholzer (Ratyzbona), bp Konrad Zdarsa (Augsburg) i bp Stefan Oster (Pasawa). 22 marca 2018 r. wysłali oni do przewodniczącego Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan kard. Kurta Kocha list „z zapytaniami”, które sugerują właściwe, ich zdaniem, odpowiedzi. Pismo to „do wiadomości” otrzymali także: prefekt Kongregacji Nauki Wiary abp Luis Ladaria, sekretarz Papieskiej Rady ds. Interpretacji Tekstów Prawnych i nuncjusz apostolski w Niemczech. Kopię listu (z zastrzeżeniem poufności) kard. Marx otrzymał dopiero 28 marca, zaś 4 kwietnia – uznając, że sprawa dotyczy całego Episkopatu Niemiec – rozesłał go do wszystkich członków DBK.

Siedmiu separatystów z kolońskim kardynałem na czele postawiło swoim współbraciom cztery zarzuty. Po pierwsze, ich zdaniem kwestia zezwolenia na komunię niekatolickim współmałżonkom nie ma charakteru pastoralnego, lecz dogmatyczny. Po wtóre, ponieważ w Kościele katolickim trwa prawdziwy Kościół Chrystusowy, protestant, aby przyjąć komunię świętą, musi przejść na katolicyzm (to wyraźna próba powrotu do regulacji kodeksu z 1917 r.). Po trzecie, istotą sytuacji nie jest pragnienie łaski eucharystycznej, ale „jedynie” wspólne przyjmowanie eucharystii przez konfesyjnie różniących się małżonków. I wreszcie po czwarte, „Siedmiu” zakwestionowało uprawnienia konferencji episkopatu do podejmowania decyzji bez porozumienia z Kościołem powszechnym, co należy rozumieć jako oczekiwanie na decyzję papieża.

Cztery zaprezentowane dubia budzą w kontekście teologicznym pewne zażenowanie. W dokumencie nie chodzi przecież o zmianę nauczania na temat małżeństwa ani, tym bardziej, na temat Eucharystii. Możliwość udzielenia komunii niekatolikom daje cytowany wyżej i obowiązujący Kodeks Prawa Kanonicznego, a także „Dyrektorium ekumeniczne”. Autorzy listu nie doceniają wagi małżeńskiego i rodzinnego doświadczenia wiary (wspólnego udziału w liturgii, będącej „szczytem i źródłem” chrześcijańskiego kultu) dla przyswojenia sobie wspólnego dziedzictwa wszystkich chrześcijan. I na koniec smutna konstatacja: przytoczone wyżej przepisy prawa i rozporządzenia papieskich urzędów dawały już wcześniej prawo podejmowania decyzji nie tylko konferencjom episkopatów, ale także pojedynczym biskupom. Prowadzone od dłuższego czasu prace nie miały na celu wprowadzenia modelu obligatoryjnego; decyzja o przyszłym wykorzystaniu przygotowywanej „Pomocy duszpasterskiej” będzie przecież należeć do poszczególnych biskupów ordynariuszy.

Dwie wizje Kościoła

Na list „Siedmiu” kard. Marx odpowiedział 4 kwietnia 2018 r., wskazując na sprawy oczywiste: najpierw na studyjny jeszcze charakter „Pomocy duszpasterskiej”, na znaczenie religijnego doświadczenia małżeństw mieszanych, na obowiązujące już uregulowania, a przede wszystkim, co wydaje się osią sporu, na kierunek wyznaczany przez Franciszka, który zachęca biskupów do odważnego i wielkodusznego podejmowania nowych inicjatyw pastoralnych. Papież wzywa Kościoły lokalne i krajowe episkopaty do podejmowania samodzielnych decyzji, do faktycznego brania odpowiedzialności za Kościół bez ciągłego oglądania się na Rzym.

Wydaje się, że za sprawą Franciszka czas sztywnych uregulowań minął bezpowrotnie. Wiara to najbardziej osobista sprawa człowieka, której nie da się zadekretować. To przestrzeń, w której musi być miejsce na poszukiwanie i błądzenie. Tylko wówczas Kościół będzie instytucją towarzyszącą człowiekowi w jego codziennych zmaganiach i pomagającą mu znaleźć odpowiedzi, a czasem postawić trudne pytania.

Komentatorzy zwracają uwagę, że obecny konflikt jest czymś nowym w historii Kościoła w Niemczech XXI w. Przypomina on spór o poradnictwo rodzinne, kiedy to kard. Joachim Meisner, mentor i poprzednik kard. Woelkiego na stolicy kolońskiej, interweniował w 1999 r. u Jana Pawła II po niewłaściwym – jego zdaniem – rozstrzygnięciu niemieckiego episkopatu. W rezultacie Kościół w Niemczech musiał zrezygnować z udziału katolickich poradni rodzinnych w systemie koniecznych konsultacji, wymaganych przez prawo niemieckie przed dokonaniem aborcji.

Opisane tu wydarzenia ujawniają napięcie pomiędzy dwiema wizjami Kościoła, których reprezentantami są kardynałowie Marx i Woelki. Niemiecki konflikt niesie też pytanie o kurs, jaki obierze Kościół. Cały Kościół. Czy będzie reagował na „znaki czasu”, czy też powróci do starych, „sprawdzonych” rozwiązań?

18 kwietnia pojawiły się doniesienia – rodzaj kościelnych fake newsów, pochodzących rzekomo z „dobrze poinformowanych źródeł” – że Franciszek odrzucił projekt „Pomocy duszpasterskiej”. Potwierdzeniem miały być wypowiedzi emerytowanych niemieckich kardynałów Cordesa i Müllera, którzy nie szczędzili złośliwości na temat nowych regulacji. Jednak już następnego dnia rzecznik Konferencji Episkopatu Niemiec poinformował, że papież zaproponował, by dalsze rozmowy w rzeczonej sprawie toczyły się w Rzymie, a informacje, jakoby „Pomoc duszpasterska” została odrzucona, są fałszywe.

Sprawa nie została zduszona w zarodku, jak chcieliby tego konserwatywni obserwatorzy sceny kościelnej, a Franciszek nie ustaje w poszukiwaniu nowych dróg Kościoła, które wyprowadza z samego serca Ewangelii. ©

AUTOR *jest teologiem dogmatykiem, byłym wiceprezydentem Europejskiego Stowarzyszenia Teologii Katolickiej. Obecnie przygotowuje monografię o Zmartwychwstaniu.*

Ratzingera dzieła nie wszystkie

CEZARY KOŚCIELNIAK

Benedykt XVI skończył 91 lat. Napisanie biografii osoby, która działa w kilku epokach, jest niezmiernie trudne. Tym bardziej, jeśli życie bohatera nie jest zamkniętą księgą.

Można się zabrać do tego co najmniej na dwa sposoby. Pierwszym może być „linneuszowski", porządkujący fakty i okoliczności. Drugi to synteza i interpretacja działań osoby portretowanej na tle epoki, w której żyła. Odtwarzając życie Josepha Ratzingera, Elio Guerriero wybiera pierwszy sposób, wykorzystując unikatową sposobność do bezpośredniego kontaktu z bohaterem swojej książki, który, jak podaje autor, tę biografię autoryzował.

Być może milczący już Ojciec Benedykt (obecnie tak do niego oficjalnie należy się zwracać) miał możliwość przedstawienia słowami Guerriera opowieści o swoim życiu, której nie mógłby już napisać sam? 19 rozdziałów prezentuje każdy etap życia niemieckiego teologa. Powstaje jednak pytanie, czy bez syntezy da się zrozumieć role, które Ratzinger odgrywał w Kościele przez ostatnie 60 lat?

Teolog kontrkultury

Ratzingerowską służbę Kościołowi można ująć w cztery etapy. (1) Etap teologiczno-naukowy: udział w Soborze, krystalizacja poglądów teologicznych, praca na uniwersytecie, wydanie najbardziej charakterystycznej dla tego okresu książki „Wprowadzenie w chrześcijaństwo". (2) Etap strukturalistyczny: tworzenie się struktury doktrynalnej Kościoła za pontyfikatu Jana Pawła II. (3) Etap pontyfikalny, chrystocentryczny, w którym punktem odniesienia staje się „Jezus z Nazaretu" i teksty encyklik. (4) Etap kontemplacyjny w klasztorze Mater Ecclesiae, zamykający teologiczną aktywność kontemplacją i milczeniem, ale także ważnym, utrzymującym jedność Kościoła zaufaniem wobec papieża Franciszka.

Gdyby szukać jednej metafory łączącej Ratzingera-teologa z Benedyktem XVI, mogłoby nią być określenie „papież-teolog kontrkultury", oznaczającej tutaj sprzeciw wobec dwóch przeciwległych kultur teologicznych: z jednej strony radykalnego posoborowego reformizmu, a z drugiej obronnych okopów przeszłości. Ratzinger nie daje się wpisać w teologiczne koleiny, szuka własnej gramatyki teologicznej, łączącej tradycję z odczytaniem potrzeb współczesności. Guerriero pokazuje, że jest on w tym postacią bardzo spójną, a jego program teologiczny jest konsekwentnie realizowany przez dziesięciolecia. Jako teolog kontrkultury Ratzinger dystansuje się wobec totalitaryzmu i marksizmu. Postawa ta pozwala mu zbudować porozumienie i przyjaźń z podobnie myślącym Karolem Wojtyłą. Ta jednoznacznie krytyczna pozycja Ratzingera wobec lewicowości ujawnia się już w Tybindze, skąd na fali rewolty studenckiej postanawia przenieść się w spokojniejsze miejsce do uniwersytetu w Regensburgu. Poglądy te wyrazi także już jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary w starciu z teologią wyzwolenia.

Brat, szef, dyplomata

Elio Guerriero decyduje się postawić akcent na dorobek intelektualny i pastoralny niemieckiego papieża kosztem wątków personalnych i osobistych, co zdecydowanie osłabia książkę. Ratzinger był bardzo silnie związany ze swoją rodziną, szczególnie z siostrą Marią, której śmierć była dla niego wielką traumą. W książce brakuje także odniesienia do relacji, które papież budował ze współpracownikami, stawiając na zaufanie. Postaci te pojawiają się na kartach książki sporadycznie i w tle, tymczasem odgrywały one znaczącą rolę w jego życiu.

Aż się prosi, by spory teologiczne, w jakie zaangażowany był Ratzinger, odnieść do jego wielkich adwersarzy, wytyczających szlaki teologii XX wieku. Szczególnie do takich postaci jak Hans Küng czy kard. Carlo Martini, późniejszy konkurent Ratzingera w konklawe w 2005 r. W 2014 r. ukazała się autobiografia Hansa Künga, teologa, któremu odebrano misję kanoniczną. W ponadtysiącstronicowej „*Una battaglia lunga una vita*" wiele miejsca autor poświęca relacjom z Ratzingerem.

Küng twierdzi, że Ratzinger postrzega przemiany lat 60. jako „pesymistyczny strach przed kryzysem", w którym nie widzi nic pozytywnego. Książka Künga, napisana z osobistej perspektywy, pełna jest interesujących szczegółów. Ciekawa jest relacja z wielogodzinnego spotkania obu teologów już po wyborze Ratzingera na papieża. Czekając w restauracyjce w Castel Gandolfo Küng spotkał przypadkowo kard. Martiniego, który wracał właśnie ze spotkania z Benedyktem XVI. Martini miał powiedzieć, że jest pełen nadziei na to, iż Benedykt XVI ma szansę zrobić dla Kościoła to, czego on sam jako papież nigdy nie zdołałby przeprowadzić. Odnotowanie tego faktu przez krytyka linii Ratzingera odsłania dążenie Kościoła do jedności pomimo różnic.

W książce brakuje ukazania Ratzingera-intelektualisty i polityka. Jedynie z przypisu dowiemy się o debacie nt. sekularyzacji z Jürgenem Habermasem, nie wspomina się również o wymianie myśli z Marcello Perą. Wzmiankowane są tylko kontakty z Nicolasem Sarkozym czy Angelą Merkel, z którą papież był w stałym kontakcie, a przecież był to gorący okres tworzenia się tzw. konstytucji europejskiej i debaty o odwołanie w niej do Boga – o co Benedykt XVI aktywnie zabiegał.

Co powie Ratzinger?

Co dodaje Guerriero do obrazu Ratzingera-Benedykta, jakiego już znamy? Po pierwsze, podkreśla jego rolę w walce z kryzysem pedofilskim w Kościele. Dalej, w opowieści włoskiego biografa Benedykt jawi się jako papież samotny i pozbawiony wsparcia, można by wręcz powiedzieć: niemalże zdradzony przez najbliższych współpracowników, za których błędy odpowiedzialność brał na siebie. Książka dobrze oddaje brzemię tej samotności. Krytyczne uwagi padają o sekretarzu stanu kard. Tarcisiu Bertonem, który generował w Watykanie trudności komunikacyjne.



Kard. Joseph Ratzinger w kwietniu 1993 r.

MASSIMO SESTINI / NEWS PICTURES / PAP

Po trzecie, autor skutecznie obala mit wykluczania się pracy intelektualnej i życia duchowego. Przeciwnie, w duchowości Benedykta XVI studia i namysł teologiczny pozostają zjednoczone z życiem duchowym i liturgicznym. Są częścią chrześcijańskiego stylu życia i pracy. Taka postawa to sygnał, że Kościół potrzebuje *ratio*, które stanowi o jego sile tak samo jak modlitwa.

W książce pojawia się też kontekst polskiego Kościoła i przyjaźni z Janem Pawłem II. Szkoda, że autor nie sięgnął do źródeł z otoczenia Wojtyły i nie przywołał żadnej z ciepłych wypowiedzi polskiego papieża o swoim współpracowniku. A przecież Jan Paweł II każdego, kto przychodził do niego z zacnym pomysłem reformy Kościoła, częstował frazą: „tylko co powie na to Ratzinger?".

Przyjaźń z Janem Pawłem kontrastuje z oceną polskiego Kościoła. Wspomniana zostaje np. sprawa abp. Stanisława Wielgusa, który według Guerriera ustąpił dopiero na osobiste życzenie papieża przekazane przez kardynała Re.

Guerriero akcentuje również dynamikę, jakiej nabiera sprawa rozwiązania kryzysu pedofilii w Kościele po objęciu urzędu przez Ratzingera.

Katalog braków

„Sługa Boga i ludzkości" (taki tytuł noszą wydania włoskie i francuskie) w polskiej edycji „Świadek prawdy". Można domniemywać, że tytuł ma nawiązywać do „Świadka nadziei" George'a Weigla. Jednak takie tłumaczenie pozostaje problematyczne choćby dlatego, że zawołanie biskupie Ratzingera „*Cooperatores Veritatis*" (Współpracownicy Prawdy) wskazuje na coś więcej niż na świadka.

Poważne wątpliwości wzbudza sporządzona dla polskiego czytelnika bibliografia prac. Niestety wykonano ją metodą „moje ulubione książki". Zadziwia uwaga, że encykliki to „dzieło pracy wspólnej" – przez co nie zostały wymienione. Encykliki, choć są konsultowane, to przecież pozostają zawsze autorstwa papieża. W punkcie „dzieła Ratzingera" nie pojawia się jego kluczowa praca o św. Augustynie (zostaje natomiast wymieniona w dziale *opera omnia*, a pozostałe prace powtarzają się w obu punktach). Brakuje m.in. omawianej w wielu miejscach debaty z Habermasem „*The Dialectics of Secularization*". W bibliografii omówień pomija się wiele cennych prac, m.in. „*Gesu di Nazareth all'universita*" będącej komentarzem włoskich intelektualistów do „Jezusa z Nazaretu", czy kilkutomowej pozycji Jerzego Szymika, jedynego polskiego autora syntezy myśli Ratzingera.

Nie sposób wytłumaczyć natomiast wybiórczością bibliografii przemilczenia książek ze świata świeckiej krytyki, w tym esejów Giorgio Agambena „*Il misterio del male. Benedetto XVI e la fine dei tempi*" czy wydanego w Niemczech pod redakcją Thomasa Meineckego krytycznego „Ratzinger-Funktion". Brakuje również wydawanych przez Herdera serii komentarzy, m.in. debaty nad wykładem z Freiburga pod redakcją Jürgena Erbachera „*Entweltlichung der Kirche?*".

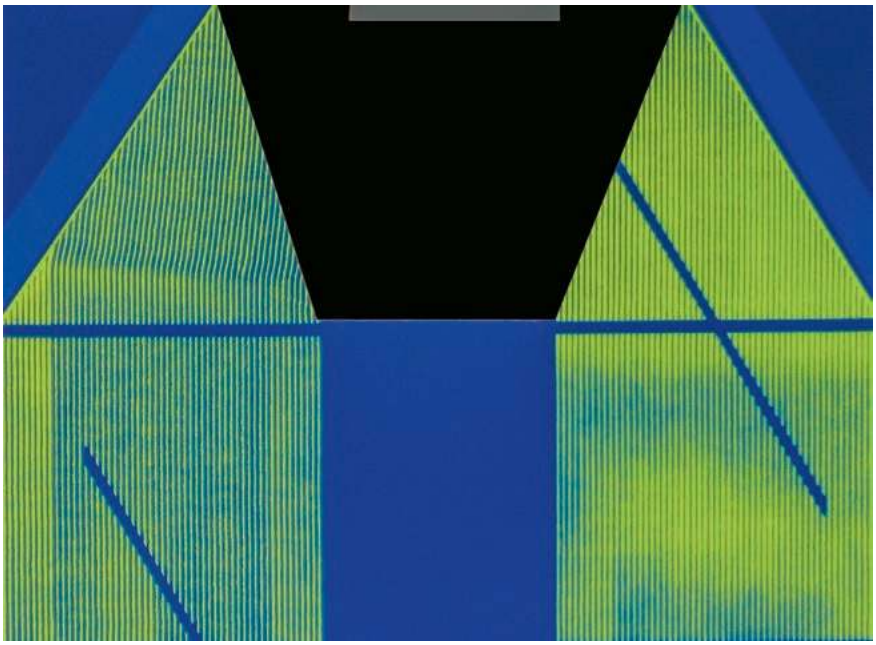
„Świadek prawdy" pozostaje książką ważną, pozwala zapoznać się z najważniejszymi wątkami z życia wybitnego papieża. Jednak jej obszerność okazuje się pozorna, w treści pozostaje ona skrótowa i pozostawia niedosyt. Ratzinger nadal czeka na pełną biografię – nie tylko swojej osoby, ale także epoki i rysujących się w niej kontekstów teologicznych, których jest autorem. ©

Elio Guerriero, **ŚWIADEK PRAWDY. BIOGRAFIA BENEDYKTA XVI,** *przeł. Joanna Tomaszek, WAM, Kraków 2018*

Rany Żyjącego

PIOTR SIKORA

By doświadczyć Życia, nie można zamknąć się w strachu przed cierpieniem.



Z ARCHIWUM ARTYSTY

Ryszard Otręba, 128. Symbol ograniczenia (serigrafia), fragment

Warto, byśmy w naszej wierze wielkanocnej szli drogą jednego z Dwunastu: Tomasza Bliźniaka. Powszechne traktowanie go jako negatywnego bohatera ewangelicznej opowieści to stereotyp wynikający chyba z nieuważnej lektury.

Zauważmy bowiem, że uczniowie zamknęli się razem z obawy przed Judejczykami. Tomasza z nimi nie było – jako jedyny miał odwagę wyjść na zewnątrz. Nie uwierzył zaś od razu swoim towarzyszom z bardzo konkretnego powodu: w entuzjastycznym „widzieliśmy Pana!" – wcześniej zamkniętych i zalęknionych – nie było wzmianki o ranach po gwoździach, cierniach i biczowaniu.

Z perspektywy Żyda tamtego czasu tylko zachowanie śmiertelnych obrażeń mogło dowieść tożsamości z martwych Obudzonego. Wizja Jezusa bez ran byłaby spotkaniem jakiejś mary o nieznanej naturze albo po prostu zbiorowym złudzeniem ludzi, którzy nie tylko boją się Judejczyków, ale w ogóle nie mają odwagi stanąć oko w oko z rzeczywistością.

Dlatego właśnie, gdy Jezus ujawnił się w poranek wielkanocny pośród uczniów, „pokazał im ręce i bok" (J 20, 20) – tj. swoje rany. Zmartwychwstały pozostaje Ukrzyżowanym. Oni być może nie zwrócili na to należytej uwagi – i dlatego pominęli ów „szczegół", gdy opowiadali o swym doświadczeniu Tomaszowi. On jednak wiedział: jeżeli ten, który stanął pośrodku uczniów, nie zachował ran ukrzyżowania, nie jest godzien wiary, a spotkanie z nim – nic nie warte.

Autentyczne doświadczenie paschalne – rozpoznanie zwycięstwa życia nad śmiercią, światła nad ciemnością, dobra nad złem – nie ma nic wspólnego z trwaniem w złudzeniach i nierealistycznym oderwaniem, ani tym bardziej tchórzliwą ucieczką od rzeczywistości. Nie oznacza zamknięcia oczu na rany świata, cierpienie wszystkich czujących stworzeń. Nie można przeżyć w pełni Paschy, jeśli nie ma się odwagi, by zmierzyć się z bólem świata.

Obudzony z martwych świata nie opuścił. Przeciwnie – jeszcze bardziej się z nim utożsamił, wszedł jeszcze głębiej we wszystkie jego zakamarki. Według autora Listu do Efezjan Chrystus Zmartwychwstały „napełnia wszystko na wszelki sposób" (Ef 1, 23), w Liście do Kolosan nazywa Go zaś: arche stworzenia (por. Kol 1, 18) – zasadą, która nie tylko przenika całą rzeczywistość, lecz w pewnym sensie jest wszystkim, co istnieje, nadając każdej rzeczy właściwą jej tożsamość, ale i dzieląc z nią cały jej los. Zmartwychwstanie Chrystusa jest w tej perspektywie „poszerzeniem" wcielenia – już nie tylko w pojedynczą ludzką jednostkę, ale w całość rzeczywistości.

A całość wszystkiego, co istnieje, jak i każdy pojedynczy tego szczegół, choć piękne i fascynujące, naznaczone są ułomnością i cierpieniem. Rzeczywistość jest poraniona. Skoro jest zaś ona ciałem Zmartwychwstałego – to boskie Jego ciało, ciało zmartwychwstałe, musi nosić w sobie rany krzyżowania.

Więcej nawet, jak głosi proroctwo Izajasza: „w Jego ranach jest nasze zdrowie" (Iz 53, 5). Prorok nie pisze tu o uszkodzeniach trupa. Zdrowie tylko w ranach Żyjącego. Skoro zaś razem z nim zostaliśmy wskrzeszeni i przywróceni do życia (por. Ef 2, 5-6), razem z nim możemy być zranionymi uzdrowicielkami i uzdrowicielami. Trzeba jednak mieć odwagę uświadomić sobie – z akceptacją – własne obrażenia. Wszak, jak uczy nas historia Marii Magdaleny, samopoznanie i poznanie Pana żyjącego w nas to jeden proces.

W procesie tym jednak czeka na nas paradoks jedności, w jakiej splecione są ułomność i piękno, cierpienie i szczęście, ból i spełnienie. A zatem niemożność jasnego i wyraźnego poznania, ujęcia w wyraźnym przedstawieniu, w spójnym dyskursie, w klarownej idei. Niepojmowalność i tajemnica. Dlatego Jezus w kulminacyjnym momencie Ewangelii zwraca się do Tomasza – jedynego ucznia, który miał odwagę na niczym nie znieczuloną konfrontację z rzeczywistością (i to już przed śmiercią Mistrza – gdy Ten udaje się do grobu Łazarza, Tomasz mówi do pozostałych uczniów: „chodźmy i my, umrzeć wraz z Nim"; zob. J 11, 16), ale za bardzo chciał uzyskać pewność poznania – i mówi: „błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli" (J 20, 29). ©℗

REKLAMA



Paweł, apostoł Chrystusa

Święty Paweł musiał umrzeć męczeńską śmiercią. Było mu to pisane. Póki co, siedzi w ciemnej celi, oderwany od życia, ludzi i świata. Pogrążony we wspomnieniach, rozpamiętuje przeszłość. Czy się boi? O czym myśli? Czegoś żałuje? Może przeszłości, z której nie może być dumny? W końcu zanim stanie się świętym, jest tylko człowiekiem.

Właśnie w takim momencie życia poznajemy Pawła, dawnego faryzeusza, bezlitosnego prześladowcę chrześcijan, cudownie nawróconego. Kogoś, kto niósł światu i ludziom Dobrą Nowinę, kto chciał ten świat i tych ludzi zbawić słowami Chrystusa. A teraz jest sam. Czeka na śmierć. A jednak film „Paweł, apostoł Chrystusa" to przede wszystkim krzepiąca opowieść o nadziei i niezłomności. Poczuciu sensu i wielkiej miłości. Boga do ludzi. Ludzi do Boga.

Za nim życie z całym jego bogactwem. Dobrem i złem. Chłosty, katastrofa statku, głód, pragnienie, kamienowanie, chłód, błędy przeszłości, ale i nawrócenie, szczęście, Bóg, który odmienił jego życie. Przed nim pewna przyszłość – śmierć przez ścięcie. Zanim jednak wypełni się jego los, zanim dopali się ogarek życia, odwiedza go stary przyjaciel – Łukasz. To właśnie on spisze niezwykłą historię życia Pawła. To jego ustami przemówi Bóg.

Tymczasem świat pogrąża się w mroku, Rzym Nerona spływa krwią wiernych, poddawanych nowym próbom. Właśnie dlatego do Rzymu przybywa Łukasz. By ocalić historię Pawła, krzepiącą, niosącą nadzieję, niosącą światło. Nikt bowiem inny nie mógłby być lepszym przykładem. Niezłomna wiara Pawła poprzedzona jest brutalnymi, bezlitosnymi prześladowaniami chrześcijan. Życie Pawła odmienia dopiero światłość, która mu się ukazała. To on – według Dziejów Apostolskich – usłyszał głos Boga „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz? Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić". Po tym wydarzeniu przez trzy dni nie widział, nie jadł i nie pił. Tak też zwrócił się ku Bogu i rozpoczął swą wielką krucjatę, zakończoną męczeńską śmiercią.

„Paweł, apostoł Chrystusa" to historia wielkiego męstwa, bohaterskiej wiary i odkupienia grzechów. Ale to także bardzo współczesna przypowieść o wierze we własne przekonania, historia walki o siebie i prawdę. – Wierzę, że film zechcą obejrzeć wierni. – mówi reżyser Andrew Hyatt – Ale tak naprawdę chciałbym, by zobaczyli go także ci wątpiący, którzy nie mają pewności. Szczególnie jednak zależy mi, aby „Paweł, apostoł Chrystusa" dotarł do tych, którzy są przekonani, że im wybaczyć się nie da. Że Bóg ich opuścił, że zrobili coś niewybaczalnego, a łaska Boga nie jest aż tak wielka, by im wybaczył. Ten film pokazuje, że jest inaczej.

W filmie zobaczymy m.in. Jamesa Faulknera („Gra o tron", „Atomic Blonde"), Oliviera Martineza („Niewierna") i Jima Caviezela („Pasja").

Bartek Reszczyk



„Paweł, apostoł Chrystusa" w kinach od 4 maja

FOCUS GOŚĆ tylkohity.pl Plus radio

SZYMON

Hołownia: *Obierzmy kierunek*



Stwierdzam: trudno dziś znaleźć na straganie z polityczno-społecznymi projektami ofertę głupszą od tej, jaką ma nacjonalizm. Nigdy jednak nie urażę osądem osób uważających się za nacjonalistów, po pierwsze byłoby to bowiem niechrześcijańskie mylenie grzechu z grzesznikiem, po drugie – ich liderzy naprawdę stanowią dla mnie inspirację (głównie w zakresie stylizacji męskiej: taliowanych garniturów i sposobów żelowania włosów). Zewnętrzna strona talerza i misy zawsze tu się zresztą zgadza: widać staranie włożone w to, by nikt nigdy nie powiedział, że nacjonalista to jakiś troglodyta, zawsze jest Wersal, „Panie Redaktorze", „Prąpąpą".

Tydzień temu „polskie środowiska narodowe" podjęły duchowy trud pielgrzymowania do Jasnogórskiego Tronu nazarejskiej Żydówki (nie mamy żadnych danych, że Maryja Wniebowzięta została pozbawiona swojej ziemskiej w tym zakresie tożsamości; a gdybyśmy mieli, to dopiero byłby kłopot – mogłoby się bowiem okazać, że w niebie nie ma też etnicznych Polaków). Nie mogąc uwierzyć w wyłapywane tam przez reporterów wypowiedzi (choćby o tym, że każdy katolik powinien być wdzięczny faszystom za to, że uratowali papieża z rąk komunistów), wysłuchawszy kazań kapłanów diecezji bydgoskiej (a wcześniej również archidiecezji gdańskiej), stawiających tezę, że nacjonalizm to zeszyt ćwiczeń do Ewangelii, postanowiłem zrozumieć, co tracę nacjonalistą nie będąc. Przeczytałem w internecie „Nową Deklarację Ideową ONR".

Po lekturze stwierdzam: nie wiem, o co tu chodzi. Wszystkie te ich recepty może i dałoby się próbować zastosować (oby nie), ale z całą pewnością musiałoby to nastąpić przed II wojną. Po niej po prostu nie ma już świata, do którego się ów plan terapii odnosi. Zostawmy tysiąc innych (choćby kulturowych) wątków – dwa drobiazgi z brzegu. Jednym z podstawowych procesów wyznaczających rytm świata XXI wieku są migracje, dobrowolne i nie, międzynarodowe i z miasta do miasta, zaklinanie się więc „nie będziemy bezczynnie przyglądać się emigracji zarobkowej Polaków" to gorący apel do ziemi, by od jutra rana zaczęła kręcić się w drugą stronę. Globalizacja procesów gospodarczych zaszła tak daleko, że nawet gdyby nasi nacjonaliści zaklinali się, że kupują w polskich sklepach, muszą przecież wiedzieć, że nabywane przez nich dobra ze sklepów się nie biorą. „Narodowy kapitał"? A dlaczego nie „narodowe surowce"? Czy polski nacjonalista czuje choć cień bólu, czytając swoje jasnogórskie odezwy z azjatyckiego (prawdopodobnie) smartfona zrobionego z kongijskich minerałów? Gdy jedzie na pielgrzymkę paląc benzynę arabskich szejków albo Nigeryjczyków?

„Obierzemy kierunek na jak największą samodzielność gospodarczą poprzez pobudzenie i przestawienie produkcji na zaspokajanie potrzeb Narodu, a nie przypisaną rolę w międzynarodowym podziale pracy". Czy polski narodowiec wie, jak to się dla niego skończy, gdy jego światłe recepty zastosuje reszta świata? Ile rzeczy będzie w stanie zrobić z ziemniaków, jabłek, wieprzowiny, węgla, miedzi, soli? Nie pomyślał, że może Stwórca nieprzypadkowo nie umieścił wszystkich pól roponośnych, złotonośnych, plantacji cytrusów w jednym miejscu (nad Wisłą)? Może i w podziale zasobów jest myśl, że stworzeni jesteśmy do kooperacji, nie izolacjonizmu?

Poczytajcie sobie zresztą Państwo sami, o co oni tam wnoszą. Likwidacja demokracji na rzecz rządów jednostek o wysokim „poziomie moralnym". Obowiązkowe przeszkolenie wojskowe. Odzyskanie Kresów Wschodnich (rozumiem, że przez wojnę z Litwą, Białorusią, Ukrainą, innej opcji nie ma). Katolicko-narodowy totalitaryzm w kulturze. I cudowny, wewnętrznie sprzeczny bełkot punktu drugiego: „Potępiając rasizm biologiczny, postulujemy zachowanie stanu homogeniczności etnicznej, który sprzyja utrzymaniu spokoju społecznego i stabilności państwa". Słowem, nie mówimy, że inni są „be", skąd, mówimy im tylko: „won". Nie jesteście gorsi, ale jednak nie dość dobrzy dla nas. To nie jest przecież rasizm, to „separacjonizm etniczny".

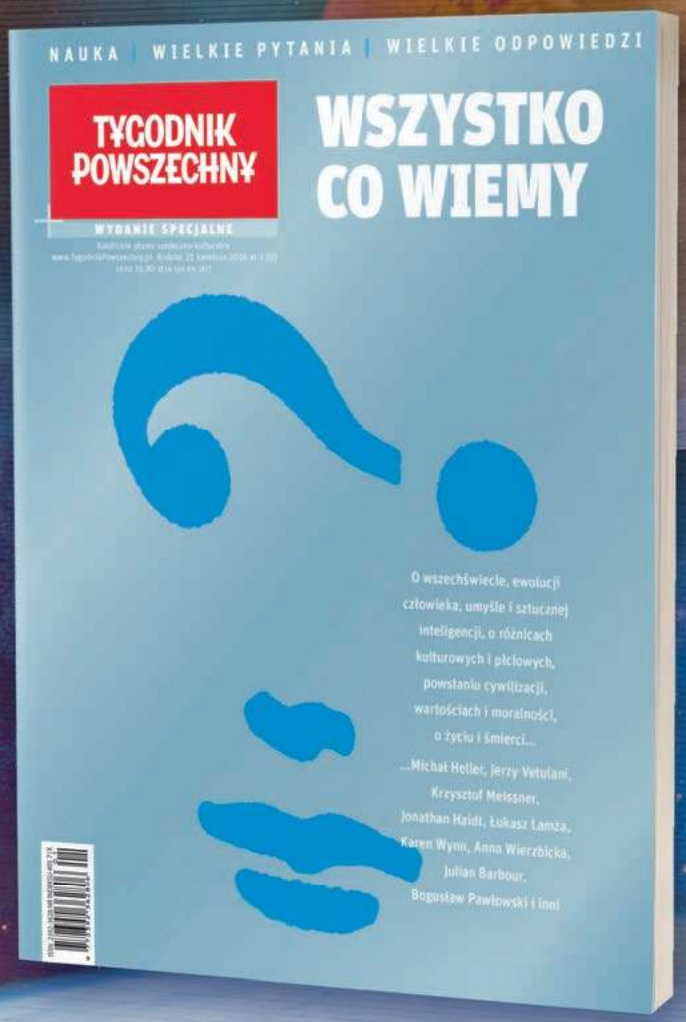
Oto jest podstawowy poznawczy defekt naszych nacjonalistów: oni naprawdę są przekonani, że Bóg stworzył świat tylko dla Polaków, którzy nikogo i niczego nie potrzebują, są absolutnie samowystarczalni, nie mają czego zazdrościć światu, wszędzie winni chodzić w mundurach, rządzą nimi jednostki, cały świat żyje w lęku przed ich morale i armią. Jest przecież na świecie państwo, które wciela w życie ich wizje.

Biskupi mogą wydawać dokumenty i udzielać wywiadów, z których jasno wynika, że patriotyzm ma się tak do nacjonalizmu jak krzesło do krzesła elektrycznego, jest jego nowotworem. Publicyści mogą wyłapywać i piętnować ordynarne manipulacje słowami prymasa Wyszyńskiego, zuchwałe zawłaszczanie katolickiej symboliki i pojęciownika przez maleńką grupę, której ideologia – choć pełna uzurpatorskich deklaracji o tym, że to oni będą arką, która ocali Kościół przed liberalnym szatanem – jest oczywistym zanegowaniem Ewangelii i (o czym pamięta się rzadziej) powszechności (czyli katolickości) Kościoła. A mimo to nadal znajdują się księża podbijający (o zgrozo – na mszach) nacjonalistyczne farmazony.

Będę bronił tezy, że cały ten „ruch narodowy" to margines marginesu, jasne – stylistycznie przykuwający uwagę i niezwykle medialny – który żywi się kolejnymi o nim relacjami, niemuszący nic wydawać na reklamę, bo my mu ją robimy. Nasi biskupi, którzy odchylenia lewackie tępią żywym ogniem, w relacjach z nacjonalistami ograniczając się do słownych, często ezopowych deklaracji, nie dostrzegają jednego: nie jest wielkim problemem to, że jakiś nacjonalista jest katolikiem (w końcu trafi do normalnego spowiednika i ten poukłada mu w głowie). Problemem jest tolerowanie wrażenia, że jest zgoda na tezę: katolik równa się polski nacjonalista. Tolerowanie herezji wołającej o pomstę do nieba. ©

PREMIERA

Już w sprzedaży
wydanie specjalne „TygodnikA Powszechnego”









Niezastąpiona lektura na lato! Ponad 160 stron przewodnika po tajemnicach wszechświata.

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest
O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać
O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym
O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę
O wielkich ideach naukowych i moralnych

piszą: Heller, Lamża, Vetulani, Lynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

Już od 25 kwietnia w salonach prasowych, na powszech.net/cowiemy i podczas Copernicus Festival!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MONTAŻ „TP” / NASA.GOV

Z ODDECHEM

HORYZONT ŻYCIA

RYSZARD HOROWITZ, FOTOGRAF:

Cała nasza przeszłość okazuje się fantazją...
Sami nie wiemy, co się zdarzyło naprawdę.
Ile jest w naszych wspomnieniach prawdy, ile snu?

JUSTYNA DĄBROWSKA: Co Pan widzi z tego miejsca w życiu, w którym Pan teraz jest?

RYSZARD HOROWITZ: Cofam się do przeszłości. Za bardzo – i martwi mnie to. Może dlatego, że ostatnio jest wiele moich retrospektywnych wystaw, a zdjęcia są w jakimś sensie dziennikiem, zapisem chwil? Nic dziwnego, że przywołują różne skojarzenia, czy tego chcę, czy nie. Poza tym dzieci się starzeją. (*śmiech*) Niedawno zostałem po raz pierwszy dziadkiem i to dopiero mnie dobiło! (*śmiech*)

Taki żywy dowód upływu czasu.

Właśnie. Dopóki człowiek fizycznie czegoś nie doświadczy, może główkować, ale fakty nieodwracalnie stawiają go na nogi.

Często Pan myśli o przemijaniu?

O tak. Z wiekiem czas strasznie szybko leci. Potwornie. Myślę o jakiejś sytuacji, która wydawała się mieć miejsce niedawno, a tu się okazuje, że to było dziesięć lat temu. Czas zaczyna się zwężać i nakładać na siebie. To jest przerażające.

Wiktor Woroszylski pisał o „kurczącym się skrawku". Czas staje się cenniejszy?

Tak powinno być, ale często łapię się na tym, że bardzo dużo czasu tracę. Kiedy jestem czymś zaabsorbowany, to jestem bardzo produktywny, ale czasem nie robię nic ważnego, choć pewnie mógłbym więcej. Mówię o tym w kontekście wieku. Niby wiem, że czasu jest coraz mniej, ale jednocześnie nie zdaję sobie z tego sprawy. On tak przelatuje koło nas, mija. Czasem jednak powraca.

Przyjazdy do Polski cofają w przeszłość?

Zawsze. I dlatego nie wiem, czy te przyjazdy dobrze na mnie działają. Tu nie ma dla mnie żadnej przyszłości, jest sama przeszłość. Wszystko kojarzy mi się z tym, co było. Mury stoją, miejsca są, tylko tych ludzi już nie ma, same duchy. Niedawno grupa filmowców postanowiła nakręcić film o moim i Romka Polańskiego dzieciństwie. Myśmy się razem wychowali... Mieszkamy w różnych częściach świata, różne rzeczy robimy, ale nadal wiąże nas niezwykle bliska przeszłość. Więc chodziliśmy po tym starym Krakowie i wspominaliśmy, co i gdzie razem robiliśmy – a potem nagle stanęliśmy.

Cała nasza przeszłość okazuje się fantazją... sami nie wiemy, czy to się zdarzyło naprawdę? Ile jest w tych wspomnieniach prawdy, ile snu? Czy dobrze pamiętamy, czy źle pamiętamy? On jest starszy i myśli, że pamięta lepiej. Ale mnie to nie przekonuje.

Prawdą jest to, co się zapisało wewnątrz.

U każdego z nas inaczej. On pewne rzeczy pamięta tak, a mnie się zdaje, że było inaczej. Odwiedziliśmy we dwóch mieszkanie, w którym zatrzymaliśmy się zaraz po wojnie wraz z tymi, którzy pozostali z naszych rodzin. On twierdzi, że pamięta każdy kąt i że tu stało to, tu stało tamto. A mnie się wydawało, że wszystko było inaczej. Więc jak mówię, że przeszłość wraca, to właściwie nie wiem, co dokładnie wraca.

Bolało?

W pewnym sensie. Momentami było bardzo sympatycznie, ale w gruncie rzeczy niezbyt miło. Najbardziej mnie boli to, co teraz się dzieje w Polsce. To są rzeczy okropne. Jakby człowiek nie posuwał się do przodu, tylko cofał. Jakby niczego się nie uczył z przeszłości. Nie wyciągał żadnych wniosków.

Wydawało się, że powinno być lepiej, bo przecież mamy do czynienia z nowymi pokoleniami. Jednak wszystko wraca, jakby nic się nie zmieniło. Ponownie politycy ↦

RYSZARD HOROWITZ (ur. 1939 r.) jest fotografem, specjalistą w dziedzinie zdjęć reklamowych, prekursorem cyfrowego przetwarzania fotografii. W czasie II wojny światowej mieszkał wraz z rodziną w krakowskim getcie, następnie był więziony w obozach koncentracyjnych. Znalazł się na słynnej „liście Schindlera". Jest jednym z najmłodszych uratowanych więźniów Auschwitz. Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.



MONIKA SZAŁEK / ANYWHERE



ARCHIWUM PRYWATNE RYSZARDA HOROWITZA

Steven Spielberg, Ryszard Horowitz, Anna Bogusz, Niusia Horowitz-Karakulska

↦ starają się na gwałt przepisywać historię. Wolę o tym nie myśleć za dużo, ale niestety nie jestem w stanie od tego uciec. Czy jestem w Stanach, czy jestem tu, bebechy ze mnie wyłażą. Na szczęście mała grupka moich przyjaciół, rówieśników, jeszcze żyje i tym się staram cieszyć. Kiedy się z nimi spotykam, to mam poczucie, jakby czas się zatrzymał. Znamy się tak dobrze, rozumiemy w pół słowa. Dopiero, jak na siebie spojrzymy, to widzimy, że jednak trochę czasu upłynęło.

Waszą przeszłość macie we wspólnym depozycie.

Tak, i to mi daje dużo ciepła.

A w lustro Pan patrzy?

Trudno tego uniknąć! Nawet jeśli człowiek nie patrzy na siebie, to patrzy na innych, a z innymi jest zawsze gorzej niż ze sobą, wiadomo. Jak teraz przechodziłem przez odprawę graniczną, podszedł do mnie jeden celnik i zapytał, ile mam lat. Daję paszport, on patrzy i mówi: „O, pan nie wygląda na tyle. Ale jak tak, to nie musi pan zdejmować butów". No, dzięki Bogu, że przynajmniej mam coś z tego mojego wieku! Sukces wielki, że nie muszę butów zdejmować. Ale czy oni myślą, że starsi nie mogą być groźni tak jak młodzi? Żyjemy w bardzo niebezpiecznym świecie.

Co jest niebezpiecznego?

Wisi nad nami terroryzm, groźba wojny. Niech pani patrzy na tych ludzi, którzy dziś są u władzy, którzy kontrolują nasze życie, naszą przyszłość. Gdziekolwiek człowiek rzuci okiem, czy tu, czy tam, wszędzie coś się dzieje. Niedawno, ku mojemu niesamowitemu zdziwieniu, dowiedziałem się, że St. Louis, w którym byłem tak niedawno, jest trzecim najbardziej niebezpiecznym miastem w Stanach. A mnie się to miasto kojarzy z jazzem, klubami, wspaniałą muzyką.

Jazz też wciąga w przeszłość, prawda?

Bardzo. Niedawno zadzwonił do mnie pewien angielski reżyser filmowy, że przygotowuje dokument na temat ambasadorów jazzu, tych, którzy działali w latach 50., w szczycie zimnej wojny. Eisenhower wpadł wtedy na pomysł, żeby wysłać najsłynniejszych jazzmanów do krajów za żelazną kurtyną, żeby w ten sposób pokazać światu inną Amerykę. Pokazać, że nie wszystko jest takie złe, jak słyszą. Szczególnie w krajach komunistycznych wyciągano wyłącznie te historie pokazujące Amerykę w najgorszym świetle. A tutaj jazz, taki miły.

Ten reżyser widział moją książkę „*All That Jazz*", gdzie są zdjęcia z tamtego okresu, i postanowił zrobić ze mną długi wywiad. W ten sposób znalazłem się w przeszłości. To wszystko jest we mnie nadal bardzo żywe, często słyszę w głowie zagłuszane dźwięki muzyki, aksamitny głos amerykańskiego spikera Willisa Conovera, który prowadził programy o jazzie, „*Jazz Hour*". Z czasem miałem okazję wielu tych genialnych muzyków zobaczyć na żywo, fotografować ich. Dziś będę na koncercie w Teatrze Wielkim, grają moi przyjaciele: Karolak, Namysłowski i Urbaniak. Znamy się praktycznie od dzieciństwa. Pewnie się mniej zmienili niż ja, bo nie przeżyli tego szoku emigranta. Próbowali w Stanach, ale szybko wrócili do kraju. Wiem, przeszli tutaj różne przykrości związane z polityką, ale są u siebie. Myślę, że jednak najlepiej urodzić się i umrzeć w tym samym miejscu. Wyjazdy, chociaż z perspektywy wydają się czymś bardzo romantycznym, mają dużo negatywnych stron.

Jaka jest cena emigracji?

Wysoka. Człowiek nigdy nie czuje się u siebie. Od tylu lat już mieszkam w Nowym Jorku i można pomyśleć, że się wtopiłem w tamto życie, a jednak nie. Mam wielu przyjaciół Amerykanów, ale to nie to samo. Tam fizycznie wszystko jest inne. Niby zawsze można wsiąść w samolot i się przemieścić, ale to są sprawy bardzo podświadome.

Czy trudność z wiekiem się zwiększa?

Nie powiedziałbym. Ale mocniej ją odczuwam. Nie żałuję, że wyjechałem, bo gdybym tutaj został, byłbym wykończony psychicznie. Nie wiem, co bym w życiu zdziałał, biorąc pod uwagę, że za czasów mojej młodości nie było tu żadnych warunków rozwoju dla młodego, wrażliwego artysty, tylko potworna opresja. Zresztą, umówmy się, problemy istnieją wszędzie, tylko są inne. Do tego wszystkiego jeszcze antysemityzm. Wie pani, antysemityzm to nie jest polski wynalazek, tylko jak słyszę antysemityzm po polsku, to mnie on bardziej boli, niż gdybym słyszał o tym w Ameryce czy w każdym innym kraju. Znam wielu ludzi, którzy zostali stąd wygnani po marcu 1968 r., i ciekawe, że żaden z nich nie czuje nienawiści do Polski i jednocześnie nie mogą się od tej Polski odczepić. To jest część naszego życia, siedzi w nas. Często rozmawiam z żoną na ten temat, bo jest w podobnej sytuacji. Ona jest jeszcze bardziej wykorzeniona – urodziła się w Polsce, dzieciństwo i wczesną młodość spędziła w Wenezueli, a potem przyjechała do Ameryki.

Jesteście razem prawie 45 lat.

Jesteśmy razem bardzo długo. Fakt, że ją poznałem, to jest rzecz zupełnie fantastyczna i zarazem kompletny przypadek, zresztą jak wiele w moim życiu. Byłem po bardzo bolesnym rozwodzie. Miałem związek z Amerykanką, trwał niecały rok, bardzo nieudany. Byłem zdegustowany, nie

chciałem nikogo poznawać, nie chciałem wychodzić na przyjęcia, randkować. Któregoś dnia dzwoni do mnie koleżanka, wtedy najmłodsza redaktorka „Life", Amerykanka, miała chłopca Francuza, fotografa, i postanowiła urządzić mu urodziny w takim starym hotelu. Namawiała mnie, żebym przyszedł, nie chciałem, ale w końcu się zgodziłem. Trafiłem na wielkie przyjęcie, była świetna muzyka, basen...

Ile Pan miał lat?

Chyba 31. Poznałem tam jakąś Argentynkę, tańczymy i, jak to bywa wśród obcokrajowców, ona mnie pyta, skąd jestem. Jak się dowiedziała, że z Polski, mówi: „Mam tu przyjaciółkę, zdaje się, że ona też jest z Polski". I wskazała palcem na Anię. Ja patrzę, a tam piękna dziewczyna! Podchodzę i coś jej z tyłu szepnąłem po polsku, a ona aż podskoczyła. I tak żeśmy spojrzeli na siebie, i prawie że od pierwszego wejrzenia przylgnęli. Studiowała architekturę na tej samej uczelni, co ja wcześniej, mieszkała w bursie w Brooklynie, ja wtedy mieszkałem już na Manhattanie. Dojeżdżałem do niej. Po pewnym czasie postanowiliśmy zamieszkać razem, ale nie mogła się przyznać rodzicom, którzy byli bardzo negatywnie nastawieni do współżycia bez ślubu. Urzędnicy amerykańscy też nam utrudniali życie. Potem się okazało, że nas śledzili, byli przekonani, że jestem szpiegiem. Robili straszne fochy, utrudniali mi zdobycie obywatelstwa, straszyli nas deportacją.



ARCHIWUM PRYWATNE RYSZARDA HOROWITZA

Ślub Anny i Ryszarda Horowitzów

Ale przetrwaliście.

Oczywiście. Bardzo podobnie odbieramy przyrodę, architekturę, sztukę. Są pewne zgrzyty, to jest normalne. Wie pani o co? O drobiazgi, o kolor stołeczka pod prysznicem. Ja często właśnie głupstwami się martwię, o wiele bardziej mnie deprymują małe rzeczy niż duże. Wydaje mi się, że to ma związek z moją przeszłością. Może dlatego, że to, co przeszedłem, było takie wielkie, dramatyczne i nie miałem nad tym żadnej kontroli?

Nad stołeczkiem można mieć kontrolę.

O, to właśnie. Wspaniale to pani wytłumaczyła. Tylko mój stosunek do Ameryki się wtedy zmienił na mniej romantyczny. Do dziś jestem podejrzliwie nastawiony do ludzi, którzy pieją wspaniałości na temat jakiegokolwiek kraju. Wydaje mi się, że wszędzie jest dość trudno, tylko człowiek mimo to stara się stworzyć sobie jak najlepsze warunki życiowe. Bez tego romantycznego fantazjowania.

Jak to zrobiliście, że tak długo jesteście razem?

Trzeba sobie podać rękę, wysłuchać racji drugiej osoby. Nie zawsze jest łatwo, ale jak człowiek ma oczy otwarte i przyjacielski stosunek do siebie, to jakoś się udaje. Ludziom z reguły nie chce się walczyć, żeby dojść do porozumienia.

Łatwiej wyrzucić, niż zreperować.

No tak. Mamy respekt do siebie. Ania jest moją wielką podporą. Nie, że wszystko, co robiłem, jej się podoba – jest ostrym krytykiem, ale to bardzo dobrze. Widzimy świat podobnie, lubimy prawie te same rzeczy. Mamy bardzo dużo ze sobą wspólnego. Ta dziewczyna, z którą się pobrałem po raz pierwszy, to była dla mnie zupełnie obca osoba, pod każdym względem. Rzeczą tragikomiczną było, że w ogóle nie znała mojej przeszłości. Parę lat po naszym rozwodzie wyszła „Lista Schindlera" i ona wtedy nagle zorientowała się, kim jestem. Napisała do mnie. ↦

↦ Wtedy dostałem mnóstwo listów, nie tylko od niej, że dlaczego nie mówiłem, że gdybyśmy wiedziały, toby było zupełnie inaczej... Dzięki Bogu, żeście nie wiedziały, bo nie chciałbym, żebyście odczuwały jakąkolwiek litość w stosunku do mnie i na tej zasadzie szukały podstaw współżycia.

Jak to możliwe, żeby po tak niewyobrażalnie trudnych doświadczeniach mieć w sobie tyle witalności, kreatywności? Można zapomnieć o tym, co było?

Sam nie wiem. Jak mówiłem, z wiekiem te sprawy powracają bardzo mocno. Człowiek nie jest w stanie się otrząsnąć, to siedzi w podświadomości. Nigdy świadomie nie budowałem swojego życia w oparciu o to, co mnie spotkało w dzieciństwie. Raczej wmawiałem sobie, że wcale przez to wszystko nie przeszedłem, że to jest tylko jedna wielka fantazja. Ale niestety pozostała bogata dokumentacja, są świadkowie, którzy jasno mówią, że jednak tam byłem – nie mogę zaprzeczyć, choćbym nawet chciał. Może moje intensywne zaabsorbowanie tym, co robię, jest ucieczką od tego wszystkiego? Wie pani, są ludzie, którzy twierdzą, że w każdym z moich zdjęć jest nutka autobiografii. Szczególnie psychoanalitycy tak mówią.

Wszystko, co robimy, jest jakimś odbiciem naszego świata wewnętrznego.

Oczywiście, że tak. Ale pytanie, czy to zawsze musi być odbicie dramatu? Opowiem pani coś: zaraz po przyjeździe do Stanów poznałem Gustawa Bychowskiego, słynnego psychoterapeutę. Wysłuchał mnie i stwierdził, że mi to wszystko samo przejdzie z czasem... Jednak posłał mnie do faceta, który specjalizował się w terapii syndromu ocalałych. Poszedłem z ciekawości. Okazało się, że on miał już wyrobioną całą filozofię – osoba taka jak ja, według niego, nie ma żadnej szansy na prowadzenie normalnego życia. Uznał, że człowiek z moją biografią musi być zupełnie wewnętrznie zniszczony, że ja nie będę w stanie zapanować nad własnym życiem, nie będę produktywny. Popatrzyłem na niego i mówię: „Wie pan, pan chyba nie mówi o mnie, pan się pomylił". Wściekł się na mnie i to było jedyne nasze spotkanie.

Poznałem wielu ocalałych i oni naprawdę są bardzo różni. Byli i tacy, których to złamało. Powiem pani szczerze: ja w ogóle nie lubię o tym rozmawiać. Po tej całej zabawie ze Spielbergiem przy „Liście Schindlera" doszedłem do wniosku, że się do tego nie nadaję. Kilkakrotnie mnie wyciągano na jakieś spotkania, i to zawsze się źle kończyło. Nie tylko dlatego, że czułem coś w gardle, ale przede wszystkim zdałem sobie sprawę z głupoty ludzi. Raz byłem na spotkaniu w szkole podstawowej w Nowym Jorku i uczeń zapytał, jakie miałem zabawki w Auschwitz. Może człowieka krew zalać, prawda? Pomyślałem, po co mam się w to angażować, niech to robią ci, którzy to lubią.



ARCHIWUM PRYWATNE RYSZARDA HOROWITZA

Niusia Horowitz-Karakulska, Roman Liebling (później Polański), Ryszard Horowitz i Roma Ligocka na Wawelu, rok 1946

A jakie znaczenie miał dla Pana sam film Spielberga?

Był ważny, ponieważ zezwolił na trochę swobodniejsze podejście do sprawy, znalezienie łatwiejszej metody mówienia na ten temat, nietrzymania wszystkiego w sobie. Ale tak naprawdę to wszystko jest gówno warte. Jak rozmowa schodzi na ten temat, to jednak bardzo źle się czuję. I jestem pełen podziwu, jak inni wspaniale sobie dają radę. Nie chcę siebie deprymować i nie chcę innych deprymować. Nie chcę się wywyższać, ścigać – kto cierpiał bardziej, kto mniej, kto był najmłodszym z ocalałych, szukać litości. Nigdy nie chciałem tego wykorzystywać. Ale też nie mogę słuchać, jak się ten temat traktuje. Jak ludzie szybko zapominają albo kwestionują prawdę historyczną. To jest więcej niż szokujące.

Opowiadał Pan synom swoją historię?

Kiedy nie było wyjścia i trzeba było na ten temat mówić. Jak dojrzeli, dużo czytali, rozmawiali z innymi, doskonale wiedzą, o co chodzi. Też bardzo przeżywają to,

co się dzieje w Polsce, strasznie ich to boli. Kto wie, czy nie bardziej niż mnie. Sama pani widzi. Niby nie znoszę rozmawiania na ten temat, ale sam skierowałem rozmowę na te tory.

Zmieńmy więc temat. Co Pana teraz napędza?

Potrzeba tworzenia. Mój zawód to jest moja miłość, pasja. Od dzieciństwa miałem zdolności plastyczne, a moi rodzice byli do tego bardzo przyjaźnie ustosunkowani. Nie robili przeszkód, kiedy szedłem w kierunku studiów plastycznych, nie upierali się, że mam być adwokatem czy lekarzem. Wszystko, co wyniosłem stąd, ze szkół artystycznych, bardzo mi pomogło i dalej pomaga.

I ten ogień nadal się pali.

Mam jeszcze dużo do zrobienia. Tylko sytuacja jest coraz bardziej skomplikowana. Czy chcę, czy nie, muszę brać pod uwagę swój wiek.

Wygląda Pan młodzieńczo.

Jest pani bardzo miła.

Szczera.

Czasem trudno mi się odnaleźć. Kocham majsterkować, naprawiać, budować, ale coraz mi trudniej wejść na drabinę, żeby nie spaść. Coraz trudniej wejść pod zlewozmywak, naprawić syfon. Na szczęście moja praca twórcza rzadko wymaga wysiłku fizycznego, chociaż czasem zmuszony jestem biegać po dachach lub wychylać się z lecącego helikoptera.

Uprawia Pan sport?

Uprawiałem sporty prawie przez całe życie. W tej chwili jestem potwornym nierobem. Od czasu do czasu idę na gimnastykę, ale nie jestem fanatykiem. Muszę być naprawdę w złej kondycji fizycznej, żeby ćwiczyć. Dużo chodzę, bo wiem, że ruch fizyczny jest bardzo potrzebny. Nie siedzę w fotelu przed telewizorem. Dawniej jeździłem dużo na nartach. Ale największą przyjemność mam z pracy. Nie trzeba mnie do tego zachęcać. To mi daje spełnienie.

Powiedział Pan w jednym z wywiadów: „Staram się wierzyć, że świat jest dobry". Udaje się?

Coraz trudniej. Staram się szukać tego światła w tunelu, spotykam ludzi naprawdę fajnych, ale umówmy się – większość ludzkości jest dosyć podła. Ludzie potrafią być okrutni, straszni. Jeśli działają bezkarnie, jeśli się im popuszcza i daje broń, czy kompletną władzę nad innymi, to natychmiast stają się katami, bez względu na to, czy są wyedukowani, czy nie. Ludzie mają okrucieństwo w sobie. Na szczęście nie wszyscy. Wiem, co mówię, widziałem to. Artyści też potrafią być bezlitośni.

Antysemityzm to nie jest polski wynalazek, tylko jak słyszę antysemityzm po polsku, to mnie on bardziej boli, niż gdybym słyszał o tym w Ameryce czy w każdym innym kraju.

Mam nadzieję, że Pan jest wyjątkiem.

Nie, nie jestem ideałem.

Ja nie mówię, że widzę ikonę.

Nie widzi pani ikony? A, to przepraszam, możemy już kończyć? (*śmiech*)

Dlaczego twórcy często są podli?

Bo mogą. A przy tym często są geniuszami i tworzą wspaniałe rzeczy. Jedno z drugim ma mało wspólnego. Można być paskudnym człowiekiem i niezwykle twórczym. Twórcy mogą być sukinsynami, potworami w stosunku do swoich rodzin, mogą być bezwzględni, chytrzy. Nie każdy, ale wielu takich było. Lubię czytać biografie twórców. Dowiaduję się wtedy strasznych rzeczy. Przyjaźniłem się z Claude'em Picassem, który mi dużo opowiadał o zagraniach swojego tatusia.

To nie przeszkadza Panu w odbiorze sztuki?

Nie można patrzeć na sztukę przez pryzmat życia twórcy. To są dwie różne rzeczy. W moim wypadku często mnie irytuje, kiedy ludzie doszukują się powiązania między moją biografią a moją sztuką, kiedy doszukują się ukrytych motywów. Ja nie tworzę dla innych. Tworzę, bo sam tego potrzebuję. Miło mi, jak to się komuś podoba, ale też wielokrotnie na mnie wieszano takie opinie, że trudno mówić.

Często zadają mi pytanie, które swoje zdjęcie lubię najbardziej. A to się cały czas zmienia. Czasem najbardziej lubię ostatnią rzecz, którą zrobiłem, ale parę miesięcy później już nie mogę na nią patrzeć. Są rzeczy, które robiłem dziesiątki lat temu, dziś żyją własnym życiem, są bardzo nowoczesne.

Myśli Pan o horyzoncie życia?

Oczywiście, trudno o tym zapomnieć. Nawet gdybym stanął na głowie. Na szczęście jestem na tym etapie, że to jest jeszcze dla mnie abstrakcja. Ta myśl nie ciąży nade mną tak, żeby mnie rozkładać. Boję się momentu, w którym o niczym innym nie będę mógł myśleć, ale może nigdy do niego nie dojdzie? Choć to mało prawdopodobne. Nie wiadomo. Najsmutniejsze jest oglądanie ludzi, którzy pod koniec życia bardzo cierpią. Końcówka potrafi być potwornie brutalna i to nie tylko dla tych cierpiących.

A tak w środku, ile ma Pan lat?

Zależy na jaki temat. Jeśli chodzi o jazz, to jestem bardzo młody, mam dwadzieścia parę lat i to mi nie mija. Nie czuję się staruszkiem, ale jak czasem na głos wypowiem tę cyfrę, to jestem absolutnie przerażony. Czasem z przyjaciółmi tak rozmawiamy: czy myśmy kiedykolwiek przypuszczali, że dożyjemy tego wieku? Mam nadzieję, że uda mi się utrzymać w tak dobrej formie jeszcze trochę. Dlatego podróżuję. Potrzebuję zmiany otoczenia.

Miewa Pan okresy melancholii?

Bardzo miewam – okresy smutku i zwątpienia, czy to, co robię, jest dobre i ma sens. Nie nazwałbym się osobą szalenie szczęśliwą. Najbardziej to obciąża moją rodzinę, bo kiedy widzą mnie zasmuconego, to się martwią. Zupełnie niepotrzebnie, bo melancholia jest częścią mojej natury. Jestem wtedy w swoim własnym świecie, o czymś myślę, coś sobie wyobrażam. Ludzie niepotrzebnie to odbierają jak afront. Po prostu czasem muszę pobyć ze swoimi myślami. Czasem one są dobre, czasem złe. Czasem mam ochotę komunikować się, poruszać tematy z innymi, czasem nie. Wiele mojej irytacji wiąże się ze współczesną sztuką, z tym, co się dziś podoba. Moje poczucie estetyki staje się nieaktualne. Często się łapię na tym, że niepotrzebnie się denerwuję, lepiej odpuścić i robić swoje. Będzie, jak będzie, jak w tej piosence: „*que sera sera*...". ©

Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA



KRYM: DRAMAT KAŻDEGO DNIA

Represje wobec Tatarów Krymskich są coraz ostrzejsze. Co jest ich celem? Czy Rosja chce wymusić „cichą deportację”? Czy chce sprowokować Tatarów, aby poniechali oporu pokojowego i sięgnęli po broń?

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ

Faisal do dziś nie rozumie, dlaczego funkcjonariusze Federalnej Służby Bezpieczeństwa przyszli po niego i po jego synów. Przecież nie zrobili nic, czym złamaliby rosyjskie prawo. Chcieli żyć spokojnie, prowadząc firmę handlową, która dawała im utrzymanie. Nie udało się.

A przecież tam, na Krymie, Faisal nie angażował się w politykę ani w żadne publiczne aktywności. Inaczej niż sąsiedzi-Tatarzy (on jest muzułmaninem, ale nie Tatarem). Nie chciał. Nie po tym, jak przesiedział wcześniej w Rosji pięć lat za – jak powie dziś jego przyjaciel, występujący tu w roli pośrednika – zaangażowanie w islamski ruch religijny, które sąd uznał za ekstremizm. Pojechał wtedy do Rosji jako gastarbeiter – i tak się wtedy skończyło.

Gdy wyszedł na wolność, już wiele lat temu, osiadł na Ukrainie: na Krymie, bo tam była wspólnota muzułmańska. Sądził, że tu będzie spokojnie. Tylko tego chciał. Minął już półmetek życia. Sprowadził na Krym rodzinę z Azji Środkowej (prosi, by nie podawać nazwy kraju). Kupili dom, zaczęli nowe życie.

Opowieść Faisala

Nadajmy mu takie imię: Faisal. Prosił, aby nie podawać prawdziwego. Bo choć wraz z rodziną są już poza Krymem – uciekli przez zieloną granicę – to Faisal nadal się boi. Ludzie z FSB postawili sprawę jasno: zabiją – jego albo synów – jeśli opowie komuś o tym, co ich spotkało.

Jednak chce opowiedzieć. Tylko nie chciałby się spotykać: woli mówić przez pośrednika.

Nie można więc zweryfikować jego historii, spojrzeć na niego, skonfrontować – choćby z tym, co mieliby do powiedzenia jego synowie. Można uwierzyć albo nie.

Opowiada, że wzięli ich tak, jak teraz na Krymie zabiera ludzi FSB: bez wyjaśnień, w niepewności. Po prostu: wygarnęli z domu i zawieźli na bezpiekę. Tam, jak twierdzi, nic od niego nie chcieli. Tylko bili. Tak – powiedzmy – tradycyjnie. Za to trzech synów potraktowali gorzej. Metalowy pręt włożony do odbytu, podłączone kable, puszczony prąd.

Dlaczego to robili? Nie powiedzieli. Może synowie zapłacili za to, że on, Faisal, nie chciał być konfidentem FSB? Werbowali go jeszcze w 2014 r., zaraz po aneksji. Miał donosić na Tatarów. Może uznali go za łatwy cel: nie-Tatar, więc (mogli sądzić) bez oparcia w środowisku. Ale odmówił. A więc spóźniona zemsta? Czy wstęp do kolejnej próby werbunku?

„Krymski Maraton": akcja zbierania pieniędzy na opłacenie kar finansowych, orzeczonych przez rosyjskie sądy. Tatarzy zbierają pieniądze możliwie najmniejszymi nominałami. Krym, koniec 2017 r.

„Zielonka"

W każdym razie jego i dwóch synów puścili szybko, po kilkunastu godzinach. I znowu: w taki sposób, jak to teraz często bywa na Krymie, bez wyjaśnień, bez oskarżenia. „Idźcie" – powiedzieli. Natomiast trzeci syn spędził na FSB miesiąc. Faisal mówi, że teraz jest on wrakiem człowieka: nie może spać, ma lęki, często płacze.

Tak opowiada Faisal przez swojego przyjaciela-pośrednika. Chce o tym mówić – choć ludzie z FSB zagrozili im wtedy śmiercią. I zakazali opuszczania Krymu.

Uciekli sposobem, który na Półwyspie Krymskim ma już własne określenie: „zielonka". Wygląda to tak: płacisz człowiekowi z FSB lub ze straży granicznej, a on przeprowadza cię przez zieloną granicę – i oddaje w ręce ukraińskich pograniczników. Gdy oni zdecydowali się na „zielonkę", cena za dorosłego wynosiła 800 dolarów.

Historię Faisala, o aresztowaniu i torturach, usłyszałem już kilka miesięcy temu. Bo po tym, jak go zwolnili, Faisal zaryzykował i zwierzył się paru przyjaciołom. Uznał, że tak będzie bezpieczniej. Prosił tylko, by o tym nie mówić publicznie, dopóki nie opuszczą Krymu.

Dziś cała rodzina mieszka gdzieś na centralnej Ukrainie.

Historia Renata

Także Renat Parałamow do dziś nie wie, dlaczego w tamten wrześniowy poranek 2017 r. funkcjonariusze FSB przyszli akurat po niego. Gdyby przeanalizować to, co działo się z Renatem potem – w ciągu kilkudziesięciu godzin – przychodzą do głowy różne wyjaśnienia.

Parałamow to jego prawdziwe nazwisko. Już wtedy, jesienią 2017 r., jego historia stała się znana na Krymie i na całej Ukrainie (na Zachód się nie przebiła).

Zresztą, być może, o to właśnie chodziło: aby stała się znana, aby budziła strach w społeczności tatarskiej. Bo skoro coś takiego mogło przytrafić się Renatowi – ojcu czworga dzieci, człowiekowi spokojnemu, muzułmaninowi umiarkowanemu, z zawodu programiście komputerowemu, którego jedyne publiczne zaangażowanie polegało na tym, że był moderatorem grupy religijnej w internecie (grupy niezwiązanej z żadną partią czy ruchem i niezajmującej się polityką, lecz tylko sprawami religijnymi) – to znaczy, że przytrafić może się każdemu.

Wtedy, podczas przesłuchania na FSB w Symferopolu, Renat się załamał. Podpisał przyznanie się do licznych win (choć ich nie popełnił) i wziął udział w tzw. eksperymencie śledczym, nagranym przez FSB. Podczas niego wskazał miejsce, gdzie miały być ukryte materiały wybuchowe (aby mógł je wskazać na wizji, najpierw został poinstruowany).

Renat nie od razu podpisał. Wcześniej wytrzymał dużo: bicie, upokorzenia. Nawet tortury prądem. Załamał się dopiero, gdy funkcjonariusze FSB oświadczyli mu, że skoro nie współpracuje, to – cytat – „będziemy cię gwałcić". Tak twierdzi Renat.

– Wytrzymałbym bicie, ale tego bym nie zniósł – powiedział później znajomemu.

Dwie opcje

Tymczasem nic tego nie zapowiadało, gdy ludzie z FSB przyszli do jego domu w Niżniegorsku (to wieś, właściwie przysiółek) 13 września 2017 r., o szóstej rano. Nie mieli masek ani długiej broni, nie zrobili blokady wokół domu, nie rzucili ich na podłogę.

Renat, rocznik 1986 (urodził się na wygnaniu w Kazachstanie, dokąd po deportacji w 1944 r. trafiła z Krymu jego rodzina), wspominał potem, w rozmowie z ukraińskim radiem Hromadske, że zrobili tylko pobieżną rewizję, jakby nie spodziewali się nic znaleźć. Wręcz bagatelizowali sprawę. „Zabrali sprzęt: tablet, mój telefon, notebook żony. Powiedzieli mi: pojedziemy na najbliższy posterunek, tam zrobimy analizę zawartości sprzętu i będziesz wolny". Nawet go nie skuli.

Gdy więc pod dom zbiegli się sąsiedzi, kilkadziesiąt osób, Renat wyszedł do nich, aby uspokoić ich, że nic strasznego się nie dzieje (na Krymie to typowe: gdy przychodzi FSB, zwykle zbiegają się sąsiedzi, by wesprzeć aresztowanego i jego rodzinę).

Wsadzili go do auta. Renat zauważył, że nie jadą na lokalny posterunek, ale w przeciwną stronę. Zapytał, o co chodzi. Usłyszał: „Wyciągaj ręce". Skuli go na plecach. Na głowę wciągnęli worek. W kajdankach i worku miał spędzić półtorej doby (za wyjątkiem chwil, gdy go filmowali, podczas tzw. eksperymentu śledczego). ↦

↦ Zaczęli zadawać pytania. Odparł, że chce adwokata. „Podszedł do mnie jeden i mówi: ja twój adwokat – i zaczął bić. Raz, drugi. Potem mówi: chcesz adwokata – będę przychodzić".

Powiedzieli, że ma dwie opcje: „Albo od razu zrobisz to, co chcemy, i będziesz zdrowy. Albo stracisz zdrowie, a i tak zrobisz to, co chcemy".

Biały kamień z prawej

Renat wspominał, że dodatkowo okleili mu taśmą ręce i nogi. Położyli twarzą do ziemi. Odkryli pośladki, podpięli, włączyli prąd. Krzyczał, rzucał się. Przytrzymali. Znów puścili prąd (późniejsza obdukcja potwierdziła oparzenia jak po użyciu prądu). Wymiotował, tracił świadomość, przytomniał. Dostał jakieś zastrzyki. Zostawili go. Czuł, jak ból pulsuje w ciele. Wrócili, znów bili. Przyszła lekarka, obejrzała go. Znów włączali prąd. Przerwa i od nowa.

Renat: „Zacząłem się modlić w duchu. Zobojętniałem. Przestałem nawet krzyczeć".

Wtedy poczuł, że wlewają mu coś do odbytu. Coś galaretowatego, może żel? Usłyszał: „A teraz będziemy cię gwałcić. Wsadzimy ci do tyłka rurkę, przez nią pręt i tym prętem będziemy cię gwałcić". Renatowi język odmawiał posłuszeństwa. Wykształcił, że wszystko podpisze.

Podpisał więc zeznanie, że wie o schowku, w którym od 2014 r. miały być ukryte materiały wybuchowe (schowek miał się znajdować w lesie koło wsi Dwurzecze). Podpisał też zeznanie, że jest członkiem islamskiego ruchu ekstremistycznego, przeszedł szkolenia i działał w internecie na rzecz tego ruchu, administrując stronami, rekrutując zwolenników itd. Nic z tego nie było prawdą.

Następnego dnia odbył się „eksperyment śledczy": ekipa FSB zawiozła Renata do lasu. Zdjęli worek z głowy, kajdanki chyba też. Ustawili kamerę. Usłyszał: „20-25 metrów w prawo, po prawej stronie będzie leżał biały kamień – na niego pokażesz". Zrobił, co kazali.

Potem go puścili. Oddali komputery, telefon, dokumenty – i zostawili przy drodze, obok przystanku autobusowego. Nie został aresztowany. Dlaczego? Tego nie wie ani on, ani tatarscy adwokaci i działacze, którzy – gdy opowiedział, co go spotkało – złożyli formalną skargę na działania FSB (skarga nic nie dała, jak zwykle).

Okrucieństwo niezwyczajne

Sprawa Parałamowa odbiła się echem na Krymie i wśród diaspory: tych kilkudziesięciu tysięcy Tatarów, którzy po marcu 2014 r. opuścili Krym i rozproszyli się po całej Ukrainie, od Chersonia po Lwów. Stała się – obok sprawy Serwera Karametowa (o niej za chwilę) – punktem zwrotnym dla sposobu, w jaki Tatarzy oceniają taktykę Rosjan wobec ich społeczności.

Od momentu aneksji w 2014 r. miałby to bowiem być pierwszy przypadek takiej niezwyczajnej brutalności. Niezwyczajnej, czyli takiej, która może uderzyć w każdego, niezależnie, czy ofiara angażuje się w jakiekolwiek publiczne działania.

Owszem, wcześniej Rosjanie też bili i torturowali. Czasem zabijali: w pierwszych miesiącach po aneksji zginęło kilkunastu działaczy krymskotatarskich (z rąk nieznanych do dziś sprawców). Kolejnych kilkunastu zaginęło bez wieści. Jak np. Erwin Ibrahimow, członek Medżlisu (tatarskiego samorządu, dziś zakazanego: rosyjskie władze uznały Medżlis za organizację ekstremistyczną). Ibrahimow występował na wiecach, mówił, że Krym to część Ukrainy. W 2015 r. kamera przemysłowa uchwyciła scenę, jak zamaskowani ludzie zatrzymują go i pakują do busa. Odtąd ślad po nim zaginął.

Ale przy całej brutalności i okrucieństwie – zwykle był powód. Zazwyczaj ofiara była aktywistą. Tymczasem w przypadku Parałamowa okrucieństwo wydawało się przypadkowe: uderzyło w kogoś, kto nie występował przeciw Rosji i nie kwestionował, że Krym to jej część.

Renat Parałamow opuścił już Krym, mieszka w Kijowie.

Serwer-aga wyszedł na plac

Za to Serwer Karametow nie zamierza wyjeżdżać z Krymu ani zaprzestać działalności. Deklaruje, że będzie ją kontynuować do końca. To brzmi patetycznie. Ale w jego przypadku to raczej stwierdzenie faktu: Karametow ma 77 lat i zaawansowaną chorobę Parkinsona.

Miał trzy lata, gdy w 1944 r. został deportowany z Krymu – wraz z rodziną i całym narodem, ukaranym zbiorowo za to, że część Tatarów Krymskich podjęła współpracę z III Rzeszą (jak wiele narodów Związku Sowieckiego widząc w Niemcach – przynajmniej początkowo – szansę na życie znośniejsze niż pod rządami Stalina).

Jego rodzina trafiła do Uzbekistanu. Powrót na Krym, możliwy od końca lat 80., w jego przypadku oznaczał społeczną degradację: tam inżynier mechanik, tu pracował w kołchozie jak traktorzysta i pastuch. Bo na wracających z wygnania nikt nie czekał z otwartymi ramionami, musieli zaczynać na nowo. Po 1991 r. nie pieściła się z nimi niepodległa Ukraina. Tak to czuli.

Działaczem społeczności krymskotatarskiej Serwer-aga (tak, z szacunku, nazywają go rodacy) został jeszcze w czasach sowieckich. Po 1991 r. należał do tych weteranów, którzy dbali o pamięć, korzenie i tradycję narodu. Każdego 18 maja – w rocznicę deportacji z 1944 r. – przychodził na demonstracje i upamiętnienia. Zawsze z flagą tatarską w ręku. Także po aneksji, gdy niezależne obchody zostały zakazane.

To była jego decyzja, świadomy wybór, gdy sierpniowego dnia 2017 r. Serwer-aga wyszedł z domu w Starym Krymie (10-tysięcznym mieście na wschodzie półwyspu) i wsiadł do busa do Symferopola. Wymknął się, nie mówiąc nic dzieciom i wnukom (nie chciał ich denerwować). Tego dnia w Symferopolu odbywał się proces Achtema Czyjgoza (wiceprzewodniczącego Medżlisu, został on aresztowany jeszcze na początku 2015 r.; wkrótce potem, we wrześniu 2017 r., sąd miał skazać go na osiem lat kolonii karnej, ale pod koniec października on oraz sądzony z nim Ilmi Umerow, też lider tatarski, zostali zwolnieni i deportowani do Turcji).

Karametow nie zamierzał łamać prawa – to rosyjskie dopuszcza tzw. protesty jednoosobowe. Postanowił wykorzystać tę możliwość. W pojedynkę stanął na placu przed sądem w Symferopolu. Trzymał papierowy plakat z napisem: „Putinie, nasze dzieci to nie terroryści!".

W imieniu naszych dzieci

To, co działo się potem, można obejrzeć w internecie – w związku z procesem wokół sądu zebrało się sporo ludzi; niektórzy filmowali. Na filmie z zatrzymania Karametowa widać, jak policjanci dyskutują z nim. Wzburzony 76-latek twierdzi, że nie łamie prawa i wolno mu protestować w pojedynkę. Gdy prowadzą go do auta, pod ręce, kołysze się na boki, jakby miał się przewrócić (jego adwokat powie potem, że Serwer z nerwów nie zażył rano lekarstw).

Karametow trafił do aresztu. Został oskarżony o zorganizowanie demonstracji i stawianie oporu władzy – bo nie podążał sprawnie za policjantami. Sąd wydał wyrok: 10 dni aresztu administracyjnego



KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ

„Tatarzy Krymscy to nie terroryści, zostawcie nasze dzieci w spokoju": protest przed komisariatem policji na Krymie, koniec 2017 r.

i grzywna, w wysokości 10 tys. rubli (dziś równowartość 500 zł, wtedy było to więcej – rubel był mocniejszy). Adwokat poprosił, by areszt zamienić na wyższą grzywnę, z racji wieku i choroby. Sąd nie zgodził się, Karametow odsiedział całą karę.

Wyrok ten, a bardziej może nawet fakt, że do pojedynczej celi trafił 76-letni ciężko chory weteran ich ruchu narodowego, wywołał wśród Tatarów poruszenie, by nie rzec – szok.

I miał swój dalszy ciąg. Bo gdy stało się jasne, że Karametow odsiedzi swoje, kolejnych siedmiu starych mężczyzn z Symferopola wyszło na plac. Stanęli w pewnym oddaleniu od siebie – tak, aby potem mogli argumentować, że były to „protesty jednoosobowe" – na placu przed sądem, który skazał Serwera. Trzymali identyczne plakaty: „Nasze dzieci to nie terroryści!". Niektórzy nakleili zdjęcia: twarze Tatarów, którzy siedzą z dłuższymi wyrokami lub w aresztach śledczych: za „terroryzm", „działalność antypaństwową", „ekstremizm". Kilkadziesiąt twarzy.

To był protest starców. W imię solidarności z Serwerem, ale także w imieniu ich dzieci i wnuków. Jakby uważali, że jeśli już ktoś ma iść za kraty, to lepiej oni, starzy.

I poszli. Przynajmniej niektórzy. Rosyjskie władze chyba nie były pewne, jak reagować na protest starców i jak go zakwalifikować. W końcu zarzucono im, że naruszyli teren sądu. Ale czy chodnik to także teren sądu? Gdzie się on zaczyna? Pytany przez adwokatów, sąd nie umiał tego określić. Ale grzywny zasądził. A wobec niektórych z tej siódemki również areszt.

Krymski maraton

Potem na place i ulice zaczęli wychodzić kolejni Tatarzy, w Symferopolu, a także w innych miastach i miasteczkach, właściwie na całym Półwyspie. Niektórzy stawali też przy drogach. Z podobnymi plakatami: „Tatarzy Krymscy to nie terroryści – oddajcie ojców dzieciom, zostawcie nas w spokoju". Wszyscy, rzecz jasna, w formule „protestu jednoosobowego".

W kolejnych tygodniach i miesiącach do aresztów trafiały więc co chwila kolejne grupy demonstrantów. Byli sądzeni – czasem po kilkudziesięciu w ciągu jednego dnia. Skazywano ich na areszty (klasyka: 10 dni) i grzywny, zwykle po 10-15 tys. rubli (choć bywały też dużo wyższe).

W realiach Półwyspu Krymskiego osądzenie i skazanie tak bardzo wielu ludzi oznaczało, że niemal każdy z Tatarów albo znał osobiście kogoś ze skazanych, albo kogoś z ich krewnych czy przynajmniej znajomych. Odebrali to jako uderzenie w całą społeczność.

Odpowiedzieli sposobem, który zyskał już swą nazwę: „Krymski Maraton". I trwa do dziś, permanentnie. Polega na zbieraniu pieniędzy na opłacenie kar – najpierw tych z lata 2017 r., a potem kolejnych.

Bo nie ma tygodnia, by kogoś nie skazano. Zwykle wedle podobnego *modus operandi*: na krótki areszt (kilkanaście dni) oraz grzywnę, zazwyczaj w wysokości kilkunastu tysięcy rubli (jak na krymskie warunki to sporo). Chociaż nie ma reguły – rekordziści mieli do zapłacenia grzywny nawet w wysokości 150 tys. rubli (dziś równowartość ok. 7500 zł).

Jednak nie jest to zrzutka zwyczajna: chodzi o to, by datki przekazywać możliwie najmniejszymi nominałami: monetami. Aby spłacić potem jedną grzywnę, do kancelarii sądowej przybywa więc grupa ludzi z wiaderkami lub reklamówkami. W nich – kilogramy monet. Pracownicy sądu muszą je przyjąć i liczyć.

Najchętniej zbierane są monety o nominale 10 rubli z edycji okolicznościowej. Te, które Rosja wprowadziła do obiegu, aby uczcić aneksję Krymu. Na monecie widnieje zarys półwyspu i data: 18 marca 2014 r. – tego dnia Władimir Putin podpisał na Kremlu dokument o wcieleniu Krymu do Federacji Rosyjskiej.

Jak wygląda taka zbiórka, można obejrzeć na licznych nagraniach. Weźmy pierwszą z brzegu: przeprowadzoną we wrześniu 2017 r. w Bachczysaraju (to dawna stolica chanów krymskich). Miejscowa działaczka tatarska musiała zapłacić wyjątkowo rekordową grzywnę – aż 300 tys. rubli (ok. 15 tys. zł). Na nagraniu widać rzędy wiaderek i reklamówek – musiały pomieścić 30 tys. okolicznościowych dziesięciorublówek.

Taka to forma cywilnego oporu.

„Maraton" trwa nie tylko na Krymie. Od czasu do czasu organizowany jest na całej Ukrainie i za granicą, np. w Turcji (gdzie żyje duża społeczność krymskotatarska: sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi).

Np. w ostatniej dekadzie stycznia stoiska informacyjne „Maratonu" stanęły w wielu miastach Ukrainy, od Chersonia i Odessy przez Kijów po Lwów (rzecz jasna, poza Krymem zbierane są zwykłe datki, nie na kilogramy).

„Maraton" przypomina, że rosyjska agresja przeciw Ukrainie to nie tylko Donbas, gdzie ciągle trwa wojna (nawet jeśli jest to teraz, jak ktoś to ujął, „wojna o niskiej intensywności", to jednak z licznymi ofiarami – rzędu kilkuset zabitych i tysiąca kilkuset rannych rocznie).

Opór, ale pokojowy

Przesadą byłoby powiedzieć, że wśród Tatarów Krymskich wszyscy wszystkich ↦





KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ X 4

Tatarzy protestujący w różnych miejscach Krymu, koniec 2017 – początek 2018 r. Plakaty głoszą: „Muzułmanie to nie terroryści", „Zwróćcie dzieciom ich ojców".

↦ znają. Ale jest to społeczność niewielka – i zwarta, trzymająca się razem.

Półwysep Krymski zajmuje teren wielkości województwa lubelskiego, a Tatarów jest tam 250-300 tys. lub nieco więcej (to ok. 15 proc. ludności Krymu, gdzie nieco ponad połowa to Rosjanie). Ćwierć miliona – to tyle, ile liczy np. Częstochowa.

Precyzyjniej: ćwierć miliona było ich w 2001 r. (tylu zadeklarowało się w spisie). Odtąd populacja wzrosła, bo tatarskie rodziny są liczne. Odliczyć trzeba jednak tych, którzy uciekli po 2014 r. (szacunki wahają się od piętnastu do parudziesięciu tysięcy). W każdym razie w tej społeczności, na półwyspie i emigracji, szybko trafi się na krewnych, przyjaciół, znajomych.

Siłę więzi rodzinnych wzmacnia religia: spora część Tatarów to muzułmanie głęboko wierzący. Choć liczni są ci, którzy islam interpretują liberalnie (co manifestuje się np. tak, że kobieta nie nosi chusty), tendencja jest wyraźna: od lat na popularności zyskiwał tu islam, który można nazwać integralnym, tj. odwołującym się do korzeni religii i jej ścisłej wykładni. Przymiotnik „integralny" wydaje się adekwatny, bo równocześnie ten islam, w wydaniu muzułmanów z Krymu, jest religią wyjątkowo pokojową.

W tym miejscu można by zacząć dyskusję, na ile wynika to z interpretacji religii, a na ile z pamięci zbiorowej: z przeświadczenia, że w ich przypadku walka zbrojna (kiedyś przeciw Sowietom, dziś Rosji) była/jest beznadziejna. Pamięć o deportacji z 1944 r., o powrotach i budowaniu wszystkiego na nowo – to nadal trauma, w skali narodu.

To także kluczowe doświadczenie nie tylko dla pokolenia Karametowa, ale także dla ludzi dziś 30-letnich – ostatnich urodzonych jeszcze na wygnaniu. Być może to ono podpowiada, by na rosyjskie represje – jakkolwiek byłyby drastyczne i upokarzające – nie odpowiadać siłą. Żeby opór miał charakter tylko pokojowy, cywilny.

Kiedy Bóg zechce

Może również zbiorową pamięcią da się tłumaczyć ów szczególny sposób, w jaki rozsiani po Ukrainie tatarscy emigranci odpowiadają, gdy przybysz zada im rytualne pytanie: co myślą o przyszłości i perspektywie powrotu.

Zwykle usłyszymy wtedy najpierw, że bardzo tęsknią. Gdy pozna się ich bliżej, można też usłyszeć, że często śni im się Krym. Dewlet, który swoich starych rodziców nie widział od czterech lat, ma łzy w oczach, kiedy o nich mówi.

Jednak – doda zaraz Dewlet, ojciec czworga dzieci – trzeba być cierpliwym. *Inszallah*. W końcu po 1944 r. musiało minąć 45 lat, zanim wrócili na rodzinną ziemię. Choć więc dziś dla Dewleta i jego rodziny nie ma powrotu – dopóki rządzi Putin, a Rosja nie jest demokratyczna – to jednak kiedyś, kto wie, co może nastąpić... Przecież, *inszallah*, dziadkowie i rodzice Dewleta, w 1944 r. rzuceni do Azji Środkowej, też nie wiedzieli, jak długo potrwa ich wygnanie. Trzeba więc i dziś trwać, przechować kulturę, tradycję i język. Przekazać je dzieciom. One może wrócą.

Jeśli Bóg zechce. I jeśli Rosja bardzo się zmieni (bo nie ma pewności, że nawet Rosja demokratyczna oddałaby Krym).

Tak myśli Dewlet, mężczyzna 40-letni. Tak myślą ludzie 20-, 30-letni. Ale czy ci, którzy mają po kilka-kilkanaście lat i widzą, jak Rosjanie codziennie upokarzają ich ojców i dziadków – widzą lub słyszą od krewnych lub z mediów społecznościowych (gdzie krymskie dramaty dokumentowane są pilnie, dzień po dniu) – czy oni wykażą się cierpliwością i powściągliwością?

Nocne Tatarów rozmowy

To dziś być może najważniejsze pytanie.

Gdy rozmawia się z Tatarami – tymi, którzy opuścili Krym, ale utrzymują z nim kontakt, a dzień zaczynają od przejrzenia profilu „Krymska Solidarność" na Facebooku lub strony „Krymskie realia" (prowadzi ją Radio Swoboda) – można odnieść wrażenie, że właśnie ono jest coraz częściej przedmiotem dyskusji. Niepokoi.

Także Arsłan, Mohamed, Abdul i Halid (imiona zmienione) żyją dziś poza Krymem, gdzieś na Ukrainie.

Halid uważa, że od jakiegoś czasu Rosja stosuje na półwyspie nową taktykę, bardziej zróżnicowaną: – Na początku okupacji postępowali z prostacką brutalnością. Kilkudziesięciu naszych zginęło lub zaginęło, kilkudziesięciu dostało wysokie wyroki. Ale Rosjanie zobaczyli, że to niewiele daje. Przyjęli taktykę bardziej złożoną. Nadal są brutalni. Ale chyba uznali, że lepszym sposobem na rozbicie naszej wspólnoty nie będą wysokie wyroki, bo to ściąga uwagę zagranicy, lecz masowość mniejszych represji. Niezwracających tak uwagi zagranicy, ale dotkliwych, jak areszty, grzywny, zastraszanie. Nawet ten, kto krytykuje rosyjskie władze na portalach społecznościowych, trafia do grupy ryzyka.

Halid sądzi, że celem takiej taktyki jest nie tylko zastraszenie i kontrola, ale też coś, co on i jego znajomi nazywają już „cichą deportacją": – Oni chcą, żeby aktywni Tatarzy opuścili Krym. Np. mój znajomy, działacz, wyjechał pół roku temu. Usłyszał, że FSB się nim interesuje, wolał nie czekać, aż podzieli los Parałamowa. Ale że na Krymie zostawił rodzinę, w międzyczasie kilka razy ją odwiedzał. Gdy jechał pierwszy raz, nie wiedział: wpuszczą go czy nie? Wpuścili. Na „granicy" spytali tylko, na jak długo jedzie. Odparł, że na dwa, trzy dni. Usłyszał: „OK, jedź". Gdyby powiedział, że wraca na stałe, pewnie by go nie wpuścili. A tak przestał być problemem.



„Wolność dla więźniów politycznych".



„Zaprzestańcie represji przeciwko Tatarom Krymskim".

Ale „cicha deportacja" to tylko jedna z interpretacji.

Arsłan powie wprost to, co nurtuje nie tylko jego: – Może Rosjanie chcą sprowokować nas do zbrojnego oporu? Żeby potem mogli mówić, że Tatarzy to islamscy terroryści. Może chcą, żebyśmy zaczęli się bronić jak Czeczeńcy? Żebyśmy dali im pretekst do jeszcze większych represji. Ale my wiemy, że gdybyśmy stawili opór zbrojny, zrobilibyśmy tym prezent Rosji.

Również Abdul jest przekonany, że Rosjanie chcą sprowokować bunt. – Oni chcą, żeby Tatarzy Krymscy zrobili coś takiego, co będzie pretekstem do generalnej rozprawy – mówi. – Tak jak rozprawili się z Czeczenią po 1999 r. [w Moskwie wyleciało wtedy w powietrze kilka budynków mieszkalnych, za co Putin oskarżył Czeczenów; stało się to pretekstem do wojny – red.]

Zgadza się z tym Mohamed, trzydziestoparolatek: – Rosjanie chcieliby zrobić z nas ekstremistów, terrorystów. Ale u nas ludzie rozumni, pojmują to. Nadal nadstawiają drugi policzek.

– Mentalność naszego narodu krymskotatarskiego jest taka – dodaje Mohamed – że jeden stanie za drugiego. Rosjanie to wiedzą. Dlatego wymierzają masowo grzywny nawet za błahe sprawy. Np. mój znajomy pobiegł, by okazać wsparcie sąsiadowi, u którego była rewizja. FSB wszystko nagrywała i potem identyfikowała ludzi. Sąsiad dostał wezwanie do sądu i grzywnę. To działanie na postrach, żeby rozbić naszą solidarność.

Halid: – Wystarczy, żeby kilku naszych chłopaków nie wytrzymało i zrobiło coś głupiego. Putin mógłby wtedy twierdzić, że na Krymie Rosja walczy z terroryzmem.

Wedżije Kashka zakończyła życie

Brutalność, z jaką FSB potraktowała np. synów Faisala czy Renata Parałamowa, omija kobiety. Jeśli dotykają je represje, zwykle są to areszt i grzywna. Kobiety cierpią również jako żony, matki czy córki aresztowanych. Albo jako „straty uboczne". Jak Wedżije Kashka: 82-letnia weteranka ruchu tatarskiego, dysydentka jeszcze za Sowietów. Przez niektórych zwana „krymską Matką Teresą".

Wedżije Kashka umarła w listopadowy poranek 2017 r. Znalazła się w złym miejscu o złym czasie: w epicentrum akcji specnazu FSB. Nie była jej celem. Specnazowcy wkroczyli z impetem i całym sztafażem (jak rzucanie obecnych na ziemię), by aresztować jej przyjaciół. Wedżije zasłabła, FSB wezwała karetkę. Kobieta zmarła w drodze do szpitala.

Jej pogrzeb, z udziałem kilku tysięcy ludzi, zamienił się w manifestację. Żałobnicy wygwizdali kilku przybyłych tatarskich polityków współpracujących z Rosjanami.

Gdy na początku kwietnia na ulicach Kijowa zawisły billboardy – twarze Tatarów Krymskich, którzy siedzą aktualnie w więzieniach – były to wyłącznie zdjęcia mężczyzn. Można jednak wyobrazić sobie to, co w tej chwili wydaje się nie do pomyślenia. Bo jeśli na Kremlu rzeczywiście miałaby zapaść decyzja, aby sprowokować Tatarów, kobiety mogłyby stać się celem najbardziej obiecującym.

Ale tego może lepiej sobie nie wyobrażać.

Kwestia krymska

Dla Zachodu aneksja Krymu wydaje się już stanem trwałym. Owszem, Zachód ma nadal dość powodów, by jej nie uznawać. Ale w jego polityce wobec Rosji „kwestia krymska" sprowadza się do podtrzymywania sankcyjnego *status quo* (za aneksję Krymu i za Donbas) oraz do retoryki.

Jedno i drugie jest ważne, ale z punktu widzenia Tatarów Krymskich to za mało. Mają poczucie porzucenia, osamotnienia. Przez wszystkich: Zachód, Ukrainę, nawet Turcję. Kilka lat temu jej prezydent prezentował się jako patron Tatarów Krymskich, a dziś wraz z Putinem i Irańczykami dzielą między siebie Bliski Wschód.

Tymczasem świat jest inny niż kilka dekad temu. Wszystko dzieje się szybciej. Ludzie są mniej cierpliwi. Informacja przestała być dobrem reglamentowanym. Także na Krymie: kto chce wiedzieć, co się tam dzieje, nie ma z tym problemu. Dzięki streamingowi można być nawet świadkiem rewizji FSB w czasie rzeczywistym – jeśli komuś tam, w krymskiej wiosce, uda się włączyć w komórce opcję „transmisja na żywo" na facebookowym profilu.

Wiedza nie jest jednak wentylem bezpieczeństwa. Przeciwnie: wzmacnia poczucie bezradności, słabości i upokorzenia. Tymczasem takie emocje to podglebie dla radykalizacji. Tak podpowiadają doświadczenia z historii, z różnych miejsc świata.

Zachód nie ma narzędzi, by odebrać Rosji Krym. Ale może wprowadzić rosyjskie represje wobec Tatarów do swojej agendy: może naciskać, dopominać się, zastosować nowe sankcje wobec odpowiedzialnych za to, co się dzieje na Krymie.

Nawet jeśli nie zmusi tym Rosji do poniechania represji, Tatarzy zyskają świadomość, że ktoś się o nich upomina. Że nie spisano ich na straty. Że dla Zachodu kwestia krymska nie jest rozdziałem definitywnie zamkniętym.

Tylko tyle albo – w perspektywie różnych wyobrażalnych scenariuszy na najbliższe lata, a może dekady – aż tyle.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Autor dziękuje Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej za stypendium dziennikarskie, które umożliwiło mu podróże na Ukrainę.

Proces nad procesem

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Hiszpańska demokracja ma się doskonale – powtarza rząd w Madrycie. Tymczasem kolejni katalońscy politycy trafiają do aresztów. Albo uciekają za granicę, gdzie ściga ich wywiad Królestwa.

Mija pół roku od politycznego przesilenia w Katalonii. Na czołówki światowych mediów temat wrócił po aresztowaniu w Niemczech Carlesa Puigdemonta – byłego premiera autonomicznego rządu w Barcelonie. Ale to tylko jeden ze zwrotów akcji w permanentnym kryzysie.

Konflikt z Madrytem wcale się nie skończył, przeciwnie – skomplikował i pogłębił. Barcelońska ulica nie odpuszcza. W niedzielę 15 kwietnia pod hasłem „Chcemy was z powrotem w domu" demonstrowało – żądając uwolnienia katalońskich polityków i dialogu – 315 tys. ludzi (to dane straży miejskiej; organizatorzy mówią o 750 tys. uczestników, a hiszpańska policja o 140 tys.). Wśród nich burmistrzyni Ada Colau, marszałek lokalnego parlamentu Roger Torrent i przedstawiciele największych związków zawodowych.

Kandydaci w kajdankach

Przypomnijmy: jesienią 2017 r. Katalonia zignorowała zakaz wydany przez hiszpański Trybunał Konstytucyjny i przeprowadziła referendum niepodległościowe, w wyniku którego proklamowała republikę. W odpowiedzi władze Hiszpanii po raz pierwszy w historii skorzystały z artykułu 155. konstytucji i przejęły kontrolę nad regionem: rozwiązano rząd Puigdemonta i kataloński parlament, rozpisano przedterminowe wybory. Premier Hiszpanii Mariano Rajoy liczył na nowe polityczne rozdanie, czyli demokratyczne odsunięcie „independentystów" od władzy. Ale choć wybory wygrała przeciwna niepodległości partia Ciutadans, to większość znów zdobyły ugrupowania separatystyczne.

Dziś, po czterech miesiącach od ogłoszenia tych wyników, Katalonia wciąż nie ma własnego rządu. Coraz bardziej prawdopodobne stają się nowe wybory – termin powołania gabinetu upływa 22 maja.

Próby obsadzenia stanowiska premiera Katalonii przypominają scenariusz tragifarsy. Najpierw zaproponowano Puigdemonta: miał rządzić zdalnie z Brukseli, dokąd uciekł pod koniec października razem z częścią swoich ministrów. Ale Trybunał Konstytucyjny w Madrycie uznał, że nie można wybrać kogoś, kto nie jest fizycznie obecny na sali posiedzeń. Potem wskazano Jordiego Sàncheza, lidera niepodległościowej organizacji ANC, który od października siedzi w areszcie. Sąd Najwyższy nie udzielił mu przepustki na posiedzenie parlamentu.

Następnym kandydatem został Jordi Turull, rzecznik poprzedniego gabinetu. Nie był wprawdzie ikoną separatystów, ale spełniał podstawowe warunki, żeby być premierem: przebywał na miejscu i na wolności. Jednak na dzień przed plenum, na którym Turull miał zostać wybrany, Sąd Najwyższy postanowił o jego aresztowaniu, bez możliwości wyjścia za kaucją.

Potem wróciła kandydatura Sàncheza: Komitet Praw Człowieka ONZ wezwał Hiszpanię do zagwarantowania uwięzionemu posłowi praw politycznych. Sąd Najwyższy uznał rezolucję za niewiążącą i znowu odmówił wydania przepustki na posiedzenie.

Rebelión y sedición

Katalońscy politycy i wyborcy mają więc ograniczone pole działania: decyduje za nich hiszpańska władza sądownicza. Konkretnie: sędzia Pablo Llarena, bo to on prowadzi sprawę 25 osób zaangażowanych w *el procés*, karkołomną próbę oderwania Katalonii od Hiszpanii. Czyny liderów zakwalifikował jako *rebelión*, czyli (w uproszczeniu) zamach stanu z użyciem przemocy, za co kodeks karny przewiduje do 30 lat więzienia. Inne zarzuty, jakie postawił, to *sedición* – powstanie przeciw państwu, zagrożone karą do 15 lat więzienia – i malwersacja środków publicznych (w celu przeprowadzenia referendum), za co grozi do 8 lat. W areszcie prewencyjnym Llarena trzyma już dziewięciu katalońskich polityków.

Równolegle przed madrycką Audiencia Nacional – specjalnym trybunałem do najcięższych spraw kryminalnych – toczy się proces byłego kierownictwa Mossos d'Esquadra, autonomicznej policji katalońskiej. Pere Soler, Lluis Trapero i César Puig mieli spiskować z rządem Katalonii w celu przeprowadzenia nielegalnego referendum. Są oskarżeni o udział w zorganizowanej grupie przestępczej, dowodzonej przez Puigdemonta.

Przedstawianie byłego premiera jako mafiosa brzmi jak żart, ale w kwestiach dotyczących wrogów Królestwa hiszpański wymiar sprawiedliwości jest śmiertelnie poważny. Właśnie ruszył proces w głośnej sprawie ośmiu młodych Basków oskarżonych o brutalne pobicie dwóch funkcjonariuszy Guardia Civil w barze w Alsasua. Czyn zakwalifikowano nie jako napaść lub przestępstwo z nienawiści, ale akt terrorystyczny, co pozwoliło prokuratorowi wnioskować o najsurowsze kary, od 12 do 62 lat więzienia.

Trójka z Waterloo

Sprawa Katalonii rozgrywa się nie tylko na hiszpańskich wokandach. W marcu Llarena wydał siedem międzynarodowych nakazów aresztowania dla katalońskich polityków, którzy wyjechali z Hiszpanii. „Wyjechali" to określenie kompromisowe: ich zwolennicy mówią, że „zostali zmuszeni do uchodźstwa". Przeciwnicy, że „zbiegli przed wymiarem sprawiedliwości".

Trzech członków rządu Puigdemonta – Lluís Puig, Toni Comín i Meritxell Serret – przebywało wtedy w Belgii. Brukselska prokuratura przyjęła ich zapewnienie, że są do dyspozycji śledczych. Na decyzję o ekstradycji czekają na wolności, zakazano im tylko przekraczania granic.

Szczegółem, który dodaje sytuacji komicznego wymiaru, jest adres zameldowania byłych ministrów: Waterloo. Tam wynajęli willę, w której organizowali „posiedzenia" pokonanego rządu.

Puigdemont i jego ministrowie twierdzili, że przenieśli się do Brukseli, aby zainteresować Unię Europejską losem uwięzionych kolegów. Ale przy podejmowaniu decyzji musieli też brać pod uwagę długą





SCOTT HEPPELL / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy niepodległości Katalonii protestują przed budynkiem sądu, w którym odbywa się przesłuchanie byłej katalońskiej minister edukacji Clary Ponsatí, Edynburg, 28 marca 2018 r.

historię sądowych sporów obu państw. Hiszpański tygodnik „Contexto" przypomina, że konflikt zaczął się w 1945 r., gdy Hiszpania udzieliła schronienia Léonowi Degrelle, jednemu z dowódców belgijskich oddziałów Waffen-SS. Rząd Franco nie zgodził się na jego ekstradycję i dał mu hiszpańskie obywatelstwo. Nawet po demokratycznej transformacji Degrelle prowadził w Hiszpanii spokojne życie; zmarł w Maladze w 1994 r. W tym kontekście mniej dziwi fakt, że od lat 80. Belgia wielokrotnie odmawiała ekstradycji członków ETA, baskijskiego podziemia zbrojnego. Wielu oskarżonych o terroryzm skutecznie reprezentował belgijski obrońca praw człowieka Paul Bekaert, z którego usług korzysta teraz trójka z Waterloo.

Dwunastu agentów

Byłą katalońską minister edukacji, Clarę Ponsatí, nakaz aresztowania zastał w Szkocji, gdzie od 2016 r. wykłada ekonomię na uniwersytecie w Edynburgu. Po kilku dniach stawiła się w szkockim komisariacie, została formalnie zatrzymana i przewieziona do sądu, skąd wyszła po krótkim przesłuchaniu (sąd odebrał jej paszport). Przed sądem czekał na nią tłum z kwiatami: Ponsatí może liczyć na wsparcie szkockich separatystów. W kilka godzin zebrano dla niej 166 tys. funtów na obsługę prawną. Premier lokalnego rządu Szkocji oświadczyła, że jej gabinet „popiera prawo Katalończyków do decydowania o własnej przyszłości i stanowczo sprzeciwia się decyzji hiszpańskich władz, aby aresztować niepodległościowych polityków". Dodała, że nie ma wpływu na postępowanie dotyczące ekstradycji Ponsatí i powstrzyma się od dalszych komentarzy, by nie szkodzić sprawie.

Natomiast sam Puigdemont został aresztowany w Niemczech, gdy wracał do Waterloo z Helsinek (pojechał tam na zaproszenie jednego z fińskich posłów). Byłego premiera miało śledzić 12 agentów hiszpańskiego wywiadu; niektóre źródła podają, że namierzono go przez pluskwę w aucie, inne – że przez sygnał telefonu współpasażera. Wiadomość o zatrzymaniu wzbudziła w Katalonii gwałtowne reakcje, w starciach z policją ucierpiało sto osób. Protestujący pod konsulatem Niemiec zerwali z budynku flagę Hiszpanii i zamienili na flagę niepodległej Katalonii, a publiczność barcelońskiej opery, która oglądała akurat spektakl o rewolucji francuskiej, wstała z miejsc i skandowała „Uwolnić Puigdemonta!".

Po 10 dniach niemiecki sąd zgodził się, by aresztowany wyszedł za kaucją (75 tys. euro wpłacili przyjaciele z ANC), z zakazem opuszczania Niemiec. Sąd wyraził też wątpliwości co do zarzutu rebelii – nie dopatrzył się w zachowaniu oskarżonego znamion przemocy.

Siódmą osobą ściganą przez sędziego Llarenę jest liderka republikańskiej lewicy Marta Rovira, która uciekła do Szwajcarii, dołączając do innej katalońskiej polityczki, Anny Gabriel. W wywiadzie dla szwajcarskiego dziennika Rovira tak uzasadniła swoją decyzję o opuszczeniu Unii Europejskiej: „Moja córka ma dopiero siedem lat. Nie mogłam ryzykować 20 czy 30 lat odsiadki za przestępstwa, których nigdy nie popełniłam". O swoją przyszłość może być spokojna: rzecznik tamtejszego departamentu sprawiedliwości powiedział, że Szwajcaria nie zgadza się na ekstradycje za przestępstwa polityczne.

Zdrowy rozsądek i jego granice

Znamienne, że belgijska prokuratura i niemiecki sąd uznały informacje zawarte w nakazach aresztowania za niewystarczające i poprosiły o przesłanie dodatkowych dokumentów, a sąd szkocki – o czas do namysłu.

Nie tego spodziewano się w Madrycie. Minister sprawiedliwości Rafael Catalá oświadczył, że dziwi go postawa niemieckiego sądu, który chce zgłębiać sprawę zamiast automatycznie uznać europejski nakaz aresztowania za zasadny. Dodał, że jest zadowolony ze współpracy hiszpańskich i niemieckich prokuratorów, którzy spotkali się w Hadze, by rozmawiać o przypadku Puigdemonta.

Hiszpański Sąd Najwyższy stwierdził, że argumentacja niemieckich sędziów „przekracza granice zdrowego rozsądku". Podtrzymał, że przemoc była częścią separatystycznego planu, bo decyzja o przeprowadzeniu referendum mogła doprowadzić do „masakry".

A co na to wszystko Bruksela? Komisja Europejska nie zmienia stanowiska: problem z Katalonią to wewnętrzna sprawa Hiszpanii, którą nie będzie się zajmować.

Okazuje się, że sędziowie unijnych państw mają więcej odwagi niż czołowi unijni politycy. Chcąc nie chcąc, stali się recenzentami działań hiszpańskiego państwa. Cokolwiek postanowią, nie będzie można im zarzucić umywania rąk. ©℗

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl


SORRY
BUT IN

Dwa słońca o zachodzie

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA ZNAD JEZIORA WOLTA (GHANA)

Gdy powstawało największe sztuczne jezioro świata, zalano wodą tysiące hektarów lasu deszczowego. Dopiero potem doprowadzono drogi, przyszli ludzie. Dziś Wolta to serce Ghany.

Przed piątą rano, gdy w meczecie na wzgórzu trwa jeszcze modlitwa, z ciemności wyłaniają się pierwsze sylwetki. Zza drewnianych platform na kółkach, spomiędzy dociśniętych kamieniami i czarnym brezentem towarów czekających na transport na drugi brzeg, wychodzą rybacy, sternicy i kierowcy. Spało nas tutaj, nad brzegiem Wolty pod wsią Yeji, więcej niż myśleliśmy.

To ostatnia chwila ciszy – gdy pierwsza poświata zarysowuje kontury drewnianej łodzi stojącej przy brzegu i dwóch promów, które, zacumowane na końcu szerokiego cypla, przypominają z lądu gigantyczne stalowe kraby. Już słychać pierwszy motocykl. Zaczyna się czas, gdy port w Yeji, jak codziennie rano, trzeba zbudować od nowa.

PIERWSZE PRZYJEŻDŻAJĄ KOBIETY. Przywożą na pusty plac jaja, ryż, przegotowane uprzednio w domach mięso. Rozkładają stoły, przy których można będzie zjeść śniadanie, napić się herbaty. Stają za kioskiem, gdzie można doładować konto telefoniczne. Na drewnianych niby-taczkach układają grudy białego sera.

Teraz widać, że ta drewniana łódź ma na burcie nazwę: „Still Remember" (Wciąż pamiętamy). Jesteśmy w Ghanie – kraju, w którym obrzędy pogrzebowe i żałobne urosły niemal do rangi osobnej religii. Słońce wzeszło o szóstej, ale przez mleczną chmurę nad horyzontem powoli dozuje światło. Gdy pnie się do góry, woda co chwila zmienia barwę – jakby dla każdej chwili poranka miała zarezerwowany inny kolor.

„Still Remember" szybko zapełnia się ludźmi: na pokład wsiadają 94 osoby. Towary dowożą, trójkołowymi motocyklami z naczepami, nastoletni chłopcy. W tle, na podłużnym cyplu łagodnie opadającym do jeziora, kilka osób powoli, krok za krokiem, wyciąga z wody ciężką sieć, w którą przez całą noc zaplątywały się, po równo, ryby i śmieci.

Wokół gwar jak na placu targowym. Kierowcy włączają silniki ciężarówek. Ustawione tyłem do promu, powoli wjeżdżają na pokład z gruntowej drogi po chybotliwym pomoście. Port w Yeji znów powstał – jeszcze raz udało się wyprzedzić słońce.

CAŁĄ NOC CZEKALIŚMY NA PROM LEGENDĘ. „Yapei Queen" od lat 60. XX w. przewozi po jeziorze Wolta, na trasie od tamy w Akosombo do Yeji, pasażerów, towary i pocztę. Statek ma tylko kilka kajut, ludzie śpią na otwartym pokładzie. Rozkład rejsów – orientacyjny.

Wiadomo, że statek wypływa z Akosombo na południu w poniedziałki; że do Yeji na północy dociera we wtorki wieczorem. Ale „Yapei Queen" jest niewiele młodsza od niepodległej Ghany; coraz częściej psuje się silnik, zacinają stery, a postoje po drodze trwają dłużej, niż planowano. Nigdy więc nie wiadomo, o której przypłynie „Królowa". Trzeba czekać.

TO STĄD TA NOC POD GOŁYM NIEBEM, noc z trzema dźwiękami: cichych fal rozbijających się o brzeg, setek skrzeczących żab i muzyki dobiegającej z oddalonego o kilkaset metrów baru, przed którym ↦

↦ od wczesnego wieczora tańczy kilkunastu chłopaków.

Na „Yapei Queen" czeka m.in. biała ciężarówka. Wiezie zboże z Tamale w północnej Ghanie do Nigerii. Kierowcy w Yeji kończy się dyżur – ma tylko wprowadzić samochód na prom. Wyładowana workami zabezpieczonymi siatką ciężarówka przypomina w nocy pień grubego drzewa, porośniętego przez glony. Biała, spłaszczona kabina kierowcy kojarzy się z dziobem kosmicznego wahadłowca. Czy to już był sen, czy jeszcze jawa, kiedy myślałem o nim, że jest na jakiejś ważnej misji, od której zależą losy świata?

WOLTA JEST JEZIOREM REKORDÓW. To największy pod względem powierzchni sztuczny zbiornik świata. Pomysł budowy elektrowni wodnej na rzece o tej samej nazwie brytyjscy inżynierowie przedstawili tuż po II wojnie światowej. Koszt był jednak ogromny: ćwierć miliarda funtów. Przeczuwając rychły koniec ery kolonialnej, Londyn nie kwapił się do inwestycji.

Kiedy w 1957 r. Ghana – jako pierwsza europejska kolonia w Afryce subsaharyjskiej – ogłosiła niepodległość, nie miała pieniędzy na budowę tamy. Kwame Nkrumah, ojciec ghańskiej niepodległości, poleciał do Waszyngtonu, gdzie pomoc obiecał mu prezydent Eisenhower. W 1965 r., po czterech latach budowy, uruchomiono tamę w Akosombo. Pod wodą zniknęło 8,5 tys. km² lasu deszczowego – prawie 4 proc. powierzchni kraju. Powołana uchwałą parlamentu spółka Volta River Authority stała się – i jest do dziś – państwem w państwie: kontroluje rybołóstwo i transport na jeziorze, buduje linie telekomunikacyjne, odpowiada nawet za edukację i zdrowie miejscowej ludności.

Wkrótce na wybrzeżu jeziora – które ma długość ponad 5 tys. km, to siedmiokrotnie więcej niż polskie wybrzeże Bałtyku – powstało ponad tysiąc osad rybackich.

„YAPEI QUEEN" NIE PRZYPŁYNĘŁA. Jedni mówili, że to przez burze, które na progu pory deszczowej szalały nad jeziorem popołudniami. Inni – że przez święta wielkanocne.

Kierowca ciężarówki ze zbożem przyjął tę wiadomość z nadzwyczajnym spokojem. Zboże spóźni się do Nigerii – trzeba będzie przejechać kilkaset kilometrów po nierównych, laterytowych drogach;



dla wyładowanego po brzegi samochodu oznacza to co najmniej dwa dni dodatkowej drogi. Ale teraz czas nad jeziorem jakby przestał istnieć.

TRZYSTA TYSIĘCY LUDZI utrzymuje się z jeziora Wolta. Ale jest to też miejsce dramatu – rybackie wsie na wybrzeżu to jedno z najbardziej znanych miejsc w Afryce, gdzie do przymusowej pracy wykorzystuje się dzieci.

Rybołówstwo przynosi niewielki dochód. Tania praca najmłodszych pozwala rybakom oszczędzać na kosztach. Badanie wykonane w 2013 r. przez International Justice Mission, chrześcijańską organizację charytatywną z USA, wykazało, że 58 proc. dzieci mieszkających na południowych wybrzeżach jeziora Wolta jest ↦







NA ZDJĘCIACH
Rozciągające się od portu w Yeji na północy po most Adomi nieopodal tamy jezioro Wolta zmieniło charakter wschodniej Ghany, wcześniej regionu trudno dostępnego, porośniętego dżunglą. Wolta zapewnia dziś przetrwanie ok. 300 tys. ludzi. Choć podstawą ich utrzymania jest wciąż rybołóstwo, rząd w Akrze coraz bardziej inwestuje w turystykę.



↦ zmuszane do pracy fizycznej. Jedna piąta z nich nie ukończyła nawet 6. roku życia.

Oto typowy mechanizm pracy przymusowej: rodzice lub opiekunowie dziecka – czasem pochodzący z terenów odległych od Wolty nawet o kilkaset kilometrów – „wypożyczają" rybakom dziecko, zwykle na okres od jednego do trzech lat. Raz w roku otrzymują za to zapłatę – bywa, że tylko 400 ghańskich cedi (równowartość ok. 300 zł). Umowy zawiera się ustnie, więc łatwo o nadużycia. Dzieci trzymane są nad jeziorem dłużej, niż uzgodniono; same pieniędzy nie dostają, więc nie mają za co wrócić do domu; często też same czują się w obowiązku pomagać finansowo swoim rodzicom.

Jednak najczęstszy powód jest prozaiczny: w ankiecie IJM dwie trzecie z nich oświadczyło, że pozostały nad Woltą, ponieważ w zamian za pracę dostawały pożywienie.

RAPORT ZAWIERA STATYSTYKI WYPADKÓW: toną najczęściej chłopcy; dziewczynki, zajmujące się zwykle wędzeniem i suszeniem ryb na lądzie, są narażone na oparzenia, wdychanie dymu, rany powstałe podczas patroszenia ryb. IJM cytuje też relacje dzieci i nieletnich pozbawianych snu oraz przymuszanych do małżeństw (to jeszcze jeden sposób na zatrzymanie ich nad jeziorem). Niewolnictwu sprzyjają też normy kulturowe – wysyłanie dzieci do dalekich krewnych, czasem wręcz nieznajomych, z nadzieją na ich edukację lub pracę, jest normą w tej części kontynentu.

PONIEWAŻ JEZIORO powstało w miejscu lasu, jego brzegi długo pozostawały dziewicze. Do portów prowadzą gruntowe drogi laterytowe, na których nawet przejazd pojedynczego motocykla powoduje powstanie pióropusza pomarańczowego kurzu. Wolta ma dziesiątki niewielkich odnóg, gdzie drogi się urywają – trzeba, jak pasażerowie „Still Remember", wsiąść do drewnianej łodzi, która przewiezie na drugi brzeg. Tam w słońcu czekają na podróżnych rzędy taksówek – prawie zawsze poobijanych, powgniatanych. To tzw. taksówki dzielone: pojadą dopiero wtedy, gdy uzbierają pasażerów udających się w tym samym kierunku.

Czekają też busy, nazywane w Ghanie „tro-tro". Nawet w przejściach mają składane siedzenia, aby zmieściło się jak najwięcej ludzi. Kobiety wsiadają do nich z dziećmi w chustach na plecach – zawsze znajdzie się ktoś życzliwy, kto przytrzyma śpiącą główkę, aby nie uderzyła o kant drzwi. A w kolejnej wsi, gdy do zatłoczonego samochodu podbiegnie grupa nowych pasażerów, choć wydaje się to nieprawdopodobne, wszyscy, jakimś cudem, się zmieszczą.



HERBY CHELSEA LONDYN I MANCHESTERU UNITED, malowane ręcznie, zdobią dzioby drewnianych łodzi. Z kolei na samochodach i tro-tro – naklejki z dwójką idolów dużej części Afryki: etiopskim cesarzem Hajle Sellasjem (zm. 1975) i muzykiem Bobem Marleyem.

To dwie postaci – ale dla Richmonda, spotkanego w Ghanie Etiopczyka, to postać jedna i ta sama.

Richmond przyjechał tutaj dwa lata temu. Twierdzi, że z misją specjalną od całego narodu etiopskiego: miał się spotkać z prezydentem Ghany i wręczyć mu prośbę o surowe karanie homoseksualistów (w wielu państwach Afryki homoseksualistom grożą kary wieloletniego więzienia). Dlaczego akurat w tej sprawie? Tego się nie dowiemy. Richmond wyjmuje starą nokię i na ekranie mocno zniekształcającym kolory pokazuje kolejne zdjęcia i fotomontaże: tu Richmond w butach do biegania, tu Bob Marley, tu Hajle Sellasje w postaci lwa... I jeszcze: etiopski krzyż, dziewczyna, którą zostawił w Etiopii, tuzin kolejnych wizerunków Hajle Sellasjego.

– Od Etiopii wszystko się zaczęło – mówi chłopak. – Cały świat. Cała Afryka. Etiopia jest wszędzie, wszędzie tam, gdzie ja. A Hajle Sellasje jest jej królem, królem całego świata. Czy wiesz, że o cesarzu wspominała nawet Biblia? – pyta na koniec.

Już się nigdy z Richmondem nie zobaczymy. Ile było tutaj takich życzliwych, absurdalnych spotkań?

JESZCZE JEDNA PRZEPRAWA. Ostatni prom odpłynął trzy godziny temu. Trzeba wsiąść na wąską, czterometrową łódź rybacką, do której rufy doczepiono silnik. Dzień powoli się kończy, chwilę potrwa jeszcze ten dziwny czas, gdy na niebie, nisko, po jego przeciwległych stronach, wiszą dwa słońca. To prawdziwe, ukryte za mgłą, oraz blady księżyc. Oba – nie do odróżnienia od siebie.

Gdy znika brzeg, świat wokół jakby się zamyka, ciaśnieje: w białym świetle zmierzchu spokojna woda jeziora przypomina gęstą srebrną magmę. Gdyby wyłączyć motor, otoczyłaby nas też cisza. Ptaki przelatują nisko nad wodą, zatrzymując się czasem na wystających z niej od pół wieku koronach martwych drzew. Nawigator na dziobie łodzi daje rękami sygnały sternikowi.

Siedem mil takiego rejsu jeszcze dziś przed nami. ©℗ MARCIN ŻYŁA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP” w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

- Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków, Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok

- Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation



PIERWSZY MAJA: CZYJE TO ŚWIĘTO

„Komuniści skradli nam godła, sztandary, pieśni” – mawiała Lidia Ciołkoszowa, działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej. Czas przywrócić w końcu proporcje.

REMIGIUSZ OKRASKA

Co roku w okolicach 1 Maja pojawiają się opinie, że to skompromitowane święto komunistyczne, symbol PRL i ustroju totalitarnego, i że należałoby je zlikwidować. Być może tylko przyzwyczajenie Polaków do długiego weekendu majowego zapobiegło zmianom. Tymczasem 1 Maja ma starsze i dłuższe tradycje niż PRL i blok sowiecki. W Polsce są one w dodatku mocno splecione z dążeniami niepodległościowymi.

Krwawe początki

Historia 1 Maja zaczyna się nie w Związku Sowieckim, lecz w USA – w roku 1886. Trwała tam wówczas kampania na rzecz wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy. Do kluczowych pól tej bitwy należało Chicago: miasto uprzemysłowione i uzwiązkowione, twierdza ruchu robotniczego.

W Chicago na ogólnokrajowe dążenia nałożyła się lokalna batalia strajkowa w zakładach McCormick Harvester Co.



NAC

Pochód Polskiej Partii Socjalistycznej w Warszawie, 1 maja 1931 r. Orkiestra wchodzi z ulicy Bielańskiej na plac Teatralny. W głębi ulicy po prawej widoczny gmach Banku Polskiego.

– robotników, którzy strajkowali przeciw podnoszeniu norm wydajności i redukcji zatrudnienia, wyrzucono z zakładu, całą załogę zastąpili nowi pracownicy. Odpowiedzią związkowców, których liderzy byli związani z ruchem anarchistycznym, były protesty pod fabryką.

Zaczęły się 1 maja 1886 r. i przerodziły w przepychanki między nowymi pracownikami a starą załogą. Interweniowała policja, było wielu pobitych i aresztowanych. Na pomoc ruszyli robotnicy z innych zakładów. W kolejnych dniach trwały protesty, atmosfera gęstniała. Kulminacją był 4 maja: kolejna z wielkich demonstracji już się kończyła, a na placu Haymarket zostało niewielu protestujących, gdy policja ich zaatakowała. Ktoś z tłumu rzucił bombę, zginął policjant. Pozostali policjanci otworzyli ogień: zabili sześciu robotników, ranili kilkudziesięciu.

Do historii wydarzenia te przeszły jako „masakra na placu Haymarket", a wieść o nich obiegła świat. W 1889 r. na założycielskim kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników (zwanego II Międzynarodówką) w Paryżu przedstawiciele lewicowych ugrupowań z całego świata proklamowali 1 maja Świętem Pracy. Miał upamiętniać ofiary z Chicago, symbolizować walkę o ośmiogodzinny dzień pracy i być manifestacją dążeń socjalistów. Międzynarodówka wezwała sympatyków, aby od 1890 r. celebrować ten dzień odmową pracy, zgromadzeniami robotniczymi, propagowaniem ideałów lewicowych.

Przeciw wyzyskowi i przeciw zaborcom

W założycielskim zjeździe II Międzynarodówki wzięło udział kilku Polaków. Choć zastrzegli, że warunki niewoli politycznej i braku swobód obywatelskich utrudnią obchody święta, to okazało się, że były to obawy na wyrost. Feliks Perl, działacz PPS i historyk lewicy, pisał po latach: „Święto majowe zarówno w zaborze rosyjskim, jak i austriackim dało początek wspaniałemu rozwojowi masowego ruchu robotniczego".

Na wezwanie środowisk lewicy w zaborze austriackim pracę przerwano m.in. w przędzalniach w Białej i na Śląsku Cieszyńskim; strajkowało 40 tys. ludzi. We Lwowie strajkujący robotnicy zebrali się na wielkim wiecu przed ratuszem. Wszystko to dało impuls do utworzenia partii lewicowej, która ostatecznie przybrała nazwę Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej; jej liderem został Ignacy Daszyński. Stała się jednym z największych ugrupowań w tym zaborze – i zarazem głosicielką programu niepodległościowego.

W zaborze rosyjskim II Proletariat wydał odezwę wzywającą do odmowy pracy 1 maja. Zaskoczona carska policja próbowała sprowokować pogrom antyżydowski, aby wypaczyć charakter święta; bez powodzenia. Pracy odmówiło w Warszawie ponad 10 tys. robotników.

Walkę o prawa pracownicze szybko powiązano z oporem wobec zaborców. W 1891 r. w emigracyjnym paryskim socjalistycznym piśmie „Pobudka" pisano: „Święto 1 Maja obowiązuje (...) więc i nas Polaków, tym bardziej że pod strasznym uciskiem najazdu wstecz się cofamy, zamiast postępować naprzód w zwycięskim cywilizacyjnym pochodzie, że jest ono protestem pracy nie tylko przeciw kapitałowi, lecz i przeciwko rządom zaborczym".

W 1891 r. w Warszawie protest ogarnął wiele zakładów, w tym branże „kobiece". W Łodzi odbył się strajk w wielkich zakładach Poznańskiego. W Żyrardowie strajkowano cztery dni. Jeden z tamtejszych działaczy wspominał: „Agitację prowadzono energicznie. Kto chciał mieć broszurę, ten potrzebował tylko wstać rano i uważać, a na pewno ją znalazł. (...) Wierszyk umieszczony w broszurze majowej: »niech się wali, niech się pali, a my będziem świętowali«, stał się tak popularny, że nawet dzieciaki go śpiewały".

Strajk krwawo stłumiło rosyjskie wojsko, z miasta wysiedlono 300 rodzin. Ale skrócono dzień roboczy o godzinę, zniesiono zatrudnianie nieletnich (poniżej 15. roku życia) i nocną pracę kobiet.

Nabojów nie żałować

1 maja 1892 r. przeszedł do historii jako początek „buntu łódzkiego". Odezwa wydana w Łodzi przez Związek Robotników Polskich głosiła: „Chcemy ludźmi być i po ludzku żyć! (...) obchodem 1 Maja przekonamy wyzyskiwaczów i ciemięzców naszych: panów fabrykantów i rząd moskiewski, że wszyscy razem, śmiało i odważnie wypowiadamy nasze żądania". Wśród tych żądań – prócz postulatów robotniczych – znalazło się coś więcej: „Precz z okrutnym, samowładnym carem (...) Chcemy sami sobą rządzić! (...) Żądamy, by nas nie zmuszano mówić i myśleć w obcym języku! Żądamy polskich szkół i polskich sądów!".

Ośmieleni udanymi obchodami, robotnicy zaczęli strajk. Żądali ośmiogodzinnego dnia pracy i podwyżek. Strajkowi towarzyszyły masowe demonstracje. Przerażeni fabrykanci gotowi byli na ustępstwa. Carski gubernator Miller postanowił jednak zdławić bunt siłą, a z Warszawy nadeszła słynna depesza: „Strzelać, nabojów nie żałować".

Do Łodzi ściągnięto 40 tys. żołnierzy. Zginęło ok. 100 robotników, były setki rannych i tysiąc aresztowanych. Ale nie była to gra do jednej bramki. Po raz pierwszy od powstania styczniowego Polacy na masową skalę i jawnie wystąpili przeciw caratowi. Zabito 50 rosyjskich żołnierzy, ↦

↦ zdobyto więzienie i koszary; w demonstracjach i starciach brało udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Nie tylko skala „łódzkiego buntu" była przełomowa. Masy robotnicze dostrzegły, że chroniąc interesy fabrykantów, rząd carski gotów jest masowo przelać krew. Natomiast wśród działaczy lewicowych zrozumiano, że sprawa wyzwolenia społecznego musi być powiązana z wyzwoleniem narodowym. Leon Wasilewski – bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego – wspominał: „W różnych ośrodkach organizacyjnych polskiego ruchu socjalistycznego dojrzewała myśl stworzenia programu niepodległościowego".

Niepodległość i socjalizm

Pół roku później, z połączenia kilku grup, utworzono Polską Partię Socjalistyczną. Do postulatów socjalnych dołączyła ona żądanie niepodległości Polski.

Wiosną 1893 r. PPS wydała broszurę Edwarda Abramowskiego „Wszystkim robotnikom i górnikom polskim na dzień 1 maja socjaliści polscy". Autor pisał: „Trzeba nam swobody – trzeba wolnej, niepodległej Polski. (...) Chcemy większej płacy, krótszego dnia roboczego, a przede wszystkim chcemy swobody, chcemy wolnej niepodległej Polski".

Wiele uwagi poświęcał świętu majowemu Piłsudski, wtedy jeden z liderów PPS i redaktor partyjnego pisma „Robotnik". W 1895 r. był autorem głównej partyjnej odezwy: „Na całym Zachodzie towarzysze nasi co dzień w tysiącach zebrań świadczyć mogą o swym niezadowoleniu, mogą stawiać swe żądania, zmusić, by ich wysłuchano. U nas wszelki przejaw ruchu robotniczego, wszelkie próby polepszenia swojego losu tłumione są z zajadłością dziką, karane są surowiej od zbrodni. Oprócz zdzierstw i wyzysku kapitalistów ciąży nadto nad nami jarzmo niewoli politycznej i znęcanie się samowładnego rządu najezdniczego".

W 1899 r. towarzysz Ziuk (jak nazywano wtedy przyszłego Marszałka) mógł z satysfakcją napisać w „Robotniku" (w artykule pt. „Po manifestacjach majowych"), że robotnicy w całym kraju świętują 1 maja jawnie i z dumą, mimo represji i zakazów. Manifestacje tamtego roku były faktycznie liczne i bojowe, w Warszawie na ulice wyszło 10 tys. ludzi. Rok później demonstrowało tam już 30 tys. zwolenników PPS, a pochód przekształcił się w regularną bitwę z żandarmami i kozakami.

Wszystko to mimo represji. Jak wspominał historyk Józef Dąbrowski (pisujący pod pseudonimem „J. Grabiec"): „Ochrana i policja jako środek zapobiegawczy w końcu kwietnia (...) wypełniały wszystkie (...) więzienia warszawskie osobistościami (...) zamieszanymi w ruch, a zwłaszcza w manifestacje majowe. Po kilku latach takich podejrzanych liczono na tysiące (...). Można więc sobie wyobrazić ścisk, jaki panował w dniu 1 maja we wszystkich kryminałach warszawskich i w kazamatach fortów cytadeli!".

Kto nadawał ton

W zaborze austriackim początkowo policja próbowała przeciwdziałać udziałowi w wiecach i marszach. Jeszcze w 1894 r. zaatakowała strajkujących górników w Polskiej Ostrawie, zabijając 13 osób. Ale rozwój ruchu socjalistycznego i liberalizacja polityczna poskutkowały zarzuceniem takich metod. W 1896 r. w Krakowie demonstrowało 10 tys. ludzi. W 1898 r. pochody majowe PPSD maszerowały w kilkudziesięciu miejscowościach.

Wymowne są liczby z niewielkiego przecież Śląska Cieszyńskiego w 1901 r.: w Morawskiej Ostrawie demonstrowało 7 tys. polskich robotników, w Orłowej w kopalniach pracę przerwało 90 proc. górników, a na wiec przyszło 5 tys. ludzi. Tyle samo manifestowało w Cieszynie.

Dekadę później coroczne wiece majowe w Orłowej gromadziły po 20-30 tys. polskich robotników. W 1912 r. przyjęto tam rezolucję, która głosiła: „W narodzie polskim, ujarzmionym przez obcą przemoc, (...) uważa proletariat za swój obowiązek klasowy wywalczenie niezależności Ojczyzny. Socjalizm nie da się pogodzić z niewolą narodu i z pogwałceniem jego samorządu. Sprawa socjalizmu zyskać tylko może przez wyzwolenie się narodu polskiego z kajdan niewoli".

Dzień 1 maja był celebrowany także przez lewicę „beznarodową" i protokomunistyczną – Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) oraz PPS-Lewicę. Były one jednak w mniejszości i nie nadawały tonu takim inicjatywom.

Wolność coraz bliżej

Po wybuchu I wojny światowej coraz mocniej akcentowano hasła niepodległościowe. Odezwa pierwszomajowa łódzkich struktur PPS głosiła w 1916 r., wobec zamiany niewoli rosyjskiej na niemiecką: „Cóż bowiem przynieśli nam »oswobodziciele« nasi? (...) areszty i więzienia dla towarzyszów naszych walczących o Wolną Polskę i prawa w niej dla klasy robotniczej. Godni następcy carskich siepaczy gnębią swą brutalną chamską łapą lud pracujący – tłumią wolność słowa, druku i zebrań, prześladują szkolnictwo polskie, niemczą miasta i wioski! (...) Precz z rządami zaborców! Niech żyje Niepodległa Polska Ludowa!".

W galicyjskim „Prawie Ludu", organie polskiej socjaldemokracji, Marian Porczak tak pisał w 1918 r.: „Dziś po raz czwarty święcić nam wypada 1 Maja wśród huku armat. (...) my, Polacy (...) uważaliśmy, (...) że głównym dręczycielem narodu polskiego (...) był carat rosyjski. Wiedzieliśmy, że tylko przez wojnę europejską on zniszczonym zostanie. (...) Dziś – bój z Rosją skończony, car na Syberii, w państwie rządzą bolszewicy, a »oswobodzona« Polska czeka dalej sprawiedliwości i wolności".

Z kolei w 1919 r., gdy na Śląsku Cieszyńskim trwał polsko-czeski spór o przebieg granicy między Rzecząpospolitą i Czechosłowacją, socjaldemokrata Arnold Kwietniowski tak relacjonował obchody 1 Maja: „Polskie masy robotnicze bez żadnej agitacji (...) w olbrzymich pochodach nadciągały ze swymi sztandarami do Polskiej Ostrawy, aby tam, na tej prastarej śląskiej ziemi piastowskiej manifestować, aby na wiecu polskim podnieść potężny swój głos (...) Mieliśmy manifestować nie tylko solidarność międzynarodową klasy robotniczej, nie tylko wznowić przysięgę walki o ustrój socjalistyczny, ale mieliśmy [także] zaprotestować przeciwko gwałtom czeskim, przeciwko traktowaniu nas jako obywateli drugiej lub trzeciej klasy".

Socjaliści kontra komuniści

W Drugiej Rzeczypospolitej obchody 1 Maja stały się zwykłym elementem krajobrazu politycznego. Janusz Korczak w 1922 r. w pisemku „W słońcu" wyjaśniał najmłodszym: „Robotnicy się zgodzili na świętowanie pierwszego maja. (...) Idą na zebrania, na wiece i rozmawiają o tym, co robić, żeby ludziom było lepiej żyć, żeby nie chorowali, żeby nie byli głodni (...). A potem wychodzą ze sztandarami na ulicę i śpiewają. Robotnicy wybrali czerwony sztandar, bo »na nim robotnicza krew«, a krew jest czerwona. (...) Ile razy robotnik-szewc zakłuje się szydłem, płynie krew. Ile razy (...) w fabryce komuś rękę urwie maszyna, także

leci czerwona krew. A jak dawniej lud się buntował, wojsko strzelało do robotników i także krew się lała. Więc wybrali czerwony sztandar i śpiewają, że jest czerwony jak krew. I śpiewają, że się wali stary porządek. A stary porządek nie jest dobry".

Polska Partia Socjalistyczna organizowała obchody rokrocznie w całym kraju. Komuniści też wychodzili na ulice, ale osobno. Jak pisali badacze dziejów lewicy Jarosław Tomasiewicz i Piotr Grudka: „Gdy Komunistyczna Partia Robotnicza Polski wystąpiła w kwietniu 1922 r. z propozycją wspólnych demonstracji pierwszomajowych, reakcja PPS była negatywna: milicja [robotnicza, PPS] miała nie dopuścić do włączania się komunistów w pochód, a nawet niszczyć ich sztandary". PPS-owska odezwa pierwszomajowa głosiła tamtego roku: „Wobec panującego powojennego bezładu kapitalistycznego tym większe, tym wspanialsze są zadania socjalizmu – socjalizmu opartego na wolności i samodzielności mas pracujących, socjalizmu twórczego, zwalczającego kapitalistyczny wyzysk i cały dzisiejszy ustrój, lecz nie na to, aby go zastąpić despotyzmem sowieckiej biurokracji".

W 1924 r. PPS-owski „Głos Zagłębia" relacjonował obchody 1 Maja w Dąbrowie Górniczej: „Komuniści (...) usiłowali zatrzymać pochód i przemawiać, lecz ich zamiar został udaremniony przez milicję [PPS] i uczestników pochodu (...), został podarty sztandar komunistyczny, jaki na 3 minuty pokazał się podczas wiecu". W 1926 r. w Warszawie doszło do rozlewu krwi, gdy na atak komunistów ochrona manifestacji PPS odpowiedziała strzałami. Dwa lata później w stolicy doszło do bitwy między uczestnikami obu pochodów: było ośmiu zabitych i 600 rannych.

Przez cały okres II RP socjaliści nie zamierzali współpracować z komunistami. Na święto majowe zapraszali natomiast ludowców, członków ruchu spółdzielczego, inteligencję.

W obronie ojczyzny

Przed 1 maja 1939 r. Zygmunt Zaremba pisał w wysokonakładowym piśmie PPS „Tydzień Robotnika", że „zagrożona jest Niepodległość państwa, zagrożona jest nasza wolność polityczna, grozi nam niewola faszystowska. Dzień Pierwszego Maja jest (...) protestem przeciwko tym właśnie tendencjom, które niosą niewolę i imperialistyczną grabież. (...) na czoło haseł pierwszomajowych wysunął ruch robotniczy w Polsce hasło Obrony Niepodległości i wezwanie do pełnej gotowości i jak największej ofiarności dla dzieła obrony państwa przed najazdem".

W 1893 r. PPS wydała broszurę na 1 Maja. Jej autor Edward Abramowski pisał: „Chcemy większej płacy, krótszego dnia roboczego, a przede wszystkim **chcemy swobody, chcemy wolnej niepodległej Polski**".

Odezwa centralnych władz PPS głosiła, że gdy III Rzesza grozi Polsce, „1 Maja musi być nie tylko dniem mobilizacji mas robotniczych, chłopskich i pracowniczych, ale jednocześnie manifestacją jedności i poczucia historycznej odpowiedzialności za obronę i przyszłość Rzeczypospolitej". Lwowska organizacja PPS tak wzywała na demonstrację majową: „W tym dniu złożymy przysięgę, że przez naszą ziemię nie przejdzie ani faszyzm, ani hitleryzm, a każdy napastnik (...) spotka się ze zdecydowanym i skutecznym odporem".

Po 17 września 1939 r. doszedł sprzeciw wobec agresji sowieckiej. Podziemna Organizacja Niepodległościowo-Socjalistyczna „Wolność" na 1 maja 1940 r. pisała: „Zbliża się dzień 1 Maja. Po obu stronach Bugu dzień ten obchodzony będzie jako urzędowa galówka. Ale Wy wiecie, że Pierwszy Maja to nie dzień hołdu dla Hitlera i Stalina, ale dzień skupienia się do nieustępliwej walki. (...) Hitlerowskiemu kłamstwu narodowego »socjalizmu«, stalinowskiej dyktaturze czyniącej z człowieka niewolnika, przeciwstawiamy socjalizm oznaczający zaspokojenie wszystkich materialnych i duchowych potrzeb ludzkich, z których największą jest wolność".

Dwa lata później odezwa pierwszomajowa PPS głosiła: „W dziejach Polski zespoliła się ta data z nieustanną walką o wolność i sprawiedliwość społeczną. (...) Bankrutujący kapitalizm powołał faszyzm i hitleryzm do walki z ideą wolności i społecznego wyzwolenia. (...) Aż przyszedł dzień, gdy hordy faszystowskie, (...) zabezpieczone tajną umową z Sowietami, uderzyły na Polskę (...). Schylmy czoło w hołdzie przed tymi, którzy padli ofiarą zaborców. Niech nasza myśl pobiegnie ku Palmirom, Oświęcimowi (...) i setkom innych cmentarzy i miejsc kaźni ludu polskiego, (...) zarówno na ziemiach polskich, jak i poza jej granicami w Niemczech czy na odwiecznym szlaku polskich cierpień w Rosji. (...) Przyjdzie dzień, gdy powstaniemy, by cios śmiertelny zadać najeźdźcy. (...) Niech żyje: Pierwszy Maj! Polska Niepodległa! Socjalizm!".

Dwie czerwienie

Po 1945 r. nawet triumf Związku Sowiecki i urzędowe pochody w całym bloku sowieckim nie oznaczały, że 1 Maja stał się świętem komunistycznym.

Ludzie polskiej lewicy, którzy nie pogodzili się z nową rzeczywistością, przypominali prawdziwe tradycje tego święta. Emigracyjny socjalista Adam Ciołkosz 1 maja 1970 r. apelował: „Zadaniem naszym jest dzisiaj odkłamanie treści wyrazu »socjalizm«, oczyszczenie tego pojęcia z nalotu zbrodni leninizmu i stalinizmu, przywrócenie czerwonemu sztandarowi jego nieskalanego blasku. Przed klasą robotniczą staje zadanie wywalczenia demokracji socjalistycznej, to znaczy wolności sumienia, myśli, słowa żywego i drukowanego, zgromadzeń i pochodów, związków zawodowych i stronnictw politycznych na gruncie społecznych form gospodarczych. (..) Dla ludu, a nie dla nowej klasy panującej, która w oparciu o żandarmskie metody własne i o moskiewski protektorat traktuje (...) Polskę jako swój folwark".

Gdy 30 kwietnia 1978 r. przygotowano deklarację Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (prekursora Solidarności), głosiła ona: „Dziś, w przededniu 1 maja, święta od ponad 80-ciu lat symbolizującego walkę o prawa robotnicze, powołujemy Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża".

A więc: 1 Maja – komunistyczne święto? Chyba jedynie w takim znaczeniu, o jakim mówiła Lidia Ciołkoszowa. Ta działaczka PPS, która mając 18 lat zgłosiła się w 1920 r. na ochotnika do wojska podczas wojny z bolszewikami, mawiała: „Komuniści skradli nam godła, sztandary, pieśni. Zafałszowali historię ruchu robotniczego".

© REMIGIUSZ OKRASKA

ANDRZEJ

Stasiuk: *Bug pamięci*



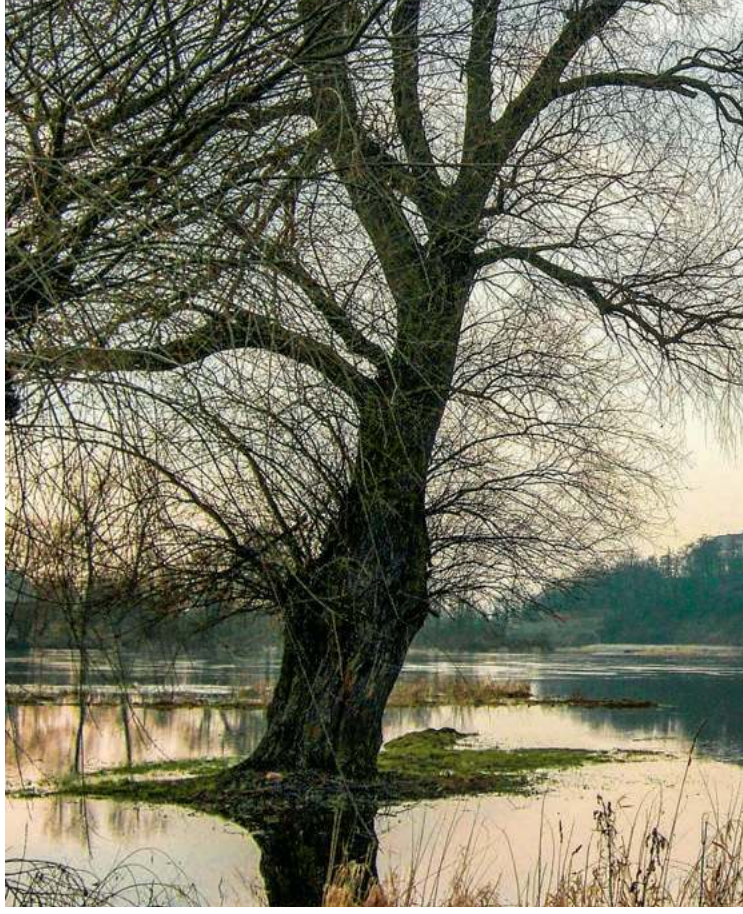
W podtopionej łódce stało lusterko wody. I nic. Ani ruchu, ani dźwięku. Ramię rzeki ocierało się o wypłukane przed tysiącleciami wnętrze ziemi.

Tamtego dnia szukaliśmy miejsca, w którym był most. Nie mógł sobie przypomnieć. Schodziliśmy w dół stromego brzegu niedaleko kościoła, potem pomiędzy domami, ale nie mógł się zdecydować. A przecież od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Domy i kościół stały na swoich miejscach. Rzeka płynęła starym nurtem. Wiosną rozlewała się na niskich łąkach po tamtej stronie. Potem powracała na swoje miejsce. Ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie był pontonowy most.

Wsiedliśmy do auta, by 10 kilometrów dalej na wschód przeprawić się zwykłym mostem na drugą stronę, na te niskie łąki, które zabierała wiosenna woda. Stamtąd, z szutrowej drogi widać było białe zabudowania dawnego prawosławnego klasztoru, a nieco dalej w dół biegu pomiędzy drzewami można było dostrzec drewnianą wieżyczkę kościoła.

Chciałem podjechać jak najbliżej rzeki, więc porzuciłem szutrówkę i mokrym bezdrożem dotarłem na brzeg, tak by mógł popatrzeć na swoją wieś jakby od dołu i od strony, od której widział ją może dwa, może trzy razy w życiu. Tak samo jak ja. Bo przyjeżdżając tutaj w dzieciństwie, ani razu nie przeprawiłem się na drugi brzeg. Ani pontonowym mostem, którego już dawno nie było, ani tym normalnym, ani łodzią, która w niedzielne poranki zwoziła ludzi na mszę, bo po tamtej stronie nie mieli kościoła. Wyglądali jak uciekinierzy. Stłoczeni, przycupnięci, wystraszeni bliskością żywiołu, który znosił drewnianą łupinę w dół nurtu. Kobiety na kolorowo, mężczyźni na szaroburo. Jakby przypływali z bardzo daleka, z innych stron. Tak mi się wydawało, gdy patrzyłem na nich z wysokiej skarpy, ze wzgórza, gdzie ponoć kiedyś stał obronny gród. Raz ruski, raz polski, jak zawsze w tych okolicach, komuś na postrach, komuś na spokojniejszy sen, ale wtedy nic o tym nie wiedziałem.

Patrzyłem w głąb swojego kraju. Był z drewna, pachniał dymem i zwierzętami. Ciepły, trochę przymglony i bezpieczny. Tylko w sobotnie wieczory trzeba było uważać, bo chłopactwo zbierało się w bandy według terytorialnych, ale nie do końca jasnych, reguł. Szli przez ciemność jak partyzanci. Ostrożni, przyczajeni, wyglądający jedni drugich. Czasem trzeba było uciekać. Jak tamtej nocy, gdy pękały pod nami sztachety spróchniałych płotów. Koniec czerwca, początek lipca, gdy krew ciemno się pieni i upał trwa do świtu. Przeskakiwaliśmy z sadu do sadu, kruszyliśmy ciężarem ciał stare drewno już pijani, ale jeszcze ostrożni. Nawet nie wiadomo, czy tamci nas gonili. Może było ich słychać w ciemnościach, a może to były nasze oddechy. Ale znaliśmy te opowieści, że kiedyś zabili, że ktoś ledwo przeżył lipcową noc, że prawie cała gorąca i gęsta krew wyciekła. Tak mówili we wsi za chłopakami wychodzącymi o zmierzchu



z domów. Więc tamtej nocy biegłem najszybciej, chociaż byłem najmłodszy. Przez mój kraj z drewnianą zabudową, ze ścianami, o które ocierały się bydlęta zostawiając swój zapach, i wydawało mi się, że sam pachnę jak zwierzę, i czułem się szczęśliwy, a przecież czułem strach przed śmiercią tamtej nocy. Ale w końcu zgubiliśmy pościg i wróciliśmy na betonowy mostek pod figurą Matki Boskiej, by pić rozgrzaną białą wódkę kupioną w ciemnej i dusznej sieni, gdzie też czuć było ten zwierzęcy zapach i mokrą, ubitą glinę. Tak. We wnętrzu kraju.

A teraz przewiozłem go na drugą stronę, by mógł spojrzeć na miejsce, gdzie się urodził, przez rzekę, z dołu i z oddalenia, lecz wciąż nie mógł sobie przypomnieć. Pojechaliśmy dalej, w dół, do wsi, gdzie nie było kościoła i skąd w niedzielę ludzie przypływali łodzią. Nic się nie zmieniło. Wieś wciąż była mała, nie dorobiła się bożego przybytku. Rzucona na skraj wielkich pól, wciśnięta między las i nurt, wyglądała na opuszczoną. Droga kończyła się zaraz za ostatnimi domami. Nikt nie wyglądał z okien, nikt nie patrzył zza płotu. Ale było schludnie. Poukładali wszystko, poopierali o ściany, poprzykrywali. Stanąłem na skraju mokrych łąk z dalekim widokiem na wieżę kościoła.

Na polach stały bunkry. Niektórzy mieli je w obejściach, w środku wsi. Zwaliste betonowe sześciany wielkie jak domy, w których miała niegdyś stanąć wycelowana w stronę przepraw artyleria. Strzegły płaskich, rozległych podejść od strony rzeki. Obrośnięte krzewami czarnego bzu, niektóre trochę przechylone, bo grunt się osunął, ale wciąż gotowe. Nic tylko wejść, rozstawić broń, przygotować amunicję i patrzeć w dal spod betonowych okapów, czy drobnym, przyczajonym truchtem nie nadciąga o świcie wróg. To było gotowe. Pozostawione jakby na rozmnożenie. Na wszelki wypadek. Żeby mieszkańcy nie zapomnieli, że żyją w rozległym płaskim kraju, przez który



K.K. WODECKA / EAST NEWS

Bug w okolicach Drohiczyna

dobrze się jedzie i dobrze maszeruje. Chciałem się zatrzymać, wejść do któregoś i sprawdzić, jak to jest w tych grubych, szarych ścianach. Wyobrazić sobie, że wokół hula ogień i siedzi się w czymś, co tak samo przypomina schronienie, jak i grób. Lecz pomyślałem sobie, że tam w środku znajdę co najwyżej wyschnięte gówno i potłuczone szkło. Że jeśli nawet coś było, to chłopcy dawno już przebrali. Łuski, niewypały, hełmy, resztki taśm, rupieciarnia śmierci przeżarta, kruszejąca w palcach. Wystarczyło pogrzebać w piachu i już. Sięgnąć w głąb ziemi i samo wychodziło na powierzchnię. Rdzawe i łamliwe. Ale pomyślałem, że jego może to nie interesować. Miał to w skali jeden do jeden i nie potrzebował smętnego rimejku. W ogóle interesowało go coraz mniej. Musiałem sam wypuszczać się w głąb jego pamięci. Przez płaską równinę pojechaliśmy do miasteczka.

Chciałem, żeby zobaczył dom, w którym mieszkał na stancji, gdy chodził do szkoły. Stał na rogu rynku, przesłonięty drzewami. Ściany miał obite szarą papą. Mieszkał na piętrze. Na parterze był nielegalny wyszynk. Tak opowiadał. W nocy słychać było krzyki mężczyzn i piski kobiet. W 1950 albo 1951 roku. Szkło butelek miało zimny, niebieskawy odcień. Pili i wspominali wojnę. Nie było innych wspomnień. Nie mógł spać od tych głosów, tego gorąca i dymu przesączających się przez deski podłogi. Od śmiechu kobiet. Gdy się ma 15 lat, nie można od takich rzeczy zasnąć. Od wspominania wojny, która przecież wciąż trwała i jak wódka czadziła umysły. Wojna nie kończy się nigdy dla kogoś, kto ją widział. Milicja też przychodziła i piła. I wojsko przychodziło, i wszyscy inni. Więc nie dało się spać. Opowiadali historie, które razem z dymem i gorącem wchodziły do ciasnego pokoju. Lecz były niewyraźne. Groźne, brudne i niejasne, stłumione drewnem podłogi. Jakby ktoś ze skrzyni, z rozgrzanej, dusznej trumny opowiadał. Było ich trzech albo czterech, kładli się na podłodze i przez deski próbowali usłyszeć więcej.

Wojna tutaj nie mijała nigdy. Dlatego byli tacy przyczajeni i czujni, i wyglądali odejścia, nadejścia albo zmartwychwstania. Mieli ten kraj, ale nie był ich. Żyli tu, odkąd pamiętali, ale nie na swoim. Zawsze mógł ktoś przyjść i zabrać, a potem zjawiał się następny i oddawał to niby ich własne, ale cudze. Siedzieli i pili w żydowskim domu nocą nasłuchując, czy Niemiec nie wróci, Ruski nie wygoni i w ogóle chuj, bo raz po raz trupy się zjawiały za tym stołem, pod ciemną lampą i w dymie. Trupy raz za razem. Własne i cudze. Wypływały na wierzch jak w rzece i nikt się nie dziwił. Pamięć jak czarna woda wynosiła wirem truchła i na powrót wciągała.

Tak sobie go wyobrażałem, że patrzy za dnia, a w nocy słucha.

Poszliśmy wokół rynku, który przypominał park albo i las, bo stare drzewa rzucały nieustanny cień i nawet w najgorętsze dni zalegała tutaj zbutwiała wilgoć. Cerkiew stała zamknięta i cicha. Poszliśmy w stronę wzgórza, gdzie kiedyś podobno stała warownia. Trzeba było wejść po kilkudziesięciu stopniach. Musieliśmy przystawać co jakiś czas, przytrzymując się poręczy. Z góry był widok na zakole rzeki i daleką perspektywę wód toczących się przez rozległy krajobraz. Pola, lasy i niebo pylące błękitnawą mgłą. W dole na brzegu leżał zardzewiały prom. Było cicho i ani żywej duszy. Nurt toczył się ze wschodu, szturchał wzgórze zgiętym łokciem i zaraz za miasteczkiem skręcał na północ. Zielonkawy, pozornie spokojny, lecz pełen wirów, nagłych głębin i rozwleczonych mielizn niczym jasne wyspy. Na Ruskiej Stronie podmokła zieleń parowała w ciepłym powietrzu.

W podtopionej łódce stało lusterko wody. I nic. Ani ruchu, ani dźwięku. Tylko świadomość, że ruchome, żywe ramię rzeki nieustannie ociera się o piach, o wypłukane przed tysiącleciami wnętrze ziemi. Tak sobie wyobrażałem, bo on nic nie mówił, nie opowiadał żadnych historii. Na przykład o tym, że gdy chodził do szkoły zawodowej, kazali uczniom rozkuwać młotami bunkry i odzyskiwać stal zbrojeniową, z której później na zajęciach godzinami wykonywali proste narzędzia, przecinaki, kleszcze kowalskie, przebijaki, punktaki, cały ten metalowy kram, któremu oddał potem swoje życie i nawet domowe meble robił z giętych prętów i blachy tak, że przypominały fabryczne szafki. Ale teraz nie mówił nic.

Patrzył na swój dawny pejzaż i trudno było powiedzieć, co widzi. Wymizerowane domki wspinały się na skarpę. Wygrzewały się w słońcu jak płazy. Zamknięte, półślepe, zadowolone ze swojego losu. Że tyle lata nikt nie przyszedł, nie wyrwał ze snu. Nieruchomość. Mieli tu nawet biskupstwo. Kurię w dwutysięcznej pipidówie. Jak jakiś pograniczny Kudak. *Totus Tuus Poloniae populus*. Żeby mogli spać spokojnie i nigdy się nie przebudzić. Poszliśmy tam. Schodził z trudem trzymając się poręczy. Coś jak oddzielne miasteczko była ta kuria. Reszta przy niej wyglądała jak podgrodzie, które w razie czego puści się z dymem, a potem najwyżej odbuduje. Pod pałacem stała czarna skoda superb. Kiedyś w radio słyszałem tutejszego biskupa. Miał kazanie w kościele, ale przemawiał jak na wiecu, a lud klaskał. Że złodzieje, że niewola, że zguba i trzeba wybrać takich, co ich wszystkich pogonią i nareszcie nastanie coś w rodzaju porządnego królestwa bożego, do którego wejdą tylko ci, co akurat biją brawo. Ale tutaj też nikogo nie było. Tylko rzeka w dole wydawała się żywa. Niosła w swoim wnętrzu muł, ryby i czasem zbutwiałe drewno. ©

W chorym ciele zdrowy duch

Zmarł Stephen Hawking. Jeden z najwybitniejszych umysłów w historii nauki, a zarazem najdłużej żyjący na świecie człowiek ze śmiertelną chorobą, zwaną stwardnieniem zanikowym bocznym. Twierdził, że jest szczęśliwy, ponieważ choroba, degradując totalnie jego ciało, nie pozbawiła go możliwości prowadzenia badań naukowych i słuchania muzyki. Śmierć Hawkinga, oprócz zadumy nad kondycją psychofizyczną istoty ludzkiej, skłoniła mnie do refleksji na temat pokrętnych losów jednej z najbardziej znanych sentencji przekazanych nam przez starożytnych.

W powszechnym obiegu funkcjonuje maksyma: „W zdrowym ciele zdrowy duch". Jej autorem jest żyjący na przełomie I i II wieku rzymski poeta satyryczny Juwenalis. W wersji oryginalnej sentencja Juwenalisa brzmi: „*Orandum est, ut sit mens sana in corpore sano*" (modlić się trzeba o to, żeby w zdrowym ciele był zdrowy duch). Nie wiem, czy taka była intencja autora, ale wyraźnie korespondowała ona ze starogreckim ideałem człowieka *kalos kagathos* (piękny i dobry), co oznaczało docenianie na równi zalet ducha i ciała. Relacja między rozwojem duchowym a fizycznym jest bardziej złożona, niż się potocznie wydaje. Nie wiadomo, kto i kiedy wpadł na pomysł, żeby amputować pierwszy – postulatywny – człon sentencji Juwenalisa (trzeba się modlić, żeby...), a pozostały interpretować w trybie oznajmującym: że zdrowe ciało jest warunkiem duchowego rozwoju. W każdym razie tak okaleczona myśl Juwenalisa stała się sztandarowym hasłem wszelkich organizacji i instytucji propagujących kulturę fizyczną i zdrowy styl życia. Osobiście w pełni podzielam pogląd, że tężyzna fizyczna i zdrowie somatyczne są wartościami, które trudno przecenić. Niemniej potwornie zniekształcona sylwetka genialnego astrofizyka – wskutek prawie całkowitego zaniku funkcji ciała – może stawiać pod znakiem zapytania wiarygodność propagatorów kultury fizycznej odwołujących się do hasła „w zdrowym ciele zdrowy duch".

Prof. dr hab. HENRYK GRABOWSKI
emerytowany profesor Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie

Zaburzenia systemowe

Kamil (imię zmienione) jest chłopcem z zespołem Aspergera, ponadprzeciętnie uzdolnionym (w wieku 4 lat czytał i liczył). Jego historia jest pouczająca. Już w przedszkolu stwarzał problemy, ale panie dawały sobie radę. Poszedł do szkoły i od razu zaczęły się kłopoty. Jako „inny" był źle traktowany przez kolegów, co prowadziło do kłótni i awantur. Poradzono nam przychodnię psychologiczno-pedagogiczną, ale nie stwierdzono tam nic oprócz ponadprzeciętnej inteligencji. Jak wszyscy aspergerowcy, Kamil lepiej sobie radził z dorosłymi niż z rówieśnikami, a panie z poradni po prostu „zaczarował". Przez pierwsze trzy klasy jakoś przebrnął, ale potem trzeba było zmienić szkołę i zaczęły się prawdziwe problemy. Rodzice jego kolegów „załatwili" skierowanie Kamila do innej, kompletnie obcej mu klasy. Teraz awantury były codziennie, Kamil był bity i poniżany przez miejscowych łobuzów, a na lekcjach się awanturował. Nauczyciele reagowali zdenerwowaniem. Psycholog rozkładał ręce, choć rozumiał problem. Wreszcie któregoś dnia Kamil o mało nie zranił nauczycielki nożyczkami. Poszliśmy z nim znowu do poradni i pani psychiatry, która tym razem zdiagnozowała autyzm. Kamil został przeniesiony do szkoły specjalnej. I tam także nie został zaakceptowany przez trójkę chłopców z klasy. Znowu kłopoty: zwiedził nawet „pokój wyciszeń", zresztą bez zgody rodziców. Dalsze wizyty u psychologów i psychiatrów w Gdańsku wskazały, że Kamil ma zespół Aspergera. Dostał orzeczenie. Dzięki ludziom życzliwym znaleźliśmy małą, wiejską szkołę z kadrą kompetentną i życzliwą. Szkoła go przyjęła i po pewnym czasie Kamil zaczął dochodzić do siebie. Polubili go nauczyciele, a nawet (w końcu!) koledzy. Tyle że szkoła jest prawie 20 kilometrów od mieszkania Kamila. Oczywiście miasto nie zgodziło się pokryć kosztów transportu. Z dotacji dla szkoły też nie można, bo „coś tam". Na razie dajemy radę, ale co dalej? Co z innymi dziećmi, takimi jak Kamil – zdolnymi, ale „z problemami"? Jest takich mnóstwo, wystarczy zajrzeć do szkół specjalnych. Wprawdzie placówki „normalne" dostają spore dotacje na dzieci z orzeczeniami, ale co z tego, skoro większość szkół miejskich to molochy, gdzie kadra nie panuje nad młodzieżą. Coś z tym trzeba zrobić, bo dzieci z ZA tracą szanse na normalne życie, a kraj wiele prawdziwych talentów.

~JACEKWIE
(list pochodzi ze strony tygodnikpowszechny.pl)

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

Moi ma Joyce'a

HERBERT W CHOJNICACH

W **czwartek 26 kwietnia** Jakub Kornhauser poprowadzi lekcję pt. „Herbert awangardzista" w chojnickim II LO im. gen. Andersa. Partnerem spotkania jest Urząd Miejski w Chojnicach.

O „KLEJNOTACH" W JASTRZĘBIU-ZDROJU

Tego samego dnia Grzegorz Jankowicz w MBP w Jastrzębiu-Zdroju spotka się z licealistami z Zespołu Szkół nr 3 im. Wyspiańskiego. Tematem dyskusji będzie wiersz „Klejnoty" Adama Wagi.

„AKADEMIA PANA KLEKSA" I „WYZWOLENIE" W JELENIEJ GÓRZE

W **niedzielę 29 kwietnia** Agnieszka Wolny-Hamkało zapyta uczestników o wolność interpretacji w „Akademii Pana Kleksa", a dzień później Dariusz Kosiński poprowadzi dyskusję o „Wyzwoleniu" Stanisława Wyspiańskiego. Spotkania odbędą się w Biurze Wystaw Artystycznych w ramach Międzynarodowego Festiwalu Teatrów i Kultury Awangardowej Pestka 2018.

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: **lekcjeczytania@tygodnik.com.pl**

Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

Festiwal Katowice Kultura Natura

TYGODNIK POWSZECHNY

muzyka
W TYGODNIKU
Dodatek specjalny 18-19/2018
Redakcja Jakub Puchalski



NOSPR

KATOWICE

KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

Stowarzyszenie
Katowice Kultura Natura

INFRASTRUKTURA I ŚRODOWISKO

KATOWICE

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko | Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl

Dziecięctwo odnalezione

DOROTA KOZIŃSKA

Czym różni się dziecięctwo od dzieciństwa? Czy to słowo, tyleż sugerujące konotacje biblijne, co epatujące sztuczną wzniosłością, da się pogodzić z przekazem muzyki, która zabrzmi w maju na estradzie NOSPR?

W tym roku na plakacie Festiwalu Katowice Kultura Natura widnieje dziecięcy rysunek (*vide*: okładka dodatku). Kolorowy, pięknie skomponowany i dziwnie uniwersalny. Kiedy organizatorzy rozpisali internetowy konkurs, którego uczestnicy mieli odgadnąć, skąd pochodzi autor obrazka, większość trafiła kulą w płot. Trzeba przyznać, że zagadka była niełatwa. W centrum rysownik umieścił duży gmach z płaskim dachem, okazałymi drzwiami wejściowymi i pojedynczym oknem. Tuż obok – niewielki kościół. Trochę dalej – drugi budynek z płaskim dachem, trochę prostszy od tego w środku, jakby artyście zabrakło cierpliwości, żeby oddać wszystkie detale. Wokół sielski pejzaż z dziecięcych wyobrażeń: dorodne drzewa, różnobarwne kwiatki o pieczołowicie zarysowanych płatkach, jakieś zwierzęta – jedno tak krępe, że przypomina czworonożny czołg, drugie rogate, trzecie ni to z psim, ni to kocim pyskiem. Trudno określić płeć kilku wkomponowanych w pejzaż ludzików, wszyscy są jednak uśmiechnięci. W głębi widać jeziora, ośnieżone górskie szczyty i ukryte za nimi słońce i księżyc: tak się przynajmniej domyślam, bo jedno z promiennych ciał niebieskich ma czerwone kontury.

Większość internautów uznała, że obrazek przedstawia północny krajobraz Alaski albo Skandynawii. Tymczasem mały artysta urodził się w stanie Jharkhand na północnym wschodzie Indii i na prośbę Sławomira Brzoski – podróżnika, performera i profesora sztuk plastycznych, który prowadzi Pracownię Działań Przestrzennych w katowickiej ASP – odmalował w ten sposób swoją wizję przeszłości. Przyszłość na jego drugim rysunku wygląda znacznie bardziej niepokojąco: jest cała czerwona, pozbawiona zwierząt i roślin, z ludźmi przytłoczonymi przez sylwetki samolotu, wielkiej ciężarówki i jeszcze większego gmachu bez drzwi i okien, za to z nieortograficznym napisem „*Shool*". Organizatorzy wybrali pierwszy obrazek, z którego aż bije zachwyt, nadzieja i poczucie bezpieczeństwa – najistotniejsze atrybuty stanu „dziecięctwa". Czyli tematu przewodniego tegorocznego Festiwalu.

Czym różni się dziecięctwo od dzieciństwa? Czyżby to słowo było jedynie staroświeckim synonimem określenia najwcześniejszego etapu w życiu człowieka? Czyżby nie tylko trąciło myszką, ale też niedwuznacznie sugerowało konotacje biblijne, epatowało sztuczną wzniosłością, trudną do pogodzenia z przekazem muzyki, która zabrzmi na estradzie NOSPR? Istotnie, metafora dziecka przewija się w Piśmie Świętym nieustannie, osiągając kulminację w Dawidowej pieśni stopni, czyli Psalmie 131. Wiele ginie w późniejszych tłumaczeniach, wrócę więc do mojej ukochanej Biblii Gdańskiej z 1632 r., w przekładzie kalwinistów i braci czeskich. Przestarzałym, ale w tym przypadku trafnym: „Izalim nie położył i nie uspokoił duszy mojej, jako dziecię odstawione od matki swej? Odstawionemu dziecięciu była podobna we mnie dusza moja" (Ps 131, 2). To biblijne dziecko odstawione i odkarmione miało już trzy lata, było związane z rodzicami więzią głębszą i bardziej świadomą, wciąż spontaniczną, ale naznaczoną już pewną dozą odpowiedzialności.

Mądrość dziecięctwa

W Psalmie 131 mowa o dziecięctwie ducha – stanie określanym w naszej dzisiejszej, postmodernistycznej rzeczywistości mianem „wewnętrznego dziecka", które pielęgnują w sobie ludzie twórczy i wiecznie ciekawi świata. Artyści, choćby i na starość, pozostają dziećmi. Zamiast naśladować, szukają. Zamiast lękać się cudzej reakcji – ufają w dziecięcą mądrość swoich wyborów. Ich dziecięcość nie ma w sobie nic z zalęknionej, infantylnej niepewności. Wszelka dojrzała twórczość, w tym także muzyka, nosi znamiona dziecięctwa. Jest płodem natchnienia dzieci odstawionych od matki, nie zaś owocem panicznego strachu dzieci odrzuconych przez życie.

Dlatego w programie Festiwalu Katowice Kultura Natura nie powinniśmy spodziewać się dziecinnych kołysanek, utworów prostych i przystępnych, skrojonych pod wrażliwość naiwnego odbiorcy. Znajdziemy w nim za to tęsknotę za niewinnością, twórcze próby odzyskania dziecięctwa przez ludzi świadomych, że weszli w dorosłość nieprzygotowani na okrucieństwo wieku dojrzałego. Kompozytorzy odzwierciedlali tę nostalgię za światem dziecięcych marzeń i nadziei, imając się najrozmaitszych form muzycznej wypowiedzi. Festiwal NOSPR poszedł tym tropem nieomylnie, udostępniając przestrzeń akustyczną swej sali nie tylko wielkim orkiestrom, ale też zespołom kameralnym, solistom i mistrzom wykonawstwa historycznego.

Wokół modernizmu

Motyw dziecięctwa rozbrzmi dosadnie w obydwu koncertach z udziałem gospodarzy pod batutą ich szefa Alexandra Liebreicha. Na wieczorze inauguracyjnym 11 maja usłyszymy III Symfonię Gustava Mahlera, w której kompozytor budował

swój świat niczym dziecko, obserwując wpierw, jak budzi się Pan (rozumiany nie tylko jako bóstwo opiekuńcze lasów i pól, ale też jako idea Uniwersum, zawarta w greckim słowie oznaczającym „wszystko"), potem zaś kolejno nadstawiał ucha opowieściom snutym przez kwiaty na łące, zwierzęta w lesie, człowieka, anioły i miłość. Człowiek przemówił w jego dziele głosem altowym podłożonym pod tekst Nietzschego, anioły – ustami chłopców z chóru, śpiewających piosenkę ze zbioru Arnima i Brentana.

Sześć dni później (17 maja), na wspólnym koncercie z berlińskim RIAS Kammerchor, orkiestra NOSPR przedstawi młodzieńczą kantatę Debussy'ego „*L'Enfant prodigue*", opartą na biblijnej przypowieści o synu marnotrawnym, czyli dziecku, które zbłądziło, a potem wróciło, zyskując wybaczenie wytęsknionej matki; oraz surowe, stylistycznie zawieszone między językiem modernizmu i minimalizmu „*Requiem*" Tigrana Mansuriana – hołd dla ofiar rzezi Ormian, pierwszego ludobójstwa XX wieku, m.in. setek tysięcy dzieci spalonych żywcem, utopionych, przysypanych gradem kamieni, zakopanych w jamach, skąd powrotu do matek nie było. Warto wspomnieć, że nagranie utworu Mansuriana pod dyrekcją Liebreicha – dla wytwórni ECM, z tym samym chórem oraz Münchener Kammerorchester – było nominowane do tegorocznych nagród Grammy i otrzymało prestiżową International Classical Music Award 2018 w kategorii muzyki współczesnej. RIAS Kammerchor wystąpi też w Katowicach z osobnym programem, poświęconym muzyce religijnej czasu Tudorów oraz początkom angielskiego baroku, który w swoim dziecięctwie okazał się pogrobowcem tej pięknej i strasznej epoki (16 maja).

Dziecko w Tobie

W sobotę 12 maja odejdziemy na chwilę od tematu dziecięctwa w muzyce, by posmakować wzniosłego ideału dziecięctwa w samej sztuce wykonawczej. Orkiestra Historyczna {oh!} – założona niespełna sześć lat temu ↦



SIM CANETTY-CLARKE

Ian Bostridge, lipiec 2014 r.

↦ w Katowicach przez grupę instrumentalistów skupionych wokół koncertmistrzyni Martyny Pastuszki oraz menadżera Artura Malkego – jest bowiem jednym z najmłodszych i obdarzonych największą dozą młodzieńczego entuzjazmu zespołów muzyki dawnej w Polsce. Orkiestra współpracuje z NOSPR od 2015 r., w ubiegłym sezonie nagrała „*Concerti grossi*" Francesca Scarlattiego dla belgijskiej wytwórni MUSO, wystąpiła w Katowicach z Andreasem Staierem, w najbliższej przyszłości planuje cykl koncertów z muzyką religijną Bacha na jubileusz 500-lecia reformacji. W ramach swojego wieczoru na Festiwalu zaprezentuje m.in. dwa koncerty wiolonczelowe z udziałem znakomitego solisty francuskiego Jeana-Guihena Queyrasa, profesora Hochschule für Musik we Fryburgu. Będą to A-dur Wq. 182 Carla Emanuela Bacha i C-dur Hob. VIIb Josepha Haydna.

Koncert 14 maja z pewnością pogodzi zajadłych przeciwników i gorących wielbicieli sztuki wokalnej Iana Bostridge'a. Angielski tenor zawarł w programie swojego recitalu najczystszą esencję idei przewodniej Festiwalu: połączył w całość napisany w 1849 r. „*Liederalbum für die Jugend*" op. 79 Schumanna oraz jego wcześniejsze o prawie dekadę pięć pieśni do wierszy Andersena z dwoma cyklami Brittena: „*Winter Words*" (1953) do wierszy Thomasa Hardy'ego i „*Who Are These Children?*" (1969) do poezji Williama Soutara. To nie są pieśni do wykonania przez dzieci. To nie są w ogóle pieśni dla dzieci. Wspólną cechą wybranych przez Bostridge'a kompozycji jest tęsknota za niewinnością, próba odzyskania dziecięctwa przez osobę dorosłą. Wszystkie cztery cykle opisują pierwszy etap w życiu człowieka jako raj bez powrotu, opłakiwany przez całą żmudną wędrówkę wieku dojrzałego.

Przestrzenie snu

Wieczór z udziałem wyśmienitego francuskiego Quatuor Ebène (który krytyk „New York Timesa" skomplementował kiedyś, że jego członkowie mogliby równie dobrze grać w jazz-bandzie) będzie poświęcony muzyce Beethovena i Gabriela Fauré (15 maja); wraz z recitalem norweskiego pianisty Leifa Ove Andsnesa (18 maja), uchodzącego za jednego z najwybitniejszych na świecie mistrzów tego instrumentu, a zarazem niezwykle wrażliwego kameralistę, został omówiony szerzej na następnych stronach naszego dodatku. Napomknę tylko, że Andsnes wystąpi też z rezydentem tegorocznego Festiwalu: szwajcarskim zespołem Tonhalle-Orchester Zürich pod batutą jej obecnego szefa, francuskiego dyrygenta, pianisty i wiolonczelisty Lionela Bringuiera.

W programach koncertów Szwajcarów znajdzie się m.in. suita „*Ma Mère l'Oye*" Ravela, złożona z pięciu miniaturowych impresji muzycznych na motywach XVII-wiecznych baśni Charles'a Perraulta – dzieło twórcy, który w głębi duszy pozostał dzieckiem na zawsze i nawet swoje „poważne" kompozycje składał z zapałem sztubaka nakręcającego blaszaną pozytywkę. Do tego „*Les espaces du sommeil*" Lutosławskiego do surrealistycznych tekstów Roberta Desnosa (niby całkiem dorosły „poemat symfoniczny z barytonem w roli głównej", muzyczny ekwiwalent snu dojrzałego mężczyzny, w którym pojawiają się jednak dziecięce obrazy skłóconych lasów i ukrytych w gęstwinie legendarnych stworów) – oraz zupełnie już bajeczna „Szeherezada" Rimskiego-Korsakowa i niepoważne „Rugby", jeden ze słynnych ilustracyjnych *mouvements symphoniques*, którymi Arthur Honegger „oswajał" muzyków i publiczność z brzmieniem muzyki przyszłości. Nadto pierwsza i świeża, co nie znaczy, że niedojrzała, Symfonia Henriego Dutilleux, francuskiego klasyka drugiej połowy XX wieku – której obok szczegółowo przygląda się Adam Wiedemann.

W programie jazzowym Festiwalu zagra natomiast Kwartet Pabla Helda, młodego niemieckiego pianisty, który zdobył sławę jako współpracownik Johna Scofielda, ale utrzymał ją z powodzeniem jako lider własnego zespołu.

Na rysunku małego Hindusa przyszłość jest pusta i czerwona – jakby chłopiec przeczuwał, że jego dzieciństwo wkrótce się skończy. Każdy przeżywa kiedyś lęk przed utratą niewinności. Nie każdy umie go uspokoić i zamienić w barwne, ukryte na dnie duszy dziecięctwo. Muzycy to potrafią. W Katowicach czeka nas przeszło tydzień muzycznych zdziwień i odkryć. Pobawmy się z naszym wewnętrznym dzieckiem w podchody. © DOROTA KOZIŃSKA

Dogodzić uchu

ADAM WIEDEMANN

Muzyka Henriego Dutilleux reprezentuje „nowoczesność wsteczną". W zasadzie dostosowuje się do awangardowych reguł, wyraża jednak tęsknotę za wspaniałością późnego romantyzmu, z mistrzowską instrumentacją, nieodpartą logiką formy, wykwintnością.

ULF ANDERSEN / AURIMAGES / AFP / EAST NEWS

Statystycznemu Polakowi nazwisko Dutilleux kojarzy się najwyżej z jednym: że jego Koncert wiolonczelowy („*Tout un monde lointain*") Mścisław Rostropowicz nagrał wraz z Koncertem Lutosławskiego i tak je też wydał na płycie. Kto więc tę płytę miał, słuchał najpierw Lutosławskiego, potem zaś – siłą rzeczy – Dutilleux. Nie sądzę jednak, by to wpłynęło znacząco na popularność tego kompozytora w naszym kraju. Oba utwory zresztą (mimo iż powstały w tym samym czasie, pod koniec lat 60.) bardzo się od siebie różnią: Lutosławski brutalnie redefiniuje formę koncertu solowego, jego francuski kolega (o trzy lata młodszy) wykonuje natomiast gest podtrzymania *status quo*. Komu zatem podobał się Lutosławski, temu nie mógł podobać się Dutilleux (i na odwrót).

Muzyka Francuza reprezentuje „nowoczesność wsteczną" – w zasadzie dostosowuje się do awangardowych reguł, wyraża jednak tęsknotę za wspaniałością późnego romantyzmu (w pewnym sensie Dutilleux przewidział drogę, którą później poszedł Penderecki). Nie ma w niej chęci przekraczania granic, jest raczej potrzeba „dogodzenia uchu", mistrzowska instrumentacja, nieodparta logika formy, wykwint. Kompozytor ten, mimo iż żył bardzo długo, nie stworzył zbyt wielu dzieł, nad każdym bowiem pracował latami.

Bogusław Schaeffer zauważył, że wszystkie utwory Dutilleux są prawie ta-



Henri Dutilleux, 1993 r.

kie same, tyle że coraz lepsze. Jest w tym sporo racji, uniknął on bowiem tego, co było losem większości kompozytorów XX-wiecznych: że zaczynali w jednej konwencji, a kończyli w innej. Dutilleux oparł się zarówno wpływom neoklasycyzmu, jak i urokom serializmu, przez całe życie tworzył w obranej przez siebie stylistyce, był jej konsekwentnie wierny. Takich twórców (wybitnych) jest niewielu, lecz można ich wymienić: w Związku Radzieckim był to Borys Czajkowski, w Szwajcarii – Frank Martin, w USA – George Crumb, w Hiszpanii – Roberto Gerhard, w Niemczech – Ulrich Leyendecker. Wszyscy oni są „mniej znani", rzadko wykonywani, ponieważ nie dokonali żadnej rewolucji, byli niejako depozytariuszami tego, co otrzymali w kolebce. Tymczasem przewrót, przełom, to się jednak liczy, należy to uczynić bądź tego doznać. Dutilleux na nic takiego się nie zdobył (ani też go to nie spotkało), po prostu pisał tę swoją muzykę, dbając o jej jakość.

I tutaj wypada się z Schaefferem trochę nie zgodzić, już bowiem Pierwsza Symfonia Dutilleux (napisana przez człowieka 35-letniego) jest bardzo dobra, wcale nie ustępuje Drugiej ani też późniejszym jego dziełom orkiestrowym (dla porównania: u Lutosławskiego liczy się głównie Trzecia – Pierwsza i Druga to podejścia wstępne, Czwartą zaś postrzegamy jako epilog). Zainteresowali się nią od razu tacy mistrzowie batuty jak Charles Munch i Ernest Ansermet, nie przeszła niezauważona (aczkolwiek byłoby to możliwe, gdyby powstała np. w Polsce, tyle że nie istniały tu wówczas warunki dla powstawania takich dzieł). Całkiem na pierwszy rzut oka klasyczna, czteroczęściowa, Symfonia ta zaczyna się nienormatywnie, bo od Passacaglii – forma ta, z początku ludowa i taneczna, w okresie baroku nabrała powagi, a niespodziewaną furorę zrobiła w XX wieku. Wszystkiemu winien Brahms, który passacaglią zakończył swoją Czwartą Symfonię, po czym nadeszło op. 1 Weberna, Koncerty skrzypcowe Szostakowicza i Brittena oraz te dwa Lutosławskiego: fortepianowy i na orkiestrę. Passacaglia Dutilleux prezentuje się wśród nich godnie, cechuje ją mroczny, ponury koloryt, od razu też słyszymy, iż sztuki instrumentacji uczył się ten kompozytor nie od Debussy'ego i Ravela, lecz raczej od Berlioza. Dalej następuje Scherzo, z początku leciutkie i feeryczne jak u Mendelssohna, z czasem nabierające masywności, przy czym zauważamy nie bez zaskoczenia, że niektóre frazy przypominają jako żywo późnego Lutosławskiego (z okresu „Partity" i „Łańcucha II") – a zatem, mimo przepaści dzielącej ich koncerty wiolonczelowe, coś jednak tych kompozytorów łączyło. Część wolna (określona nieco lekceważąco jako Intermezzo) to „niekończąca się melodia" – Dutilleux był melodystą zawołanym, acz zarazem w ogóle nie miał talentu do tworzenia motywów „wpadających w ucho". Tak też jest i tutaj: śledzimy tę melodię, a ona nam ucieka, a raczej: odchodzi gdzieś, wciąż pozostając nieznajomą.

Największej niespodzianki dostarcza jednak naszym polskim uszom finał, zaczyna się on bowiem prawie dokładnie tak, jak Symfonia „Kopernikowska" Góreckiego (potem zaś, będąc skądinąd cyklem wariacji, prezentuje typowe dla Dutilleux „klarowne mistycyzmy"). Słysząc to po raz pierwszy, byłem w niemałym szoku: bo gdzie Dutilleux, a gdzie Górecki? Lecz jednak wrażenie jest nieodparte, czy zatem można mówić tu o wpływie? W zasadzie można, symfonia Francuza była grana na Warszawskiej Jesieni w 1956 r. (dyrygował Jean Martinon), zatem Górecki mógł ją wtedy słyszeć, ulec wrażeniu, choćby i podświadomie.

Takimi to dziwnymi ścieżkami chadza muzyka, ścieżka Dutilleux była zresztą raczej prosta. Można go cenić, ale czy kochać? Nie wiem, sami Państwo sprawdźcie. ©

I Symfonia Henriego Dutilleux będzie głównym dziełem koncertu Tonhalle-Orchester Zürich pod dyrekcją Lionela Bringuiera, 19 maja o godz. 19.30, podczas którego zabrzmią też pieśni „Les espaces du sommeil" Lutosławskiego (solista: Nathan Berg) i suita symfoniczna „Ma Mère l'Oye" Ravela.



GREGOR HOHENBERG

Leif Ove Andsnes, kwiecień 2017 r.

Kraje bez Chopina

JAKUB PUCHALSKI

Co jest wyjątkowe w Katowicach? Że zwarty festiwal potrafi prezentować wszystko, co najważniejsze. Wszystkie gatunki. W tym wymierające: recital i koncert kameralny.

Kilka rzeczy odróżnia ten festiwal od innych. Po pierwsze: warunki. Wykorzystanie może najlepszej sali koncertowej w naszej części Europy, będącej nie tylko doskonałym miejscem koncertów, ale i nadzwyczajną przestrzenią spotkań. Taką salą jest NOSPR. Po drugie: sprowadzanie wybitnych orkiestr, które stają się zespołami rezydencjonalnymi imprezy. To o wiele ciekawsze i efektywniejsze artystycznie niż przywożenie orkiestry na jeden tylko wieczór. W Katowicach mogą się one pokazać z wielu różnych stron, dać się naprawdę dobrze poznać i zapamiętać. Z pewnością nie zapomnimy najdoskonalszych ubiegłorocznych koncertów orkiestrowych w Polsce, jakie w NOSPR dała Budapest Festival Orchestra pod dyr. Ivana Fischera, prezentując komplet dzieł scenicznych Bartóka (i to z baletową sceną zbudowaną na estradzie!). W tym roku czeka nas wizyta najlepszego zespołu ze Szwajcarii – niby nienależącego do najsłynniejszych, ale zachwycającego, ilekroć się go słucha: Orkiestry Tonhalle z Zurychu.

W repertuarze Festiwalu są więc, jak widać, dzieła symfoniczne, balety, opery, także muzyka wokalno-instrumentalna. To jednak nie wszystko. Choć bowiem „ledwie" 10-dniowa impreza daje tylko jeden koncert dziennie, co roku prezentuje recital wybitnego pianisty i występ kwartetu smyczkowego.

I może to właśnie jest najbardziej wyjątkową cechą śląskiego Festiwalu. Wprawdzie niekoniecznie widoczną na pierwszy rzut oka z perspektywy Warszawy, która ma swoje dwa uniwersalne i wielkie festiwale, ale na drugi rzut – także stolica może pozazdrościć Katowicom. Oferta Warszawy zamyka się w zasadzie w kręgu ciągle tych samych artystów, a w Katowicach co roku pojawiają się nowi. To tu właśnie András Schiff wykonał „Wariacje Goldbergowskie" oraz zachwycił bisem w postaci całej 30. Sonaty E-dur Beethovena (!), to tu debiutował w naszym kraju długo oczekiwany Paul Lewis.

To wydarzyło się w ubiegłym roku, w tym natomiast zagra Leif Ove Andsnes. Jako „rezydent" pojawi się zarówno w recitalu solowym, m.in. z wyjątkowymi utworami Sibeliusa, jak i z orkiestrą – w Koncercie Brittena – dopiero w sierpniu powtórzonym w Warszawie na festiwalu Chopin i Jego Europa.

Podobnie rzecz się ma z kwartetami smyczkowymi: wprawdzie można je usłyszeć i w Warszawie, i w trakcie sezonu NOSPR-u, ale na Festiwalu spotkamy się wreszcie ze znakomitym Quatuor Ebène. Program – palce lizać: Beethoven i Fauré.

Zapomniane gatunki

– a właściwie może w naszych warunkach są to gatunki zagrożone wyginięciem. Jeszcze w latach 90. filharmonie, odczuwając pewien społeczny obowiązek, wiedziały, że są nie tylko miejscem pracy muzyków orkiestrowych, lecz i instytucjami odpowiedzialnymi za życie muzyczne swoich miast. Z tego powodu choćby raz na kwartał występował tam pianista z solowym re-

citalem. Nie dlatego, że dyrekcja lubiła fortepian, lecz dlatego, że to jedyny sposób, by pokazać publiczności większość istniejącej muzyki. Tak się bowiem złożyło, że w całym XIX wieku fortepian był najważniejszym instrumentem: konieczne są więc solowe recitale, by można było posłuchać choćby Sonat Beethovena (których ma w dorobku, przypomnijmy, 32 – podczas gdy symfonii ledwie 9), a także 90 proc. twórczości najbardziej niegranego kompozytora w Polsce... Chopina. Niestety, bez recitali fortepianowych, których unika się jak ognia, polska publiczność ma szanse słuchać wyłącznie Chopina młodzika, dwóch granych w kółko i do znudzenia Koncertów fortepianowych. Poza poświęconymi mu w Warszawie festiwalami i konkursami Chopin w Polsce skończył się w wieku 20 lat – wyjechał i przepadł w świecie. Wszystkie mazurki, polonezy, sonaty, ballady, scherza i etiudy mogłyby zniknąć. Większość włodarzy muzycznego życia odetchnęłaby z ulgą.

Co nie oznacza, że Andsnes w Katowicach zagra recital chopinowski. Przeciwnie! Wprawdzie norweski pianista bynajmniej od Chopina nie stroni: nagrał nawet na płyty jego trzy Sonaty (bardzo udanie), w tym pierwszą, młodzieńczą c-moll, wykonywaną sporadycznie. Tym razem wprowadzi nas jednak w światła Północy, a stosunek skandynawskiego repertuaru do Chopina pozostaje cokolwiek ambiwalentny. Z jednej strony połączenie muzyki Sibeliusa – z reguły bardzo malarskiej i intensywnej emocjonalnie, a przy tym konstruowanej wieloplanowo – z twórczością polskiego romantyka byłoby stylistycznie jak najbardziej na miejscu. Odpowiednio dobrane utwory mogą się uzupełniać, dopowiadać. Z drugiej strony – i tu tkwi powód, dla którego tyle uwagi skupiam na muzyce n i e g r a n e j – Chopin jest kompozytorem, który w Skandynawii właściwie nie istnieje. Nie, że jest nieszanowany – raczej nieobecny. Zadziwiające, zważywszy na rolę jego ucznia Tellefsena, później na bezpośredni wpływ na Griega albo na obecność w skandynawskim folklorze mazurkowych i polonezowych tańców o jakże znaczącej nazwie „polska" – a jednak Chopin, ogólnie rzecz biorąc, pozostaje poza zainteresowaniami muzyków z Północy. Może więc jakoś nie wypada łączyć z nim utworów Nielsena i Sibeliusa?

Zapewne, dialog dekadenckiego, późnego romantyzmu Sibeliusa, albo wręcz modernizmu Duńczyka Nielsena, z muzyką *sensu stricto* klasyczną, jak Sonata Beethovena (d-moll op. 31/2 „Burza" – wtórnie nadany tytuł nawiązywać ma do dramatu Szekspira) i „*Klavierstücke*" Schuberta, na pewno będzie nie mniej intrygujący. Przyniesie zderzenie dzieł robiących wrażenie impresyjnych preludiów z formalnie rozbudowanymi utworami, przedstawiając naprawdę szerokie spektrum pianistycznej ekspresji. Wyzwanie dla wykonawcy, atrakcja dla publiczności. A przy tym pewna przestrzeń dla swobody pianistycznego gestu, którą wprawdzie można znaleźć jeszcze u Nielsena, ale raczej nie u Sibeliusa.

Fortepiany przygodne

W przeciwieństwie do Griega, żadnego z narodowych kompozytorów pozostałych krajów skandynawskich nie kojarzymy bowiem z fortepianem. Obaj to symfonicy, Sibelius też skrzypek. Zaskakujące, zważywszy na popularność i uniwersalność fortepianu w czasie, gdy twórcy ci działali – najwyraźniej żaden z nich nie myślał koniunkturalnie.

O co szczególnie trudno byłoby podejrzewać Sibeliusa, który zaszył się w fińskich lasach i w sile wieku w ogóle przestał komponować, uznając, że doszedł do kresu możliwości wypowiedzi. A jednak ma w swym dorobku porcję utworów fortepianowych. Nie są to dzieła wielkie rozmiarami – raczej swego rodzaju „chwile ulotne" albo muzyczne obrazki, charakterystyczne portrety postaci lub natury. Kilka jest wyjątkowo ciekawych – i właśnie parę takich usłyszymy podczas recitalu Andsnesa. Zwróćmy uwagę np. na „*Impromptu*" z op. 97 – proste w konstrukcji, a przejmujące niczym miniaturowa ballada. Albo na „Pastuszka" z op. 58, gdzie szybka, ale zawieszana jakby znakami zapytania melodia ma w sobie tyleż energii i wdzięku, ile chwyconej w lot zadumy. Chciałoby się jeszcze, by choćby na bis zabrzmiał pierwszy utwór z intymnego cyklu „*Kyllikki*" – wręcz wiejący grozą – albo portret innego drzewa, świerku („*Granen*"), śmiało mogący iść w konkury z najpopularniejszymi Preludiami Rachmaninowa.

Cały występ rozpocznie się natomiast od wielkiej „Chaconny" Carla Nielsena. O powodzeniu tej u swych źródeł tanecznej, a w przeznaczeniu iście tragiczno-patetycznej formy (stały bas, rozwijająca się ponad nim melodia – niezawodna, polifoniczna konstrukcja) wspomina na poprzednich stronach dodatku Adam Wiedemann (pisząc o passacaglii, co na jedno wychodzi) – tu do grona jej wybitnych twórców dorzucić trzeba nazwisko największego kompozytora z Danii. „Chaconna" Nielsena, rozwijająca się do gigantycznej kulminacji, patrzy zresztą bardziej w kierunku XX wieku niż wielkich wzorców przeszłości – no i nie jest utworem zapomnianym; sięgają po nią kolejni pianiści. Cały program dopełniony wszakże będzie utworami znacznie bardziej znanymi, przede wszystkim wspaniałą Sonatą d-moll z op. 31 Beethovena, ze sławnym, popularnym wręcz finałem, oraz trzema „*Klavierstücke*" Schuberta. Zwróćmy jednak uwagę i na utwór Jörga Widmanna – coraz bardziej znaczącego kompozytora z Niemiec.

Wiedeński łącznik

Beethoven połączy recital Andsnesa z koncertem francuskiego kwartetu Ebène – szczególnie interesującego zespołu, który dał się poznać intrygującymi interpretacjami nie tylko klasyki – a w Polsce wciąż jakoś nieobecnego. Ansambl zagra dwa Kwartety Beethovena (z młodzieńczych D-dur op. 18 nr 3 oraz ze średnich C-dur op. 59 nr 3, co oznacza iście beethovenowską dynamikę i dramaturgię), a także barwny i pełen charakteru Kwartet op. 121 Gabriela Fauré. Ciekawe połączenie, które przede wszystkim przypomni muzykę... Beethovena – jako że wiedeński klasyk jest dziś postacią, która – po pewnym odsunięciu na bocznicę w ostatnich 30 latach – wbrew pozorom wymaga już przypominania. I wcale nie jest o nie łatwo, gdyż w zasadzie tylko nieliczni artyści, jak się okazuje, potrafią sprostać jego wyzwaniom. Należy jednak do nich efektowny Quatuor Ebène – dynamiczny, niekiedy wręcz agresywny w pewnej skłonności do nadekspresji, ale zawsze świetnie podkreślający konstrukcję granych dzieł.

„Nie ilość, lecz jakość" (dokładnie: „*Quality versus quantity*") – takie hasło nadał kiedyś Curtis Institute of Music w Filadelfii jego dyrektor, Józef Hofmann, tworząc z nowej wówczas szkoły najlepszą uczelnię muzyczną świata. Jak się okazuje: sprawdzona recepta stosuje się równie dobrze do festiwalu. ©

Omawiane koncerty odbędą się 15 maja (Quatuor Ebène) i 18 maja (Leif Ove Andsnes), o godz. 19.30.

KULTURA

ZJAZD DO ZAJEZDNI

DOROTA MASŁOWSKA, PISARKA:

W Warszawie łatwo o emocjonalną martwicę. Zarabiasz te pieniądze, kupujesz te przedmioty, zmieniasz te stylizacje. Przyjaciele są zjawiskiem efemerycznym. To się rzuca na mózg.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś Warszawę?

DOROTA MASŁOWSKA: W roku 1999, byłam w liceum. Przyjechałam ze szkolną wycieczką, z fakultetem polonistycznym. Byliśmy w Łazienkach, na Powązkach, w teatrze, wydaje mi się, że Kwadrat, ale dziś już bym nie dała za to głowy. Miałam wrażenie, że jestem i w Polsce, i za granicą. Wkoło wszystko szare, ale jednocześnie widoczne były takie artefakty dobrobytu, których ja, osoba z tzw. małego ośrodka, z Wejherowa, nigdy w Polsce nie widziałam.

Pomyślałaś wtedy: „Chcę tu kiedyś mieszkać"?

Pewnie ogarnęły mnie jakieś takie namiętności, tylko że było to kompletnie poza zasięgiem moich możliwości. Wtedy miałam w Gdańsku studiować polonistykę i chyba zostać nauczycielką.

A tuż przed maturą napisałaś „Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną" i od razu zostałaś pisarką. To był rok 2002.

Kilka miesięcy później przyjeżdżam ponownie na finał olimpiady polonistycznej. Ponieważ już wtedy jestem w kontakcie korespondencyjnym z Pawłem Dunin-Wąsowiczem, który w Lampie i Iskrze Bożej wydrukuje jedno z moich opowiadań, więc się z nim spotykam. Pijemy piwo w jego mieszkaniu i rozmawiamy o tym, jakie są typy dziewczyn, jakich używają lakierów do paznokci, jak się ubierają, i wymyślamy dużo żartów. Dalej Dunin wsadza mnie w autobus do Konstancina, gdzie stacjonują uczestnicy olimpiady. Ja w tym autobusie zasypiam i po otwarciu oczu wysiadam na pierwszym lepszym przystanku. Godzinami błądzę po Konstancinie w poszukiwaniu ośrodka dla osób chorych na płuca, gdzie mam nocować. W końcu trafiam na tę olimpiadę w niezbyt szczytowej formie. Absolutnie jej nie wygrywam, przepadam podczas finałów pisemnych...

Pamiętasz siebie z tamtego czasu?

Pamiętam, że byłam egzaltowana, strasznie się ubierałam, słuchałam Sonic Youth, i pamiętam sposób, w jaki wtedy ↦

DOROTA MASŁOWSKA (ur. 1983) jest pisarką, dramatopisarką, felietonistką. W maju nakładem Wydawnictwa Literackiego ukaże się jej nowa książka pt. „Inni ludzie".



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"



↦ przeżywałam literaturę: znacznie bardziej namiętny niż teraz. To była prawdziwa gorączka – tamta wiosna dlatego tak miło mi się kojarzy. Po prostu odlatywałam przy książkach. Pytasz, co czytałam? Chyba wszystko hurtem, a pociągały mnie zwłaszcza rzeczy awangardowe, szalone. Kochałam na przykład bardzo Schulza, bo tam spod słów buchały takie obrazy, takie tajemnice, jakieś przestrzenie, których nawet nie potrafiłam nazwać, ale czułam, że nigdy już nie będę potrafiła pisać „Wróciłam z pracy. Zupa była słona", tylko że zawsze będę próbowała przebić się przez język do jakichś pokładów metafizycznych.

Dlaczego Twoja namiętność do literatury zmalała?

Rzeczywiście, takie egzaltacje już mi się nie przydarzają często. Ciągle potrafię się rozkleić, rozanielić nad świetnym zdaniem, ale nie tak jak kiedyś, nie mam jakby już w sobie tego rodzaju skupienia. To się bierze z rozproszenia, nadmiaru obowiązków. Świat współczesny dostarcza wielu chaotycznych i zintensyfikowanych bodźców. Łatwiej jest zniknąć na trzy godziny w odmętach internetowej bzdury, niż poczytać przez 15 minut Bernharda.

Źle też wpływa mieszkanie w wielkim mieście – ono rozprasza, zasysa. Jesteś w domu, ale nęci cię ciągle ten szum. Mami, czaruje, daje ci do zrozumienia, że gdzieś indziej, może całkiem blisko, dzieją się rzeczy niesamowite. A ty w nich nie uczestniczysz. Mnie się w Warszawie bardzo ciężko czyta.

Warszawa jest miejscem akcji „Innych ludzi" i często wraca jako temat w Twoich felietonach.

Bo jest dla mnie źródłem ciągłych zadziwień socjologicznych, estetycznych, psychologicznych, każdych. Jest miastem bardzo brzydkim, kalekim, ale przez to ma też w sobie niebywałą poezję. Przeprowadziłam się tutaj w roku 2003, kiedy otwierał się pierwszy H&M. I to był szok każdego typu. Bardzo dużo czasu zajęło mi, zanim nauczyłam się Warszawę jakkolwiek obsługiwać, zanim pojęłam komunikację miejską. Do dziś zdarza mi się popaść w taką komę komunikacyjną, że wsiadam do bezsensownego numeru autobusu i jadę nie wiadomo gdzie, wysiadam, jestem nagle na Żeraniu, nie mogę się już wycofać, zassana przez komunikację wypadam gdzieś na jakimś wertepie, a potem kwadransami wracam.

Jacy byli ludzie, których w tamtym czasie w Warszawie poznawałaś?

Najbardziej uderzającą dla mnie rzeczą był targ nazwisk, pewnie dziś sama już w nim uczestniczę. Ale na początku nie mogłam uwierzyć, że nadaje się rangę rzeczom, miejscom i zdarzeniom poprzez to, kto w nich wziął udział. Wszyscy bezustannie się obserwują, odnotowują, odhaczają...

Na topie było wtedy nazwisko młodziutkiej Doroty Masłowskiej.

Pewnie też... Właściwie praktykowany tu był taki analogowy Facebook, pra-Facebook.

No i uderzało mnie to, że ludzie rozpoznają wśród siebie Żydów. A ja przyjechawszy z Pomorza byłam przekonana, że wszyscy Żydzi umarli. W Warszawie okazało się, że Żydzi istnieją, a do tego są wskazywani – oznaczani. Gdy minął pierwszy szok i amok, zobaczyłam też, jak ulotna jest środowiskowa popularność, atrakcyjność. Znika właściwie w przeciągu miesięcy. Pewnie gdybym nie miała takich ciekawych studiów, to mogłabym popaść w niezłą depresję. Ale ja wtedy też zaczęłam studia na IKP-ie [Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego – red.]. Byłam na bardzo utalentowanym roku i było tam obłędnie ciekawie...

No a co do Warszawy, pamiętam, że w mieście było też wtedy dużo wertepów, takich pustych i nierozwiązanych architektonicznie połaci. Robiło to na mnie wrażenie, bo pochodzę z miejsca, gdzie wszędzie jest blisko i chodzi się piechotą, a w Warszawie przemierzałam kilometry jakichś nieużytków, pustek, dosłownie łąk. Po wejściu Polski do Unii szalenie się to zmieniło. W tej chwili jest to miasto w obsesyjnym przekształceniu – wystarczy na chwilę stąd zniknąć, wracasz i już stoją nowe budynki. Z miesiąca na miesiąc zmieniają się szyldy. Bary i restauracje mają krótkie życiorysy. Stare plajtują, w ich miejsce powstają nowe.

To źle czy dobrze?

Nie mam pojęcia, na pewno wpływa to na charakter tego miasta. Nie ma kultu starych lokali, starych bywalców, starych środowisk – wszystko jest efemeryczne, niestabilne, rządzi się chwilowymi modami i hierarchiami. No i ludzie – ciągle dojeżdżają, przyjeżdżają, wyjeżdzają. Ta tkanka społeczna bezustannie rwie się i rośnie na nowo.

Niewielu ludzi tak naprawdę stąd pochodzi, jest tutaj u siebie. To ma ogromne znaczenie dla życia codziennego i to nie tylko dlatego, że miasto w weekendy i majówki kompletnie pustoszeje. Inaczej ludzie żyją w miejscu, w którym uwikłani są w zależności rodzinne i towarzyskie, mają mamę, ciocię i panią od polskiego. A inaczej w wielkim mieście, gdzie są anonimowi i bez więzi, i czasami tylko przelotem, żeby zarobić pieniądze. Ostatnio trafiłam na SOR na Ochocie, gdzie spędziłam trochę czasu z bardzo miłym monterem. Wspaniała to była rozmowa, bo mówił takie stereotypowe rzeczy jak postać z „Klanu". „A pani to z Warszawy? Bo ja to z Żelechowa, ale w Warszawie to pracuję. Gdzie tak jak w Warszawie można zarobić?". Żyjąc tu na co dzień zapomina się, że połowa mijanych na ulicy ludzi to przyjezdni, dla których Warszawa jest tylko wielkim, niezbyt przyjemnym zakładem pracy. Trudno od nich wymagać lokalnego patriotyzmu i zaangażowania we wspólną przestrzeń. Dlatego stopień nieprzyjemności, procent sprzedawczyń rzucających w ciebie towarem, jest dużo wyższy niż w innych miastach.

Pewnie ten przyjezdny czuje, że w oczach rodowitego warszawiaka zawsze będzie miał status „słoika" – obywatela drugiej kategorii.

Ostatnio w autobusie byłam świadkiem niesamowitej sceny. Ponieważ było mało miejsca, kilka osób stało w drzwiach, bo nie dało się wejść dalej. I jakaś niesamowita kobieta, operowej kubatury i ekspresji, zaczęła wyrzekać: „Jak można stać tak w przejściu, co za idiotyzm! Panie są z Kłaja?". Unosiła się coraz bardziej, w końcu wrzasnęła w świętym gniewie: „Dość stania w przejściach w WARSZAWSKICH autobusach!". Miała nagle taki napad tożsamości w kontrze do nas – podłych ludzi z Kłaja, którzy tarasują przejście. A my z Kłaja się tak temu przyglądamy i jakaś kobieta do niej mówi: „Czy pani brała dzisiaj tabletki?".

Przepraszam, że się śmieję...

Ale to nie był wcale koniec. Parę sekund potem przyszedł kontroler i dorwał dwóch Japończyków, którzy kupili bilety, ale coś zrobili nie tak. Albo ich nie skasowali, albo miały zbyt krótki czas przejazdu. I on strasznie chciał ich ukarać. Ponieważ mówił angielskim symbolicznym, tym bardziej był wściekły, a jego

twarz nabrała kolorów ostatecznych, widać było, że zaraz dostanie zawału. Ci Japończycy nie chcieli płacić mandatu, bo mieli bilety. Prosiłam tego kontrolera, by im odpuścił, bo po co mają mieć z Polski takie koszmarne wspomnienia. A on zaczął krzyczeć: „Właśnie dobrze, niech płacą, dość czołgania się na kolanach, my, Polacy, musimy do wszystkich ze zgiętą głową, jak pani pojedzie do Singapuru czy Tajwanu, to za rzucanie śmieci 500 dolarów pani zapłaci!". I już liczył w myślach te straszne pieniądze, które ja zapłacę, on zapłaci, wszyscy zapłacimy za rzucanie śmieci, więc niech oni najpierw nam zapłacą, a dopiero potem my im.

I to wszystko dzieje się w przestrzeni komunikacji miejskiej, którą tak długo po przyjeździe do Warszawy musiałaś oswajać?

Tak, ale jestem też jej wielką fanką. Właściwie jestem trochę uzależniona i jak się gdzieś codziennie nie przejadę, to czegoś mi brakuje. Zwłaszcza lubię metro. Ludzie są tam jak na wystawie, wyabstrahowani, usadowieni, wyeksponowani. Siedzą lub stoją bez ruchu. Metro warszawskie, w porównaniu do paryskiego, nowojorskiego czy londyńskiego, jest specyficzne – ciche, czyste, grobowo smutne. Zimą jest psychodeliczne – przy jarzeniówkowym świetle pasażerowie stoją w tych swoich kożuchach, lisach, futrach, w puchówkach. Metro jest, jak na Warszawę, bardzo egalitarne – do pracy dojeżdżają nim ze strzeżonych osiedli korpoludzie, ale też kursuje nim sporo włóczęgów, zwłaszcza na odcinku Centrum–Młociny.

Bo nad nadziemną komunikacją wisi odium podróży nieluksusowej. A w polskich warunkach metro jest czymś nowoczesnym – nie ciągnie za sobą kontekstu masowego upodlenia, jak autobusy i tramwaje.

No tak, właściciel BMW przesiądzie się do metra, ale już z tramwajem może mieć kłopot.

Wydaje mi się, że w mentalności warszawiaków w ogóle poruszanie się komunikacją miejską jest nieco kompromitujące. To się powoli zmienia, ale póki co wolą stać autem w korku, bo to jest gest komfortu, ekonomicznego statusu. Nie wiem, ja akurat jestem pasjonatką transportu publicznego. Nigdy mi się tam nie nudzi, dla mnie to laboratorium socjologiczne i estetyczne.

Osoby niedowcipne mówią tonem, jakby były dowcipne.

Osoby głupie przybierają papieski tembr głosu. I ten powszechny tupet! Ja jestem jeszcze z pokolenia, któremu wmawiano, że największą wartością w życiu jest pracowitość i skromność.

Obserwując tam ludzi, wyobrażasz sobie, jakie mogą mieć życiorysy?

Na różne sposoby sobie nad tym medytuję. Ekscytuje mnie losowa bliskość, to, że czujesz zapach tych ludzi, przytulasz się do nich całym ciałem. Widzisz z bliska twarze i wiesz, co jedli na obiad. Słyszysz muzykę, której słuchają. Jednocześnie ten specyficzny teatr, w ramach którego musisz udawać, że nie widzisz i nie słyszysz współpodróżujących. Nie wolno ci nawiązywać kontaktu wzrokowego, musisz się w sobie skurczyć. No i w tym pomagają bardzo smartfony, gest scrollowania na ekranie twoich prywatnych treści zamyka cię w bańce. Praktykuje to bardzo dużo ludzi – i widziane w masie wygląda bardzo psychodelicznie. Jak scena z filmów o przyszłości, dziejących się w Azji, a dzieje się to tu i teraz.

Kamila, rapera z ambicjami, głównego bohatera Twoich „Innych ludzi", wypatrzyłaś w metrze?

Chyba akurat nie... Choć dużo się tam buja takich dresów w puchówkach.

W ogóle mam słabość do dresiarzy, sama trochę jestem dresiarą. Wychowałam się na blokowisku, dość dobrze rozumiem tę mentalność. Nie potrzebuję tego wymyślać, to mi się samo myśli i mówi.

„Samo ci się myślało", kiedy slangiem pisałaś „Wojnę polsko-ruską"?

Oczywiście. Ale wtedy leciałam kompletnie bez zatrzymywania, na żywioł. To jest zresztą dość ciekawe, bo od napisania „Wojny polsko-ruskiej" minęło już 15 lat. Ale od czasu do czasu „Wojna" powraca jako temat na moich spotkaniach autorskich albo pokazuję film na jej podstawie w jakichś abstrakcyjnych warunkach kulturowych, ostatnio chociażby na Kubie. I to jest uderzające, że ten film jest po prostu już historyczny. Zmienił się kontekst społeczny, zmieniły się technologie i obyczaje, i zmienił się też slang. „Wojna" ciągle od czasu do czasu jest tłumaczona na jakieś dziwne języki, a ja już na niektóre pytania o poszczególne słowa nie potrafię odpowiedzieć. Przestarzały slang, w dodatku z innego regionu Polski.

Szkoda, bo to fascynujący język.

Tak, ale ja mam 35 lat, to nie jest już mój naturalny sposób mówienia, a np. to, co przynosi do domu ze szkoły moja córka, najczęściej mnie irytuje, gderam jak stary dziadek: „Co to za głupoty, co to za mowa?". Ona z kolei krytykuje to, co ja mówię, że to czerstwe. Np. ostatnio mi zarzuciła, że słowo „obciach" jest kompletnie kompromitujące, tak się nie mówi. No to jak się mówi? „Żenadix".

Więc w „Innych ludziach" musiałam ten język uliczny zrekonstruować, podsłuchać. Ale nie chciałam z tym przesadzić, nie chodziło mi o to, żeby dokumentalnie odtworzyć język ulicy 2018. Potrzebowałam tu tylko trochę realizmu. Bo wiem, że za rok, dwa, trzy nic z tego języka nie zostanie – „żenadix" będzie kompletnym żenadiksem.

Gdy mówiłaś o tym, iż w metrze stoją blisko siebie ludzie sobie zupełnie niebliscy, to pomyślałam, że to główny temat „Innych ludzi": każdy z bohaterów jest tu ofiarą swojej samotności.

Ta książka jest dla mnie o wielu różnych rzeczach, ale najbardziej przewodnim motywem są tu właśnie popsute relacje, zerwane więzi, samotność, której nawet nie jesteśmy świadomi. Tak jak w tytule: oklepana zbitka „inni ludzie", którą wypowiadamy i myślimy kilka razy dziennie, ale co tak naprawdę oznacza? Żyjąc w wielkim mieście, ocierasz się na każdym kroku o dziesiątki, setki istnień, ale twarze w masie tracą dla ciebie realność, podmiotowość. Możesz przejść koło kogoś, kto umiera, zupełnie tego nie zauważając albo nie czując się zobowiązana mu pomóc. Więc to metro ciągle uruchamiało we mnie tego rodzaju myśli. Ludzie jadą zetknięci ze sobą wątrobami i czaszkami, a w ich środku buzują jakieś tajemnicze, niewyrażone sprawy. Miałam ciągle taką ↦

↦ fantazję, że chciałabym podgłośnić myśli wszystkich pasażerów i ich ze sobą skonfrontować, tylko nie wiedziałam, jak się do tego artystycznie dobrać.

Ze dwa lata temu był nawet taki moment, że miałam pisać musical dla TR Warszawa. Oni oczywiście, ponieważ teatr ma duży aspekt papierologiczny, chcieli koniecznie wiedzieć, o czym to będzie. I ja właściwie nic nie potrafiłam powiedzieć, tylko że chcę napisać musical „Metro". Nie brzmiało to rozsądnie, ale byłam bardzo zdeterminowana. Właściwie jedyną konkurencją tematyczną było dla mnie centrum handlowe...

Z metra nie ma szybkiej ucieczki, w centrum handlowym można się gdzieś schować.

Tak, a w metrze działa sytuacja ekspozycyjna, brak kącików, zaułków. No i ten trop w „Innych ludziach" udało mi się wreszcie zrealizować. Paradoksalnie w jakiś bardzo okrężny sposób napisałam ten musical, o którym fantazjowałam. I już wiadomo, że jesienią będzie wystawiony przez Grzegorza Jarzynę w TR. Więc metro jako metafora Warszawy, Polski...

Oraz nieudanego życia rodzinnego. W „Innych ludziach" jest zdanie, o którym, przypuszczam, sporo kobiet powie, że wyraża to, czego doświadczają: ,,Codziennie, że wyjdzie i trzaśnie drzwiami, przysięgła sobie, ale codziennie zostawała i nie trzaskała niczym. Albowiem co bank połączył, tego tak łatwo potem nie podzieli człowiek".

To dość klasyczny rodzaj nietrzaskania przez kobiety drzwiami. Chciałam, by moi bohaterowie byli nakreśleni grubą, naiwną kreską: brzydki i ładny, biedny i bogaty, głupi i mądry. To, co ich łączy, to miasto i rekwizyty – zderzają się ze sobą w tych samych mieszkaniach i samochodach.

Łączą ich dobra materialne, a oddala fatalny stan relacji?

To oczywiste, że ostatnie 20 lat to wielkie zmiany mentalne w Polsce. Bardzo dużo miejsca w ludzkich dążeniach zajęły pieniądze, przedmioty, technologie, komfort. Różne atrybuty statusu, pięcie się po materialnych drabinach. To samo w sobie niby nie jest złe, ale jest w tym jakieś przeinwestowanie, brak równowagi. Zaniedbane są całe sfery życia prywatnego i społecznego. Nie mówię już o jakichś potrzebach duchowych, ale np. potrzeba wspólnoty, współbycia, dbałości o wspólną przestrzeń kultury życia codziennego. To jest bardzo pomijane. Wszystkie siły życiowe, cały wzrost idzie w konsumpcję. I ta optyka rzutuje na różne aspekty życia.

Moi bohaterowie konsumują się nawzajem, mają do siebie stosunek ściśle użytkowy. Mentalność konsumpcyjna przeniosła się na ich relacje.

Co jeszcze się na nie przeniosło?

Powierzchowność? Inwestowanie w pozory? Dbałość o wizerunki? Albo się wymyślisz i zrobisz, zbudujesz swoją markę, albo cię nie ma. Jesteś tłumem, twarzami, mięsem. Stąd w „Innych ludziach" wzięły się rozliczne postaci meneli i bezdomnych – bezimiennych, ponumerowanych bezdomnych, którzy krążą po parkingach i dworcach jak chór tragiczny. Oni są mięsem armatnim miasta.

Bezdomnych najbardziej widać latem.

Za każdym razem, gdy przechodzę koło bezdomnego, to przenika mnie dreszcz, jeśli można tak powiedzieć, obojętności. Koło ciebie ktoś zamarza, ktoś głoduje, ktoś jest tak zatruty chlaniem, że przysypia na chodniku, ale zasady życia w mieście są takie, że idziesz dalej. Musisz się na ich obecność zneutralizować – znika w tobie odruch pomocy. Ta obojętność jest ci potrzebna, w jakiś sposób użyteczna. Ale jednocześnie niewątpliwie – ileś tam razy dziennie – stawia cię to w jakiejś bardzo zagadkowej sytuacji moralnej. Choć nawet już tego nie czujesz. I w takim mieście jak Warszawa łatwo popaść w emocjonalną martwicę. Żyjesz bez bliskich, bez rodziny. Zarabiasz te pieniądze, kupujesz te przedmioty, zmieniasz te stylizacje. Przyjaciele są zjawiskiem efemerycznym i nierzadko częścią układu zawodowo-towarzyskiego, z którymi wiążą cię jakieś koneksje, korzyści, koniunktury. To się tutaj bardzo rzuca na mózg.

Widzisz się w tym świecie za 20 lat?

Nie, ja już będę dawno w obozie dla brzydkich i starych, z wytatuowanym numerem, przykuta do ściany. O takim miejscu piszę w „Innych ludziach".

To się w tym obozie spotkamy, tyle że ja trafię do niego o wiele wcześniej. Ale nawet nie ta perspektywa spędza mi sen z powiek, tylko to, jak za 20 lat będą żyły nasze dzieci.

Gdy widzę, jakimi tematami żyje moja córka, to nawet nie mam woli tego zrozumieć. Jacyś totalnie lewi blogerzy, youtuberzy, jak słyszę te ich przemowy, perorowania, to czuję się jak stara babcia, wygrażająca na upadek umysłowy i moralny.

Osoby niedowcipne mówią tonem, jakby były dowcipne, a osoby głupie przybierają papieski tembr głosu. I ten powszechny tupet! Ja jestem jeszcze z pokolenia, któremu wmawiano, że największą wartością w życiu jest pracowitość i skromność.

Ta skromność jest przekleństwem szczególnie dla kobiet.

No tak, ale w jakiś sposób jednak to teraz doceniam. Człowiek przeszacowujący swoją wartość i możliwości jest po prostu śmieszny i żałosny. A w świecie lajków i milionowych subskrypcji łatwo można się przeszacować. Cóż to za spotworniali, rozmnożeni papieże mielą pustkę na tym YouTubie. I to jest kultura, gdzie każdy mówi i nikt nie słucha. Każdy chce być tym ogłaszającym, obwieszczającym i prawiącym. Każdy chce być podmiotem, ale nikt nie chce być przedmiotem tych nauk.

A co z pracowitością?

Ona też wyleciała z hierarchii wartości, pracowitość jest dla frajerów. Inteligentny, sprytny, zaradny człowiek wie, jak się ustawić, jaki zrobić myk, trik, znaleźć niszę. To zresztą, z tego, co wiem, bolesny problem pracodawców: młodzi w Polsce nie chcą pracować, bo są bezustannie karmieni fantazjami o celebrytach, spędzających życie na wycieczkach do ciepłych krajów, odbieraniu z poczty darmowych ciuchów i pozowaniu do zdjęć. Stąd w „Innych ludziach" postaci Ukraińców, którzy zabierają pracę. Pracę, której my nie chcemy.

Może lepiej nie wyobrażajmy sobie dalej tego świata przyszłości, bo czarna wizja goni jeszcze czarniejszą.

No tak. Rozwój technologii to nie jest dodawanie ani mnożenie, tylko potęgowanie. Widzisz, nie mam na to nawet środków literackich... Niestety jednak na matematyce czytałam Schulza pod ławką, więc teraz nie mam metafor dla tych geometrycznych postępów i wzrostów. ©

Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



MAGDA HUECKEL

„2118. Karasińska", reż. Anna Karasińska, Nowy Teatr w Warszawie, 2018 r.

Kto tak pięknie gra?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Precyzja, lekkość, wdzięk i poczucie humoru to tylko przynęty. Nie dajcie się nabrać! Przedstawienia Anny Karasińskiej to pułapki na widzów.

Rozległa scena Nowego Teatru jest właściwie pusta. Jedynie w głębi jakiś wielki, nieokreślony kształt. Za chwilę z bocznych drzwi wyjdzie pięcioro aktorów i zacznie się teatr. Jeden z najbardziej poruszających i najprawdziwszych, jakie udało mi się w ostatnich latach zobaczyć. Teatr Anny Karasińskiej.

Gdy dwa lata temu 37-letnia reżyserka filmowa zadebiutowała w teatrze, wywołując sporą sensację przedstawieniem „Ewelina płacze" (TR Warszawa, premiera 1 października 2015 r.), w wywiadach wciąż pytano, dlaczego postanowiła zająć się teatrem i co o nim sądzi. Towarzyszyła jej debiutowi atmosfera niespodzianki i ekscytacji, jakby do znającego się od lat kółka znajomych nagle dołączył ktoś nowy, kto wprawdzie jest spoza, ale wydaje się ciekawy i na dodatek na dzień dobry opowiada, co o kółku sądzi.

Dziś, po zrealizowaniu pięciu przedstawień i jednego mikroteatru („Urodziny"), Karasińska przestała budzić sensację swoimi pomysłami, które – owszem – ułatwiają pracę teatralnym PR-owcom, bo dobrze się z nich buduje zachęty dla widzów, ale zarazem łatwo można dać się im zwieść i nie potraktować tego teatru tak serio, jak na to zasługuje.

Ale co się stało?

Niezwykłość przedstawień Karasińskiej sprawia, że trudno o nich mówić i pisać, choć rodzaj doświadczenia, jakie fundują, do mówienia skłania, bo sprawia kłopot, długo pracuje wewnątrz i uwiera. Sama reżyserka w wywiadzie dla portalu Dwutygodnik.com relacjonowała docierające do niej po debiucie reakcje widzów, które dokładnie o tym mówiły: „Że bardzo śmieszne, że inteligentne, ale właściwie dlaczego ja to tak przeżywam?". Co ważne, to wyrażone w pytaniu zdziwienie nie jest skierowane do teatru, ale do pytającego, który nie nad strategiami reżyserskimi, ale nad sobą się zastanawia, zarazem dając świadectwo i rozważając swoje przeżycie.

O to przeżycie (co Karasińska powtarza nieustanie) w jej teatrze chodzi przede wszystkim. We wspomnianym wywiadzie reżyserka mówiła: „Spektakl ma falistą strukturę – utrzymujemy widza cały czas w stanie rozśmieszenia, niepokoju i zajmujemy jego rozum czymś innym niż to, o co tu dokładnie chodzi. Ludzie nie wiedzą, dlaczego w taki sposób reagują. Ale czegoś doświadczają. Nie ma sensu tego wprost nazywać". Nie ma? ↦

↦ Może i nie warto szukać nazwy ogólnej, generalnej kategorii, ale nazwanie sobie tego na własny użytek, we własnym języku, a choćby i zmierzenie się z tym, czego doświadczyłem jako zagadki, wydaje mi się wręcz podstawowym sensem nie tylko tego teatru.

Dziś może nie potrzebujemy już sceny do opowiadania historii, wytwarzania ideowych wspólnot, przekazywania komunikatów politycznych czy czczenia wielkości dawno zmarłych osób. Teraz potrzebujemy teatru jako miejsca filozoficznego.

Anna Karasińska taki właśnie teatr tworzy. W skromnej i pozornie prostej formie realizuje dawne awangardowe marzenie o teatrze nie tylko odsłaniającym, ale i dającym możliwość doświadczenia duchowej strony rzeczywistości. Co choćby u Witkacego czy Grotowskiego usiłowano realizować przy pomocy silnych ekspresji, okrucieństw, psychologicznych manipulacji i traum, Karasińska osiąga poetyckim słowem, minimalistycznym działaniem, a przede wszystkim wirtuozersko dokładną konstrukcją. I dlatego też tak trudno o jej teatrze mówić, bo te zdania, które przed chwilą napisałem, choć w nie wierzę i myślę, że są prawdziwe, zarazem idą jakoś górą, wpadają w manifesty i trącą akademicką katedrą. A ani jedno, ani drugie do przedstawień reżyserki i jej propozycji nie pasuje. Te wielkie słowa (filozofia! duchowość!) są jak stado słoni w sklepie z filigranem, którego precyzja i lekkość kompromituje ich pozbawiony wdzięku ciężar.



MAURYCY STANKIEWICZ

Anna Karasińska

Co cię tak bawi?

Precyzja, lekkość i wdzięk, a jeszcze – poczucie humoru, które są oczywistymi cechami przedstawień Anny Karasińskiej, to przynęty pułapki. Nie ma wątpliwości, że większość jej dotychczasowych przedstawień zdobywa sympatię widzów szybko i łatwo dzięki niezwykle inteligentnym, często autoironicznym żartom.

Trudno się dziwić np. publiczności „Drugiego spektaklu" (Teatr Polski w Poznaniu, 2016 r.), że oglądając wystawione na scenie tejże publiczności zachowania, nawyki i obyczaje, zaśmiewa się w głos. Każda kolejna sekwencja ukazująca widzom ich samych coraz bardziej rozluźnia atmosferę, zarazem niejako usypiając czujność. Nauczeni konwencji, umocowani w swojej definicji tego, z czym mają do czynienia („taki wesoły spektakl, w którym aktorzy naśmiewają się z publiczności"), widzowie są precyzyjnie wkręcani w sytuację zupełnie odwrotną. Rozbrojeni śmiechem i wdziękiem aktorów, dopiero gdy rozlega się strzał, trzaska ręka uderzająca w policzek, a salę wypełnia nieartykułowany krzyk bólu wijących się po scenie aktorów, zaczynają się orientować, że coś tu jest nie tak, jak być miało. Że nie o podśmiewywanie się z teatralnych nawyczków chodzi, ale o zadanie bardzo kłopotliwych pytań: kim jesteś ty, który tylko patrzysz? co tu robisz? co w ogóle robisz i co zrobić jesteś w stanie? Czemu sądzisz, że to, na co patrzysz, jest fikcją? Ten policzek naprawdę bolał, a pocałunek naprawdę był namiętny, więc co sprawia, że zachowujesz sie tak, jakby były nierealne?

Mechanizm rozstrzygania o realności zostaje podważony nie dlatego, że naiwnie lub na skutek jakiegoś aktu strzelistego uznaję, że coś tym razem wydarzyło się naprawdę, ale dlatego, że sama sytuacja jest nierozstrzygalna. Paradoksalna jak zenistyczne koany. I sam staję się takim koanem, gdy klaszczę po zakończonym (tak?) spektaklu. To może jego najmocniejszy moment, bo przecież jakbym się nie starał, klaszczę w jeden z tych sposobów, jakie przed chwilą aktorzy mi pokazali. To była „instrukcja". Całe to przedstawienie było instrukcją (na samym początku, tuż po prośbie o wyłączenie telefonów komórkowych mówi to kierujący całością głos), więc rodzi się pytanie: do czego? Czyżbym był tylko tym, co widać? Tym katalogiem łatwych do zagrania trików i manier teatru życia codziennego? Bardzo chciałbym udowodnić, że nie, ale co mogę zrobić? Klaszczę, jak mnie poinstruowano. Wychodzę do szatni, jak mnie poinstruowano. I poinstruowany także opuszczam teatr. Z dziwnie ciężkim sercem jak na takie dowcipne przedstawienie.



Czyje to fantazje?

Jednym z wielu słów, które krążą wokół teatru Anny Karasińskiej, jest przymiotnik „minimalistyczny". Trudno się dziwić, bo nawet w zestawieniu z nieobfitującym w bogactwo dekoracji przeciętnym polskim teatrem dramatycznym jej przedstawienia są, co się zowie: „ubogie". Najczęściej tworzą je aktorzy stojący lub siedzący na pustej scenie, czasem posługujący się najpotrzebniejszymi rekwizytami.

W swoim mikroteatrze Karasińska żartowała, że gdy w „Drugim spektaklu" użyła dywanu, lampki nocnej, kotary i puszki po coli, obawiała się, iż będzie to spektakl „nieco przeładowany". Estetyka jej przedstawień kojarzy mi się z estetyką japońską: jest w niej to samo dążenie do syntezy i maksymalnej redukcji środków. I to samo poczucie kruchości istnienia i „patosu rzeczy", które Japończycy ujmują w pojęciu *mono-no-aware*. Nie ma w nich jednak żadnej egzotyki, poczucia obcości. Wprost przeciwnie – wydają się swojskie, domowe. Jakby przy rodzinnym stole kuzynka nagle opowiedziała zaskakująco poetycką anegdotę, która wywołała niespodziewaną chwilę ciszy.

Choć na scenie są aktorzy, to bohaterami przedstawień Karasińskiej jesteśmy my, widzowie. Albo lepiej – każdy z nas, pojedynczy widz. Reżyserka nie buduje iluzyjnych obrazów i historii, które podziwiamy, bo są poza nami. Używa aktorów, sytuacji i narracji, by wywołać całe szeregi niejasnych i niekontrolowalnych skojarzeń, wspomnień, emocji, dziwnych odruchów serc – nas, widzów, którzy nie wchodząc na scenę, stajemy się bohaterami jej przedstawień.

O ile w „Drugim spektaklu" sytuacja ta jest zaaranżowana i wystawiona wręcz dosłownie (aktorzy grają widzów), o tyle np. w „Fantazji" (TR Warszawa, premiera 9 kwietnia 2017 r.) uruchamiana jest o wiele subtelniej. Na scenie stoi sześcioro aktorów, a dochodzący z offu głos reżyserki mówi, co w tej chwili każda i każdy z nich gra. Te instrukcje czy sugestie przypominają czasem poetyckie inspiracje, jakie niektórzy reżyserzy podsuwają aktorom w czasie improwizacji, a czasem zadania z egzaminów do szkoły aktorskiej (łącznie z niemal mitycznym poleceniem zagrania słoika dżemu). Wbrew oczekiwaniom, aktorki i aktorzy nie popisują się przed nami swoimi niezwykłymi umiejętnościami, a często wręcz wydają się stać niemal bez wyrazu.

Bo tym, co tu naprawdę pracuje, jest nasza fantazja. Pobudzana przez reżyserkę, gra projektując na osoby aktorów uruchamiane w niekontrolowanym błysku skojarzenia, mgławicowe, ale przecież odczuwane niemal zmysłowo, wspomnienia i wyobrażenia. To dopiero wymaga wielkiego aktorstwa!

Nie chodzi tu o wirtuozerskie wykonanie zadania przez rozegranie, zilustrowanie w ciele własnego wyobrażenia, ale o minimalistyczne danie pobudki cudzym fantazjom, utworzenie miejsca na rozegranie ich. I gwiazdy teatru i filmu (w „Fantazji": Agata Buzek, Dobromir Dymecki, Maria Maj, Rafał Maćkowiak, Zofia Wichłacz, Adam Woronowicz) wycofują się, ustępując miejsca grze moich własnych szklanych paciorków.

Że co?

Zarazem jest to teatr poetycki, mistrzowsko posługujący się zarówno metaforami słownymi, jak sytuacyjnymi. Mnie kojarzy się z rosyjskimi oberiutami, z którymi łączy Karasińską nie tylko poczucie humoru, często absurdalne czy też surrealistyczne, ale przede wszystkim budowanie zaskakująco kłopotliwych i złożonych metafor sytuacyjnych z elementów codziennych zachowań i wyrwanych z kontekstów chwytów kultury popularnej. Można by rzec – teatr poetyckiej metacodzienności, w którym to, co świetnie znane, swojskie, może nawet nieco pogardzane i lekceważone, zostaje umieszczone w innym kontekście, zestawione w innym porządku, albo rozwinięte z typową dla surrealistów i absurdystów żelazną logiką przekreślającą i kompromitującą trzeźwy rozsądek. Jerzy Szaniawski chyba by się ucieszył...

O ile we wcześniejszych przedstawieniach Karasińskiej te poetyckie sytuacje (bo nie obrazy) były winkrustowane w proces wykorzystujący i wystawiający mechanizm teatralny (stąd tak liczne, a mylne opinie, że reżyserka pyta o teatr lub wręcz teatrem się „bawi"), o tyle od „Fantazji" stają się one podstawową materią jej spektakli. Tak też jest w przypadku najnowszej premiery zrealizowanej w ramach kuratorowanego przez Tomasza Platę projektu „2118", a nazwanej po prostu „2118. Karasińska".

Pięcioro aktorów (Magdalena Cielecka, Dobromir Dymecki, Monika Frajczyk, Bartosz Gelner, Magdalena Popławska) opowiada i czasem rozgrywa sytuacje, w jakich wyobrażają sobie siebie za sto lat. To charakterystyczne przesunięcie w stosunku do punktu wyjściowego projektu, którym jest próba odpowiedzi na pytanie o teatr za sto lat.

Nie wydaje się, by Annę Karasińską interesował teatr. Na pewno jednak interesuje ją to, z czego zbudowane są nasze wyobrażenia o przyszłości, a więc – znów – nasze fantazje. Zachowując wciąż miejsce dla nich, w „2118" idzie krok dalej niż w „Fantazji" i odsłania ich materię, którą – jak we wspaniałej opowieści o oczyszczaniu ze śmieci brzucha wieloryba (jakby futurystycznej wariacji wokół postaci Jonasza) – zdaje się być to, co mniej lub bardziej nieświadomie nam wgrano. Znów na widowni jest wiele śmiechu (bodaj największy wzbudza wręcz brawurowa scena tańca z robotami), ale mimo wszystko nie sposób się uwolnić od cienia rzuconego przez otwierającą spektakl opowieść Magdaleny Cieleckiej, jak za sto lat leży na cmentarzu w rodzinnych Żarkach...

Mam taki własny miernik doskonałości dzieła sztuki: kiedy rzecz kończy się niespodziewanie, w chwili, której nic nie zapowiadało, i dokładnie w tym momencie czuję, że to jest ta chwila i nie może być żadna inna. Rzadko mi się to zdarza. Na „2118. Karasińska" – po raz pierwszy od bardzo dawna. Odkąd zobaczyłem to przedstawienie, próbuję sobie odpowiedzieć na pytanie, skąd to poczucie i co znaczy. Taką próbą jest też ten tekst, ale choć go napisałem, nadal nie potrafię tego nazwać.

Może rzeczywiście nie warto? Może koniec końców jedyne, co trzeba powiedzieć tym, którzy nie widzieli jeszcze przedstawień Anny Karasińskiej, to proste: idź i patrz? Właściwie wszystkie są jeszcze grane (poza „Wszystko zmyślone", które miało premierę w Starym Teatrze w Krakowie 23 czerwca 2017 r., a więc w momencie idiotycznej zmiany dyrekcji, i stało się cichą ofiarą tej katastrofy). Wprawdzie chyba tylko „Drugi spektakl" pojawia się na afiszu w miarę regularnie, ale jeśli się postaracie, powinno się udać spotkać z sobą w tym teatrze.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

2118. KARASIŃSKA – *reż. Anna Karasińska, Obsada: Magdalena Cielecka, Dobromir Dymecki, Monika Frajczyk, Bartosz Gelner, Magdalena Popławska, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 27 marca 2018 r.*

Kłopotliwy triumf geeka

JAKUB MAJMUREK

Internet otworzył wielkie popkulturowe archiwum, które pozwala każdemu rozwinąć znawstwo dowolnego tematu w wersji instant. Wielkie archiwum tworzy kulturę ciągłej gry cytatami, opartą na pastiszu i nostalgii.

W pierwszej dziesiątce najchętniej oglądanych filmów w Stanach Zjednoczonych w ostatnim roku jest aż sześć superprodukcji o komiksowych superbohaterach. 26 kwietnia premierę będzie miał kolejny film, który dołączy najpewniej do tej stawki: „Avengers. Wojna bez granic", zbierający komiksowych bohaterów, których w ciągu ostatnich dziesięciu lat w powiązanych ze sobą fabularnie superprodukcjach wprowadzało na ekran należące do Disneya studio Marvel Entertainment.

Wielki sukces komiksowych ekranizacji może być kolejnym dowodem na to, że we współczesnej kulturze dawna nisza, śledzona przez odbiorców określanych mianem nerdów czy geeków, staje się głównym, hegemonicznym nurtem kultury. Artykuły z nagłówkiem „dziś wszyscy jesteśmy nerdami/geekami" od ponad dekady, rok w rok, powracają w prasie całego zachodniego świata. I faktycznie można znaleźć wiele argumentów na potwierdzenie tej tezy. Przemysły mody przechodzą przez kolejne fale fascynacji „geek szykiem". Geekowaci bohaterowie, którzy kiedyś w popularnych narracjach filmowych czy telewizyjnych zajmowali role drugoplanowych postaci komicznych, wychodzą na pierwszy plan jako figury, z którymi widz ma się identyfikować i które ma podziwiać. Popularne seriale – jak wyprodukowany przez Netflix „*Stranger Things*" – obsługują nostalgię za geekowską popkulturą lat 80. Branża gier wideo (kiedyś także geekowska nisza) staje się ekonomiczną potęgą większą niż Hollywood, zdolną odgrywać coraz większe kulturowe znaczenie.

Narodziny geeka

Skąd w ogóle wzięła się figura geeka/nerda? Słowa te mają podobny zakres znaczeniowy, określają młodego, na ogół białego mężczyznę z klasy średniej, u którego wysoka inteligencja łączy się z niezbyt wysokimi zdolnościami społecznymi (zwłaszcza w interakcjach z kobietami), zainteresowanie naukami ścisłymi i komputerami z obsesją na punkcie wybranych nisz popkultury: gier wideo i RPG, „Gwiezdnych wojen", „Star Treka", prozy Tolkiena czy komiksów. Mianem nerdów określa się przy tym na ogół bardziej technicznie zafiksowane osoby, a geeków bardziej wkręcone w popkulturę – choć granice są płynne i pojęcia te bywają używane wymiennie.

Już w latach 60. młodych, równie zdolnych co ekscentrycznie ubranych i kiepskich w *small talku* naukowców z MIT (Massachusetts Institute of Technology) – najlepszej technicznej uczelni w Stanach – określano mianem nurdów (wtedy w takiej pisowni). Do szerszego obiegu figura nerda weszła dekadę później, na przełomie lat 70. i 80., wraz z wejściem pierwszych komputerów osobistych – najpierw do gospodarki, a następnie do powszechnego, domowego użytku.

Jak twierdzi austriacki reżyser Johannes Grenzfurthner – autor w dużej mierze autobiograficznego dokumentu o geekowskiej kulturze „*Traceroute*" – wejście figury nerda do popkultury łączy się z transformacją amerykańskiego kapitalizmu w gospodarkę opartą na wiedzy, gdzie coraz mniej liczy się realna, materialna produkcja, a coraz bardziej technologie informatyczne czy przemysły kulturowe. Stosunek kultury popularnej do tych zmian daleki jest od jednoznacznego entuzjazmu, co pokazuje wizerunek nerda z tego okresu – często stygmatyzujący i ośmieszający.

W 1975 r. legendarne pismo satyryczne „National Lampoon" publikuje materiał „Czy jesteś nurdem?" (ciągle w tej pisowni). Na zdjęciu widzimy chłopca ubranego zbyt dorośle i poważnie jak na swój wiek. Zdjęcie wylicza kolejne elementy garderoby nurda: biały T-shirt pod białą koszulą (w której kieszeni znaleźć możemy etui na długopisy), workowate spodnie, okulary w grubej oprawie sklejonej taśmą klejącą etc. „Jeśli nosisz więcej niż dziesięć z tych rzeczy, to lepiej udaj się do najbliższej kolonii dla trędowatych" – puentowało żart pismo.

Niepokój, jaki budziła figura nerda, najlepiej pokazuje film „Gry wojenne" z 1983 r. Zafascynowany komputerami uczeń szkoły średniej, David Lightman, szukając w sieci nowych gier wideo, przez przypadek włamuje się do systemu dowodzącego amerykańską bronią jądrową, o mały włos nie wywołując globalnej wojny nuklearnej. Szkoła średnia staje się w latach 80. najczęstszym miejscem, gdzie pojawiają się geeki i nerdy. Pokazywane są na ogół jako osoby nisko stojące w rówieśniczej hierarchii, wyśmiewane, zepchnięte na boczny tor szkolnej społeczności. W ten sposób przedstawiony jest archetypiczny nerd kina lat 80., Brian Johnson z „Klubu winowajców" (1985) Johna Hughesa – gdzie w szkolnej kozie spotyka się pięciu uczniów, z których każdy jest wcieleniem innego kulturowego stereotypu. Brian nie ma przyjaciół, całe jego życie skupia się na nauce, nigdy nie miał dziewczyny, wygląda wątle i dziecinnie, co podkreśla zbyt dorosły sposób ubierania się i hiperpoprawny angielski, jakim się posługuje.

Nerdowska duma

Hughes – król młodzieżowego kina lat 80. – w swoich produkcjach z jednej strony delikatnie wyśmiewa nerdów, z drugiej strony próbuje humanizować i ocieplać ich postaci. Dalej od niego idą twórcy komedii z serii „Zemsta frajerów" („*Revenge of the Nerds*"). W tytułowej odsłonie cyklu z 1984 r. grupa nerdów trafia na uniwersytet, gdzie – jak się szybko okazuje – świat społeczny jest bardzo podobny do tego znanego ze szkoły średniej. Uczelnią „rządzą" przystojni, wysportowani chłopcy z bractw studenckich, którzy na studia przyszli, by imprezować i podrywać dziewczyny. Okularnicy zainteresowani „Gwiezdnymi wojnami" skazani są w studenckiej społeczności na status pariasów. Nerdzi z sukcesem walczą jednak o swoje, a ich nieformalny przywódca odbija chłopakowi z bractwa wymarzoną dziewczynę.

WARNER BROS.

Motyw „nerdowskiej dumy" wkracza na dobre do kina i telewizji lat 90. Nerdy i geeki z komicznych postaci drugiego planu przechodzą na pierwszy – coraz częściej mniej lub bardziej dosłownie ratują świat, zdobywając przy okazji uczucie wymarzonej partnerki. Wokół takiej narracji konstruowane są pierwsze filmy o Spider-Manie z początku lat dwutysięcznych, reżyserowane przez Sama Raimiego. Superbohater grany przez Toby'ego Maguire'a jest nieśmiałym, niezgrabnym kujonem, nagle zyskującym nadludzkie moce.

Popularności motywów „nerdowskiej dumy" pomogły z pewnością finansowe sukcesy pierwszych miliarderów z branży IT – Steve'a Jobsa czy Billa Gatesa. Istotną rolę odgrywał także sukces producentów, którzy sami dorastali w geekowskiej subkulturze lat 80. Wśród nich najważniejszy jest bez wątpienia król komedii lat dwutysięcznych, Judd Apatow. W sezonie 1999–2000 produkuje dla telewizji NBC serial „Luzaki i kujony" („*Freaks and Geeks*"). Produkcja oddaje poetycką sprawiedliwość wszystkim geekom i nerdom wyśmiewanym w kinie lat 80. Apatow patrzy z ironią, ale i wielką empatią na czterech geekowatych nastolatków z przedmieść Detroit z początków lat 80. Przedstawia ich kłopoty z dziewczynami, fascynację „Gwiezdnymi wojnami" i grami wideo, Monty Pythonem i grami RPG, nostalgicznie ogrywając te popkulturowe artefakty. Bohaterowie Apatowa – przy wszystkich różnicach między dwiema produkcjami – dzielą niemal te same fascynacje i wiele problemów z postaciami znanymi ze „*Stranger Things*".

„Luzaki i kujony" zapoczątkowały także kariery Jamesa Franco i Setha Rogena. W 2007 r. Apatow wyprodukował napisaną przez tego ostatniego (wspólnie z Evanem Goldbergiem) komedię „Supersamiec" – o dwóch geekowatych nastolatkach, którym w ostatnim dniu szkoły średniej, przed pójściem do college'u, udaje się zdobyć wymarzone dziewczyny. Jak w książce „*The Age of Geek*" zauważa K. Brenna Wardell, „Supersamiec" wyznacza w popkulturze moment, gdy wbrew kliszom z lat 80. postać geeka coraz wyraźniej zaczyna łączyć się z seksualną charyzmą, seksownym luzem i sukcesem na erotyczno-romantycznym rynku – co widać w takich produkcjach jak „Scott Pilgrim kontra świat" czy kinowy „Star Trek", zrestartowany przez J.J. Abramsa. W tym samym 2007 r. premierę ma pierwszy odcinek „Teorii wielkiego podrywu" – niezwykle popularnego sitcomu o grupie naukowców z Kalifornii. Jak przyznają jego twórcy, o ile w pierwszych odcinkach obiektami żartu byli geekowaci główni bohaterowie, to w kolejnych ostrze złośliwych żartów coraz bardziej skupiało się na tych postaciach, które nie rozumiały ciągle pojawiających się w serii odniesień geekowskiej popkultury.

Geek trollem

Rok po „Teorii" premierę ma pierwszy „Iron Man" – film, od którego zaczyna się budowanie kinowo-komiksowego uniwersum Marvel Entertainment. Marsz geekowskiej popkultury do głównego nurtu rusza na dobre. Po ponad dekadzie zaczyna on jednak budzić coraz więcej wątpliwości. Geekowska kultura krytykowana jest z feministycznych pozycji. Krytyczki zarzucają jej, że ma charakter zamkniętego ↦

Kadr z filmu Stevena Spielberga „Player One"



↦ klubu uprzywilejowanych, białych chłopców, do którego kobieta bardzo rzadko – jeśli w ogóle – może wejść w innej roli niż jako erotyczne trofeum dla mężczyzny.

W narracjach takich jak „Supersamiec" czy „Spider-Man" kobieta rzeczywiście bywa czasem czymś w rodzaju „nagrody" dla bohatera, stworzenie pary ma być potwierdzeniem jego męskości. O ile geekowie negocjują z hegemonicznym wzorcem męskości (definiowanym przez siłę, wysportowane ciało, pewność siebie i tym podobne przymioty), to rzadko kontestują dominujący, patriarchalny wizerunek kobiety, definiowanej głównie przez tradycyjnie rozumianą atrakcyjność.

Niektóre kanoniczne teksty „nerdowskiej kultury" czytane przez feministyczne okulary ukazują się w niepokojącym świetle. Związek Lewisa Skolnicka i Betty z „Zemsty frajerów" zaczyna się od seksualnego zbliżenia, w którym dziewczyna bierze przebranego w kostium z maską Lewisa za swojego chłopaka. Film przedstawia to jako wyśmienity sposób na zdobycie dziewczyny, dziś scena ta odbierana jest jako przejaw „kultury gwałtu".

Zarzuty feministek wobec kultury geeków uwiarygodniła tzw. *Gamergate* – trollerski atak wściekłych w mediach społecznościowych na kobiety próbujące pisać i mówić o grach wideo z feministycznej perspektywy, krytykując np. obecne w nich seksistowskie motywy. Hejterzy posuwali się nawet do gróźb gwałtu i śmierci. Geek pokazał wtedy swoją drugą twarz pozbawionego empatii internetowego trolla, broniącego wstępu kobietom do ściśle chłopięcego klubu.

Syndrom wyczerpania

Słychać także głosy o wyczerpaniu geekowskiej popkultury i utraty przez nią zdolności do tworzenia czegoś autentycznie. Już w 2010 r. pisał o tym na łamach „Wired" amerykański komik Patton Oswalt. Jego zdaniem internet otworzył wielkie popkulturowe archiwum, które każdemu w tydzień pozwala rozwinąć geekowskie znawstwo dowolnego tematu w wersji instant. Wielkie archiwum tworzy kulturę ciągłej gry cytatami, opartą na pastiszu i nostalgii. Ta gra w recykling w końcu musi dojść do ściany.

Poczucie zbliżania się do niej daje najnowszy film Stevena Spielberga „*Player One*", który wszedł właśnie do polskich kin. Jego fabuła rozgrywa się w wirtualnym świecie stworzonej dla wielu graczy gry komputerowej, gdzie grupa geekowatych dzieciaków walczy o ocalenie wirtualnego świata przed zakusami chciwej korporacji. Świat gry pełen jest odniesień do popkultury, od King Konga, przez anime, „Władcę pierścieni", filmy Hughesa, pierwsze gry wideo z lat 80., po „Lśnienie" Kubricka. Po premierze pojawiały się głosy, że Spielberg w tym żonglowaniu cytatami nie jest nawet specjalnie szczery w swoim fanowskim zachwycie, a jego dzieło to wyłącznie leniwa próba spieniężenia popkulturowych nostalgii.

Nawet osoby mniej krytyczne wobec filmu, poddające się jego urokowi i grom nostalgią, muszą przyznać, że miło byłoby zobaczyć w kinie coś, co zamiast recyklingować urok niegdyś niszowej geekowskiej kultury, zaoferuje jej nowe otwarcie. Coś, co za 30 lat będzie budziło taką nostalgię jak dziś pierwsze gry wideo.

© JAKUB MAJMUREK

REKLAMA



Prestige MJM 10 lat
RADIO 103FM kolor! radio ŁÓDŹ Radio Poznań RADIO WROCŁAW PiK POLSKIE RADIO rmf FM RV wprost WP Rzeczy
T3 trojmiasto.pl cgm.pl DlaWas.info Multikino STRÖER VIXON PRESS SERVICE pap

REKLAMA









JAROSZOWICE

ceny: od 330 do 850 zł
liczba pokoi: 67
kontakt: Jaroszowice 234,
tel. + 48 33 873 40 80, +48 660 525 221
hotelmj.pl

MŁYN JACKA

HOTEL & SPA ****

W pięknej scenerii Beskidu Małego, na obrzeżach Wadowic znajdziecie zabytkowy młyn, zmieniony w nowoczesny hotel.



Na gości czekają komfortowe pokoje, w tym rodzinne pokoje typu studio i apartamenty – wszystkie urządzone w przyjaznym i nowoczesnym stylu. Dawkę aktywnego wypoczynku i miłej zabawy zapewnia kręgielnia. Rozrywkę najmłodszym gwarantuje plac zabaw oraz bawialnia z pięknym widokiem na góry. W hotelowym spa wykonywane są m.in. autorskie masaże ajurwedyjskie. Obiekt posiada 8 gabinetów zabiegowych w tym gabinety zabiegów wodnych czy argilloterapii z sauną parową dla dwojga. Młyn Jacka szczyci się także wykwintną kuchnią w nastrojowej restauracji Spichlerz Smaków. Szef Kuchni Paweł Krzywoń dba, aby dania tutaj serwowane opierały się na naturalnych, regionalnych składnikach. Świetnie zaopatrzony Lobby Bar gwarantuje możliwość degustacji alkoholi najlepszej jakości.

Pieski świat



ANITA PIOTROWSKA

Kipiący od świetnych pomysłów film dostał baty od krytyków za uchybienie politycznej poprawności.

Czy film zrodzony z miłości do wielorasowych czworonogów może zostać oskarżony o rasizm – w dodatku ten jak najbardziej „międzyludzki”? To nie jedyna kontrowersja, jaką wywołała ostatnio „Wyspa psów”. Najnowszemu filmowi Wesa Andersona zarzuca się także okcydentalne poczucie wyższości tudzież eksploatację i egzotyzację dalekowschodniej kultury. Zamieszanie jest całkiem spore jak na animowaną bajkę dla starszych dzieci i dorosłych dzieckiem podszytych.

Tytułowa wyspa to gigantyczne wysypisko śmieci, gdzie w niedalekiej przyszłości deportuje się psy z powodu szalejącej epidemii. Burmistrz fikcyjnego miasta Megasaki, siejąc panikę i tworząc wyimaginowanych wrogów, zbija w ten sposób polityczny kapitał w przededniu zbliżających się wyborów. Lecz to właśnie wykluczony z ludzkiej społeczności kundel jest w tej historii głównym narratorem. Na śmietnisku cywilizacji zdegradowane kanapowce wespół z bezpańskimi burkami postanawiają zawalczyć o swoją godność i przetrwanie. A pomaga im w tym dwunastoletni chłopiec o swojskim imieniu Atari, który uprowadzonym samolotem dociera na wyspę psów, by odnaleźć swojego pupila.

Dla tej anarchizującej dystopii, która prawem baśni musi w końcu zamienić się w pocieszycielską utopię, znajduje Anderson bardzo wyrazistą i rozpoznawalną stylizację. Mamy tu więc japońskie drzeworyty i walki sumo, mamy sztukę pisania haiku i sztukę przyrządzania sushi, a do tego figurki *maneki-neko*, czyli przynoszących pomyślność kotów – gatunku wyraźnie zresztą lekceważonego w tym równościowym filmie. Na dodatek pobrzmiewają w „Wyspie psów” echa katastrofy nuklearnej w Fukushimie, a despotyczny burmistrz, szef rządzącego od pokoleń klanu, będący zarazem ojczymem Atariego, nosi nazwisko Kobayashi – podobnie jak twórca „Harakiri” czy „Kwaidanu, czyli opowieści niesamowitych”, należących do klasyki japońskiego kina.

I właśnie ta rzekoma stereotypizacja – choć częściej używa się słowa „zawłaszczanie” – Kraju Kwitnącej Wiśni (bo i tego roślinnego fetyszu nie mogło w filmie zabraknąć) przyniosła Andersonowi słowa krytyki. Największe jednak baty spadły nań za oryginalną koncepcję dubbingu, która miała za zadanie podkreślić wyobcowanie pieskich bohaterów. Mieszkańcy Megasaki mówią bowiem u Andersona własnym językiem, częściowo nietłumaczonym, tymczasem czworonogi władają językiem angielskim, w dodatku podkładanym przez największe gwiazdy:

TP

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK

o Wrocławskiej Nagrodzie Poetyckiej Silesius

a w nim:

- recenzje wszystkich nominowanych tomików
- rozmowa Michała Sowińskiego z Bohdanem Zadurą, laureatem tegorocznej Nagrody za całokształt twórczości
- oraz esej autorstwa Grzegorza Jankowicza o tym, dlaczego tak bardzo potrzebujemy poezji w naszym życiu.

Zapraszamy do lektury oraz do Wrocławia (9-13 maja)!





IMPERIAL CINEPIX

Kadr z filmu „Wyspa psów”

Scarlett Johansson, Billa Murraya czy Tildę Swinton. Efekt jest taki, że wypowiadający się ludzkim głosem pies staje się nam dużo bliższy od posługującego się obcą mową *homo sapiens*. Jakby tego było mało, przywódczynią „ludzkiego” buntu przeciwko zdemoralizowanym japońskim politykom staje się w filmie przebywająca na szkolnej wymianie jasnowłosa Amerykanka, dubbingowana przez Gretę Gerwig.

Mimo wszystko szkoda byłoby sprowadzać ten kipiący od świetnych pomysłów film do jednego tylko wymiaru, jakim jest uchybienie politycznej poprawności. Twórca „Fantastycznego Pana Lisa” ponownie sięgnął po lalkową animację poklatkową, by od zera wykreować świat zamknięty szczelnie niczym w magicznej bombonierce. Wyskakujące z niej wizualne niespodzianki i rozliczne gagi, tym razem zanurzone w orientalnej polewie, jak zwykle przyprawiają o zawrót głowy. W słodkiej pralince często jednak kryje się oślizła larwa. Sentymentalizm, jak to u Andersona, co i raz odsłania swoje ciemniejsze podszycie. Szkielet psa, który został porzucony w klatce, straszy już w jednej z pierwszych scen. Trująca pasta wasabi zabija jednego z pozytywnych bohaterów. Operacja przeszczepu nerki wygląda tak, jakby do domku dla lalek zbudowanego z klocków lego wrzucono „żywy” kawałek mięsa.

W filmie Andersona wierna psia miłość rozkwitająca pośród gnijących odpadów zderzona zostaje z zimną, zautomatyzowaną wizją antropocentryzmu, jakkolwiek posiadającą także swój sznyt oldskulowy. Bo Anderson to przede wszystkim twórca unikalnej filmowej estetyki. Niemal każdy kadr jest w jego filmach tak finezyjnie przefiltrowany, zakomponowany i zagospodarowany fotogenicznymi przedmiotami, że mówi się o Andersonie jako prekursorze Instagrama – tego współczesnego raju dla ekshibicjonistów, ale też i fetyszystów. Spatynowana paleta barw czy wypełniające ekran rozmaite anachroniczne ustrojstwa odsyłają do staroświeckich książek z obrazkami, niekoniecznie tych dla dzieci. Stamtąd wywodzi się również Andersonowski zwyczaj dzielenia fabuły na rozdziały, opatrywanie ich tytułami, stosowanie fikuśnych ramek, rysunkowych schematów i starannie dobranej czcionki. Przez swe obsesyjne zamiłowanie do ornamentu i symetrii w obrazie reżyser doczekał się nawet internetowych samouczków pod tytułem „jak zrobić film w stylu Wesa Andersona”. I „Wyspa psów”, nagrodzona niedawno na festiwalu w Berlinie Srebrnym Niedźwiedziem za reżyserię, wygląda właśnie tak, jakby powstała według jednego ze wspomnianych przepisów.

Anderson w swoich filmach uporczywie nie chce wyrosnąć ze swych skautowskich krótkich spodenek. Tym razem jego obsesyjne przywiązanie do starych zabawek oraz ekscentryczny wdzięk sprawiły, że opowieść o chłopcu poszukującym ukochanego Ciapka chwilami traci swój emocjonalny potencjał. Wymierzona w dzisiejszych „higienistów” strzeżących czystości gatunku i rasy, dedykowana – podobnie jak „Fantastyczny Pan Lis” – wszystkim „przegrywom” tego świata, tym cztero- i tym dwunożnym, zamienia się w ożywiony na ekranie teatrzyk lalkowy. I cóż z tego, że dostajemy spektakl kunsztownie udekorowany, z dobrze naoliwionym mechanizmem narracyjnym, mówiony jak „dorosły”. W galopadzie atrakcji rozmyła się czystość przesłania, a wyniesione na sztandary drażliwe kwestie współczesnego świata: polityczne, społeczne, rasowe, mimowolnie stały się własnym przeciwieństwem. ©

WYSPA PSÓW *(Isle of Dogs) – reż. Wes Anderson. Prod. Niemcy/USA 2018. Dystryb. Imperial Cinepix.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [26 IV – 11 V]

1. Samson



Koncert, reż. TV Jean-Pierre Loisil, Polska/ /Francja 2018, Mezzo Live HD, 26 IV, 17.00, 9 V, 9.30, mezzo, 29 IV, 8.30, 7 V, 16.30

Retransmisja krakowskiego koncertu, który miał miejsce w niedzielę wielkanocną w ramach festiwalu Misteria Paschalia, przypomni trzyaktowe oratorium Georga Friedricha Händla w wykonaniu zespołu Dunedin Consort i Chóru Polskiego Radia pod batutą edynburskiego dyrygenta Johna Butta.

2. Opowieść podręcznej II



Serial, reż. Bruce Miller, USA 2018, Showmax, od 26 IV

Drugi sezon jednego z najlepszych seriali ostatnich lat w trzynastu nowych odcinkach przedstawi dalsze losy June (Elisabeth Moss), buntującej się przeciwko opresyjnemu systemowi zmuszającemu kobiety do prokreacji. Margaret Atwood, autorka literackiego pierwowzoru, ponownie zaangażowała się w produkcję serialu.

3. Jaki jesteś



Dramat, reż. Miles Joris-Peyrafitte, USA 2016, Cinemax 2, 28 IV, 20.30, 29 IV, 9.35, 2 V, 20.30, 3 V, 12.10, 4 V, 22.30, 5 V, 10.55

Debiut niezależnego reżysera amerykańskiego miesza plany czasowe, współczesność i lata 90., by opisać klimat dorastania trójki przyjaciół, ich zmagania z emocjami i seksualną tożsamością. Film otrzymał Nagrodę Specjalną Jury na festiwalu w Sundance.

4. Blok



Miniserial dokumentalny, reż. Tomasz Knittel, Polska 2018, TVP Kultura, odc. 3, 30 IV, 20.00, odc. 4, 7 V, 20.00

O kulturotwórczej roli bloków i blokowisk opowiada znakomity sześcioczęściowy serial wyprodukowany przez publiczną telewizję. Przed nami odcinki poświęcone architekturze, muzyce i literaturze. Wcześniejsze, których tematem były sztuki wizualne oraz film, są dostępne na VOD.

JAN

Klata: *Chybcik*



Dyrektor Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej stwierdził ostatnio, że Dziewiątą Beethovena trzeba grać 20 minut szybciej. Jak powiedział, tak też i zrobił, więc jest nagranie pod batutą Benjamina Zandera. Jeszcze nie słyszałem (brak czasu), ale się wypowiem. Nie tyle na temat intencji kompozytora, odczytywania oznaczeń tempa i interpretacji beethovenowskiego *maestoso* – ja profan, niech mnie Toscanini broni przed batutami rozsierdzonych znawców! Po prostu, zaintrygowany tymi zaoszczędzonymi 20 minutami, szybciutko zacząłem się zastanawiać, co bym przyspieszył, oszczędzając kupę czasu: tetralogię Wagnera (zdecydowanie!), w ogóle wszystko Wagnera, zwłaszcza „Tristana i Izoldę" oraz „*Das Liebesverbot*", Syberberga też bym przyspieszył zdecydowanie, Symfonii Szostakowicza i tak słucham wszystkich naraz, Mrożka bym skrócił do rysunków, Sienkiewicza do opisów przyrody, „Dzienniki" Gombrowicza do pierwszych ośmiu wyrazów. Żartuję.

Dwukrotnie przyspieszyłbym początkową sekwencję „Śmierci w Wenecji" Viscontiego (Mahler mógłby zabrzmieć interesująco), prawie wszystkie seriale skróciłbym do trailerów (a trailery do teaserów), wszystkie filmy akcji do zbliżeń na twarz Bruce'a Willisa, „Księdza Mateusza" do jazdy na rowerze (z górki), debaty polityczne do pokrzykiwania „Ja panu nie przerywałem!", rozgrywki Ligi Mistrzów do hymnu Ligi Mistrzów, a mecze piłkarskie do wyrzutów z autu i cieszynek. Żartuję.

Gry komputerowe skróciłbym o strzelanie i zabijanie, w ogóle gry komputerowe skróciłbym o głowę (z wyjątkiem „Sapera"), gry komputerowe najlepiej wychodzą w wersji *unplugged*. Skoki narciarskie skróciłbym do odpinania nart, bobsleje do gonienia bobsleja, łyżwiarstwo figurowe do upadków, a hokej do mordobicia. Filmy przyrodnicze skróciłbym do soundtracków, horrorów bałbym się ruszać, ale obchodził szerokim łukiem, tylko jeszcze szybciej, komedie romantyczne skróciłbym do zbliżeń na uśmiech Tomka Karolaka.

Prousta akurat bym nie skracał, ani „*Infinite Jest*", „Szatańskiego tanga" też nie – w ogóle nożyczki precz od Tarra. „*Twin Peaks*" musi trwać tyle, ile Lynch przykazał, łapy precz od Sopranów też. „Korony królów" bym nie przyspieszał, „Koronę królów" bym zwolnił. Natomiast jeśli chodzi o Lupę – tam nie ma co skrócić!

Tyle szybciutkich refleksji, nie ma czasu, niniejszy felieton piszę bowiem pośpiesznie w ekspresie do Poznania, w ekspresie na poranną próbę spektaklu, który pierwotnie miał trwać sześć godzin, ale udało się go bardzo znacznie przyśpieszyć. ©

Lektor: *Pudełko*



▪ *Jacek Leociak*
MŁYNY BOŻE. ZAPISKI O KOŚCIELE I ZAGŁADZIE
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018, ss. 198

Pudełko po butach firmy Bradshaw & Lloyd, w nim kartki z krótkimi opowieściami notowanymi na marginesie własnej pracy naukowej. Wszystkie krążą wokół tematu Kościół i Zagłada, a szerzej – Kościół i Żydzi. Profesor Jacek Leociak, współzałożyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów, autor ważnych książek („Tekst wobec Zagłady", „Doświadczenia graniczne", „Ratowanie"), napisał tym razem rzecz eseistyczną, osobistą, podszytą bólem i gniewem. „Nie silę się na bezosobowy chłód czy wyprany z emocji obiektywizm – tłumaczy. – Przeciwnie, jest to zapis subiektywny, a wybór stronniczy. W końcu to moje pudełko".

Opowieści – każda to osobna, spuentowana całość – zazębiają się i dopełniają. Niby strumienie światła wydobywają z przeszłości epizody, teksty, postacie. Na początku jest Meliton z Sardes, biskup z II wieku, który w płomiennej „Homilii paschalnej" rozwija wizję Żydów-bogobójców, żywą w Kościele niemal do końca zeszłego wieku. Na końcu – obecny metropolita krakowski, który atakując zwolenników prawa do aborcji, sięga do analogii z Holokaustem i metafory selekcji. Po drodze historie częściej przerażające, rzadziej krzepiące, choć z portretów ludzi dobrych, którzy w ciemnych czasach zdobywali się na odwagę lub po prostu umieli zachować się przyzwoicie, ułożyć można sporą galerię. Ks. Stanisław Cieśliński, proboszcz w Kampinosie, zdołał namówić parafian do pomocy Żydom z obozu pracy. Klementyna Darczuk z Otwocka uratowała rodzeństwo Basi i Michała Cytrynów. „Co też Panu mogę powiedzieć – mówiła po wojnie do spisującego jej relację Hersza Wassera – po prostu żal mi ich było", a Basia i Michał już z Palestyny pisali do niej wzruszające listy. Margarete Sommer, asystentka biskupa Konrada von Preysinga, ordynariusza Berlina, organizatorka pomocy dla Żydów (we współpracy ze swoim pracodawcą). A na przeciwnym biegunie – ks. Stanisław Trzeciak, czołowy „żydoznawca", podczas wojny składający do gestapo donos na swojego współbrata kapłana, ks. Tadeusza Pudra, z pochodzenia Żyda. Oraz wielu jemu podobnych. Leociak dotyka spraw budzących wciąż kontrowersje: działań (czy też ich braku) papieża Piusa XII, fatalnej roli Cesarego Orseniga, nuncjusza w Berlinie. I przypomina antysemickie artykuły publikowane w krakowskim „Głosie Narodu" u schyłku lat 30. przez... ks. Jana Piwowarczyka, po wojnie współtwórcę naszego „Tygodnika". Cóż, wypada się z tym zmierzyć. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Suszone lepsze



Świętego Jerzego – i co z tego? Nie przyleciały jeszcze jerzyki, chociaż nazwa powinna je zobowiązywać do pewnej terminowości. Zuchwałością byłoby roztrząsać ptasie sprawy na łamach, które goszczą regularnie Stanisława Łubieńskiego, jednak raz sobie pozwolę. Jerzyk bowiem to nie tylko fascynująca maszyna do oczyszczania miast z komarów i meszek, a do tego przedziwny stwór, potrafiący miesiące spędzić bez przerwy w powietrzu – piszą uczeni: je, pije, kopuluje i śpi w locie.

Dla mnie jerzyk stanowi niezbędny składnik smaku letnich drinków. Kiedy wieczorem na tarasie słyszę ten ich dziki wrzask, widzę, jak wykonują ostatnią rundę kolacyjną i pikują prosto pod gzymsy sąsiednich bloków, to wiem, że w końcu zaczął się dla mnie rok. To znaczy ta jego lepsza część, której początek zasługuje na świętowanie.

Bez wrzasku jerzyków białe wino wypite na koniec dnia – przed prysznicem zmywającym ze skóry osad stresu i wysiłku – smakuje tylko jak wino, nie jak szczęście. Wino w postaci czystej albo beztrosko rozcieńczone gazowaną wodą i lodem, bez oglądania się na fakt, że dostało złoty medal i 90 punktów, jest strzeliście mineralne i ma kamienne pionowe usta. Cokolwiek by to znaczyło. W przedjerzykowej ciszy pije się łyczek za łyczkiem, rozmowa nawet się klei, ale to wszystko jeszcze takie na niby. Niczym uściski namiętne, ale czynione tak, by nie popsuć fryzury i nie wyduździć koszuli.

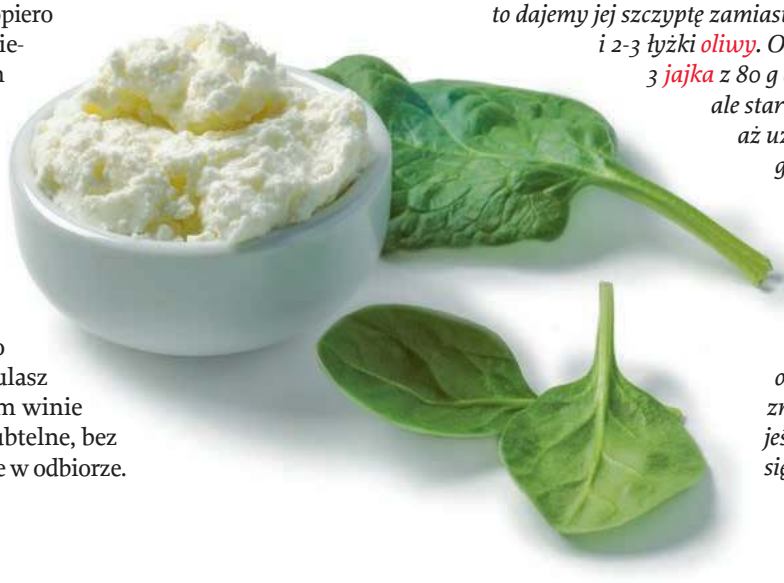
Tak więc, choć jadłem już pierwsze szparagi z polskiej ziemi – sezon wcześnie się zaczął – to na razie nie uważam za stosowne składać noworocznych zobowiązań. W oczekiwaniu na krzykliwych heroldów przemiany obracam w palcach suszone limonki, przywiezione przez przyjaciela z Persji. Osobliwa to przyprawa, drobne, zbite, czarne kulki o skórzastej fakturze, zostawiające na palcach aromat wosku, smolistej żywicy, a dopiero w drugim rzucie spodziewane nuty cytrusowe. Ich twardość jest zwodnicza, starczy raz lekko puknąć trzonkiem noża i kulka rozsypuje się na drobne odłamki, które wzięte na język drażnią kwaskiem, ale i silną goryczką, czymś dymnym i ziemistym, co zmieniło wczoraj mój banalny gulasz z udźca indyka na białym winie z marchewką w danie subtelne, bez mała egzotyczne, niełatwe w odbiorze.

Lubię limonki w pewnych deserach (spróbujcie np. robiąc panna cottę zastąpić część śmietanki mlekiem kokosowym, a do środka zetrzyjcie obficie limonkową skórkę...), ale nigdy bym ich o taką złożoność smaków nie podejrzewał. Suszenie wydobywa z kawałka pożywienia jego cechy pozostające w zwyczajnej postaci na drugim planie. Przecież to samo się tyczy rodzynek: winogrona rozgryzione na surowo są po prostu słodkie, czasem smakują muszkatem. Dopiero w rodzynkach czujemy wyraźnie specyficzną kwaskowość, bez której skoncentrowana wskutek podsuszenia słodycz byłaby nie do zniesienia – a poza tym szereg różnych niuansów, które pozwalają dopiero rozróżniać rozmaite ich rodzaje. W każdym razie dla mnie dopiero wtedy zaczyna się przygoda: biorąc w sklepie winogrona właściwie nigdy się nie zastanawiam, jakiej są odmiany, wszystko jedno, ważny jest najwyżej kolor, a i to z uwagi na to, by ładnie się na stole komponowały z talerzem i resztą owoców.

Jeszcze ostrzejszy kontrast jest z figą. Świeży owoc smakuje mdło, na granicy nieprzyjemności, słodkawo, jest obślizgły i często budzi skojarzenia z zepsuciem. Jest raczej do patrzenia niż do jedzenia – od tej strony rzeczywiście jest pyszny, o czym wiedzieli niderlandzcy malarze igrający na obrazach z erotyczną symboliką. Dopiero w wieku dorosłym, gdym się pozbył skojarzeń nabytych jako dziecko katowane tym „domowym sposobem" na leniwe jelita, doceniłem, ile w suszonej fidze jest prawdziwego, osobliwego smaku, który dopiero czyni zeń dobry kontrapunkt do kozich i owczych serów.

A gdyby tak człowieka ususzyć? Zamiast poznawać go latami, wyłuskując nieliczne konstytutywne impulsy z tysięcy nieistotnych godzin, błahych słów i zapożyczonych gestów, można by wtedy dziabnąć całą jego osobność w jednym kęsie i zlizując ślady z ust zrozumieć, czy nam służy. Bardzo by to było wygodne i korzystne dla stosunków społecznych. Niech idzie precz te 80 czy więcej procent wody, jedzmy istotę.

I tak można by bez końca rozważać, jak i dlaczego lepsze suszone – z tej prostej przyczyny, że świeżego owocu nie uświadczysz. ©℗



Suszona limonka może niekiedy zastąpić skórkę cytrynową, jak na przykład w tym przepisie, który zaliczam do ulubionego rodzaju „najłatwiejsze ciasto w świecie", bo nie wymaga przy robocie niczego prócz miski i widelca. Ale w wersji z normalną cytryną jest pyszne. 300 g ricotty mieszamy z 20 g cukru i skórką otartą z 2 cytryn (jeśli mamy suszoną limonkę, to dajemy jej szczyptę zamiast). Dodajemy sok z 1 cytryny i 2-3 łyżki oliwy. Osobno mocno utrzepujemy 3 jajka z 80 g cukru. Delikatnie, ale starannie łączymy obie części, aż uzyskamy masę o konsystencji gęstego ciasta naleśnikowego. Wylewamy do formy (lub kilku małych) wyłożonej papierem do pieczenia na grubość 1 cm. Pieczemy w 180 stopniach ok. godzinę, aż z lekka się zrumieni. Na gorąco trzeba jeść łyżeczką, po wystudzeniu się kurczy i daje kroić.

BEW

MUREK, SYRENI ŚPIEW I MARSJANIE

Obok Burgundii porwanej przez boginie luksusu, spekulacji i kasy istnieje wciąż Burgundia rzeczy zwykłych i win zwykłych, a pysznych.

MAREK BIEŃCZYK



Wszyscy mówią „Burgundia, Burgundia”, a ja Burgundii nie widziałem. Ktoś powie, że przesadzam, lecz nie piłem przecież Romanée-Conti. Ani Chambertin spod ręki pani Leroux. Ani Cros Parantoux od Jayera. Zresztą kto w sprawie Burgundii nie przesadza? Przesadzają winiarze, z cenami. Przesadzają importerzy, z cenami. Przesadzają inwestorzy, z kosztami. Przesadzają dziennikarze, z epitetami. Przesadzają wielbiciele, ze ślepą miłością.

Co jest za tym murkiem?

Wielbiciele istnieli od zawsze, teraz ciągną tu stadami. Nieprzebrane ilości zdążające do wodopoju. Rezerwat Serengeti w porze wiosennej, gdy rzeki przybiorą, gazele, słonie i tygrysy w jednej wielkiej wędrówce. W *mondovino* wszystkie drogi prowadzą dzisiaj do Beaune. Prywatnymi jetami, liniami *low cost*, TGV i ciuchciami regionalnymi, jaguarami i zdezelowanymi dieslami, dawniej jeszcze autostopem, a nawet na piechotę znakowanymi szlakami (kiedyś doszedłem) ciągną wariaci pinot noir i szaleńcy chardonnay, chorzy, wszyscy chorzy. W centrum Beaune stoją słynne Hospices, pierwszy średniowieczny szpital, obok opactwa w Cluny architektoniczny symbol Burgundii, z daleka mamiący błyskiem charakterystycznej mozaiki na dachach; niestety, już tam nie leczą.



MAX SHEN / CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES

Kiedy ta nowa fala pielgrzymek się zaczęła? W chwili, gdy wina z Bordeaux zaczęły, ze względu na chęć przypodobania się Amerykanom i Chińczykom, tracić charakter? Kiedy świat winiarski obejrzał „Bezdroża”, słynny film hollywoodzki, w którym bohaterów połączyła miłość do pinot noir i niechęć do merlota? Kiedy zrozumiano, że w winie, jak w każdej dziedzinie mającej coś wspólnego ze sztuką, niczego nie da się na siłę i picie win aż czarnych od koncentracji przestaje rajcować, tak jak na dłuższą metę nie jest atrakcyjny żaden futuryzm? Kiedy górę nad rozsądkiem wzięła natura pragnienia, uznająca jak zawsze, że najlepsze jest to, co niedostępne? Kiedy zrozumiano, że nawet słaby burgund jest lepszy od świetnego caberneta (merlota, tempranillo), tak jak najsłabsze zdanie Manna jest lepsze od najlepszego zdania Coelho?

Mój ulubiony burgundzki artefakt znajduje się przy murku, za którym rozpościera się najsłynniejsza winiarska parcela świata, Romanée-Conti, niewiele ponad hektar. To skromna tabliczka w dwóch językach. Wersja angielska zaczyna się tak: „*Many people come to visit this place and we understand*”. *We understand*, my to rozumiemy. Rozumiemy, że tu jest wspaniale. Właściwie macie rację, kręcąc się tu nerwowo w świątek i piątek. Nie mylicie się, gapiąc się baranim wzrokiem na tych parę krzewów na krzyż. Tak, to się da pojąć. *We understand*. Tylko, prosimy, nie wchodźcie na winnicę, nie przełaźcie na drugą stronę, zostańcie za murkiem: „*Remain on the road*”.

Marsjanie nad Perrieres

Zostajemy za murkiem, na zawsze. Ceny są z kosmosu. W świecie luksusu droższy od najdroższych burgundów jest tylko szafran, powiadają. Ponad 30 tysięcy euro za kilogram. 0,75 litra mitycznej Romanée-Conti w zależności od rocznika to od 3 do 20 tysięcy euro na wolnym rynku. Można się zapisać na tak zwane alokacje: kupuje się jedenaście innych win (w tym kilka w istocie nie gorszych) od tego samego producenta, Domaine Romanée-Conti (w skrócie DRC, trzy najdroższe litery świata), i jedną właściwą Romanée-Conti. Zapisujcie się dzisiaj, jest szansa, że praprawnuki przepchają się z listy rezerwowej na listę główną. Ten, kto ma alokację, nigdy zresztą nie umiera; tylko głupi by się przyznał do własnej śmierci. Co najwyżej może popełnić błąd, jak mój polski przyjaciel w Paryżu, szczęśliwie obecny na liście głównej od pół wieku niemal. Z niejasnych dla mnie powodów ofiarował jedną butelkę polskiemu biznesmenowi. Później został skreślony z listy alokacyjnej, gdyż butelka znalazła się na rynku wtórnym, droższa o 800 procent i rozpoznana po numerach przez detektywów (są tacy) zatrudnionych przez DRC.

Jeszcze kilka cyfr – podobno pieniądze interesują ludzi. 280 za 7. Czytaj: dwieście osiemdziesiąt milionów euro za siedem hektarów Clos de Tart, również słynnej parceli kilka kilometrów dalej. Tyle wyłożył na zakup parę miesięcy temu pan François Pinault, właściciel megaholdingu i kilku już wielkich *châteaux* bordoskich. Wygrał rywalizację na „kto da więcej” z Bernardem Arnault, właścicielem holdingu LVMH; ich pojedynek na winnice toczy się od kilkunastu lat. Zwrot inwestycji, obliczają, nastąpi w szóstym pokoleniu; przekleństwo odrabiania straty spadnie na pięć pierwszych; inwestorzy najwidoczniej czytają Biblię.

→

Winnica Romanée-Conti w Burgundii, Francja.

↦ Miliarderzy i ich koncerny to nowa zmora Burgundii. Czy raczej jej wielbicieli. Zdążyli już przejąć większość najlepszych *châteaux* w Bordeaux, teraz zasadzili się na rodzinne posiadłości burgundzkie, za dwa lata wino z Clos de Tart będzie dwa razy droższe. Wielkich posiadłości w Bordeaux aż tak bardzo się nie żałuje; to i tak był świat od dawna zamknięty, za zatrzaśniętymi okiennicami. Arystokratyczne pustelnie z pokrowcami na meblach i międzynarodowymi właścicielami w willach na Côte d'Azur albo na Florydzie.

– Tam pan się urodził? – spytałem kiedyś jednego z nich.

– Nikt nie urodził się na Florydzie.

Obraz Burgundii był natomiast zawsze odmienny, wiejski, niewyniosły, bez krat, bez złotych bram, bez francuskich ogrodów, bez hostess i menadżerów w garniturach; nawet psy były tu inne, skundlone. A właściciel w gumiakach szedł na winnicę i zakasywał rękawy, albo choć doglądał pracowników. Umiał skoczyć z gośćmi na piknik pod las ze swoją najlepszą butelką i otworzyć ją do bagietki z *jambon persillé*, tutejszą specjalnością wędliniarską. Między najlepszym winem a codzienną chwilą nie zalegało nadmuchane powietrze, celebra wyjątkowości.

Pamiętam, jak 16 lat temu w przerwie obiadowej podczas degustacji przysiadł się do nas Eric Rousseau, bo krzesło było akurat wolne, ledwo zwróciliśmy uwagę. Postawił swoje Chambertin, nalał nam po kieliszku, jednym, drugim; fajnie, ale normalnie. Dziś by nie nalał, bo każdy kieliszek to 300 euro, bo jego wino, podobnie jak czterdzieści innych burgundów, mieści się w pierwszej pięćdziesiątce najdroższych win świata. Nawet na degustacjach już się raczej nie pojawia.

Niektórzy wielcy jeszcze przychodzą, to dla nich do Burgundii się jeździ – jedyna okazja, by wstąpić do raju na krzywy ryj. Ale lepiej jeździć w te miejsca, w które można się wcisnąć, by tak rzec, naturalnie, jak tlen w płuca. Szanse na miły piknik z winiarzem nie całkiem przepadły. Obok Burgundii porwanej – jak niegdyś Europa – przez boginie luksusu, spekulacji i kasy istnieje wciąż Burgundia rzeczy zwykłych i win zwykłych, a pysznych. Wystarczy zdmuchnąć ekskluzywną piankę z powierzchni dnia.

W niewielkim Comblanchien parcele są poślednie, niezbyt wyjściowe, ludność żyje od dziesięcioleci przede wszystkim z pracy w pobliskich kamieniołomach, od stu lat blisko głosuje się tu na lewicę. W drugiej turze na Macrona. Mieszkam u pary staruszków, jego ojciec był bednarzem. Nie minął kwadrans od przyjazdu, a już opowiada mi swoje najważniejsze przeżycie. 21 Sierpnia 1944 roku – dziś tak zwie się główny placyk w miasteczku – ktoś ostrzeliwuje pociąg z niemieckimi żołnierzami; pociąg staje, zaczyna się pacyfikacja wsi, tym bardziej że podczas wojny tutaj rozwinął się najmocniej burgundzki ruch oporu. On, dziesięcioletni chłopczyk, kryje się z rodziną w krzewach winorośli. Sądząc po dwugodzinnej, szczegółowej opowieści, trauma pozostała do dzisiaj. Lubię też puentę: po wojnie chłopiec chciał być nauczycielem niemieckiego. Został pomocnikiem księgowego w kamieniołomach.

Druga puenta rozgrywa się w piwnicy jego zaprzyjaźnionego sąsiada, winiarza. Bałagan, niektóre kadzie jeszcze plastikowe, przedpotopowe. Wina zwykłe, smaczne. Pytam, czy winiarz pił kiedykolwiek Romanée-Conti. Pił, ale nic nie pamięta. „Nie wzdrygnęło mną" – tłumaczę wiernie.

W Meursault, miasteczku już bardziej burżuazyjnym, dla win bardzo znaczącym, mieszkam u pułkownika, gaullisty z odziedziczonymi winnicami i domem pozostającym w rodzinie od XIV wieku. To pierwsza udzielona mi informacja, ledwo wysiadłem z samochodu. Kolejna, że jest kartezjaninem. Tu się głosuje tradycyjnie raczej na prawicę. W drugiej turze na Macrona.

Pułkownik chciałby coś opowiedzieć. Opowieści, wykwintną francuszczyzną, trwają długo: służba w wywiadzie, Jugosławia, Afryka. Pod koniec pobytu nadstawiam bardziej uszu, bo słyszę, że „dzieją się rzeczy". Zwlekał z wieścią trzy dni, jak to kartezjanin, wreszcie wypalił. Gdzie się dzieją? W powietrzu, na ziemi. Słowem, ujrzał Marsjan, w Burgundii, wręcz tu, niedaleko, nad Les Perrières, świetna parcela dla win białych *nota bene*. Jak ludzie byli, lecz nie mieli powiek. To dopiero początek, nie ciągnę jednak dalej, idę od razu do drugiej puenty: jego wina. Ktoś mu je robi, bo on się nie bardzo zna. Szczodre, dobre. Nie wielkie, ale smakują. Oglądamy pod nie mecz Francja–Anglia w rugby, na razie remis, wyłącza telewizor w przerwie. „Boję się patrzeć, jak Francja przegrywa". A pił Romanée-Conti? Pił, nie, nie z de Gaulle'em. Ale pił. „Nie dostałem się w jasyr jednego z tych uniesień" – przekładam wiernie.

Słowa, imiona

Les Perrières, przy których Marsjanie przejechali peugeotem, to jedna z tysiąca trzystu nazw burgundzkich parcel, określanych też „klimatami"; tyle słów liczy mniej więcej *basic english*. Od dwóch lat zaklasyfikowane – właściwie nie wiadomo, czy parcele, czy nazwy, wychodzi na jedno – jako dziedzictwo UNESCO. Wielbiciel Burgundii zna na pamięć może z siedemdziesiąt takich imion, w degustacji na ślepo rozpozna, jak dobrze pójdzie, dziesięć. Siedemdziesiąt mantr do powtórzenia, niektóre odnoszą się do kilkudziesięciu arów, niektóre, rzadziej, do dwóch czy trzech hektarów. Parcele są malutkie i podzielone między kilku winiarzy; zdarza się, że w najlepszych mają po parę rzędów i robią raptem trzysta butelek. Są imiona własne typu: „Enklawa Świętego Jakuba", są miejsca naznaczone geograficznie, jak „Łysa Góra" albo „Za stodołą", obyczajowo, jak „Dziewice", zoologicznie, „Węże" (jest ich tu sporo) czy geologicznie, jak owe „Perrières", bo tyle tu kamieni, a dokładniej łupków.

Szmer, który wędruje po salach podczas degustacji, przypomina modlitwę do wszystkich świętych. Nalewający mówi „Perrières", degustujący powtarza „Perrières", imiona krążą pod sufitem, słowa skrzydlate i magiczne, święte słowa. „Słowa-imiona muszą razem być", śpiewali kiedyś Pesymiści; to pierwsza polska piosenka o burgundach. Spacer po burgundzkich winnicach jest jak przechodzenie po literach, czuć to niemal dosłownie. Onomastyczna orgia; święto dla filologa, rozkosz dla mikrologa.

Bóg dał imiona zwierzętom, człowiek dał imiona wapiennym glebom. Sto metrów w lewo, pięćdziesiąt w prawo i zmienia się imię, czyli wszystko: charakter wina, cena. Po winnicach wielkich zamków bordoskich łazić właściwie się nie da. Niemal płasko i nic się nie dzieje, długie hektary nudy, nazwy poszczególnych parcel są co najwyżej techniczne, ogólnie nieistotne. A tutaj język się rozwiązał *ad infinitum*. Bo nie dość, że każda parcela zwie się odrębnie, to jeszcze wewnątrz niej mogą istnieć nazwy dla mniejszych całostek, a w tych mniejszych całostkach...

Mormoni w Salt Lake City przechowują imiona wszystkich (mniej więcej) ludzi, którzy stąpali po ziemi, mnisi cysterscy nazwali w Burgundii niemal każdą grzędę. Powiedzmy, że mnisi;

to raczej jeden z burgundzkich mitów, choć opactwa miały w rozwoju tutejszego winiarstwa oczywiście wielki udział. Religijność jest zresztą w wioskach bardziej odczuwalna niż gdziekolwiek we Francji; wszędzie kościółki romańskie, obok suszy się bielizna albo dzieciaki narysowały na murach obrys bramek i walą piłką w kilkusetletnie cegły. Spod opactwa w Vézelay wyruszały wczesne wyprawy krzyżowe, panowali tu książęta i królowie, bardzo katoliccy. Przewaga imion nad winami, może przepych onomastyki łączy się jakoś z bogatszym niż protestancki obrzędem.

Niebo i ziemia

Wrzucam to rozróżnienie, gdyż na nim opiera się duchowe przeciwstawienie win bordoskich i burgundzkich. Ogólnie znane są wpływy hugenockiej, a następnie angielskiej kultury protestanckiej na Akwitanię; to zresztą Anglicy w dużej mierze zajęli się komercjalizacją, a nawet produkcją bordeaux, począwszy od XVIII wieku.

Przełożywszy tę protestancko-katolicką opozycję na wino, otrzymujemy paradygmat surowości i paradygmat zmysłowości. Doskonałości na wzór doskonałości bożej – i codziennego, życiowego „jak cię mogę". Zimnej myśli i wesołego ciała. Ręki podanej wyniośle i klepnięcia w plecy. Racjonalności i instynktowności: nad wielkimi bordeaux pracuje wspomagany przez najnowsze technologie sztab specjalistów dobierający, z dokładnością do jednego miejsca po przecinku, proporcje każdej odmiany w ostatecznym kupażu; burgundzkiemu pinotowi *high-tech* jest potrzebny jak dziura w moście, odmiana słabo się poddaje nadmiernym kombinacjom ludzkiego rozumu, jego technicznym interwencjom.

Jak ktoś powiedział, „wina bezduszne powstają, gdyż winiarze spieszą z dostarczeniem tego, czego winnica nie ma lub do czego nie jest zdolna". Do Burgundii ta opinia odnosi się wyjątkowo celnie; pinot noir to bardzo skuteczny wykrywacz winiarskiego kłamstwa. Nawet kieliszki są odmienne; te bordoskie, wysokie, tulejowate, nakazują jakby wspiąć się na palce, by dostać się do wina; burgundzkie, rozłożyste tulipany, oddają wino bez ceregieli, szeroko i szczodrze.

Dla fundamentalisty bordeaux wino burgundzkie to przyjemny soczek do popijania; dla fundamentalisty burgundów wina z Bordeaux to ascetyczny obelisk czy ponura rzeźba cmentarna, nagrobek nałożony na naturę. Sam raczej myślę, rozważając różnice, o geoduchowości, wpływie geografii na charakter. Zatem o bezkresnym Atlantyku, z którego Portugalczycy wyżęli fado i utkał swe smęcenia Pessoa. W Bordeaux bliska obecność oceanu jest przemożna, za winnicami zaczyna się bezkres, co wzywa i zniewala. Wobec tej nurtującej nieskończoności chce się ustawić własny ogrom, odpowiedzieć jej własną rozległością, winami, które wypowiedzą nasze zapatrzenie w dal, gdzie niebo przejmuje sztafetę od ziemi.

Tymczasem czerwony burgund (biały to inna, nieco mniej bajeczna historia), tak bardzo związany z geologicznymi



CHRISTOPHE LEPETIT / AFP / EAST NEWS

W Burgundii zwiedza się jakąś tajemną niewidzialność, setki minionych lat, wiedzę o jej wyjątkowej historii i zwiedza się ciemny obiekt pożądania, niedostępne erotyczne ciało natury.

szczególnościami, miniwpływami, powstający w krainie zawężeń, a nie rozpościerania, bliższy jest miejscom istniejącym tu i teraz, pod nogami, i łatwiej wypowiada konkretną przygodę ludzkiego czasu, chwil pojedynczych, krótkich, ale weselszych i kolorowych. Ziemia tutaj aż skacze do gardła, każda parcela upomina się o swoje uznanie. Jeden z najlepszych burgundofilów opisywał, że wielokrotnie zdarzyło mu się podczas degustacji ze znajomymi wielbicielami, iż ludzie byli wręcz oburzeni, gdy wino okazywało się zbyt słabe: „jak tak można zniszczyć równie wspaniałe siedlisko!". Ale kiedy wszystko się uda, kiedy winiarz „słyszy" swoją winnicę, czuje ją, powstają wina wielkie, zapewne największe na świecie.

Rozprawianie o ogólnych charakterach win upodabnia się do rozważań o charakterze narodów; tyleż w nich prawdy, co nieprawdy. Nie zmienia to jednak faktu, że pinot noir jest w wielkiej fazie, że coraz więcej ludzi usłyszało jego syreni śpiew. Jeżdżę do Burgundii z przyjacielem od lat. Wiadomo, że wino nie jest celem, ale wehikułem mknącym w Nieznane. Czasem syreni ogon mignie w kieliszku, jak wtedy, kilka lat temu, gdy perfuma z Échezeaux od nowej wielkiej gwiazdy, Cécile Tremblay, usprawiedliwiła, ona jedna, całą podróż – choć zapach trwał kilka sekund. Staliśmy bez ruchu, jakbyśmy ujrzeli Marsjan, bez słowa i wiedzy, co dalej z sobą zrobić.

Jak widać, Kartezjusz słabo się przyjmuje do gadania o Burgundii, jakkolwiek się do niego odwoływać. *Cogito* wielbiciela burgundów jest skrajnie sensualistyczne, raczej osiemnastowieczne, bardziej spod znaku Rousseau, gdyby pozwolić sobie na dalszy *name-dropping*. Zapach wypełnia istnienie i unicestwia wszelkie miary, a cała reszta to żmudne odliczanie czasu. I to jeszcze: bordeaux (i jemu podobne wina) wywołuje podziw i uznanie jak udany spektakl, no *bravo, bravissimo*. Burgund idealny, jak żadne inne wino, wywołuje poczucie szlachetnie nieokreślone, coś jak tęsknotę za witalnością bez ograniczeń: więcej, więcej życia. O to Cię prosimy, Panie.

Najistotniejszy pas burgundzkich winnic, tak zwane Złote Zbocze, La Côte d'Or, ciągnie się od Dijon do Beaune i jeszcze kilkanaście kilometrów dalej. Idzie się od północy na południe, czy od południa na północ, trudno zabłądzić. Widoki są takie sobie, niekiedy mierne, to nie jest Douro ani Nowa Zelandia, gdzie pinot rośnie w krainie *fantasy*. W Burgundii zwiedza się zatem nie tyle geologiczne zjawiskowe krajobrazy, co jakąś tajemną niewidzialność, setki minionych lat, wiedzę o jej wyjątkowej historii i zwiedza się ciemny obiekt pożądania, niedostępne erotyczne ciało natury.

Ale parę metrów w bok i zaczyna się inna Burgundia, krajobrazowo całkiem widowiskowa i normalnie rolnicza. Najlepsza wołowina we Francji, słynne sery od strony niższej, i niezwykła architektura romańska od strony wyższej. Nie opowiadam o tym, bo choć wszyscy mówią „Burgundia, Burgundia", to ja Burgundii nie widziałem. © MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Dawaj sera!



Powiedział Gospodarz, że na uprawianiu polityki traci finansowo. Szczerość za szczerość, rzec więc trzeba, że my na jego działalności zarabiamy i z tej okazji pozdrawiamy go ciepło. Dowiedzieliśmy się także, że organizacja przezeń najęta, by dbać o wizerunek Polski w świecie, wynajęła za gruby grosz firmę mającą zadbać o jej wizerunek. Jest to manewr cacany i wypada zaczekać, aż zostaną wynajęte kolejne przedsiębiorstwa, tworzące złote ogniwa łańcucha dobrego imienia – głównie własnego – a jeżeli komuś wydaje się to niemożliwe, ten jest małej wiary. Tak mniemamy.

Lubimy słuchać i oglądać nieudaczników, zwłaszcza gdy starają się nam dowieść, że są utalentowanymi ludźmi sukcesu. Zważyć tu należy, że od dawna uważamy politykę za jedyną sferę życia, w której taka mistyfikacja jest możliwa i przynosi pieniądze, choć jak twierdzi Gospodarz – małe. Małe czy duże, bez znaczenia. Fakt, że pieniądz w ogóle się tu pojawia, jest już tak zabawny, że można sobie odpuścić cokolwiek, co zabawie miałoby służyć. W tym momencie staraliśmy się wymyślić bądź przypomnieć sobie o zabawach, które mogłyby się tu przydać, ale jako że wyważanie otwartych drzwi nas nie nęci, postanowiliśmy skorzystać z gotowego od blisko pięciuset lat spisu autorstwa Rabelais'go, pomieszczonego w niezapomnianym jego dziele o Gargantui i Pantagruelu. Naturalnie z tego gigantycznego zestawu wybraliśmy zaledwie cząstkę, liczy on bowiem dwieście dziesięć propozycji. A więc ludycznych wypowiedzi Gospodarza żadną miarą nie zastąpią nam zabawy „w żądełko", „w mizerkę", „w kupca", „w mariasza", „w wesołka", „w wilka i owcę", „w byczka", „w krówki", „w mydło", „w babulkę", „w ciemno, ciemno", „w pośladki", „w sikawkę", „w kominiarza", „w pierdzimąkę", „w muszkę", „w kapturek", „w smarki", „w ropuchę", „w buru, buru, buks", „w mycie czepka", a nawet „w solony zadek", „w dawaj sera", „dziadowską sakwę", „figę marynowaną", „szydełko", „baranią głowę", nie wspominając oczywiście o zabawie „w sędzia żywy – sędzia umarły", „brzuch do brzucha", ani „w łajno smażone". Takie to są zabawy, które możemy sobie, owszem niechętnie, ale odpuścić, słuchając wynurzeń Gospodarza na temat pieniądza, zarówno własnego, jak i cudzego.

Niejako mimochodem i przy okazji dowiedzieliśmy się, że ów – gdyby nie zajmował się polityką – mógłby pracować w charakterze radcy prawnego, tak mówi. Wyobrażenie sobie Gospodarza w takiej roli, na etacie, a twierdzi, że ma ku temu szalone kompetencje, jest wyzwaniem dla nas za trudnym, wpycha nas w stan *nomen omen* bezradności, choć – przyznamy się nieśmiało – chora wyobraźnia to nasza specjalność.

Idźmyż dalej. Marszałek Sejmu twierdzi, że jego wypowiedź na temat odgrzybiania i odszczurzania kraju za pomocą środków chemicznych została źle zrozumiana. Nie mówi niestety, jak powinna być zrozumiana, więc będąc pozbawieni elementarnych wskazówek, musimy sobie radzić sami. Kto tu jest szczurem bądź grzybem? – pytamy w niejakim pomieszaniu, bawiąc się a to naszym długim i łysym ogonem, bądź kręcąc kapeluszem *à la* muchomorek, który nam co rusz spada na haczykowaty nos. O jaką chemię marszałkowi Sejmu idzie? Precyzja wypowiedzi jest matką zrozumienia – chciałoby się rzec. Solidnie się zastanowiwszy uznajemy, że jednak gdy ktoś parabolizuje na temat szczurów, zagrzybienia i chemii przydatnej w ich zwalczaniu, musi się liczyć z konsekwencją raczej dobrego zrozumienia i falą prawidłowych skojarzeń. Prawidłowych, bo najprostszych. W tej sytuacji i nam zdaje się wolno więcej. Oto kończymy cytatem z Józefa Rotha, z jego „Listów z Polski": „Są miasta, gdzie pachnie kiszoną kapustą. Na to nie poradzi żaden barok". ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ



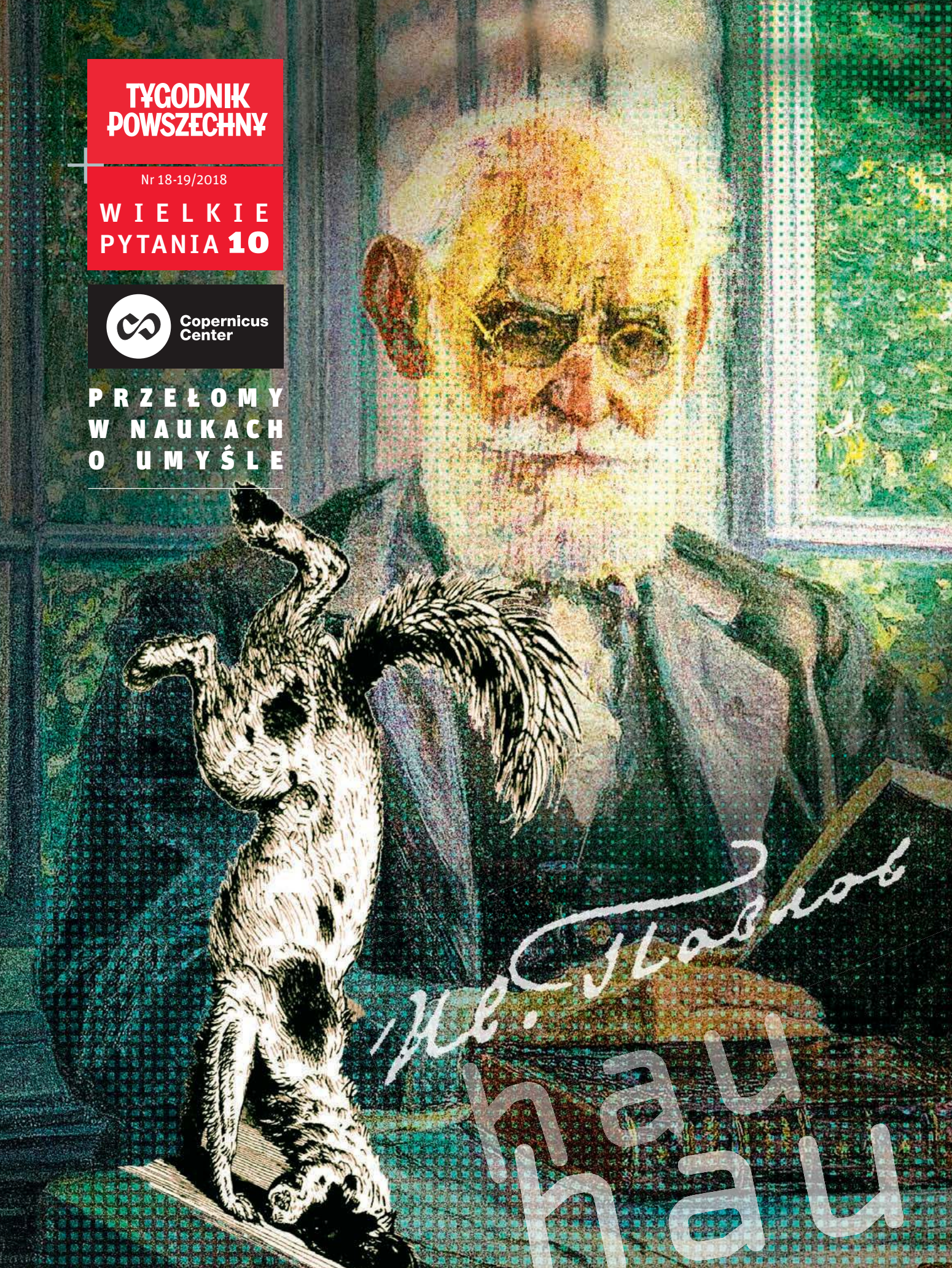
TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 18-19/2018

WIELKIE PYTANIA 10

Copernicus Center

PRZEŁOMY W NAUKACH O UMYŚLE

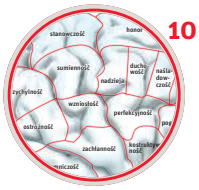




03 Co rządzi zachowaniem
PAWEŁ BAKALARZ
Psychologia jako wyższa fizjologia człowieka



07 Rydwan z dwoma końmi
KINGA WOŁOSZYN-HOHOL, MATEUSZ HOHOL
W poszukiwaniu mózgowego podłoża emocji



10 Od frenologii do neuroanatomii
INFOGRAFIKA
Czy istnieje ośrodek zazdrości?



12 Cienie świadomości
JUSTYNA HOBOT, MICHAŁ WIERZCHOŃ
Odyseja w głąb uwięzionego umysłu



16 Człowiek, który barwił neurony
MACIEJ DULEWICZ
Santiago Ramón y Cajal – neurolog-artysta



18 Elektryczne żaby
ŁUKASZ KWIATEK
Luigi Galvani i wypędzanie ducha z nerwów



21 Obca Inteligencja
ROZMOWA Z PETEREM GODFREY-SMITHEM
O życiu wewętrznym ośmiornic



25 Gdzie ja jestem
ŁUKASZ LAMŻA
W sercu, w mózgu, a może w wątrobie – gdzie właściwie tkwi moje „Ja”?

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Metody neuroobrazowania: Mateusz Hohol
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Edward Augustyn, Marek Zalejski

Skład: Marek Zalejski, Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski
ILUSTRACJE: PORTRET IWANA PAWŁOWA – MICHAŁ NESTEROW; 1930 / DOMENA PUBLICZNA
Współwydawca: Fundacja Centrum Kopernika

Copernicus Center



ŁUKASZ KWIATEK

Nie wiemy – i być może nigdy nie będziemy wiedzieć – kiedy świadomy siebie umysł pojawił się na ewolucyjnej scenie. Możemy się jednak domyślać, że od chwili, gdy się to stało, zafascynował się samym sobą i próbował zrozumieć, czym jest i dlaczego w ogóle istnieje. Rzeźby i malowidła, mity religijne, obrzędy pogrzebowe – to wszystko wyraźne objawy tej fascynacji. W czasach historycznych przyjęła ona także inną postać – systematycznej refleksji. Najpierw podejmowanej przez filozofów, a od niedawna przez wyspecjalizowane nauki szczegółowe – psychologię, etologię, neurofizjologię, wreszcie neuronaukę poznawczą – które, owładnięte tą samą fascynacją, sięgają po coraz bardziej wyrafinowane metody eksperymentalne.

W czwartym, ostatnim dodatku poświęconym przełomom w nauce, przyglądamy się wybranym etapom tej fascynacji umysłu samym sobą. Rozliczamy behawioryzm, który miał zrewolucjonizować psychologię, skupiając się na obserwowalnym aspekcie umysłu – zachowaniu – i marginalizując wszystkie pozostałe. Przyglądamy się poszukiwaniom biologicznego podłoża emocji. Wspominamy frenologię – pierwszą ambitną próbę powiązania zjawisk umysłowych z konkretnymi aspektami mózgu. Zagłębiamy się w umysł nieświadomy i uwięziony w ciele. Zaglądamy do laboratorium Luigiego Galvaniego, odkrywcy „nerwowego fluidu”, i Santiago Ramóna y Cajala – człowieka, który pokazał nam, jak łączą się neurony. Rozmawiamy z Peterem Godfreyem-Smithem o umysłach ośmiornic i zastanawiamy się, gdzie w ciele rezyduje nasze „Ja”.

Życzymy fascynującej – jak sam umysł – lektury! ©

„Wielkie Pytania: cz. II: Przełomy w nauce”
– zadanie realizowane przez Fundację Centrum Kopernika, finansowane w ramach umowy 538/P-DUN/2017 ze środków Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeznaczonych na działalność upowszechniającą naukę.

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego



LINDA DAVIDSON / GETTY IMAGES

Co rządzi zachowaniem

PAWEŁ BAKALARZ

Behawioryzm to jeden z najbardziej niezrozumiałych i znienawidzonych nurtów psychologii. Ale też najbardziej rewolucyjnych.

Cytryna. Żółta, lekko woskowata skórka. Twardawa, gruzłowata i nierówna. Ugina się pod naciskiem palców. Kiedy zagłębić w nią ostrze noża, z nacięcia wypłynie kropla mętnawego soku. Jeśli rozciąć do końca i połowę wycisnąć na język... W tym momencie czytelnik powinien odnotować pewne zmiany w jamie ustnej. Umysł włada materią!

Burrhus Frederic Skinner, wybitny psycholog i myśliciel, którego postać odegra jeszcze w tym tekście ważną rolę, ilustruje tym przykładem mentalizm. To przekonanie, że nasza niematerialna psychika jest źródłem materialnego zachowania, zarówno dowolnego, jak i automatycznego. Jednak niektórzy z nas uważają tę wiarę za paranormalny zabobon na miarę wiary w „duchy", „dusze" i „subtelne energie".

Nadal próbujący pozbyć się nadmiaru śliny z ust czytelnik stał się bowiem ofiarą warunkowania klasycznego. To proces fascynujący i złożony, ale daleki od duchowej subtelności.

Od niego zaczniemy wędrówkę wśród zuchwałych badaczy zachowania i ich sporów z mentalizmem.

Odpowiedź fizjologa psychologom

Jest rok 1903. Na 14. Międzynarodowym Kongresie Medycznym w odległym Madrycie przemawia akademik Iwan Pietrowicz Pawłow z rosyjskiego Instytutu Medycyny Eksperymentalnej. 54-letni wtedy naukowiec, z gęstą siwą brodą i elegancko przyczesanymi włosami. Wychował się w wielodzietnej wiejskiej rodzinie i porzucił seminarium duchowne na rzecz kariery naukowej. Życiowe plany zmienił ponoć pod wpływem informacji o teorii Darwina.

W odczycie „Psychologia i psychopatologia eksperymentalna zwierząt" formułuje definicję odruchów. Na czele z odruchem warunkowym: ściśle przyrodniczym, mechanistycznym i fizjologicznym procesem, który jest źródłem naszej zabawnej przygody z cytryną. I złudzenia „potęgi umysłu".

Pawłow opiera się na pracach swojego zespołu nad „wydzielaniem psychicznym". Zaczynali od procesów trawiennych ↦

↦ u zwierząt. Instalowali chirurgicznie przetoki w pyskach psów, skąd pobierali precyzyjnie odmierzane ilości śliny. Zauważyli, że już sama obecność pokarmu powoduje wydzielanie śliny. Z właściwą prawdziwym naukowcom dociekliwością postanowili zgłębić to przypadkowe spostrzeżenie w najdrobniejszych szczegółach. Schemat warunkowania klasycznego jest zwodniczo prosty. W momencie podania pokarmu zaczyna się w psim pysku wydzielać ślina. Pokarm to bodziec bezwarunkowy. Ślinienie się – reakcja bezwarunkowa, niewyuczona, bezwolna. Oczywiście z czasem ślina zaczyna się pojawiać już na sam widok lub zapach pokarmu. A jeśli przed podaniem pokarmu systematycznie będzie się pojawiał mężczyzna w białym kitlu lub dźwięczał dzwonek – także te bodźce, dotąd neutralne – spowodują wydzielanie śliny. Staną się bodźcami warunkowymi, a ślinienie pod ich wpływem reakcją warunkową.

To czasy, gdy zoopsycholodzy w reakcjach zwierząt doszukiwali się przeżyć analogicznych do swoich, a psychologowie funkcjonaliści badali doniesienia o drobnych zmianach w świadomym doświadczaniu różnych bodźców. Pawłow na początku poddaje się duchowi czasów, szybko jednak dostrzega jego intelektualną jałowość. Proponuje nową psychologię – obiektywną, materialistyczną, deterministyczną i mechanistyczną. Swoistą „wyższą fizjologię".

Tyle przeszłości, co i historii

Hermann Ebbinghaus miał powiedzieć, że „psychologia ma długą przeszłość, ale krótką historię".

W tej historii wiele jest często zwalczających się wzajemnie nurtów. Jednym z nich jest behawioryzm, podejście skoncentrowane na badaniu obserwowalnych zachowań z nadawaniem im jak najmniej interpretacji. Przeszłość ma dużo krótszą niż psychologia i bliższą swej historii. Mimo tego zdołał postawić chyba najbardziej rewolucyjne postulaty, błysnąć największą intelektualną odwagą. I stał się nurtem najbardziej niezrozumianym. Często – znienawidzonym. Nawet jego obecność w opracowaniu poświęconym „naukom o umyśle" wskazuje, że nie został przyswojony.

Lecz nie ma jednego behawioryzmu. William O'Donohue i Richard Kitchener w „*Handbook of Behaviorism*" wymieniają 15 różnych, często trudnych do pogodzenia, behawioryzmów. Ta liczba może zaskoczyć czytelnika popularnej nauki, a nawet specjalistę.

Nasz umysł nie jest źródłem zachowania, tylko zlepkiem zachowań wymagających wyjaśnienia. A ono leży w interakcji środowiska i organizmu.

Równie zaskakujące, nawet buńczuczne, mogą być słowa Przemysława Bąbla i Pawła Ostaszewskiego z wprowadzenia do „Współczesnej psychologii behawioralnej": „[Behawioryzm] rozwija się, ewoluuje i wciąż tworzy kumulujący się gmach wiedzy o zachowaniu ludzi i zwierząt".

Tak rozumiany behawioryzm jest filozofią psychologii. Świat uznaje za niepodzielną całość, zbudowaną z wzajemnie zależnych elementów. Zależności mogą być fizyczne, chemiczne, biologiczne – i behawioralne. Te przynajmniej możemy obserwować bezpośrednio. Wszelkie hipotetyczne poziomy wyższe, bardziej subtelne, wymagają pośrednictwa zachowania. Myśli, emocje, nastawienia – poznajemy wyłącznie przez ich wyrazy na zewnątrz. Zależności behawioralne obejmują skomplikowany wpływ środowiska na organizm i *vice versa*. Nasz umysł nie jest źródłem zachowania, tylko zlepkiem zachowań wymagających wyjaśnienia. A ono leży w interakcji środowiska i organizmu.

Jest to program badawczy tyleż radykalny, co niepopularny. Kształtuje się od przeszło stulecia, a u źródeł ma tyle samo oryginalnych badań, co i rozczarowania mentalistyczną alternatywą.

Uczenie się ludzi

Pawłow nie był, ze swoją fizjologiczną psychologią, ostatnim radykałem rodzącego się behawioryzmu. Nie był też, prawdę powiedziawszy, jego ojcem. Jak sam przyznawał, palma pierwszeństwa od kilku lat należała się już pewnemu Amerykaninowi.

Pawłow zaczynał od rozszerzania się reakcji odruchowych na nowe sytuacje (jak ślinienie się na dźwięk zapowiadający dostarczenie pokarmu). Postawił postulat obiektywnej, fizjologicznej psychologii, jednak – wydaje się – na kruchej podstawie. Przecież funkcjonowanie nie tylko ludzi, ale i innych zwierząt wykracza dalece poza schemat bodziec–reakcja.

Tymczasem Edward Lee Thorndike – wspomniany Amerykanin – badał rozwiązywanie problemów przez zwierzęta. Proces, który studiował, nazwany zostanie później warunkowaniem instrumentalnym. O ile Pawłowa wiążemy z psami, Thorndike pracował z kotami. Przynajmniej to one pojawiają się w podręcznikach obok jego nazwiska.

W 1889 r. jako 23-latek publikuje „Inteligencję zwierząt. Studium eksperymentalne procesów asocjacyjnych u zwierząt". I wywołuje – niespodzianka? – zamieszanie i opór w świecie psychologii zwierząt. Ogólna procedura eksperymentalna polegała na „umieszczeniu głodnego zwierzęcia w zamknięciu, z którego mogło uciec za pomocą wykonania prostej czynności". Choć dziś brzmi to trochę jak opis przestępstwa z rozprawy sądowej, stanowiło innowację w badaniach behawioralnych. Wyniki z kolei pozwoliły Thorndike'owi położyć podwaliny pod dwa prawa zachowania.

Prawo ćwiczenia mówi, że im częściej dane działanie jest powtarzane, tym bardziej będzie poprawne. Kiedy w latach 30. XX w. Thorndike wrócił do swoich badań, tym razem z udziałem ludzi, stwierdził: „Myliłem się". Żmudne eksperymenty nie potwierdziły, by samo powtarzanie danej czynności polepszało jej wykonanie.

Inaczej było z prawem efektu, które przetrwało próbę czasu, choć nie bez korekty. Thorndike umieszczał u wyjścia ze swoich „skrzynek problemowych" pokarm. Głodny kot, któremu udało się wykonać „tę jedną prostą czynność", był nie tylko wolny od stresu i zamknięcia, ale też otrzymywał pożywienie. Satysfakcjonująca konsekwencja danej czynności w określonej sytuacji sprawiała, że ponownie w tej samej sytuacji ta sama czynność zostanie powtórzona szybciej i bardziej poprawnie. Konsekwencja przykra sprawi, że dana czynność zacznie zanikać. Po 30 latach potwierdzono poprawione sformułowanie efektu „wzmocnienia" (satysfakcjonującej konsekwencji). Siła „kary" (przykrej konsekwencji) miała się ograniczać do zatrzymania określonego zachowania, a czasami reagowania w ogóle.

Spośród pierwszych behawiorystów Thorndike był najmniej rewolucyjny. Był jednak tytanem pracy, intelektualistą i pasjonatem teorii uczenia się. Dzięki niemu wiemy, że należy ostrożnie podchodzić do twierdzenia, że opanowanie jednej umiejętności wpływa na sprawność w zupełnie innej. Znajomość języków klasycznych nijak się ma do „dyscypliny umysłowej" koniecznej w matematyce i logice. Transfer między umiejętnościami może zajść, ale nie musi.

„Dajcie mi tuzin niemowląt"

Thorndike'a uczenie się „metodą prób i przypadkowych sukcesów" jest zapowiedzią dojrzałego behawioryzmu. Bliżej mu niż obserwacjom Pawłowa do normalnego funkcjonowania człowieka i innych zwierząt. Jednak sam Thorndike pozostaje raczej w tle dziejów behawioryzmu. Może to brak radykalnych deklaracji, obok subiektywnej natury „wzmocnienia", sprawił, że kolejny wielki behawiorysta, zresztą też Amerykanin, go pominął?

Jest rok 1913. Przystojny i charyzmatyczny młody naukowiec, John Broadus Watson publikuje w „Psychological Review" artykuł „Psychologia, jak ją widzi behawiorysta". Doskonale wyliczony i wygłoszony z dobrze przygotowanych pozycji (Watson był wtedy redaktorem tego pisma i szefem katedry psychologii na Uniwersytecie Johna Hopkinsa) wyraz trendów narastających w psychologii zostaje określony „Manifestem behawioryzmu" i zaznaczać ma jego narodziny. Watson miał jednak radykalny plan dla świata i, co pokaże przyszłość, ostry zmysł polemiczny.

Psychologia, „jak ją widzi behawiorysta", powinna być nauką, która odrzuca badanie hipotetycznych stanów mentalnych. To dyscyplina oparta na mierzeniu obserwowalnego zachowania. Wreszcie – to nauka przyrodnicza. W założeniu: to wyniki badań i metoda (raczej niż pełny projekt badawczy) Pawłowa – nie Thorndike'a. Obaj Amerykanie znali swoje prace, Watson pozytywnie wypowiadał się o Thorndike'u, a ten drugi popierał jego postulaty. „Manifest" jednak odwołuje się do Rosjanina.

Ale Watson wykraczał poza czystą naukę. Jego najsłynniejsza myśl poza „Manifestem" brzmi: „Dajcie mi tuzin zdrowych, prawidłowo zbudowanych niemowląt i dostarczcie im to wszystko, co składa się na mój własny, szczególny świat, a zapewniam was, że wezmę na chybił trafił jedno z nich i uczynię z niego dowolnego typu specjalistę, czy to będzie lekarz, sędzia, artysta, kupiec, a nawet żebrak czy złodziej, bez względu na jego talenty, skłonności, zdolności, zadatki i rasę przodków". Te słowa budzą z reguły skrajnie negatywne reakcje. Były jednak skierowane przeciw eugenice i rasistowskiemu natywizmowi, które dotykały amerykańskich psychologów i społeczeństwo w początkach XX w. I dziś warto je przemyśleć, kiedy „MIT Tech Review" pyta: „Czy jesteście gotowi na świat, w którym test DNA za 50$ pozwoli przewidzieć szanse na doktorat, albo prognozować, który niemowlak dostanie się do ekskluzywnego przedszkola?". Nieliczni oponenci mają też uczciwość lub wiedzę, by przytoczyć, jak Watson kończy swój eksperyment myślowy o „dwunastu niemowlętach": „Wychodzę tu poza fakty i dopuszczam taką możliwość, ale przeciwnicy moich poglądów robili tak od tysięcy lat".



BETTMANN / GETTY IMAGES

B.F. Skinner, Scranton, USA, 1933 r.

W 1948 r. Skinner publikuje powieść „Walden Two" o społeczności rządzącej się technikami behawioralnymi. Do dziś istnieje w Meksyku inspirowana nią wspólnota Los Horcones.

Watson tymczasem udowadnia np., że lęków można się nauczyć i oduczyć. Chce psychologii stosowanej, która zmieni świat na lepsze we wszystkich dziedzinach, od nauczania, przez przemysł, aż do wymiaru sprawiedliwości. Pragnie rozwijać, przez wpływy środowiskowe, maksymalny potencjał człowieka. Można mu wiele zarzucić, ale nie brak wizji i troski o ludzkość.

Opuszcza uniwersytet i całą akademię (ku swojemu zaskoczeniu i wbrew woli: na zawsze) w atmosferze skandalu związanego z romansem. Z czasem jego pisma stają się bardziej zażartymi polemikami niż rozprawami naukowymi, co także wielu behawiorystów ma mu za złe.

Etologia człowieka

Mimo braku wielkiej rewolucji po pismach Watsona, behawioryzm rozwija się prężnie i rozgałęzia. Niektóre jego nurty staną się podstawą przyszłej psychologii poznawczej. Inne chcą funkcjonować na własnych prawach, jako autonomiczna nauka o zachowaniu lub, współcześnie, analiza zachowania.

W 1935 r. pracę pod tytułem „Zachowanie się organizmów" publikuje Burrhus Frederic Skinner. Zrezygnowawszy, w kryzysie twórczym i osobistym, z kariery pisarza, zajął się psychologią. W międzyczasie – zachwycił behawioryzmem. Tworzy nową naukę, eksperymentalną analizę zachowania, i opisuje kolejny mechanizm warunkowania, znany dziś jako warunkowanie sprawcze.

Dziedzictwo Pawłowa inkorporowane przez Watsona koncentrowało się na zachowaniach odruchowych, „reaktywnych".

Skinner idzie tropem zachowań, które potocznie określilibyśmy „dowolnymi". Jak u Thorndike'a – rodzą one konsekwencje w środowisku i w związku z nimi utrzymują się, narastają lub giną. To zresztą niezwykle ważny moment teoretyczny. Dobór zachowań przez konsekwencje środowiskowe jest analogiem ewolucji drogą doboru naturalnego. Pawłowowskie warunkowanie pozwala przygotować organizm do okoliczności ważnych z punktu widzenia przeżycia: jedzenia, walki, ucieczki, płodzenia. Warunkowanie Skinnerowskie adaptuje organizm do środowiska i samo działa na zasadach doboru. Konsekwencja jest kluczową formą kontroli zachowania, gdy u Thorndike'a była tylko jego modulatorem. ↦



DOMENA PUBLICZNA

Rejestracja aktywności pojedynczych neuronów

Mniej więcej od końca XVIII w. fizjologowie domyślali się, że układ nerwowy przejawia aktywność elektryczną. Na wyniki badań przeprowadzonych „na żywo" z wykorzystaniem mikroelektrody trzeba było czekać jednak aż do 1940 r., kiedy Birdsey Renshaw i jego zespół odkryli w hipokampie kota neurony piramidowe. Choć ta metoda, będąca jedną z podstawowych w neurobiologii, przeszła długą ewolucję, zasadniczy schemat badań jest podobny także dziś. Bezpośrednio do ciała neuronu (lub nieopodal) wprowadza się cienką mikroelektrodę, co pozwala śledzić z ogromną precyzją jego aktywacje. Ze względu na konieczność ingerencji chirurgicznej metodę tę u ludzi stosuje się głównie w celach diagnostycznych. Mimo to, korzystającym z niej naukowcom udało się „przy okazji" dowiedzieć wiele o mózgu człowieka. W 1999 r. William Hutchison i współpracownicy w trakcie operacji neurochirurgicznych, przeprowadzanych na lekoopornych pacjentach psychiatrycznych, odnaleźli w przedniej części zakrętu obręczy specyficzne neurony. Aktywowane były zarówno, gdy pacjent sam otrzymywał bodziec bólowy, jak i gdy obserwował analogiczny bodziec zadawany innej osobie. W opinii części badaczy komórki te zaangażowane są we współodczuwanie bólu i empatię. © MH

↦ Wszyscy behawioryści uznawali swoją dziedzinę za część biologii i preferowali obiektywne badania. Pawłowa i Watsona motywowały jednak tylko trudności metodologiczne. Behawioryzm u Skinnera staje się filozofią psychologii. Zrównuje myśli, emocje, wyobrażenia z innymi zachowaniami organizmu. Uznaje kluczową rolę tych zachowań ukrytych w życiu człowieka, ale żąda dla nich wyjaśnienia jak dla zachowań jawnych. Odbiera umysłowi rolę przyczyny. Środowisko, za pomocą konsekwencji, sprawuje taką samą kontrolę nad zachowaniami jawnymi, jak i ukrytymi.

W 1953 r. Skinner publikuje „*Science and Human Behavior*", podręcznik dojrzałej już analizy zachowania, w którym omawia podstawowe pryncypia rządzące uczeniem się i oparte na nich techniki behawioralne. Pracuje nad uczeniem programowanym: usprawnianiem edukacji za pomocą maszyn stosujących wzmacnianie, tj. konsekwencję zwiększającą częstość zachowania.

Publikuje „*Walden Two*" – powieść o społeczności rządzącej się tymi samymi technikami behawioralnymi (do dziś istnieją wspólnoty inspirowane jego projektem – m.in. Los Horcones w Meksyku). Analizuje behawioralnie proces poetycki. Pyta, dlaczego behawioryści nie działają bardziej energicznie w kierunku uratowania ludzkości przed nią samą, a pod koniec życia w jednym z wywiadów wątpi już, że ludzkości wystarczy intelektualnej odwagi, by podjąć jego wyzwanie. W międzyczasie otrzymuje nagrodę Humanisty Roku, bywa porównywany do Hitlera, sugeruje armii pociski naprowadzane przez tresowane gołębie, znajduje się na okładce „Time'a", zbiera cięgi od humanistycznych intelektualistów, zostaje uznany najbardziej wpływowym psychologiem XX w.

Chybiony cios łaski?

W 1957 r. Skinner wydaje „*Verbal Behavior*", gdzie podejmuje się konceptualnej analizy nabywania języka za pomocą warunkowania sprawczego. Noam Chomsky, jeden z autorów pierwszej rewolucji kognitywnej, kontruje recenzją, dziś uznawaną za chybioną. Krytykę Skinner ignoruje. „Nigdy nie odpowiadałem na krytykę. Każdy behawiorysta był zbyt zajęty przedstawianiem wyników eksperymentalnych badań lub ich uogólnianiem, aby zajmować się odpowiadaniem na zarzuty" – pisał w swoim „Behawioryzmie" już Watson. W obiegowej opinii Chomsky dokonuje *coup de grâce* na behawioryzmie. Ale dziś na teorii zachowań werbalnych Skinnera opierają się programy terapeutyczne, które uczą dzieci z zaburzeniami rozwojowymi mówić.

W 1990 r., po owocnych 86 latach życia, Fred Skinner umiera na białaczkę. Dziesięć dni wcześniej odbiera jako pierwszy w dziejach nagrodę American Psychological Association za wkład całego życia w psychologię. Podczas ostatniego wystąpienia przyrównuje podejście poznawcze, konkurencyjne wobec behawioryzmu, do pseudonaukowej idei „inteligentnego projektu" w ewolucjonizmie.

Dziś behawioryzm jako autonomiczne podejście filozoficzne i naukowe wciąż się rozwija, choć na peryferiach. Behawioryści pracują z ludźmi z zaburzeniami rozwoju, wspomagają edukację i zarządzanie zasobami ludzkimi. Rozwijają nowe psychoterapie i interwencje związane z bezpieczeństwem przemysłowym. Badają ekonomię behawioralną. W sztucznej inteligencji pojawia się uczenie ze wzmacnianiem.

Mentalizm, jak go widzi behawiorysta, opiera się na nadmiarze interpretacji. Niemożność zajrzenia do psychiki pozwala tworzyć coraz bardziej skomplikowane próby wyjaśnień. Hipotetyczne struktury i procesy w umyśle mają być przyczyną zachowań, jednak ich istnienie stwierdza się na podstawie behawioru. Każdy z nas zna z autopsji sytuację: „Znam i rozumiem, co dobre, a wybieram gorsze". Przeniesienie odpowiedzialności do „wnętrza", paradoksalnie, odbiera kontrolę nad zachowaniem.

Behawioryzm od samego początku oferuje oszczędne wyjaśnienia zachowań, opierające się na mierzalnych, sprawdzalnych przesłankach. Uznanie kontroli środowiska nad zachowaniem wymaga wiele odwagi i pokory, ale daje narzędzie do jego modyfikowania. Odejście od widzenia cech psychicznych jako źródeł zachowania pozwala na rezygnację ze stygmatyzacji, a skoncentrowanie się na realnych możliwościach rozwiązywania problemów. © PAWEŁ BAKALARZ

AUTOR *jest absolwentem psychologii i prawa, terapeutą behawioralnym, członkiem Polskiego Towarzystwa Psychologii Behawioralnej. Prowadzi popularnonaukowy blog zuchwalerzemioslo.wordpress.com*



CHRISTIAN JONES / GETTY IMAGES

Rydwan z dwoma końmi

KINGA WOŁOSZYN-HOHOL, MATEUSZ HOHOL

Historia badań nad emocjami pełna jest zmian paradygmatów i zwrotów akcji. Dziś uważa się, że nie zawsze są tym samym co uczucia, a życie wyzbyte z emocji wcale nie byłoby bardziej racjonalne.

Na starożytną filozofię zwykliśmy patrzeć jako na pierwszy krok w drodze triumfu racjonalnego myślenia nad bezmyślnym zabobonem. W takim ujęciu człowiek jest przede wszystkim, by odwołać się do słów Arystotelesa, „zwierzęciem rozumnym", czyli istotą należącą do świata przyrody, ale wyróżniającą się tym, że potrafi, dzięki rozumowi, wznieść się ponad swą zwierzęcą naturę. Obrazuje to ukuta przez Platona metafora, w której człowiek to woźnica rydwanu ciągniętego przez dwa rumaki: białego, który reprezentuje to, co racjonalne, i czarnego, którym targają namiętności. Szczęśliwi jesteśmy wtedy, gdy kierujemy swoim życiem, rozumnie trzymając czarnego konia w ryzach. Odwołując się do innego słynnego greckiego filozofa, Demokryta z Abdery, w życiu chodzi o to, by prym wiodła rozsądna głowa, a nie pożądliwa wątroba czy gniewne serce. W takim obrazie emocje postrzegane są jako zwierzęcy, irracjonalny i destrukcyjny pierwiastek, który przeszkadza w osiągnięciu szczęścia (chyba że zostanie okiełznany przez rozum). W ten sam sposób myślenia wpisuje się często spotykana interpretacja stoicyzmu jako doktryny etycznej, dla której ideałem jest *apatheia* – dosłownie „beznamiętność", stan wyzbycia się wszelkich uczuć.

Taka popularna charakterystyka postrzegania emocji przez starożytnych filozofów jest jednak zbyt uproszczona. Nie jest prawdą, że dla Arystotelesa emocje były zawsze czymś sprzecznym z rozumem, podobnie jak to, że typowy adept filozofii stoickiej przypominał Spocka z sagi „Star Trek". Arystoteles zauważył, że choć zarówno ludzie, jak i zwierzęta doświadczają stanów afektywnych, ludzie nie zawsze są jedynie ich biernymi odbiorcami. Jego zdaniem na emocje wpływ mogą mieć nasze (intelektualne) przekonania. Dlatego rozróżnił angażujące intelekt emocje oraz związane jedynie z niższymi procesami fizjologicznymi namiętności, którym zawsze towarzyszą przyjemność lub ból.

Podobną charakterystykę znaleźć można u jego średniowiecznych kontynuatorów. Przykładowo Tomasz z Akwinu, idąc ↦

↦ tropem Arystotelesa, rozróżnia miłość pożądliwą (łac. *amor*) od miłości rozumnej (*dilectio*), i pisze dodatkowo również o miłości w Bogu (*caritas*). Jeśli zaś chodzi o stoików, takich jak np. Zenon z Kition, to istotnie propagowali stan wyzbycia się sprzecznych z rozumem, gwałtownych namiętności (gr. *pathe*), lecz zarazem doceniali rolę roztropnych uczuć (gr. *eupatheiai*), takich jak roztropna radość czy uzasadniona obawa. Krótko mówiąc, filozofowie starożytni i średniowieczni twierdzili nie tyle, że emocje powinny być unicestwione przez rozum, ile że powinny być przesiąknięte pierwiastkiem racjonalnym.

W poszukiwaniu emocji podstawowych

Choć w nowożytności problem relacji między emocjami a rozumem był wciąż aktualny, gorącym tematem dysput stała się pierwotność pewnych emocji względem innych. Według Kartezjusza istnieje sześć emocji (uczuć) podstawowych, którymi są: zaciekawienie, pożądanie, radość, miłość, nienawiść i smutek. Ich kombinacje mogą tworzyć emocje złożone, takie jak pogarda, duma, nadzieja, strach, zazdrość czy poczucie winy. Warto w tym momencie przypomnieć, że dla Kartezjusza, oraz pozostających pod jego wpływem przez wiele wieków myślicieli, terminy „emocje" i „uczucia", przynajmniej w odniesieniu do człowieka, były synonimami. Choć Kartezjusz zdawał sobie sprawę z tego, że emocje mają swoje symptomy cielesne, są one przede wszystkim doświadczane przez duszę. Wiąże się to z teorią dualizmu psychofizycznego, która głosi, że ciało i umysł to dwie osobne substancje, a wszystko, co przynależy do sfery umysłowej, jest świadome – w przeciwieństwie do tego, co materialne. Ludzkie emocje, które nie byłyby świadomie odczuwane, były dla Kartezjusza nie do pomyślenia.

Na współczesną psychologię najsilniej wpłynął Karol Darwin. Wprawdzie w swym *opus magnum* „O powstawaniu gatunków" unikał aplikacji idei doboru naturalnego do antropologii, jednak nie było tak już w kolejnych jego książkach. W pracy „O pochodzeniu człowieka" przekonywał, że w ciągu milionów lat dobór naturalny kształtował stopniowo naszą morfologię, jak również cechy naszych umysłów i skłonności do pewnych zachowań. Tematykę tę Darwin kontynuował w książce „O wyrazie uczuć u człowieka



Wyjaśnienie, dlaczego i jak odczuwamy emocje, wymaga nie tylko identyfikacji struktur mózgowych i obwodów, które u szczurów odpowiedzialne są za reakcje emocjonalne.

STEPHEN DALTON / EAST NEWS

i zwierząt". Twierdził przede wszystkim, że podstawowe emocje są „wrodzonymi, czyli dziedzicznemi, tj. że indywiduum ich się nie wyucza". Odnotował, że ekspresje emocjonalne zwierząt, szczególnie małp człekokształtnych, bardzo przypominają ludzkie, co świadczy o tym, że zostały wyselekcjonowane przez dobór naturalny i zachowane w mózgach. Darwin przytaczał również wiele argumentów świadczących za tym, że u ludzi ekspresje emocji (szczególnie mimiczne) są jednakowe niezależnie od wieku oraz przynależności etnicznej czy kulturowej. Za dowód, że dzieci nie muszą uczyć się reakcji emocjonalnych na drodze obserwacji, ale przychodzą na świat z nimi „na wyposażeniu", Darwin uznał to, że osoby niewidome przejawiają takie same ekspresje mimiczne jak osoby widzące.

Choć Darwin zerwał z Kartezjańskim dualizmem oddzielającym umysł od ciała, podobnie jak francuski filozof twierdził, że podstawą reakcji emocjonalnych są uczucia. Na przykład obserwowane zagrożenie wywołuje świadome uczucie strachu, a to z kolei uruchamia reakcję emocjonalną, która przejawia się obserwowalnymi ekspresjami, np. mimicznymi, i skutkuje zachowaniem ucieczki lub walki. Przyjmując tezę, że emocje są produktami działania doboru naturalnego, późniejsi psychologowie emocji często dochodzili jednak do zupełnie odwrotnych wniosków. William James twierdził, że „emocje oderwane od wszelkich doznań cielesnych są czymś niepomyślalnym". Mówiąc najprościej: emocją jest to, co pojawia się w naszej świadomości pod wpływem tego, co dzieje się z naszym ciałem w reakcji na obserwowane zdarzenie.

Kultura czy natura

Idea Darwina, że wszyscy ludzie wyposażeni są w zestaw zbliżonych emocji podstawowych, zrobiła sporą karierę, ale jej ugruntowanie w psychologii zajęło wiele czasu, a i dziś budzi ona dużo kontrowersji. Na podstawie doniesień z różnych zakątków kuli ziemskiej tuzy XX-wiecznej antropologii kulturowej, jak Gregory Bateson i Margaret Mead, sprzeciwiły się Darwinowi, twierdząc, że na kształt reakcji emocjonalnych wpływ ma nie tyle wspólna biologia, ile raczej zróżnicowane środowisko kulturowe. Jednym z pierwszych psychologów nawiązujących do oryginalnej koncepcji Darwina, a zarazem sprzeciwiających się kulturoznawcom głównego nurtu, był Silvan Tomkins. W publikowanych od lat 60. pracach twierdził on, że emocje pierwotne (nazywane również programami afektywnymi), takie jak: radość, wściekłość, strach, cierpienie, zainteresowanie czy wstyd, stanowią nasze biologiczne i ponadkulturowe dziedzictwo. Z kolei poczucie winy czy zmieszanie przejawiają duże zróżnicowanie w różnych społecznościach, a co za tym idzie – mają rodowód kulturowy.

Do grona uczniów Tomkinsa należy Paul Ekman, którego wpływ wykracza daleko poza same dyskusje akademickie. Stał się on nawet pierwowzorem dr. Cala Lightmana, głównego bohatera popularnego serialu „Magia kłamstwa" (oryginalny tytuł „*Lie to Me*"). Ekman postanowił rozwiązać raz na zawsze problem rodowodu emocji podstawowych. Analizując setki godzin filmów dokumentujących życie mieszkańców wyżyny Paupi-Nowej Gwinei (wykonane przez Daniela Carletona Gajduska, laureata Nagrody Nobla za badania nad prionami, skazanego zarazem za pedofilię), a następnie samemu przeprowadzając badania terenowe, Ekman opracował precyzyjną metodę klasyfikacji mimicznych ekspresji emocji.

W swoich badaniach wykorzystywał klasyczne procedury, polegające na czytaniu historyjek lub pokazywaniu filmów, prosząc osoby badane o wybór nazwy emocji, którą aktywowały u nich te bodźce.

Ekman wyprowadził wniosek, że ekspresje radości, smutku, strachu, złości, zaskoczenia i obrzydzenia są identyczne u mieszkańców USA i członków plemion Papui-Nowej Gwinei. Dalsze badania pozwoliły mu uogólnić tę tezę również na inne kultury. Jedyny wyjątek zdawali się stanowić Japończycy, przejawiający nie tylko bardziej powściągliwe reakcje emocjonalne niż Amerykanie czy Europejczycy, ale nawet ukrywający negatywne uczucia za uśmiechem. W jednym z badań Ekman wyświetlał mający wzbudzić obrzydzenie film z zabiegu chirurgicznego. Okazało się, że gdy badanemu Japończykowi w seansie towarzyszyła inna osoba, obrzydzenie było maskowane. Jednak gdy osoba badana oglądała film samotnie, jej reakcja emocjonalna była dokładnie taka sama jak u przedstawicieli innych kultur. Usunęło to nie tylko zgrzyt w jego teorii, ale również naprowadziło go na koncepcję „reguł okazywania emocji", która mówi, że kontekst społeczny może modyfikować reakcję emocjonalną (także w naszej kulturze nie zawsze wypada okazywać publicznie to, co naprawdę czujemy).

Czas przełomowych odkryć Ekmana zbiega się z początkiem intensywnych badań neurobiologicznych, prowadzonych przez Josepha LeDoux, nad rolą ciała migdałowatego w wytwarzaniu reakcji strachu i lęku. Wykazały one, że uszkodzenie tej podkorowej struktury mózgu u szczurów utrudnia warunkowanie negatywnych emocji. Choć w przypadku ludzi nie można oczywiście wywołać lezji ciała migdałowatego w celach naukowych, przypadki osób z patologiami tej struktury prowadzą do podobnych wniosków jak u gryzoni. Badania z udziałem takich osób wskazują ponadto na brak u nich różnic w ocenach obrazów przyjemnych i nieprzyjemnych oraz na osłabioną zdolność do rozpoznawania ekspresji emocji, zwłaszcza negatywnych. Choć sam Ekman nie prowadził badań neuronaukowych, wyniki LeDoux świetnie pasowały do jego teorii emocji podstawowych.

Emocje konstruowane

Przeciw teorii emocji podstawowych, wbudowanych w nasze mózgi przez dobór naturalny, przytacza się dziś jednak liczne obiekcje. Nie wiadomo po pierwsze, które emocje są faktycznie podstawowe. Stosując różne metodologie badań i siatki pojęciowe, badacze wskazują kandydatury inne niż Ekman. Wiąże się to również z krytyką jego metody.

Okazuje się, że jeśli osoby badane mają samodzielnie stwierdzić, jaką emocję wywołał w nich film czy historia, a nie wybrać ją spośród kilku dostępnych opcji, wyniki przestają być jednoznaczne. Po drugie, teoria Ekmana zaniedbuje to, na co uwagę zwracali już starożytni myśliciele: emocje zależne są także od rozumu i przekonań, czy też, mówiąc bardziej współcześnie, od czynników poznawczych, których wpływ wykracza daleko poza „reguły okazywania emocji". I wreszcie, o ile Ekman koncentrował się na kulturowych podobieństwach, zaniedbał indywidualne, wewnątrzkulturowe zróżnicowanie ekspresji emocjonalnych, co wydaje się szczególnie istotne w przypadku zaburzeń psychicznych, np. lękowych.

Krytyka ta jest jednocześnie pożywką dla coraz popularniejszych obecnie teorii konstruktywistycznych, za którymi opowiadają się w skrajnej wersji Lisa Feldman Barrett oraz, w wersji bardziej umiarkowanej, sam LeDoux, zwłaszcza w swojej najnowszej książce „Lęk. Neuronauka na tropie źródeł lęku i strachu".

Choć nie zaprzeczają oni temu, iż mózg wyposażony jest w obwody emocjonalne (choćby ten, którego częścią jest ciało migdałowate), zauważają, że to, w jaki sposób odczuwamy emocje, jak uczucia te różnią się międzyosobowo, i w jaki sposób powstają zaburzenia lękowe, jest wynikiem indywidualnych procesów uczenia się (na przestrzeni życia), które mogą modyfikować działanie całego mózgu emocjonalnego.

LeDoux podkreśla również (dlatego, że jak sam przyznaje, jego wczesne badania winne są po części zamieszaniu), że choć emocje i uczucia są ze sobą blisko spokrewnione, nie są tym samym. Wyjaśnienie, dlaczego i w jaki sposób o d c z u w a m y emocje, wymaga czegoś więcej aniżeli tylko identyfikacji struktur mózgowych i obwodów, które u szczurów odpowiedzialne są za reakcje emocjonalne. Mowa tu bowiem o świadomości emocji – aby ją wyjaśnić, należy zbadać złożone interakcje mózgowych sieci korowych i podkorowych, których połączenia nie są „zadane z góry", ale modyfikowane przez kolejne doświadczenia.

Krytyka czystego rozumu

Dzięki odkryciom neuronauki wiemy dziś – w przeciwieństwie do starożytnych – że nie jesteśmy w stanie podejmować trafnych decyzji, jeśli nasz rozum nie jest przesiąknięty emocjami.

Mowa tu szczególnie o badaniach nad wpływem uszkodzeń brzuszno-przyśrodkowej kory przedczołowej na podejmowanie decyzji.

Struktura ta uznawana jest za część naszego mózgu emocjonalnego. Badane m.in. przez Antonia Damasio i jego zespół osoby z takimi uszkodzeniami zdają się nie być mniej inteligentne od osób zdrowych – radzą sobie dobrze z testami wizualno-przestrzennymi. Mówiąc potocznie, ich rozum jest nietknięty. Nie oznacza to jednak, że ich zachowanie można uznać za racjonalne, bowiem wykazują poważne trudności w podejmowaniu decyzji, począwszy od bardzo prozaicznych (przejść przez jezdnię czy nie?) do życiowych (związać się z tą osobą?). Damasio twierdzi, że w strukturze tej rezydują „markery somatyczne", czyli towarzyszące procesowi decyzyjnemu uczucia, które skojarzone są z przewidywanymi konsekwencjami określonych wyborów. Dokonują one wstępnej selekcji dostępnych opcji, zawężając pole możliwego działania.

Wielowiekowa historia rozumienia emocji, której bohaterami byli Arystoteles, Kartezjusz czy Darwin, doprowadziła nas do punktu, w którym neuronauka wskazuje, że „czysta racjonalność" nie jest celem, do którego powinniśmy dążyć. Emocje – niezależnie, czy są wrodzone, czy konstruowane – nie są jedynie czymś ubarwiającym nasz umysł. Umożliwiają nam racjonalne działanie na każdym kroku naszego życia.

W platońskim rydwanie trzeba zatem mocniej postawić na czarnego konia. ©

KINGA WOŁOSZYN-HOHOL, MATEUSZ HOHOL

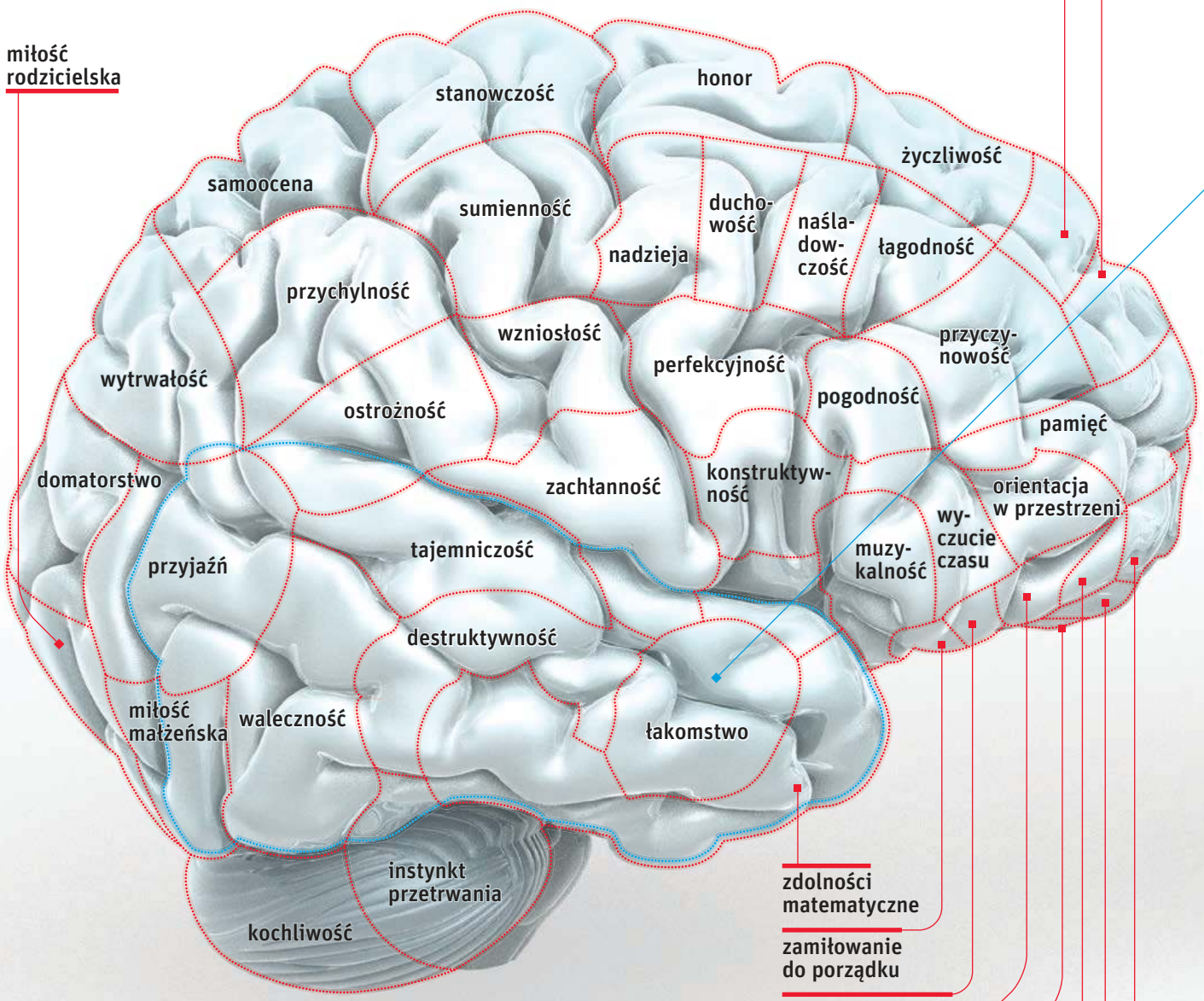
KINGA WOŁOSZYN-HOHOL *jest psychologiem, doktorantką w Zakładzie Psychofizjologii w Instytucie Psychologii UJ. Prowadzi badania dotyczące uwagi i przetwarzania bodźców emocjonalnych.*

MATEUSZ HOHOL *jest kognitywistą, adiunktem w Zakładzie Logiki i Kognitywistyki IFiS PAN oraz członkiem Centrum Kopernika. Autor książki „Wyjaśnić umysł". Zajmuje się poznaniem matematycznym.*

LUDZKI MÓZG

składa się z wielu rozmaitych obszarów anatomicznych. Jeszcze bardziej skomplikowany jest jednak jego podział funkcjonalny.

TEKST ŁUKASZ LAMŻA
INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK



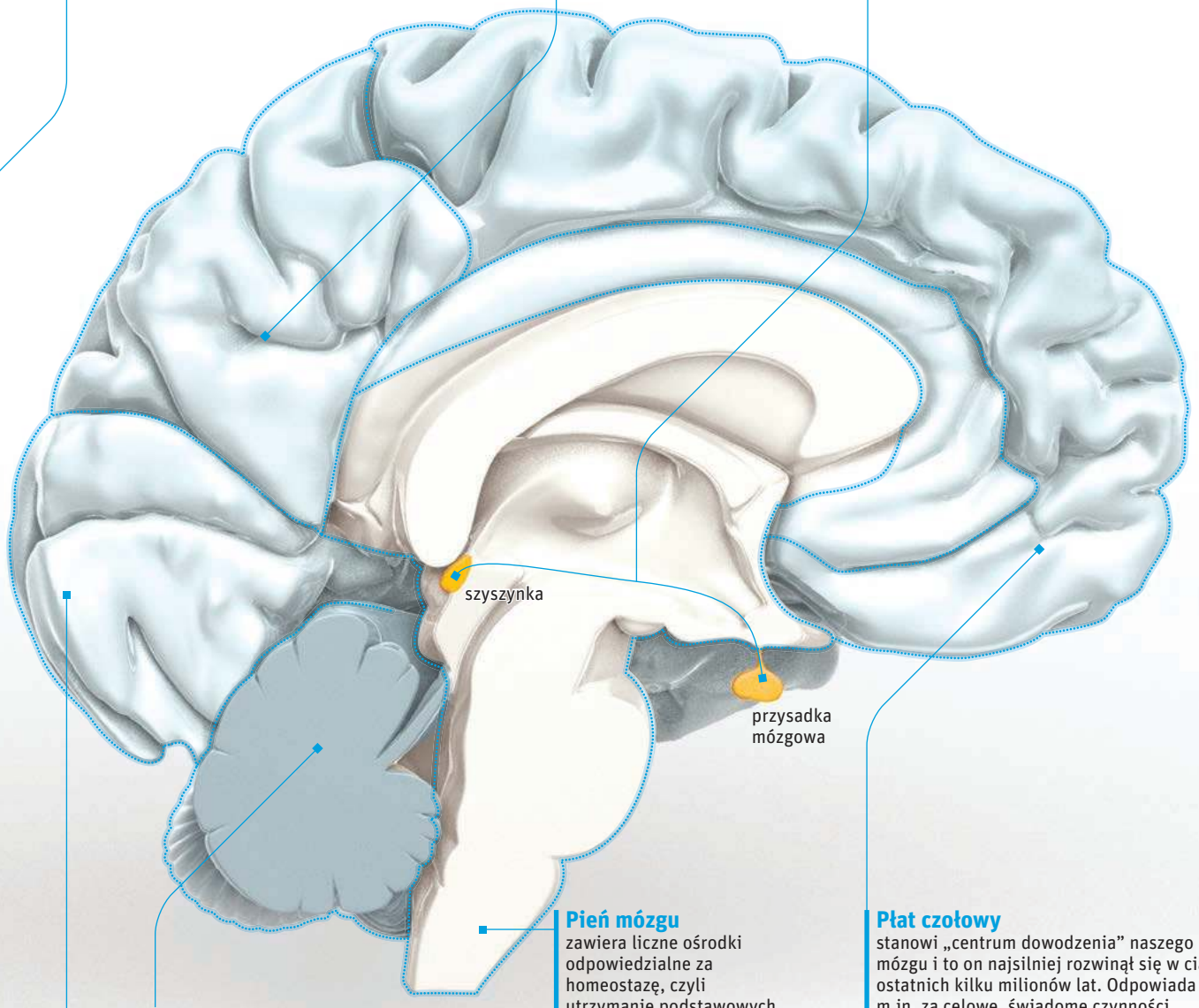
KIEDYŚ

popularna była frenologia – teoria ludzkiego mózgu, przypisująca poszczególnym jego obszarom rozmaite aspekty ludzkiej psychiki. Obok zjawisk poznawczych (pamięć, przetwarzanie języka, inteligencja) występują tam przede wszystkim cechy osobowości (zachłanność, pogodność, łakomstwo). Opracowana na przełomie XVIII i XIX w., cieszyła się przez parę dekad dużym uznaniem, ale faktyczne badania mózgów zwierząt i ludzi wykazały, że większość przyporządkowań frenologicznych była zupełnie przypadkowa.

Płat skroniowy
odpowiada m.in. za przetwarzanie wrażeń słuchowych (ucho jest tuż po sąsiedzku), ale też za pamięć. Uszkodzenie znajdującego się w nim hipokampa prowadzi do amnezji następczej, czyli niemożności zapamiętywania nowych informacji.

Płat ciemieniowy
odpowiada m.in. za łączenie w całość bodźców pochodzących z różnych zmysłów. Jego uszkodzenie może sprawić, że nie rozpoznamy litery napisanej nam przez kogoś palcem na skórze.

Przysadka mózgowa i szyszynka
to dwa gruczoły dokrewne, które wstrzykują do krwi związki chemiczne odpowiedzialne np. za senność (melatonina) czy wzrost organizmu (hormon wzrostu). Warto pamiętać, że mózg to znacznie więcej niż tylko „plątanina kabli" (neuronów), ważną rolę odgrywa w nim także komunikacja chemiczna!



Móżdżek
odpowiada m.in. za koordynację ruchów: sygnały ruchowe schodzące z mózgu do rdzenia kręgowego są w móżdżku „tłumaczone" na rozkazy dla poszczególnych partii mięśni.

Pień mózgu
zawiera liczne ośrodki odpowiedzialne za homeostazę, czyli utrzymanie podstawowych funkcji życiowych, jak oddychanie, praca serca, ciśnienie tętnicze, temperatura ciała czy metabolizm.

Płat czołowy
stanowi „centrum dowodzenia" naszego mózgu i to on najsilniej rozwinął się w ciągu ostatnich kilku milionów lat. Odpowiada m.in. za celowe, świadome czynności, hamowanie reakcji odruchowych, planowanie działań i przewidywanie ich konsekwencji, utrzymywanie uwagi. Jego uszkodzenie może prowadzić np. do dramatycznych zmian osobowości.

Płat potyliczny
choć leży po przeciwnej stronie czaszki niż oczy, odpowiada za widzenie i skojarzenia wzrokowe oraz wyobraźnię.

DZIŚ
wiemy już, że mózgu ludzkiego nie da się podzielić na ostro od siebie oddzielone obszary (moduły) o ściśle zdefiniowanych funkcjach. Nie ma jednego określonego „ośrodka pamięci", a tym bardziej „ośrodka sprawiedliwości". Rozmaite regiony współpracują przy generowaniu zjawisk poznawczych, a neurologia zna przypadki, gdy po uszkodzeniu jakiegoś fragmentu mózgu inny obszar przejął jego funkcje. Można jednak wskazać na pewne „typowe" funkcje określonych fragmentów naszego ośrodkowego układu nerwowego.

Cienie świadomości

JUSTYNA HOBOT, MICHAŁ WIERZCHOŃ

Jak potwierdzić własną obecność, skoro nawet powieki nieposłuszne są mięśniom; gdy ciało zostało oderwane od umysłu, odbierając przywilej wyrażania myśli?

Zwyczajne przeziębienie przemieniło się w ostre zapalenie mózgu, a umysł Kate pogrążył w letargu. Lekarze podejrzewali, że utraciła świadomość – poczucie istnienia w świecie i doświadczenie samej siebie, a zatem także możliwość doświadczania bólu. Wbrew przewidywaniom lekarzy Kate nie była całkiem pozbawiona świadomości. Obudziła się z nieświadomego snu do koszmaru – fluktuacji doświadczeń, nastrojów i myśli w organizmie, który uniemożliwiał komunikację z otoczeniem.

Po miesiącach ciągłego balansowania na granicy świadomości przeskanowano jej mózg, a ten zareagował na pokazywane znajome obrazy podobnie jak mózgi zdrowych osób. Tym samym potwierdziła własną obecność.

Minęło kilka lat. Kate czuje, jakby postać sprzed wystąpienia infekcji umarła. Nierzadko jej mózg samodzielnie podejmuje decyzje, ignorując jej intencje. Coś przepadło w szarej strefie, ale wydostała się z niej osoba, która jest zdolna samodzielnie przekazywać myśli. Niedawno napisała w liście do neurologa, który poddał ją badaniu w skanerze: „Proszę użyć mojego przykładu do pokazania ludziom, jak ważne są skany. One zadziałały jak magia – odnalazły mnie".

Podtrzymanie

Jeszcze na początku ubiegłego wieku sprawy miały się bardzo prosto – osoby z urazami mózgu po zapadnięciu w śpiączkę albo umierały, albo powracały do zdrowia, z tylko niewielkimi deficytami. Dzięki wynalezieniu respiratora i rozwojowi intensywnej terapii obecnie czynność serca i oddech pacjenta można podtrzymywać dowolnie długo.

W tym kontekście pojawiło się pytanie, czy podtrzymywanie życia wiąże się z utrzymaniem jakiejś formy świadomości. Czy zostaje zachowana świadomość smaku pokarmu, odgłosu kroków, znajomego zapachu wypełniającego szpitalną przestrzeń, a także świadomość, że się tego wszystkiego doświadcza?

Rozwój technologii podtrzymywania życia wymusił zmianę w pojmowaniu śmierci. Sprowadzono ją do diagnozy śmierci mózgu, czyli nieodwracalnej śpiączki, charakteryzującej się brakiem tzw. odruchów pniowych. Z końcem lat 70. powstał opis kryteriów diagnostycznych stanu wegetatywnego (obecnie nazywanego stanem niereaktywnej przytomności). Jego wystąpienie stwierdzano u osób, które wybudziły się ze śpiączki, jednocześnie nie przejawiając śladów tego, co potocznie nazywamy świadomością.

Rzeczywistość kliniczna okazała się jednak bardziej skomplikowana. U niektórych z tych pacjentów zaobserwowano oznaki celowego zachowania przy braku zdolności skomunikowania się z otoczeniem. Tę nową jednostkę kliniczną określono stanem minimalnej świadomości. Aktualnie termin „zaburzenia świadomości" (w zawężonym znaczeniu) obejmuje: śpiączkę, stan niereaktywnej przytomności oraz stan minimalnej świadomości. Dwa ostatnie nierzadko są mylone z zespołem zamknięcia.

Półistnienie

Współczesna neuropsychologia wyróżnia w zjawisku świadomości dwie składowe: przytomność, rozumianą jako poziom aktywacji układu siatkowatego pnia mózgu, oraz świadomość treści – świadomość „czegoś", wiążącą się z percepcją otoczenia i samego siebie. Przytomność można stopniować (senność, półśpiączka, śpiączka), podobnie jak poziom świadomości treści. Obydwa komponenty są ze sobą ściśle powiązane (choć istnieją odstępstwa, np. doświadczenia senne przy niskim poziomie przytomności).

Przyczyną śpiączki jest zakłócenie funkcjonowania grupy komórek nerwowych pnia mózgu lub rdzenia kręgowego. Osoba przebywająca w śpiączce nie wykazuje oznak przytomności, nie otwiera oczu, nie reaguje na bodźce bólowe (np. ucisk palca lub delikatne ukłucie), jej reakcje ruchowe są bezcelowe. Choć organizm może samodzielnie podtrzymywać podstawowe funkcje życiowe (oddychanie, spontaniczną akcję serca, termoregulację), uważa się, że osoba w śpiączce nie jest świadoma siebie ani otaczającego ją świata. Stan ten najczęściej trwa krócej niż miesiąc i jeśli pacjent nie odzyskuje świadomości w pełni, to na ogół dochodzi do przejścia w stan niereaktywnej przytomności lub minimalnej świadomości.

Osoba znajdująca się w stanie niereaktywnej przytomności może mrugać powiekami w odpowiedzi na zagrożenie lub odwracać głowę w kierunku docierającego dźwięku, lecz nie komunikuje się z otoczeniem. Dominują u niej reakcje automatyczne, pojawiają się grymasy, śmiech, płacz, które nie wydają się zaplano-



THUY HA BICH / PIXABAY



wane. Obecne są oznaki przytomności – przynajmniej częściowy powrót rytmu snu i czuwania, objawiający się spontanicznym otwieraniem oczu. Uważa się, że pacjent pozostaje nieświadomy siebie i otoczenia, nawet w trakcie czuwania. Ów stan może trwać latami, spędzanymi pod opieką najbliższych lub w specjalistycznych klinikach (w Polsce jedną z nich jest Budzik, w której murach zostało wybudzonych ponad 40 dzieci).

W stanie minimalnej świadomości, poza wysokim poziomem pobudzenia organizmu, pacjenci wykazują oznaki świadomości treści. Pojawiają się przejawy powracającej świadomości i próby świadomego kontaktu z otoczeniem w postaci minimalnych sygnałów – drobnych gestów, zmian wyrazu twarzy, prostej formy kontaktu słownego. Reakcje emocjonalne i intencjonalne zachowania zachodzą adekwatnie do kontekstu sytuacji. Pacjent skupia wzrok na przyciągającym uwagę przedmiocie, wodzi za nim oczami, a może nawet chwyta go i używa zgodnie z przeznaczeniem. Blisko jedna trzecia osób w tym stanie odzyskuje pełną świadomość w ciągu kilkunastu tygodni, a po roku funkcjonuje już samodzielnie.

Zespół zamknięcia dotyczy pacjentów, którzy przejawiają pełną świadomość, lecz nie są w stanie wykonywać żadnych lub prawie żadnych ruchów, co uniemożliwia ↦

↦ komunikację z otoczeniem. W ich organizmach zostały uszkodzone struktury odpowiedzialne za przesyłanie informacji z mózgu do rdzenia kręgowego. Klasyczny stan zamknięcia ogranicza możliwości ruchowe wyłącznie do ruchów oczu i powiek. Pozwalają one jednak na nawiązanie kontaktu ze światem, a nawet napisanie książki (jak Jean-Dominique Bauby, którego książka, dzięki 200 tysiącom mrugnięć, ukazała się pod tytułem „Uwięzieni we wnętrzu – Motyl i skafander"). Całkowity zespół zamknięcia pozbawia pacjenta wszelkiej możliwości aktywności ruchowej oraz komunikacji.

Mózg w maszynie

Poza próbującymi wzniecić zamęt filozofami trudno spotkać człowieka odmawiającego świadomości innym, aktywnie komunikującym się ludziom. Naturalnie wnioskujemy o świadomości z zachowania. Bezpośrednią metodą umożliwiającą wgląd w inne umysły nie dysponujemy.

Personel medyczny oraz naukowcy starają się docierać do umysłu pacjentów za pośrednictwem wszystkich zmysłów, próbując wywołać odpowiedź na dostarczane bodźce. Coraz częściej stosuje się opublikowaną dekadę temu poprawioną Skalę Wychodzenia ze Śpiączki (*Coma Recovery Scale-Revised*), która niedawno doczekała się polskiej wersji językowej (przygotowanej przez zespół doktora Marka Bindera z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego). Sprawdza ona zdolności słuchowe, wzrokowe, językowe, sprawność ruchową, reakcje bólowe, a także ogólny poziom pobudzenia.

Brak reakcji pacjenta może wynikać z ciągłych zmian poziomu przytomności typowych dla stanu minimalnej świadomości, albo z zaburzeń zdolności ruchowych lub językowych. Gdy ani ruch, ani język nie pozwalają nawiązać kontaktu, jak rozróżnić, czy dana osoba jest zdolna do myślenia i udzielenia odpowiedzi?

Aby zmniejszyć ryzyko postawienia błędnej diagnozy poprzez obserwację samego zachowania, zaproponowano wykorzystanie metod neuroobrazowania. Dokonuje się obrazowania aktywności mózgu pacjenta – w spoczynku lub wywołanej wykonywaniem przez niego różnorodnych zadań. Mogą one dotyczyć pasywnej percepcji bądź wymagać zaangażowania w wykonanie czynności, o której wiemy, że zazwyczaj towarzyszy jej świadomość (np. interpretacji mowy). Następnie porównuje się rezultaty pomiaru aktywności mózgu pacjenta z aktywacją obserwowaną w mózgach zdrowych osób.

Trudno wyobrazić sobie bardziej niszczącą formę izolacji społecznej niż niemożność zakomunikowania, że jest się świadomym.



THUY HA BICH / PIXABAY

Powrót z szarej strefy do barwnego świata może częściowo zachodzić poprzez zmianę postawy wobec osób z zaburzeniami świadomości.

Obrazowanie pracy mózgu wywarło niemały wpływ na pojmowanie stanu pacjentów, równocześnie ujawniając złożoność problemu oszacowania stanu ich świadomości. Ale czy wykorzystanie neuroobrazowania może prowadzić do adekwatnej oceny stanu świadomości? W końcu jakie procesy mózgowe świadczą o świadomości jednostki? Założenie, że wyższe procesy poznawcze (np. myślenie, podejmowanie decyzji) nie mogą zachodzić nieświadomie, ma charakter intuicyjny. Potwierdzają tę intuicję liczne sytuacje dnia codziennego. Każdego dnia wykonujemy jednak wiele skomplikowanych, lecz automatycznych czynności, takich jak jazda na rowerze albo pisanie. Osoby z zaburzeniami świadomości nierzadko wykazują oznaki uczenia się prostych czynności ruchowych, ale tego typu uczenie może przebiegać w sposób nieuświadomiony. Dowodem na rzecz świadomości nie może być również reakcja ruchowa, gdyż nieuświadamiane bodźce mogą wywoływać również automatyczne odpowiedzi ruchowe. Wykryta aktywacja mózgu pod wpływem percepcji słów nie oznacza jeszcze ich rozumienia, które wydaje się być warunkiem niekoniecznym, ale wystarczającym, aby określić kogoś świadomym. Podobnie nie odmawia się świadomości osobom, które utraciły zdolność formowania nowych wspomnień, tak samo jak brak pamięci marzenia sennego na jawie nie oznacza, że go nie było.

Analogicznie jest z bólem. Mechanizmy percepcji bodźców bólowych mogą przetrwać nawet poważne uszkodzenia mózgu, podczas których uległy zaburzeniu wyższe procesy umysłowe, takie jak pamięć robocza czy uwaga. Choć punktem odniesienia badań świadomości pacjentów są doświadczenia dostępne zdrowym osobom, należy również uwzględnić możliwość, że percepcja pacjentów przebiega w odmienny sposób. Posiadanie pojęcia „ja" wydaje się stanowić warunek świadomego doświadczenia. Można zatem teoretyzować, że niektórzy pacjenci doświadczają bólu, ale nie cierpienia. Podobnie jak świadomość, samoświadomość nie musi być jednak postrzegana w sposób binarny. Nie każde doświadczenie uwzględnia taki sam stopień samoodniesienia. Nawet jeśli pacjenci nie są w pełni samoświadomi,

mogą przejawiać uproszczoną formę samoświadomości, która spaja treść ich umysłów. Stąd doświadczenia pacjentów mogą wymykać się klasyfikacjom tworzonym na podstawie funkcjonowania zdrowego człowieka. A z samego faktu, że określona aktywność mózgowa jest skorelowana z pojawieniem się świadomego doświadczenia u grupy zdrowych osób, nie wynika, że podobna aktywność powinna towarzyszyć świadomemu doświadczeniu osób, które doznały urazu mózgu. Czasami jednak są one porównywalne.

Odyseja w głąb umysłu

W 2006 r. zespół brytyjskiego neuronaukowca, Adriana Owena, zaproponował spektakularną metodę umożliwiającą osobom w minimalnym stanie świadomości komunikację za pośrednictwem wyobrażeń. Wykorzystano w niej wiedzę na temat umiejscowienia rejonów odpowiedzialnych za wyobrażanie określonych treści, uzyskaną w badaniach na zdrowych osobach. W metodzie tej pacjentowi zadaje się pytania i prosi go, aby wyobrażał sobie np. grę w tenisa, gdy chce odpowiedzieć „tak", a przechadzkę po własnym domu, gdy chce zaprzeczyć. Ponieważ podczas wyobrażania gry w tenisa dochodzi do aktywacji odmiennych obszarów mózgowych niż w trakcie wyobrażania przemieszczania się po domu, sygnały docierające z mózgu ujawniają, czy osoba jest świadomie zaangażowana w udzielanie odpowiedzi. Odpowiedni dobór zadawanych pytań pozwala zweryfikować, czy pacjent zachowuje wspomnienia, odczuwa ból, przejawia wolę życia.

Każdy pacjent charakteryzuje się specyficznym uszkodzeniem mózgu i może wymagać zastosowania odmiennych metod komunikacji niż inni. Metoda Owena może też nie być wystarczająco dokładna, aby wykryć obecność prostszych świadomych doświadczeń. Możliwe, że współczesna nauka nie dysponuje jeszcze odpowiednią metodą, umożliwiającą nawiązanie kontaktu z otoczeniem pozostałym pacjentom z diagnozą stanu niereaktywnej przytomności.

Pomiędzy życiem a śmiercią, umysłem a mózgiem, osobą a ciałem, rozciąga się szara strefa. Być może najbardziej adekwatną i prawdopodobnie też jedyną właściwą postawą wobec osób z zaburzeniami świadomości jest traktowanie ich, jak gdyby nie utraciły umiejętności rozumowania. Zastosowanie metody Owena pozwoliło wykryć ślady świadomości u 15-20 proc. pacjentów, przy których diagnozie tradycyjne metody obserwacji zachowania wskazywały na jej nieobecność.

To właśnie Owen był lekarzem, który otrzymał list od Kate. Eksplorację szarej strefy oraz proces stawania się najsłynniejszym specjalistą w zakresie zaburzeń świadomości opisał on w niedawno wydanej książce „Mózg. Granica życia i śmierci".

Fizykalizm w twardej oprawie

Pisana na styku zagadnień nauki, prawa, filozofii, medycyny, etyki i religii książka Owena to amalgamat sytuacji i przemyśleń zaczerpniętych z prywatnego życia autora oraz jego pacjentów. Owen analizuje lata spędzone na podejmowaniu prób dotarcia do cudzych umysłów. Poświęca liczne strony opisom tego, jak to jest być pacjentem, jego bliskim oraz obserwatorem, który zmaga się z problemem bezrefleksyjnej interpretacji braku kontaktu ze strony pacjenta. Satysfakcja z przypadków odszukania w bezwładnych ciałach ich właścicieli miesza się z frustracją, wywołaną obserwacją losu zdecydowanej większości pacjentów, którzy nigdy nie powrócili do zdrowia. Zwraca też uwagę, że spomiędzy głosów przedstawicieli ruchów domagających się prawa do życia i przedstawicieli ruchów domagających się prawa do umierania, warto próbować usłyszeć opinię pacjenta.

Doświadczasz tego, na co pozwala szaro-biały kłąb komórek, otoczony czaszką. Sprawność jego funkcjonowania warunkuje, jak szybko formułujesz myśli, reagujesz na swoje imię, doświadczasz własnego istnienia.

To on codziennie daje i odbiera ci doświadczenie, zna każdą z twoich myśli, stwarza obraz świata i ciebie. Możemy zastąpić każdy inny narząd, pozostając sobą, ale bez mózgu jesteśmy tylko wspomnieniem zakodowanym w komórkach pozostałych mózgów. Wykorzystanie metod neuroobrazowania pozwala uzyskać dostęp do odległego, subiektywnego świata drugiej osoby.

Ich rozwój może zapewnić środowisku naukowo-medycznemu udoskonalone metody diagnozy i prognozy, a rodzinom pacjentów – bardziej adekwatny wgląd w stan bliskich. Przede wszystkim zaś metody te mogą zwrócić pacjentom podmiotowość poprzez uświadomienie im, że zostali usłyszani. Wagę tego oddają słowa wypowiedziane po powrocie do zdrowia przez jedną z pacjentek: „W tym momencie przestałam być ciałem, a na nowo stałam się osobą".

Trudno wyobrazić sobie bardziej niszczącą formę izolacji społecznej niż niemożność zakomunikowania, że jest się świadomym. Powrót z szarej strefy do barwnego świata może częściowo zachodzić poprzez zmianę postawy wobec osób z zaburzeniami świadomości. Właściwa diagnoza bezpośrednio nie przekształca tkanki mózgowej, zmienia natomiast podejście do pacjenta, co niezaprzeczalnie oddziałuje na jego samopoczucie. Uraz pozbawia kontroli nad życiem. Może wrzucić człowieka w świat, w którym każda czynność jest wykonywana przez kogoś innego. Oddanie owej kontroli właścicielom ciał Owen uważa za swój naukowy cel. Aktualnie skłania go to do wspomagania rozwoju badań nad interfejsami mózg–komputer, które umożliwiają komunikację wykorzystującą połączenie między mózgiem a zewnętrznym urządzeniem.

Bez zbędnego angażowania wyższego porządku Owen opisuje ciągi zdarzeń wpływających na kształtowanie się indywidualnych życiowych dziejów, a wraz z nimi istotnej części historii empirycznych badań nad świadomością. Często odnosi się do własnych doświadczeń i przemyśleń. W końcu, gdyby nie wypadek, którego doznała jego była narzeczona, świadomość najprawdopodobniej nie stałaby się centralnym zagadnieniem jego pracy naukowej. Nie przypominałby nam, jakim przywilejem jest płynny ruch, niezaburzony oddech, wypowiadanie słów, ostre postrzeganie.

Zaburzenia świadomości nie są zjawiskiem z cudzego, subiektywnego świata, są obecne tu i teraz, przez co wymagają naszej słownej i czynnej reakcji. Być może świadomość osób, które uniknęły urazów mózgu, pozwoli poprawić komfort życia tych, których los potraktował mniej łaskawie.

© JUSTYNA HOBOT, MICHAŁ WIERZCHOŃ

JUSTYNA HOBOT *jest neurobiologiem, doktorantką w Instytucie Psychologii UJ, pracuje w Laboratorium Badań Świadomości.*

DR HAB. MICHAŁ WIERZCHOŃ *jest psychologiem poznawczym, dyrektorem Instytutu Psychologii UJ i kierownikiem Laboratorium Badań Świadomości (www.c-lab.pl). Autor monografii „Granice świadomości. W poszukiwaniu poznawczego modelu subiektywności" (2013).*



DOMENA PUBLICZNA

Elektroencefalografia (EEG)

Pierwszy zapis EEG człowieka, przedstawiony w 1924 r., zawdzięczamy Hansowi Bergerowi (na zdjęciu). EEG to nieinwazyjna metoda, polegająca na rejestracji zmian potencjału elektrycznego na powierzchni głowy, będących efektem aktywności dużych populacji neuronów. Do badań stosuje się zestaw elektrod.Przy pomocy EEG możliwe jest śledzenie spontanicznej aktywności mózgu z bardzo dobrą rozdzielczością czasową. Wnioskować można np., w jakiej fazie snu znajduje się badana osoba.

Aparaturę EEG można też wykorzystać do rejestracji tzw. potencjałów wywołanych (ERP), czyli fal, które skojarzone są z określonymi typami bodźców. Używając EEG w latach 80. XX w. Benjamin Libet wywołał burzliwą dyskusję dotyczącą wolnej woli: uczestnicy jego eksperymentu mieli w dowolnej chwili nacisnąć przycisk i zapamiętać dokładny czas podjęcia decyzji. Libet, analizując zapis EEG, był w stanie przewidzieć moment podjęcia decyzji kilkaset milisekund wcześniej, niż osoby badane dokonały świadomego wyboru.

Cechująca się lepszą rozdzielczością czasową, ale zarazem inwazyjna wersja EEG nazywana jest elektrokortykografią (ECoG). Metoda ta polega na umieszczeniu elektrod bezpośrednio na powierzchni kory mózgowej.

© MH

Człowiek, który barwił neurony

MACIEJ DULEWICZ

Przez ponad dwieście lat delikatna, blada tkanka mózgu opierała się badaczom. Trzeba było podwójnej wrażliwości malarza i naukowca, aby posiąść tajemnicę jej budowy mikroskopowej.

Trudno dzisiaj wyobrazić sobie, że mózg jest jednorodną, zbitą i nierozłączną masą – tak przyzwyczajeni jesteśmy do obrazu tkwiącej w naszych głowach sieci delikatnych, nitkowatych neuronów. Jednak jeszcze pod koniec XIX wieku, dwieście lat po wynalezieniu mikroskopu i pierwszej obserwacji komórek, wciąż nie było jasne, jak wygląda mózg w skali mikroskopowej. Trzeba było naukowca-artysty, jakim był pochodzący z hiszpańskiej Nawarry Santiago Ramón y Cajal (1852–1934), aby dać początek współczesnej neurobiologii.

Młody Cajal chciał zostać malarzem. Ojciec, lokalny chirurg, widział w nim jednak przyszłego szewca lub fryzjera, bo taki zawód dałby temu krnąbrnemu chłopcu niezbędną dyscyplinę. Wszystko potoczyło się jednak inaczej, gdyż w wieku kilkunastu lat Santiago się zmienił. Podobno pod wpływem wypraw na cmentarze w poszukiwaniu ludzkich kości z ekshumowanych grobów, które ojciec kazał mu następnie pieczołowicie przerysowywać. Ostatecznie trafił na studia medyczne, jednak nigdy nie porzucił pasji do malowania.

W 1873 r., zaraz po ukończeniu medycyny, Cajal przywdział wojskowe kamasze i jako oficer medyczny został wysłany na Kubę, na której trwała właśnie wojna dziesięcioletnia – pierwszy zryw militarny Kubańczyków pragnących uwolnić się spod panowania Hiszpanów. Schorowany i doświadczony ludzkim cierpieniem, młody medyk wkrótce powrócił do ojczyzny. Po odzyskaniu sił rozpoczął akademicką karierę. W 1875 r. został profesorem pomocniczym anatomii na Uniwersytecie w Saragossie. Za pieniądze odłożone z wojskowego żołdu kupił mikroskop do prowadzenia badań na tkankach.

Czarna reakcja

Badania rozpoczął od przyjrzenia się strukturze włókien mięśniowych i reakcji zapalnych organizmu. Zanim całkowicie poświęcił się badaniom mózgu, odkrył i opisał komórki, dzisiaj nazywane komórkami śródmiąższowymi Cajala. Znajdują się one w obrębie błony mięśniowej ścian jelit. Pełnią funkcję przekaźnikową transmisji nerwowo-motorycznej, a niektórzy uważają je za swoisty „drugi mózg". Dzięki odkryciom Cajalego oraz późniejszym badaniom wiadomo, że nasze jelita są bardzo unerwione (zawierają ok. 200 mln neuronów) i poprzez włókna nerwu błędnego połączone z ośrodkowym układem nerwowym.

Zasłynął również badaniami nad cholerą. Przez rząd Saragossy i Uniwersytet w Walencji został nagrodzony (w 1885 r.) najnowszym mikroskopem Zeissa – rolls-royce'em wśród ówczesnych przyrządów optycznych. Ten sprzęt umożliwił mu jeszcze dokładniejsze badania neuronów.

W tamtych czasach były to wyjątkowo „kapryśne" dla badaczy komórki. Problem z prowadzeniem na nich badań polegał na odpowiednim wybarwieniu i utrwaleniu preparatu, tak aby neurony stały się widoczne. Około 60 lat wcześniej z podobnym wyzwaniem borykała się fotografia. Z pomocą Cajalowi przyszedł jego znajomy, psychiatra dr Lacabra, pasjonat histologii i badań mikroskopowych. Zaprezentował mu skrawek mózgu wybarwiony i utrwalony przez Camillo Golgiego. Ten włoski uczony wynalazł tę technikę w 1872 r. – 14 lat przed tym, jak dowiedział się o niej Cajal.

Metoda Golgiego przypominała trochę wywoływanie i utrwalanie zdjęć w dawnych technikach szlachetnych. Niewykluczone, że Golgi zainspirował się fotografią. Pokrycie papieru światłoczułą emul-

sją zawierającą azotan srebra jest jednak znacznie prostsze niż nasączenie nią mózgu. Kluczem do właściwego wybarwienia neuronów było długie przepajanie tkanki, najpierw przez dwa dni formaldehydem, a następnie przez kolejne dwa dni azotanem srebra. Niestety, nie wszystkie neurony można było łatwo wybarwić. Do końca nie wiadomo, dlaczego tylko na błonach lipidowych niektórych neuronów chromian srebra ulega krystalizacji, powodując zabarwienie na czarno. Analogicznie jak w przypadku naświetlania papieru pokrytego światłoczułą emulsją – pod wpływem światła związek ten zaczyna ciemnieć. Zafascynowany Santiago bez reszty poświęcił się badaniom z wykorzystaniem tej techniki. Pobierał próbki tkanek od różnych zwierząt i ludzi. „Czarna reakcja" była techniką mało stabilną chemicznie, a co za tym idzie, przysparzała wielu frustracji badaczom.

W tym czasie ośrodek badawczy włoskiego wynalazcy bardzo prężnie się rozwijał. Golgi mógł poszczycić się także sukcesami swoich podopiecznych. Jeden z nich, Adelich Negri, odkrył okrągłe ciałka występujące w cytoplazmie neuronów okolicy hipokampa u chorych na wściekliznę (dzisiaj nazywane ciałkami Negriego).

Włoski wynalazca zapisał się na zawsze w historii anatomii jako odkrywca aparatu Golgiego (1898) i neuronów Golgiego typu I i II. Część badaczy kwestionowała istnienie aparatu Golgiego, sądząc, że jest to artefakt związany z techniką barwienia. Dopiero w 1956 r. za pomocą mikroskopu elektronowego udało się potwierdzić tezy włoskiego histologa. Komórki pierwszego typu – nazywane neuronami projekcyjnymi – charakteryzują się bardzo długimi aksonami, dzięki którym komunikują się z oddalonymi strukturami jak np. jądra móżdżku. Neurony typu drugiego mają lokalne rozgałęzienia dendrytyczne, tak że komunikują się tylko z najbliższymi komórkami.

Co ciekawe, Golgi uważał jednak, że mózg jest monolitem, zbudowanym wprawdzie z komórek, ale ściśle z sobą połączonych. Nawet jak na tamte czasy był to niecodzienny pogląd.

Doktryna neuronowa

Cajal bardzo rzadko podróżował i tylko raz wybrał się na kongres naukowy, aby porównać swoje obserwacje z badaniami innych znanych anatomów. Jego wyjazd



ALBUM / ORONOZ / EAST NEWS

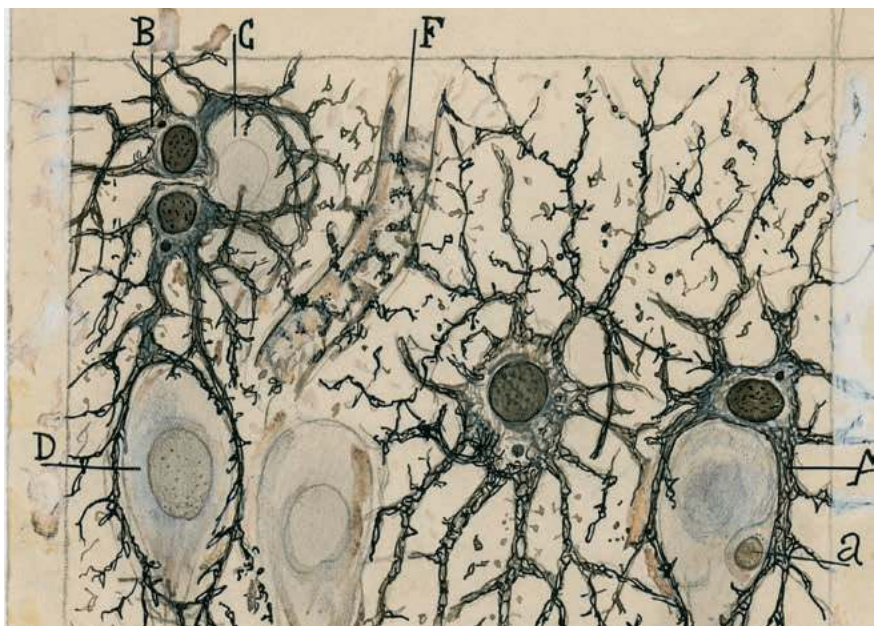
Santiago Ramón y Cajal (1852–1934).

do Berlina okazał się bardzo owocny. Spotkał tam m.in. niemieckiego badacza Wilhelma Waldeyera-Hartza. W publikacji niemieckiego badacza (1891) po raz pierwszy pojawiło się określenie „neuron", a według zaproponowanej przez niego „doktryny neuronowej" mózg również składa się z niezależnych komórek nerwowych. Jego hipotetyczne rozważania – ku radości obu naukowców – znalazły potwierdzenie w niezależnych badaniach Cajala. Nie brakowało też głosów sprzeciwu i powątpiewania. Niedokładna wówczas technika barwienia budziła kontrowersje co do tego, co jest artefaktem, a co faktycznie istniejącym obiektem.

Cajal wszystko bardzo skrzętnie notował i rysował. Wiele rysunków zostało sporządzonych z niesamowitą pieczołowitością. Był też wielkim pasjonatem fotografii, za pomocą której starał się dokumentować swoją pracę. Próbował też tworzyć mikrofotografie wybarwionych komórek. Tylko jak najlepiej pokazać miejsca, w których stykają się ze sobą sąsiednie neurony? Czy one faktycznie łączą się ze sobą w sposób ciągły? Cajal intuicyjnie pojął, że nie są to twory ściśle ze sobą połączone, lecz są odrębnymi komórkami. Dzisiaj wiemy, że łączą się one ze sobą dzięki synapsom, chemicznym lub elektrycznym. Do komunikacji dochodzi w szczelinie synaptycznej przy udziale neurohormonu lub impulsu elektrycznego. W tamtych czasach nie istniały jeszcze na tyle dokładne mikroskopy, metody barwienia czy mikroelektrody pozwalające zaobserwować proces komunikacji, jednak Cajal przewidział, że transmisja sygnału dokonuje się na niewielkiej odległości między komórkami, a impuls musi wychodzić z ciała komórkowego w stronę innej komórki poprzez akson. Dziś wiemy, że dokonuje się to za sprawą polaryzacji błony komórkowej neuronów, czyli występowania w każdym jej obszarze wyróżnionego kierunku, w którym może przemieszczać się sygnał. Kwestia połączeń pomiędzy ↦

Drobiazgowy rysunek Cajala przedstawiający budowę komórek hipokampa mózgu człowieka trzy godziny po jego śmierci

MUSEO CAJAL W MADRYCIE



↦ neuronami na zawsze poróżniła Cajala z Golgim.

Pomimo tych diametralnych różnic obaj naukowcy otrzymali Nagrodę Nobla (1906) w dziedzinie medycyny i fizjologii. Ceremonia wręczania nagród była dla obu nagrodzonych pierwszą w życiu okazją, aby spotkać się osobiście. Uroczysty wykład rozpoczął włoski uczony. Był bardzo sceptyczny względem tezy Cajala dotyczącej komunikacji neuronalnej i „doktryny neuronowej". Ku zaskoczeniu wszystkich w swoim przemówieniu starał się wykazać braki w twierdzeniach powszechnie już panującej doktryny. Cajal w swoim wykładzie nie odniósł się do kontrreferatu. Skupił się głównie na tym, co udało mu się odkryć, oraz wnikliwie przedstawił eksperymentalną ścieżkę, którą doszedł do swoich wyników. Po zakończonych wykładach obaj panowie nigdy więcej się nie spotkali.

Dziś wiemy, że to Cajal miał rację, a wiele jego intuicji wytyczyło kierunek badań neuronaukowych. Trudno jest wyrokować, czy to zmysł artystyczny, czy intuicja naukowa w większym stopniu pomogły mu w dokonaniu przełomowych odkryć. Pozostawił po sobie wiele znakomitych świadectw, że posiadał jedno i drugie. W madryckim muzeum można podziwiać 3000 preparatów, 1756 szkiców i rysunków, 2773 fotografie i mikrofotografie autorstwa Cajala. Emil Holmgren, szwedzki histolog, który na zlecenie Komitetu Noblowskiego przygotował 50-stronicowy raport na temat Golgiego i Cajala, dał w swojej opinii pierwszeństwo temu drugiemu. „Cajal nie przysłużył się nauce – głosi ów raport – korygując obserwacje dokonywane przez innych (...) albo dodając tu i ówdzie ważne obserwacje do całokształtu wiedzy, lecz poprzez opracowanie niemal w całości podstaw naszego myślenia [o tkance nerwowej]".

Największym dokonaniem Cajala było zaś, jak twierdził Holmgren, nie tyle samo zaobserwowanie nowych struktur anatomicznych, ile przede wszystkim umiejętność zinterpretowania i zrozumienia tego, co widzi. ©

MACIEJ DULEWICZ *ukończył studia neurobiologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zajmuje się neuroestetyką.*

Elektryczne żaby

ŁUKASZ KWIATEK

Luigi Galvani jako pierwszy wykazał, że neurony przewodzą prąd. Był to ważny etap na drodze do wypędzenia z mózgu eterycznego ducha.

W XVII w. stara, sięgająca jeszcze Arystotelesa i Hipokratesa teoria humoralna nareszcie umierała – choć nie poddawała się bez walki. W odrzuceniu przekonania, że procesy umysłowe i zachowanie związane są z poziomem i przepływem czterech fluidów (humorów) w organizmie: krwi, żółci, czarnej żółci oraz flegmy, dużą rolę odegrały badania układu krwionośnego, zwłaszcza ustalenie przez Williama Harveya, że pompowana przez serce krew krąży po ciele w obiegu zamkniętym.

Upadek przestarzałych koncepcji zrobił miejsce na nowe wyjaśnienia procesów umysłowych. Podwaliny pod taką teorię położył Thomas Willis (1621-75). Czas jego studiów medycznych przypadł na lata rewolucji Cromwella, a o ludzkiej anatomii więcej niż z nielicznych wykładów w przerobionym na garnizon wojskowy Uniwersytecie Oksfordzkim dowiedział się dzięki dostępowi do zwłok osób poległych w walkach lub straconych na szubienicy. Pod jego skalpel trafiały także najróżniejsze zwierzęta, wliczając w to skorupiaki, które – jak zauważa Stanley Finger, historyk neurobiologii – wzbudzały zainteresowanie innych anatomów tylko o tyle, o ile podawano im je w zupie rybnej.

Z czasem Willis zdał sobie sprawę z tego, jak mizerny był ówczesny poziom znajomości budowy mózgu i jak niedokładne opisy stworzyli jego poprzednicy. Zabrał się więc za wnikliwe studia anatomiczne, ukuł kilka do dziś używanych terminów, jak „płat", „półkula" czy „ciało prążkowane", a także powiązał (czasem w oparciu o badania *post mortem* ludzi wykazujących różne deficyty) niektóre funkcje poznawcze z konkretnymi częściami mózgu.

Niektóre jego pomysły były chybione – twierdził np., że okolice czołowe i skroniowe związane są z pamięcią, ponieważ ludzie pocierają te części głowy, gdy próbują coś sobie przypomnieć. Ale uznał też, że struktury znajdujące się w mózgu wyżej muszą odpowiadać za specyficzne zdolności bardziej rozwiniętych gatunków, podczas gdy partie ulokowane głębiej, bardzo podobne u wszystkich stworzeń, muszą wiązać się z podstawowymi funkcjami organizmu. Dziś wiemy, że faktycznie tak jest, a dzięki Karolowi Darwinowi rozumiemy dlaczego.

Duch, fluidy i drgania

Willis zdobywał uznanie nawet u duchownych – nie tylko ze względu na iście ewangeliczny styl życia i zamiłowanie do rozdawania jałmużny. Choć w oczach zwolenników kartezjańskiego dualizmu jego poglądy o ścisłych związkach umysłu i mózgu mogły wyglądać nazbyt materialistycznie, wyróżniał przy tym dwie różne dusze: nieśmiertelną, obecną tylko u ludzi i dla nas nadrzędną, o której rozprawiać mogą jedynie teolodzy, oraz występującą także u zwierząt „duszę bydlęcą" (łac. *animus brutum*), która odpowiada za procesy poznawcze i rezyduje w mózgu. Najsilniej zakorzeniona jest u jego sklepienia, w korze, gdzie znajdują się silnie ukrwione skupiska istoty szarej. To dusza bydlęca miała jakoś wprawiać ciało w ruch, regulując skurcze mięśni za pośrednictwem nerwów. Tylko, no właśnie, jak?

Badania dotyczące funkcjonowania nerwów nie dotrzymywały kroku ustaleniom w dziedzinie anatomii mózgu. Jeszcze wielu XVIII-wiecznych uczonych powtarzało za Willisem, że nerwy wydzielają jakiś fluid, który np. łączy się z krwią, doprowadzając do niewielkich „eksplozji", wywołujących skurcze mięśni. Inna teoria mówiła, że w nerwach, niczym krew w żyłach, krąży eteryczna, duchowa substancja transportująca wrażenia do mózgu i kurcząca mięśnie. Trzecie wyjaśnienie, za którym optował sam Izaak Newton, odwoływało się do drgań, które mogłyby, podobnie jak na strunie gitary, rozchodzić się w nerwach i w ten sposób transportować



SCIENCE MUSEUM / EAST NEWS

– Święty Boże, cóż za wspaniałe zjawisko... Ach, ta urocza dziewczyna za oknem, jakże bym chciał za nią pobiec!
– Mój drogi panie Anglik! Nie wierzysz pan w galwanizm, a wystarczą dwa-trzy szoki i znowu jest pan młodzieniaszek.

Rysunek satyryczny, prawdopodobnie z przełomu XVIII i XIX wieku, na którym bogaty londyński klient uskarżający się na brak libido poddawany jest terapii galwanicznej przez francuskiego wędrownego znachora.

informacje do mózgu. Ale żadnej z tych teorii nie dało się potwierdzić eksperymentalnie.

Jeśli bowiem rozetniemy i ściśniemy mięśnie, to z żadnego nie uleją się resztki fluidu. Jeśli to samo zrobimy w wodzie, to z mięśni nie wydzieli się substancja eteryczna, która mogłaby potwierdzić swoją obecność pojawieniem się bąbelków. Zatem o ile w nerwach faktycznie krąży jakaś tajemnicza substancja, to musi mieć zupełnie inną naturę niż woda czy powietrze. Jaką? Tego nikt nie był w stanie ustalić. Teoria drgań napotyka na jeszcze większe trudności – nerwy nie wyglądają po prostu jak cięciwa łuku czy struna od gitary, na których dobrze rozchodzą się drgania. Jeśli je przeciąć, nie zwiną się, jakby wcześniej były napięte. Wyglądało więc na to, że i ta trzecia uliczka była ślepa.

A może prąd?

Kilkadziesiąt lat po śmierci Willisa, w połowie XVIII w. w nauce zapanowała swoista moda na elektryczność. Rozwinęła się zwłaszcza po skonstruowaniu butelki nazywanej od miejsca powstania lejdejską, będącej prostym kondensatorem – czyli urządzeniem zdolnym gromadzić ładunek elektryczny. Była to zwyczajna butelka pokryta warstwą metalu i wypełniona w środku wodą, w której zanurzony był miedziany drut wychodzący przez korek umieszczony w szyjce butelki. Naładowane urządzenie można było spektakularnie rozładować – np. rażąc prądem trzymających się za ręce ludzi, którzy podskoczą równocześnie, gdy tylko zamknięty zostanie obwód i prąd popłynie.

Pochwycony w butelce lejdejskiej prąd kusił do eksperymentowania również lekarzy i samozwańczych uzdrowicieli. John Wesley, reformator religijny, założyciel kościoła metodystów i amatorski medyk, zalecał w przypadku sparaliżowanej ręki stosowanie terapii prądowej raz dziennie przez trzy miesiące. W swojej książce „*Primitive Remedies*" wymienił łącznie prawie 300 medycznych przypadłości, które mogłyby być leczone w ten sposób. W zasadzie taka terapia nie była czymś całkowicie nowym w historii medycyny – już w starożytnym Egipcie i Rzymie lekarze przykładali bowiem cierpiącym na bóle głowy pacjentom wytwarzające prąd ryby, z którymi kontakt miał przynosić ulgę.

Trudno się więc dziwić pojawieniu się w takim okresie sugestii, że prąd może mieć coś wspólnego z działaniem nerwów. Choć jeśli tak miało być naprawdę, to dlaczego prąd posłusznie krążył w samych nerwach, a nie przemieszczał się do sąsiadujących tkanek? Wielu uczonych sądziło więc, jak pisze Finger, że elektryczna butelka pomaga pacjentom, ponieważ przechodzący przez ciało prąd przyspiesza wydzielanie przez nerwy fluidów lub ułatwia przemieszczanie się przez nie eterycznego ducha. Potrzeba było dopiero eksperymentów Luigiego Galvaniego, przeprowadzonych ↦

↦ w końcówce XVIII w., by tego ducha z nerwów wyegzorcyzmować.

Prawdziwy fluid nerwów

Całe życie związany z Bolonią i pracujący na tamtejszym uniwersytecie, Luigi Galvani był jednym z tych badaczy, którzy dali się porwać modzie na elektryczność w latach 70. XVIII w. W 1791 r. opisał kilka przełomowych eksperymentów, które miały dowodzić, że to prąd faktycznie jest długo poszukiwanym fluidem układu nerwowego.

Nieco wcześniej naukowcy wzięli pod skalpel wytwarzające prąd ryby. Johnowi Wellshowi udało się nawet udowodnić, że generują one taki sam prąd jak ten, który gromadzi się w butelce lejdejskiej (zdolny wywołać iskrę, jeśli do ryby przytkniemy pasek metalowej folii, w którym wykonamy minimalne nacięcie i zamkniemy obwód – wówczas płynący prąd przeskoczy z jednego kawałka folii do drugiego, co można zaobserwować w ciemnym pomieszczeniu). Ciągle to nie był jednak dowód na to, że taki sam prąd płynie w nerwach – tym bardziej u tak różnych od ryb ssaków.

Przełom nastąpił dzięki Galvaniemu. Pewnego razu jeden z jego asystentów zbliżył do nerwu udowego wypreparowanej żaby metalowy skalpel, który trzymał w pobliżu maszyny wytwarzającej napięcie, dzięki czemu z czubka noża spływała niewielka ilość ładunku elektrycznego. Noga żaby drgnęła, podczas gdy tą samą metodą nie dało się pobudzić tkanki mięśniowej. Galvani uznał, że po pobudzeniu nerwu sygnał wędruje w nim samoistnie wskutek własnej aktywności elektrycznej organizmu. „Fluidem" nerwów musi więc być elektryczność.

W kolejnych wersjach eksperymentu człowieka ze skalpelem zastępowały metalowe przewody, zaś maszynę generującą prąd – m.in. piorunochron. Galvani dowiódł w ten sposób, że elektryczość błyskawicy, butelki lejdeljskiej i zwierzęcych nerwów ma tę samą naturę. Jego siostrzeniec i współpracownik, Giovani Aldini, wkrótce później zasłynął pokazami, na których przykładał prąd do mózgu wołu, co wprawiało w ruch usta, uszy czy oczy zwierzęcia, a nawet wywoływaniem w ten sam sposób różnych reakcji mimicznych na... twarzach świeżo zgilotynowanych skazańców.

Jak odnotował XIX-wieczny neurofizjolog Emil du Bois-Reymond, eksperymenty Galvaniego wywołały burzę w świecie naukowym, otwierając drogę do nowoczesnych badań fizjologii układu nerwowego. Pomogły zwłaszcza pogrzebać sięgające starożytności koncepcje fluidów, czy ducha, przeciskających się przez wnętrza nerwów. Zanim jednak się to stało, ich autor musiał zmierzyć się z krytyką jednego ze swoich rodaków – innego wielkiego badacza elektryczności, Alessandra Volty.

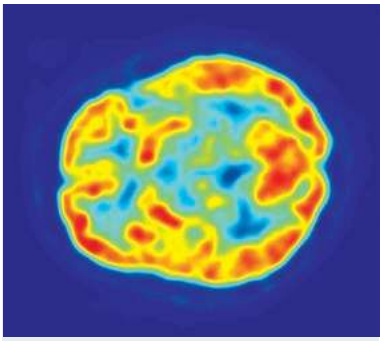
Kłamstwo wykryte

Volta, profesor na Uniwersytecie w Pawii, nie był przekonany, że eksperymenty Galvaniego naprawdę dowodzą występowania w nerwach „własnego" prądu elektrycznego. Uważał, że za każdym razem prąd został dostarczony z zewnątrz, np. z metalowego pręta lub noża. W odpowiedzi Galvani przeprowadził eksperymenty, w których całkowicie wykluczył pozabiologiczne źródła elektryczności – np. przecinał rdzeń kręgowy żaby i odciętą końcówkę przykładał do nerwu, co także wywoływało drganie mięśni.

Polemika z Galvanim, choć przegrana przez Voltę, doprowadziła tego drugiego do skonstruowania baterii – tzw. ogniwa Volty, które w krótkim czasie podbiło przemysł i badania nad elektrycznością metali. To on ukuł także termin „galwanizm", którym zaczęto określać zjawiska przewodnictwa elektrycznego w ciałach zwierząt, a wspomniany Bois-Reymond w połowie XIX w. skonstruował galwanometr – urządzenie do mierzenia tego przewodnictwa. Dziś zmianę oporu elektrycznego skóry pod wpływem wydzielania potu określa się reakcją skórno-galwaniczną. Może ona świadczyć np. o przeżywaniu emocji i jest jednym z podstawowych zjawisk monitorowanych przez wariografy, czyli „wykrywacze kłamstw".

Ustalenia Galvaniego i Aldiniego w dziedzinie elektrycznych własności układu nerwowego na dobre zadomowiły się także w kulturze. To właśnie one zainspirowały Mary Shelley, autorkę opublikowanej w 1818 r. książki „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz", której bohaterem jest człowiek ożywiający zmarłych za pomocą prądu. Jednak aż tak przełomowy eksperyment nikomu się jeszcze nie udał. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

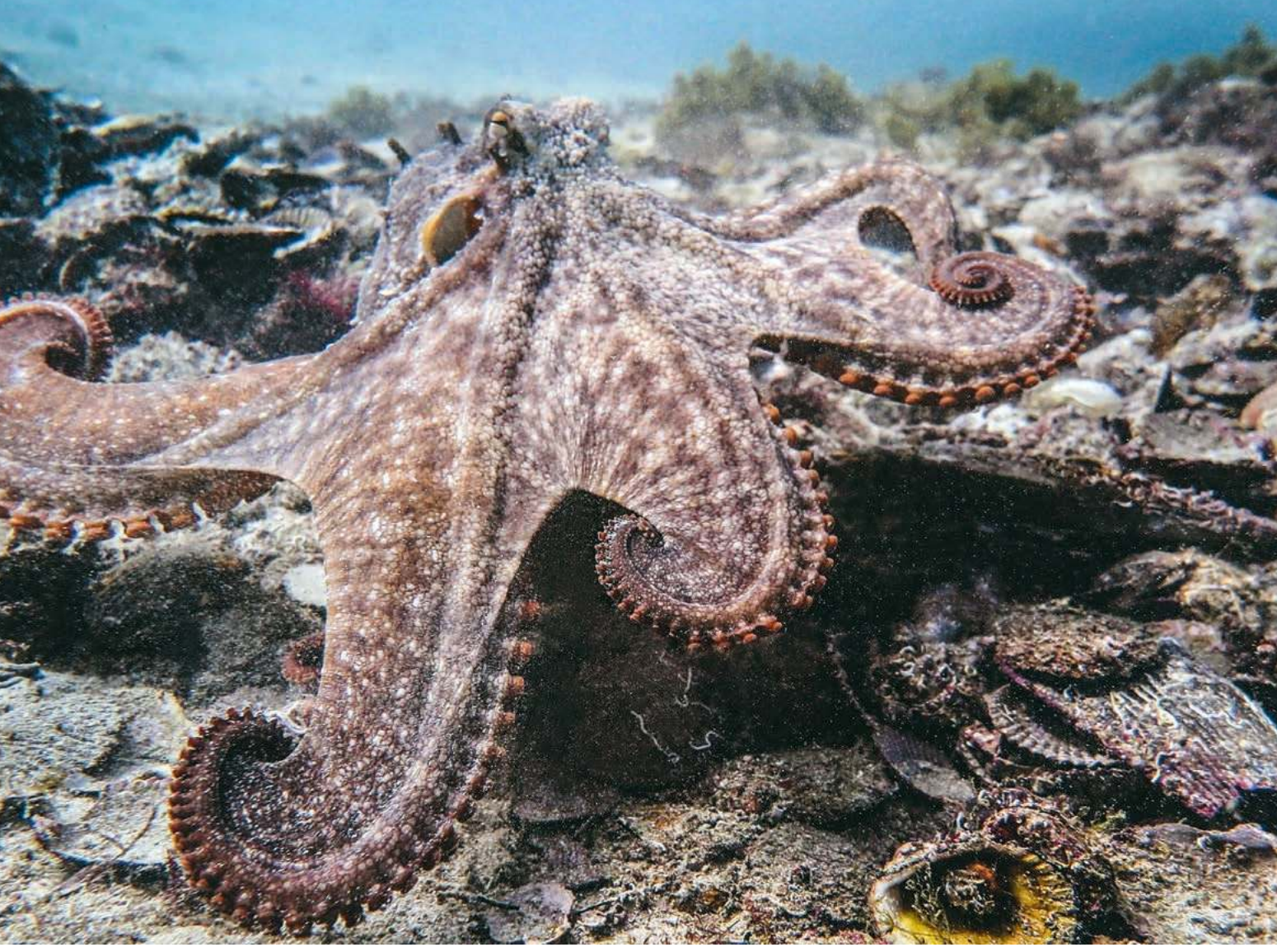
Korzystałem m.in. z książki Stanleya Fingera „Minds Behind the Brain. A History of the Pioneers and Their Discoveries" (Oxford University Press, 2000).



JENS-MAUS.DE / PUBLIC DOMAIN

Emisyjna tomografia pozytonowa (PET)

To metoda, która zapoczątkowała erę neuroobrazowania. Pozwala z dobrą rozdzielczością przestrzenną (rzędu ok. 0,5 mm) wnioskować o aktywności mózgu na podstawie zwiększonego transportu krwi do obszarów zaangażowanych w określone zadanie. Bezpośredniemu pomiarowi podlega promieniowanie emitowane przez wstrzykiwany do krwiobiegu badanej osoby znacznik z radioaktywnym izotopem. W eksperymencie z wykorzystaniem PET Maurizio Corbetta i współpracownicy odkryli, że górne obszary kory ciemieniowej oraz czołowej wykazują zwiększoną aktywność podczas przenoszenia ogniska uwagi. Ten opublikowany w 1993 r. wynik stanowi jedną z podstaw wciąż aktualnej teorii czołowo-ciemieniowej sieci uwagowej. Dziś ze względu na szereg trudności metoda ta nie jest zbyt popularna. Po pierwsze, ponieważ okres połowicznego rozpadu substancji promieniotwórczej jest krótki, przygotowywana musi ona zostać w cyklotronie tuż przed badaniem. Po drugie, ze względu na konieczność jej wstrzyknięcia, metodę tę trudno uznać za całkowicie nieinwazyjną. Wreszcie po trzecie, ze względu na słabą rozdzielczość czasową (czyli częstotliwość uzyskiwania kolejnych obrazów) projektowanie eksperymentów ujawniających funkcjonowanie struktur mózgowych stanowi dla badaczy spore wyzwanie. © MH



Octlantis, kolonia ośmiornic w zatoce Jervis u południowo-wschodnich wybrzeży Australii.

PETER GODFREY-SMITH

Obca inteligencja

PETER GODFREY-SMITH:

Zaczątki umysłu pojawiły się, zanim życie opuściło morza. Wszystko, co stało się później na lądzie, polegało na udoskonaleniu modelu, który powstał w głębinach.

TOMASZ TARGAŃSKI: Gdy Pan nurkuje i podgląda ośmiornice w naturalnym środowisku, nawiązuje Pan z nimi kontakt?

PETER GODFREY-SMITH: Kiedy jestem z nimi w wodzie, zapominam, że dzielą nas setki milionów lat ewolucji, a im samym bliżej jest do ostryg niż do ludzi. Zapominam o tym, ponieważ niezwykle trudno oprzeć się wrażeniu, że są tobą naprawdę zainteresowane. Chętnie nawiązują kontakt, chcą cię dotknąć. Zwykle zachowują pewien dystans, ale kiedy się zbliżą, wyciągają powoli jedno ramię, by cię „spróbować" – macki ośmiornicy wyposażone są w receptory odpowiedzialne za smak. Zauważyłem też wyraźną różnicę w zależności od tego, czy dotykają gołej skóry, czy rękawicy. Wolą dotyk skóry. Często ośmiornica próbuje łapać mnie za rękę i pociągnąć za sobą.

Zawsze zadziwiała mnie ich siła – jak na zwierzę wielkości piłki futbolowej, potrafią być bardzo silne.

Jakie przybierają kolory?

Zmiana barw robi wielkie wrażenie. Ich ciała mogą być jasnoszare, by zaraz ↦



STEPHANIE MITCHELL / PETERGODFREYSMITH.COM

PETER GODFREY-SMITH
(ur. 1965) jest filozofem, profesorem Departamentu Historii i Filozofii Nauki na Uniwersytecie w Sydney. Specjalizuje się w filozofii biologii oraz filozofii umysłu. Autor pięciu książek i kilkudziesięciu artykułów naukowych. Nurkuje, obserwując ośmiornice w naturalnym środowisku. Jego wykonane pod wodą filmy i zdjęcia ukazywały się m.in. w „National Geographic" i „The New York Times" (można je również zobaczyć na jego koncie na Instagramie: www.instagram.com/insta_zoan). Jego ostatnia książka, „Other Minds", trafiła na listę najlepszych książek naukowych The Royal Society i do dziś doczekała się przekładu na kilkanaście języków. Polski przekład ukaże się jesienią nakładem Copernicus Center Press.

↦ potem przejść w ciemny granat, wszystko to dzieje się dosłownie w ciągu sekundy. Wielokrotnie zastanawiałem się, co stoi za tymi erupcjami barw, czy istnieje związek między kolorami a tym, co dzieje się wokół nich? Chciałbym udzielić jednoznacznej odpowiedzi, ale nie mogę. Chromatyka ich ciała pełni różne funkcje, część z nich ma związek z potrzebą szybkiego wtopienia się w tło – ośmiornice są mistrzami kamuflażu. Ale to nie wszystko. Kolorystyka, jaką przybierają, jest tak niesamowita, że bez wątpienia chcą być zauważone. Pytanie, czy celem jest jedynie odstraszanie ewentualnych drapieżników, czy też idzie za tym jakaś informacja?

Myślę, że ta druga ewentualność jest prawdopodobna. Głowonogi nieustannie wysyłają jakieś sygnały, ich ciała wprost nimi buzują. Niektóre mątwy „wyświetlają" na skórze nieprzerwaną feerię barw i kolorów, która nie ma żadnego obiektywnego celu, nie jest też skierowana do kogoś. Interpretuję to więc jako efekt uboczny tego, co dzieje się w ich mózgach. Coś w rodzaju niezamierzonej ekspresji elektrochemicznej burzy lub, mówiąc umownie, wewnętrznej pogawędki, która zachodzi w ich systemie nerwowym.

Ta „pogawędka" jest jednostronna. Głowonogi nie są przesadnie towarzyskie, prowadzą raczej samotniczy tryb życia i nie wytworzyły skomplikowanych relacji społecznych.

Tak, mamy tu do czynienia ze swego rodzaju paradoksem, bo większa część ich chromatycznej, nazwijmy to: „mowy" ginie w odmętach oceanów. Wspomnianą cechę często interpretuje się jako rodzaj niedoskonałości, znak czegoś „niedokończonego". Dzieje się tak, ponieważ jako ludzie mamy tendencję do myślenia, że ewolucja zmierza do określonego „celu". To nie tak, ewolucja nigdzie nie zmierza. Świadectwem jej niezrozumiałych dla nas wyborów mogą być niektóre cechy pawianów i mątw. Pawiany mają bardzo złożone życie społeczne, funkcjonują w stresującym środowisku, ale są niemal nieme, nie mają więc jak tych emocji zwerbalizować. Głowonogi z kolei nie żyją w grupach, są samotnikami, przez co, wydawałoby się, ich życie wewnętrzne będzie uboższe, mimo to mają wiele do przekazania.

W swojej książce pisze Pan, że „umysł wyewoluował w morzu". Które jego elementy zaistniały, zanim życie wyszło na ląd?

Trudno o jednoznaczną odpowiedz, ponieważ nie wiadomo, które dokładnie cechy były niezbędne, by umysł mógł zaistnieć.

Ale jeśli prześledzimy listę cech, bez których pojawienie się zwierząt mających poczucie istnienia otaczającego ich świata, a także siebie w tym świecie, byłoby niemożliwe, to większość z nich zaistniała już u schyłku okresu kambryjskiego. Oczy zdolne do widzenia obrazów, w przypadku ryb szkielet systemu nerwowego, umiejętność uczenia się, rozumianego jako zdolność przewidzenia rezultatu danego wydarzenia na podstawie doświadczenia podobnego do wydarzenia z przeszłości. Ukształtowanie ciał zdolnych posługiwać się różnymi obiektami również nastąpiło w późnym kambrze, być może nawet wcześniej.

Czy cechy, które Pan wymienił: ciała zdolne posługiwać się obiektami, oczy, które widzą, czym się posługują, i działania podejmowane na podstawie doświadczenia, to już dość, by umożliwić pojawienie się subiektywności?

Nie mogę odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale jeśli ktoś podziela mój punkt widzenia i uważa, że ośmiornice bądź kraby mają zdolność odbierania pewnych zdarzeń w sposób subiektywny, to można powiedzieć, że zaczątki umysłu powstały, zanim życie opuściło morza. Wszystko, co stało się później na lądzie – szczególnie wśród kręgowców – jest oczywiście ważne, ale polegało na udoskonaleniu modelu, który powstał w głębinach.

W stosunku do ośmiornic użył Pan określenia „inteligentny obcy". Skąd to porównanie?

To nie do końca tak. Użyłem tego określenia, ponieważ w wypadku głowonogów mamy do czynienia z drugim, niezależnym od kręgowców, ewolucyjnym eksperymentem w rozwoju dużego systemu nerwowego. W tym sensie są one najbliższe do tego, co pozwoliłem sobie nazwać „inteligentnym obcym". Obcym w znaczeniu inteligentnej formy życia, z którą nie dzielimy ewolucyjnego rodowodu. Nasz ostatni wspólny przodek jest oddalony o niemal 600 mln lat, było to więc tak

dawno, że można uznać, iż nasze umysły rozwijały się w zasadzie niezależnie.

Co otrzymaliśmy po tych 600 mln lat oddzielnej ewolucji?

Mieszankę podobieństw i różnic. Istotnym podobieństwem głowonogów i kręgowców jest np. oko.

Głowonogi także rozwinęły oko składające się z soczewki, która skupia obraz na siatkówce. Pod względem liczby neuronów – przeciętna ośmiornica z gatunku *Octopus vulgaris* ma ich ok. 500 mln. Ośmiornice nie dorównują oczywiście ludziom, ale bez wątpienia mają ich więcej niż wszystkie inne bezkręgowce i równie wiele, co duże ssaki, jak pies.

Dużo bardziej istotne są jednak różnice. Choćby układ nerwowy. W przypadku ośmiornic jest on zdecentralizowany. Kręgowce większość neuronów przechowują w głowie – u ośmiornic większość znajduje się w mackach. Ten fakt wskazuje na być może najbardziej fundamentalną różnicę między nami. W przypadku ludzi, czy w ogóle kręgowców, istnieje bardzo ścisły podział na mózg, rozumiany jako centrum dowodzenia, oraz podległe jego rozkazom ciało.

U głowonogów jest inaczej, poszczególne części ciała cieszą się dużo większą niezależnością. Jeśli dodamy do tego fakt, że są one pozbawione kości, czy innych „twardych" części, dzięki czemu osiągają najróżniejsze kształty, to otrzymamy ciało wyposażone w nieskończone wprost możliwości.

Co to oznacza?

Implikacje są daleko idące i mają bezpośredni związek z kwestią znaczenia ciała dla rozwoju inteligencji w ogóle. Dyskusja na ten temat podzieliła naukowców z grubsza na dwa obozy: pierwszy widzi mózg jako coś w rodzaju wszechmocnego, samouczącego się CEO (dyrektora generalnego), drugi z kolei kładzie nacisk na rolę cielesnych interakcji ze światem – nazywamy to poznaniem ucieleśnionym. Oba poglądy polegają na rozróżnieniu między wiedzą zgromadzoną w mózgu, a tą zgromadzoną w ciele. Przypadek ośmiornic wymyka się obu tym teoriom. W pewnym sensie są one bowiem nieucieleśnione. Nie mam na myśli odłączenia od materii. Ich ciała składają się oczywiście z komórek i są obiektem materialnym, tyle że zmiennym, dysponującym nieograniczonymi możliwościami. Ośmiornice zdają się więc żyć poza dualizmem oddzielającym umysł od ciała.

Kwestia inteligencji ośmiornic zdaje się budzić coraz mniej wątpliwości, ale jakie konkretne zachowania o niej świadczą?

Rzeczywiście, ostatnimi laty media obiegło wiele informacji, które miałyby tego dowodzić. Dziś każdy może zobaczyć filmy, jak ośmiornica odkręca słoik albo nawiguje przez labirynt. Trzeba przy tym pamiętać, że stosowanie wobec całych grup zwierząt określeń jak „inteligentne" czy „mądre" może być zwodnicze. Choć nie oznacza to, że inteligencja dotyczy wyłącznie ludzi. Niektóre gatunki ptaków mają niezwykłą wręcz zdolność wynajdywania rozwiązań konkretnych problemów. Ośmiornice nie wykazują tego typu „zadaniowego" podejścia do różnego rodzaju przeszkód czy zagadek. Ich najważniejszym atutem jest ciekawość, odwaga działania w nowych sytuacjach, łatwość rozpoznawania, że znalazły się w nowym otoczeniu, a także wchodzenie w interakcje z przedmiotami. Czy to wystarczy, by powiedzieć, że ośmiornice myślą albo są mądre? Mam wątpliwości, czy są to właściwe określenia.

Na czym polega ta łatwość działania w nowych sytuacjach?

Weźmy ich reakcję na zamknięcie. Moje badania koncentrują się na ośmiornicach żyjących na wolności, więc nie mam dużego doświadczenia z tymi znajdującymi się w niewoli. Mimo to można stwierdzić, że sztuczne środowisko jest dla nich czymś nowym i interesującym. W warunkach laboratoryjnych bądź w oceanarium zachowują się tak, jakby miały coś w rodzaju świadomości bycia w niewoli. Ich działania, o których czasem dowiadujemy się z mediów – mam na myśli próby ucieczki – świadczą więc o umiejętności ↦



SCHEEL ET AL.

Octlantis, miasto ośmiornic

W 2017 r. międzynarodowy zespół biologów pod kierownictwem Davida Scheela odkrył kolonię ośmiornic w zatoce Jervis u południowo-wschodnich wybrzeży Australii. Octlantis, jak nazwano to miejsce (powyżej), zamieszkuje kilkanaście osobników z gatunku *Octopus tetricus*, popularnie nazywaną ośmiornicą ponurą. Siedlisko znajduje się ok. 15 m pod wodą, na obszarze 72 m^2. Powstało ono na hałdach muszli po upolowanych przez ośmiornice mięczakach. Ośmiornice przebywają w norach zbudowanych głównie z muszli, kamieni i piasku. Miejsce powstania Octlantis nie jest przypadkowe – lokalizacja oferuje łatwy dostęp do naturalnych kryjówek, a zarazem obfitość pożywienia. Mieszkające tam ośmiornice zawiązały między sobą relacje i wykazują złożone zachowania społeczne, przypominające te występujące u kręgowców. Zdaniem badaczy z zespołu prof. Scheela ośmiornice z Octlantis musiały się „socjalizować" przez wiele lat, z pokolenia na pokolenie. Badania nad tą podwodną metropolią wywołały ożywioną dyskusję na temat życia społecznego ośmiornic, dotąd uważanych za samotniki.

↦ działania w nowych okolicznościach. Z punktu widzenia kwestii inteligencji ośmiornic te zachowania nie są jednak tak ważne jak ich pamięć.

My, ludzie, jesteśmy wyposażeni w różne rodzaje pamięci. Istnieje pamięć semantyczna, odpowiedzialna za kojarzenie faktów, oraz równie ważna, a być może najważniejsza z punktu widzenia naszego „ja", pamięć epizodyczna. Dotyczy zdarzeń, które nas spotkały. Zapisujemy w niej swoje subiektywne wrażenia na ich temat.

Jeszcze do niedawna kwestia, czy zwierzęta dysponują pamięcią epizodyczną, a jeśli tak, to które, budziła spore wątpliwości. Ostatnimi laty pojawiło się wiele badań potwierdzających, że ptaki są w stanie zapamiętać miejsce przechowywanego jedzenia, a nawet to, które zapasy są najświeższe. Podobny wniosek można sformułować wobec małp, szczurów, a nawet pszczół. Badania przeprowadzone na głowonogach również potwierdziły, że zapamiętują one nie tylko różne fakty na temat otaczającego ich świata, np. gdzie można znaleźć jedzenie, ale zdarzenia z przeszłości, w których brały udział.

U głowonogów mamy do czynienia z drugim, niezależnym od kręgowców, ewolucyjnym eksperymentem w rozwoju dużego systemu nerwowego. Są dla nas w pewnym sensie **„inteligentnym obcym"**.

Dlaczego to takie ważne?

Ponieważ nie ma szans, że wspomniane zdolności pochodzą od przodka, jakiego głowonogi dzielą z kręgowcami. Tamten oddalony o 600 mln lat organizm z pewnością nie dysponował żadną formą pamięci. Głowonogi wykształciły więc pewien rodzaj świadomości własnego „ja" niezależnie od kręgowców i rozwijają ją na własny rachunek. To z kolei oznacza, że po pierwsze rozbudowany system nerwowy nie wyewoluował wśród głowonogów przypadkiem, a po drugie – zdecydowanie można mówić o jego ekspansji.

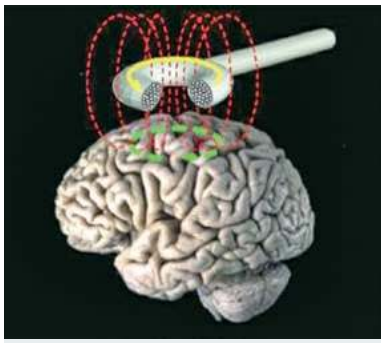
Głowonogi mają poczucie własnego „ja"?

Myślę, że tak, ale sposoby odczuwania tego „ja" mogą być bardzo różne. Zależy, o jakim rodzaju „ja" mówimy. Czy o tym rozumianym w kategoriach czysto biologicznych, które nie oznacza obecności subiektywnego doświadczenia? Czy też chodzi raczej o świadomość bycia podmiotem? Do tego dochodzi kolejne pytanie: jaki jest związek między tym biologicznym „ja" a doświadczaniem siebie? Jeśli przyjmiemy, że organizm potrafi rozpoznać środowisko, w którym żyje, jako właśnie środowisko, czyli coś odrębnego od siebie samego; jeśli jest w stanie zarejestrować skutki własnych działań w tym środowisku, to należy uznać, że musi zdawać sobie sprawę z własnego istnienia.

W jednym z rozdziałów postawił Pan czytelnika przed pytaniem: „jak to jest być ośmiornicą"? Czy jako filozof, który od lat zajmuje się głowonogami, czuje Pan, że zbliżył się do poznania odpowiedzi?

Wspomniane pytanie zaczerpnąłem od Thomasa Nagela, który lata temu wezwał swoich czytelników, by zastanowili się: „Jak to jest być nietoperzem?". Chciał w ten sposób udowodnić, że możemy co najwyżej wyobrazić sobie, co by znaczyło „zachowywać się" jak nietoperz, ale autentyczna wiedza „jak nim być" pozostaje dla nas niedostępna. Nasze możliwości poznawcze są bowiem zbyt mocno ograniczone przez zasoby i sposób funkcjonowania naszego umysłu, na które wpływa nasze ciało. Najbezpieczniej byłoby więc powiedzieć, że jest to z pewnością jakieś uczucie, niepodobne jednak do czegokolwiek, czego doświadczamy jako ludzie.

Wracamy tutaj do pytania, jaki rodzaj świadomości mają ośmiornice? Jestem zdania, że świadomość jest tylko jedną z form subiektywnego doświadczenia, z pewnością nie jedyną. Wiemy, że odczuwają ból, czują, kiedy dzieje im się coś złego. Czy to dość, aby powiedzieć, że mają świadomość własnego „ja"? Chyba wymagamy od ośmiornic zbyt dużo, chcemy, żeby odczuwały na ludzki sposób. Może na razie warto poprzestać na stwierdzeniu, że są one zdolne do odczuwania. To zdolność, która jest o krok przed świadomością. © Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI



ERIC WASSERMANN / PUBLIC DOMAIN

Przezczaszkowa stymulacja magnetyczna (TMS)

Najstarszą metodą badania, jak określone funkcje poznawcze powiązane są ze strukturami neuronalnymi, jest obserwacja osób z tzw. lezjami, czyli uszkodzeniami mózgu. Choć u ludzi nie można oczywiście wywoływać lezji celowo, TMS pozwala w całkowicie bezpieczny i odwracalny sposób „zasymulować" ich skutki u osób badanych. Pierwsze urządzenie TMS skonstruowano w połowie lat 80. XX wieku. Stosowanie tej metody polega na umieszczeniu w pobliżu powierzchni głowy cewki produkującej impuls elektryczny, który doprowadza do aktywacji struktur mózgowych znajdujących się w okolicy (np. przyłożenie cewki w pobliżu kory wzrokowej może skutkować obserwacją przez osobę badaną kolorowych błysków). TMS można też wykorzystać do czasowego „wyłączania" pewnych struktur (symulując lezję), a o zaangażowaniu funkcjonalnym danej struktury mózgowej można wnioskować, porównując zachowanie osób badanych przed stymulacją, jak i po niej. W 2006 r. zespół Friedemanna Pulvermüllera wykazał, że przezczaszkowa stymulacja określonych obszarów motorycznych (np. zaangażowanych w ruchy nogą) wpływa na szybkość przetwarzania słów kojarzonych z takimi ruchami (np. „kopać"), ale nie innymi ruchami (np. „klaskać"). © MH

Gdzie ja jestem?

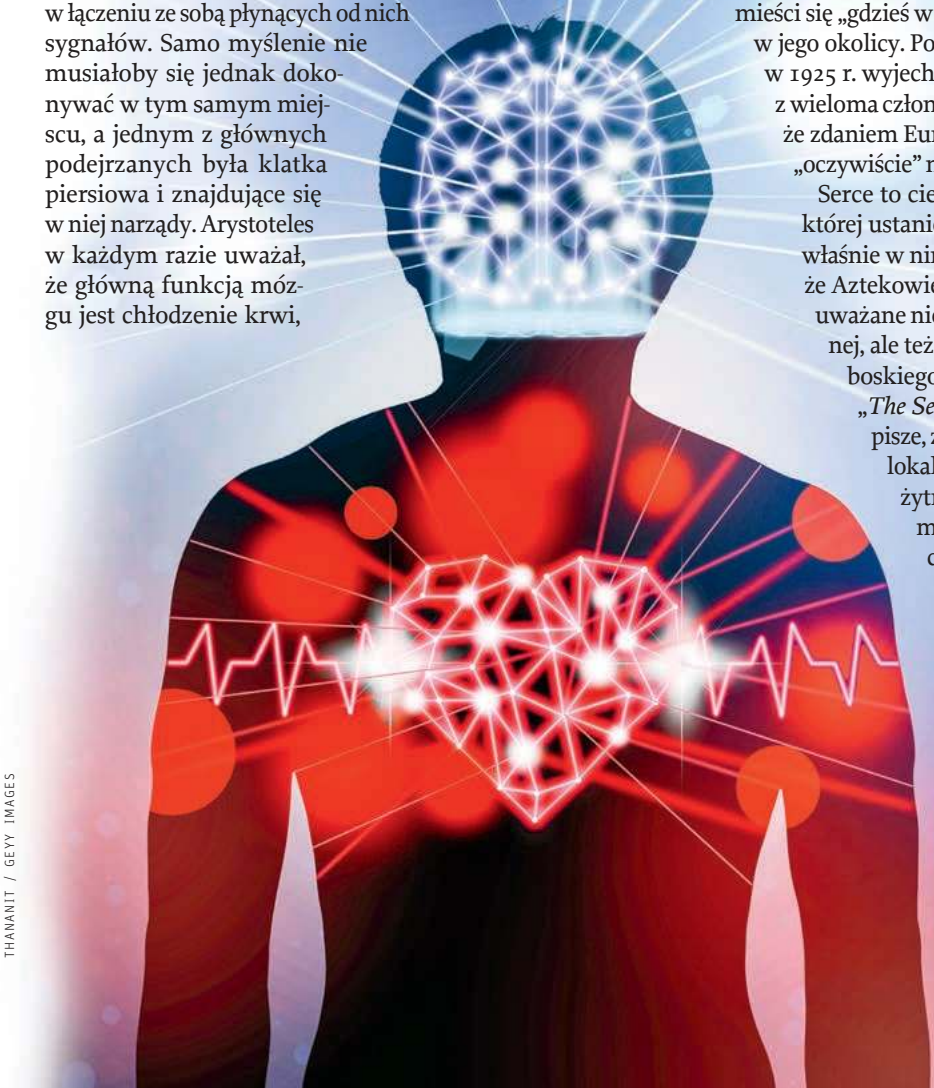
ŁUKASZ LAMŻA

Niby wiadomo, że świadomość mieści się w mózgu. Bo przecież nie w jelitach, płucach albo sercu. Ale jednak, kiedy mówię „ja", towarzyszy temu ruch ręką w kierunku mostka, a nie czaszki...

Zlokalizowanie siebie samego w przestrzeni to jeden z tych problemów, które z początku mogą wydawać się wręcz trywialne. Jak to, gdzie jestem? Co to za głupie pytanie – tu, tutaj. Bo gdzieżby indziej? Spróbujmy jednak dopytać – najlepiej siebie samego – gdzie konkretnie jestem „ja" – a zaczną się schody. Gdzie odbywa się ten mój wewnętrzny dialog, skąd właściwie patrzę na świat?

Miej serce i patrzaj w serce

Czysto historycznie, w niewielu kulturach, w których rozważano tytułowe pytanie tego tekstu, pierwsza odpowiedź brzmiała: „w mózgu". Jego rola wcale nie jest oczywista. Jest niby jasne, że skoro tak wiele organów zmysłowych znajduje się w głowie, to mózg musi pełnić jakąś rolę w łączeniu ze sobą płynących od nich sygnałów. Samo myślenie nie musiałoby się jednak dokonywać w tym samym miejscu, a jednym z głównych podejrzanych była klatka piersiowa i znajdujące się w niej narządy. Arystoteles w każdym razie uważał, że główną funkcją mózgu jest chłodzenie krwi, ludzie zaś są racjonalniejsi od zwierząt dzięki temu, że dzięki większym mózgom potrafią skuteczniej hamować dzikość wynikającą z rozgrzanej krwi.



THANANIT / GETTY IMAGES

Etnolog szwedzki Åke Hultkrantz przez 40 lat z przerwami mieszkał pośród różnych plemion rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej. Jedną z jego obsesji było wypytywanie przedstawicieli plemion indiańskich, gdzie, ich zdaniem, zlokalizowana jest jaźń. Mieszkańcy północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych nad wybrzeżem Oceanu Spokojnego, m.in. Szoszoni, uważali, jak duża część współczesnych Europejczyków (choć wcale nie wszyscy, o czym za chwilę), że ich „ja" mieści się w głowie; zwykle wskazywany był tył głowy, czasem kark. Członkowie licznych innych grup, m.in. żyjącego na terenie Kanady plemienia Salish, mówili natomiast, że dusza mieści się „gdzieś w klatce piersiowej", najczęściej w sercu lub w jego okolicy. Potwierdza to obserwacje Carla Junga, który w 1925 r. wyjechał do Nowego Meksyku, gdzie rozmawiał z wieloma członkami Pueblów. Byli oni ponoć zaskoczeni, że zdaniem Europejczyków myśli się głową, podczas gdy „oczywiście" myśli się sercem.

Serce to ciekawy organ. Jego regularna aktywność, której ustanie oznacza bliską śmierć, każe uznać, że to właśnie w nim kryje się sekret życia. To nie przypadek, że Aztekowie ofiarowywali bogom właśnie serca. Były uważane nie tylko za siedzibę tożsamości indywidualnej, ale też za „okruch Słońca" (*istli*), a więc odłamek boskiego ciepła na Ziemi. Richard Lind w książce „*The Seat of Consciousness in Ancient Literature*" pisze, że istnieją tak naprawdę tylko dwie główne lokalizacje duszy opisywane w literaturze starożytnej Europy i Azji: głowa i serce. I to ta druga ma zdecydowane pierwszeństwo. We współczesnej metaforyce serce zostało „zdegradowane" do postaci siedliska emocji i intuicji, a więc miękkich sfer ludzkiej psychiki, w przeciwieństwie do twardego intelektu i racjonalności, które miałyby rezydować w głowie. Taka rola serca to jednak tylko drobna pozostałość po jego dawnej świetności. Ewagriusz z Pontu, chrześcijański mnich, teolog i mistyk, radził, abyśmy „oczyścili swe serca z wszystkich myśli". Myśli!

W niektórych źródłach hinduistycznych *atman*, czyli coś w stylu europejskiej zasady indywidualności ↦

↦ – „punkt, którym jestem ja" – umiejscawiany jest jednoznacznie w sercu. Tak głosi np. jedna ze standardowych upaniszad, „Prasna". Inna upaniszada, „Brahma", przedstawia jednak cztery równoważne położenia: pępek, serce, gardło i głowę. W rzeczywistości nic nie stoi przecież na przeszkodzie, aby moje „ja" było w moim ciele rozproszone, i taką interpretację proponuje klasyczna azjatycka teoria czakr, występująca w wielu formach w najróżniejszych systemach filozoficznych i religijnych, od hinduizmu i dżinizmu po buddyzm.

Zależnie od źródła, można spotkać się z różnymi liczbami czakr, zasadnicza idea jest jednak wspólna: główna oś energetyczna ciała ludzkiego, prowadząca od czubka głowy, przez linię kręgosłupa, aż po krocze, zawiera kilka „punktów węzłowych". Każdy z nich ma zaś inną specyfikę. W jodze zlokalizowana na czubku głowy czakra Sahasrara związana jest z najwyższym poziomem świadomości, zaś Anahata, czakra serca, odpowiada za równowagę, spokój, czystość myśli. W ten sposób całe „ja" zostaje rozproszone, a zależnie od mojego stanu ducha, czy nawet sytuacji zdrowotnej, moja aktywność (w tym: psychiczna) koncentruje się w innym segmencie osi centralnej.

Jaźń płucno-wątrobowa

Te starożytne intuicje znajdują interesujące potwierdzenie w badaniach współczesnych. W 2011 r. Jakub Limanowski i Heiko Hecht opublikowali w czasopiśmie „Psychology" artykuł („*Where Do We Stand On Locating the Self?*"), w którym zestawiają odpowiedzi 87 osób na szereg pytań na temat ich „poczucia siebie". Jedno z zadań polegało na namierzeniu na trójwymiarowym modelu ciała miejsca, w którym mieści się ich jaźń (*Self*). Odpowiedzi układały się na wyraźnej pionowej osi, przebiegającej od czubka głowy po genitalia, przy czym wystąpiły dwa duże zgrupowania: jedno w głowie, tuż za czołem, a drugie na wysokości mostka; centralnie lub nieco po lewej stronie.

W wielu kulturach poczucie, że „ja" mieści się w sercu, rozlewa się na jego okolice anatomiczne. Najczęściej – na płuca. Hultkrantz odnotował, że w wielu językach amerindiańskich słowo oznaczające duszę jest takie samo jak słowo na oddech – jak choćby u meksykańskich Cahita, gdzie funkcję taką pełni słowo *hiepsi*, albo u Ute z Kolorado, gdzie duszę-oddech nazywa się *sua'pun*. W „*Neijing Suwen*", tzw. „kanonie medycyny chińskiej Żółtego Cesarza" (to standardowy tekst taoistyczny i jednocześnie jeden z najstarszych chińskich traktatów medycznych) serce przedstawione jest jak cesarz ciała, który zarządza poprzez *shen* (duszę), jednak płuca są wysokimi urzędnikami pośredniczącymi, realizującymi jego rozkazy. Kolejne organy mają coraz bardziej poślednie funkcje w państwie ciała.

Jeszcze bardziej zaskakujące dla człowieka Zachodu może być przekonanie wyrażane przez członków plemienia Chewong z Malezji, którzy uważają, że siedzibą myśli i uczuć jest... wątroba. W ich języku występują zwroty typu „moja wątroba ma się dobrze" (co oznacza: czuję się dobrze), „moja wątroba zapomniała" (zapomniałem), ale nawet: „moja wątroba była maleńka" (było mi wstyd). Wszystkie wyrażenia odnoszące się do tego, co dotyczy mnie, mogą zostać wyrażone poprzez zdanie, w którym podmiotem jest *rus* – to samo słowo, którym opisuje się wątrobę, zarówno ludzką, jak i zwierzęcą.

> Tylko dwie główne lokalizacje duszy opisywane były w literaturze starożytnej Europy i Azji: **głowa i serce**. I to ta druga ma zdecydowane pierwszeństwo.

Wędrówki ja

Kwestia wędrówki dusz to osobny temat-rzeka. Nie zawsze są to spektakularne podróże do Walhalli albo tułaczka po czyśćcu. Hultkrantz odnotował, że zdaniem Pomo mieszkających na terenie dzisiejszej Kalifornii dusza (*tciken*) znajduje się zwykle w sercu, jednak mogą jej przydarzać się mniejsze lub większe wycieczki. Zemdlenie oznacza, że dusza odsunęła się odrobinkę od swojego należnego miejsca i jeśli nie trafi szybko z powrotem do serca, konsekwencje mogą być śmiertelne. Dłuższa nieobecność duszy w sercu wymaga już interwencji szamana, który przywodzi ją – czasem potrzebna jest do tego dłuższa procedura, jak choćby wtedy, gdy dusza zdążyła zawędrować poza granice naszego świata. Peregrynacje takie, i techniki ich skutecznego zakańczania, świetnie opisywał Mircea Eliade w „Szamanizmie i archaicznych technikach ekstazy".

W literaturze na temat lokalizacji jaźni uparcie przewija się plotka, że w dawnej Europie sądzono, iż kichnięcie powoduje chwilowe odskoczenie duszy od ciała, zaś wyrażane w wielu językach w reakcji na kichnięcie błogosławieństwo (jak angielskie „*Bless you*") miałoby zapobiegać przejęciu w tej krótkiej chwili duszy przez diabła. Nie znalazłem żadnego potwierdzenia tej uroczej pogłoski, choć wielu autorów zarzeka się, że papież Grzegorz I (ok. 540-604) opublikował nawet specjalną bullę zawierającą teologiczną analizę kichania. Dużo lepiej udokumentowane są natomiast krótkotrwałe przypadki odsunięcia się „punktu lokalizacji siebie" na niewielkie odległości od ciała, towarzyszące sytuacjom ekstremalnym, jak krytyczny stan medyczny, wysokie przeciążenia (tzw. „wyjścia z ciała" zgłaszają od czasu do czasu piloci myśliwców) czy doświadczenia mistyczne. Ba, zjawisko takie można odtworzyć w warunkach laboratoryjnych.

Moda na tego typu badania rozpoczęła się od tzw. iluzji gumowej ręki. Jeśli położy się przed kimś na stole gumową rękę, podczas gdy jego własna ręka będzie schowana, to przy równoczesnym gładzeniu ich obu pędzelkiem osoba poddawana takiej procedurze będzie miała wrażenie, że ręka gumowa „należy do niej". Istnieje cały szereg analogicznych badań, w których różnego typu iluzje wzrokowe albo konflikt pomiędzy danymi pochodzącymi od odmiennych zmysłów powodują „dryf proprioceptyczny" – wrażenie odsuwania się „wrażenia siebie" od rzeczywistych granic własnego ciała.

W jednym z tego typu eksperymentów (Bigna Lenggenhager i in. „*Video ergo sum...*") badanemu wkłada się na głowę kask z systemem wirtualnej rzeczywistości i wyświetla mu się obraz jego własnego ciała (filmowanego równocześnie od tyłu kamerą), rzutowanego na obraz pokoju przed nim samym. Inaczej mówiąc, wydaje mu się, że stoi przed nim odwrócony do niego plecami człowiek identyczny jak on, powtarzający na żywo wszystkie jego ruchy. Po chwili osoba ta dźgana jest w plecy kijem, przy czym widzi na własne oczy, jak dźgany kijem jest stojący przed

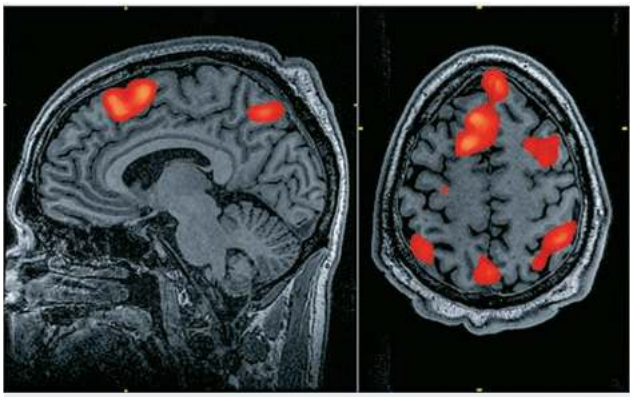
nim „ten drugi". Wywołuje to ponoć dziwne, niepokojące wrażenie, że „ja jestem z przodu". Autorzy pracy z dumą raportują, że udaje im się przesunąć punkt lokalizacji jaźni średnio o 24 cm poza ciało badanych.

Przesunięty w lewo

Pomimo całej posiadanej przez nas współcześnie wiedzy neurologicznej czy psychologicznej, omawiany w tym artykule problem pozostaje otwarty. Choć znamy dziś rzeczywistą funkcję płuc, serca czy wątroby i wiemy, że organy te nie myślą, to zagadnienie subiektywnej „lokalizacji jaźni" nie otrzymuje jednoznacznej odpowiedzi w ramach neuronauk. Wiemy natomiast, że ma ono związek z kwestią tzw. obrazu ciała: tym, w jaki sposób subiektywnie ustosunkowujemy się do swoich ciał. Nie jest to trywialny związek, a obiektywne fakty anatomiczne nie muszą przekładać się na autentyczne subiektywne przekonania. To, co sądzimy o swoich ciałach, i jak je odczuwamy, jest wynikiem skomplikowanych zależności psychologicznych i społecznych.

Względnie łagodną demonstracją tej zasady jest potwierdzony wieloma badaniami fakt, że mężczyźni mają skłonność do przeszacowywania swojego wzrostu. Poważniejsza jest już choćby ta tendencja, że osoby wykazujące zaburzenia odżywiania zwykle przeceniają swoją wagę ciała, czasem dramatycznie: mimo przedstawianej im dokumentacji fotograficznej i pomiarów są przekonani, że ich ciało wygląda zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Skrajnym przypadkiem jest zaś zaburzenie, nazywane czasem somatoparafrenią, a od 2004 r. również terminem „*body integrity identity disorder*" (BIID: „zaburzenie poczucia jedności ciała"). Cierpiący nań pacjenci są przekonani, że pewna część ich ciała – najczęściej któraś z kończyn – nie należy do nich. Mimo że potrafią ją kontrolować, odczuwają głębokie przekonanie, że jest to obcy kawałek mięsa, a nie część ich żywego organizmu. Często towarzyszy temu marzenie o amputacji.

To, jak skomplikowane muszą być procesy decydujące o naszej autolokalizacji, obrazuje historia pewnego niewidomego. W 2008 r. grupa włoskich badaczy pod przewodnictwem Franca Bertossy opublikowała artykuł („*Point zero: a phenomenological inquiry...*") na temat „punktu zero", którym to terminem, w nawiązaniu do geometrycznego początku układu współrzędnych, określali lokalizację „ja" wewnątrz naszego ciała. Jeden z badanych (ochotnik nr 55), niewidomy, twierdził, że jego własny „punkt zero" znajduje się w głowie, tuż za oczami – co nie dziwi – jednak stanowczo utrzymywał, że jest on nieznacznie przemieszczony w lewo względem płaszczyzny środkowej ciała. Inaczej mówiąc, utrzymywał, że swoje ciało odczuwa asymetrycznie. Wydaje mu się np., że po prawej stronie „siebie" ma nieco więcej materii głowy niż po lewej stronie. Po dłuższej rozmowie wyszło na jaw, iż odpowiedzialna za to może być jego indywidualna historia utraty wzroku. Otóż widzenie w prawym oku stracił mając ok. 7 lat, zaś w lewym dopiero w wieku 13 lat. „Moje »ja« jest przemieszczone w kierunku oka, które widziało dłużej – stwierdził. – Jest tak, jak gdybym cały był nieco przesunięty w lewo". © ŁUKASZ LAMŻA



DOMENA PUBLICZNA

Obrazowanie rezonansem magnetycznym (MRI, fMRI)

Obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego (MRI) rozpoczyna się od umieszczenia badanego w silnym polu magnetycznym. Po wyemitowaniu impulsu precyzyjnie dostrojonych fal radiowych możliwe staje się wykrycie cząsteczek wody, które w tkankach różnego rodzaju zachowują się w nieco inny sposób. Ostatecznie uzyskuje się trójwymiarowy obraz anatomiczny. MRI można zastosować np. do śledzenia, jak gęstość istoty szarej, złożonej z ciał neuronów, zmienia się w wyniku choroby lub długotrwałego wykonywania określonych zadań. Dzięki tej metodzie w 2000 r. zespół Eleanor Maguire odkrył, że u londyńskich taksówkarzy wraz ze stażem zawodowym zwiększa się objętość hipokampa, odpowiadającego m.in. za pamięć przestrzenną. Aparaturę rezonansu magnetycznego wykorzystać można również do tzw. obrazowania dyfuzyjnego (dMRI), które ujawnia szlaki istoty białej, złożonej z dendrytów i aksonów, na podstawie rozprzestrzeniania się cząsteczek wody. Dzięki temu możliwe jest nieinwazyjne badanie komunikacji pomiędzy obszarami mózgu.

Badanie fMRI (funkcjonalne obrazowanie rezonansem magnetycznym) wykonuje się przy użyciu dokładnie tej samej aparatury, jednak dostrojonej tak, aby rozróżniała hemoglobinę „natlenioną" od „odtlenionej". Gdy pewien obszar mózgu aktywuje się, organizm reaguje po paru sekundach wzmożonym napływem krwi. Śledzenie sygnału fMRI na żywo informuje więc o tym, jakie obszary mózgu – z dokładnością do objętości zawierającej kilka milionów neuronów – aktywują się w określonej sytuacji. Choć czas otrzymywania kolejnych obrazów jest krótszy niż w przypadku PET, badacze korzystający z tej techniki muszą balansować zawsze pomiędzy dobrą rozdzielczością czasową a przestrzenną. Przykładowym zastosowaniem fMRI są badania zespołu Stephena Kosslyna, który w 2004 r. wykazał, że zarówno podczas obserwowania obrazów, jak i wyobrażania sobie tego, co one przedstawiają, u osób badanych aktywowane są bardzo podobne struktury mózgowe. Wynik ten wskazuje, że stara metafora, zgodnie z którą „myślenie to widzenie", ma w sobie coś dosłownego. © MH

REKLAMA


22 - 27.05
2018
/PRZYPADEK
COPERNICUS FESTIVAL
Copernicus Center
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE
COPERNICUSFESTIVAL.COM